

# Kaczkowski Zygmunt

## WASI OJCOWIE

### *POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z WŁASNYCH WSPOMNIENÍ*

Wisłok wielki i Wisłok stary, dobra ogromne, obejmujące swojego czasu kilkadziesiąt tysięcy morgów przestrzeni i kilkanaście wsi i przysiółków, należały od wieków do starożytnej rodziny Wisłockich. Według tradycji, zostały one jeszcze za panowania pierwszego Jagiełły nadane jednemu z przodków tej rodziny, pod tym warunkiem, aby tamże zbudował zamek obronny i utrzymywał na nim załogę ku opędzaniu tych krajów od napadów węgierskich. Takich zamków większych i mniejszych ciągnął się wów.czas nieprzerwany łańcuch wzdłuż Karpat — a ich właściciele nie- tylko utrzymywali na nich • załogi, złożone z kilkunastu albo kilkudziesięciu żołnierzy, ale przysposabiali także lud wiejski do wojennego rzemiosła, tak, że żyły koło nich rodziny wiejskie, w których z ojca na syna przechowywały się duch wojowniczy i umiejętność robienia bronią. Później pomiędzy te zamki porozsiewano sołtystwa, mające częstokroć objętość wioski, które nadawano prawem królewskim bądź wysłużonym żołnierzom, bądź zubożałej przez wojny drobniejszej szlachcie, lecz także z ciężarem dostawiania Rzeczypospolitej w razie potrzeby jednego lub więcej żołnierzy. Tak w tych okolicach, więcej niżeli gdziekolwiek indziej, wyższe i niższe warstwy społeczne były zbliżone do siebie uczuciem i obowiązkiem wspólności, najprzód w celu bronienia swojej własności od przypadkowych napadów, a wreszcie służenia ojczyźnie w wielkich potrzebach krajowych.

Wul Ojcowie.

Granice państwa wisłockiego dochodziły aż do szczytów Bieszczada, na których ta i ówdzie, jak aksamitne kobierce, błyszczały w słońca rozległo połoniny, letnią porą pyszne pastwiska dla sarn i jeleni; ale przestrzenie te były po największej części odwiecznym lasem nakryte, pełnym olbrzymich jodeł, jaworów i baków, pełnym nareszcie nieprzebytych parowów i zawałonych starami pniami ostępów, służących za siedzibę niedźwiedzim i dzikom; przebrać się przez nie potrafili tylko ludzie miejscowi, znający dokładnie wszystkie przesmyki i przejścia. Stąd poszło, iż zamka w Wisłoka nie zbudowano ani w gęstwinie lasów, ani na górze skalistej, jak to czyniono gdzieindziej, tylko a stóp Bieszczada, w miejsca wyniosłem, lecz w położenia takim, że z jego okien otwierały się na wschód i na zachód dosyć rozległe widoki, na owe wąskie, lecz często bardzo głębokie równiny, zwykle przerzniete jakimś strumieniem, w które tak bogatą jest cała ta podkarpacka kraina. Ku północy snuły się także potężnych gór pasma, czarnymi okrytych lasami, a nawet tu i ówdzie sterczały wysokie ich szczyty, z wyjątkiem dni bardzo pogodnych kurzące się mgłami, jakby wulkany; ale z tej strony widać już było więcej gruntów ornych i pastwisk, gdzieniegdzie wyglądały chaty z za lasu i widać było drożyny, prowadzące do niedalekich miasteczek.

Zamek wisłocki, obrócony frontem ku północy, była to niegdyś bardzo stateczna budowa. Składała się ona z dwóch głównych skrzydeł, połączonych ze sobą ogromną bramą z ciosowego kamienia, na której wierzchu znajdowały się mieszkania dla straży i zamkowych trębaczy. Mury tam były sążniowej grubości, były i wieże i inne zabudowania, połączone krużgankami ze sobą —■ a wszystko to było otoczone wałami i fosą, przez którą prowadził most zwodzony. Ale odwieczne te mury, coraz mniej do obrony kraju potrzebne, już w ośmnastym wieku popadły w ruinę. Dziś zostało się tylko prawe skrzydło zamku z ową bramą ciosową. Wszelako była to jeszcze

dość okazała budowa o jednym wysokim piętrze, z obszernym gankiem na przodzie, o cztery kamienne kolumny graniaste opartym, związane ze sobą gotyckimi łukami. Nad gankiem znajdowała się platforma, kamienną otoczona balustradą, która pierwszemu piętru służyła za balkon. Toż ta część zamku była mieszkalną i obejmowała w przy sieniach cokolwiek posepne, ale wspaniałe komnaty, sale jadalne i wielkie salony do przyjęcia gości, ozdobione starożytnymi sprzętami i obrazami, które jeszcze z dawnych przechowały się czasów; na pierwszym piętrze znajdowały się równie wspaniałe pokoje mieszkalne, ale wesołe i jasne, a umeblowane nowożytnymi, z Paryża i Wiednia posprowadzanymi sprzętami. Po koronkowych firankach i kwiatach, wyglądających z okien, widać było od razu, że pierwsze piętro za mieszkają kobiety.

Przypierająca do tej pozostałości starego zamku olbrzymia brama, była właściwie w ruinie; na poiadkach dawnych mieszkań trębaczich, które się w proch rozsypały, dzisiaj rozrosły się krzewy i wina dzikie, które tam posadzono, a których bujne gałęzie, czerwieniejącym liściem okryte, zwieszały się aż do ziemi. Ale obok tych ruin powstały z czasem nowe zabudowania. I tak: obok bramy, w równej linii ku zachodowi, jeszcze pod koniec przeszłego stulecia wybudowano dwór duży piętrowy z gankami i balkonami, w którym się znajdowały pokoje gościnne, a który z niewiadomych powodów nazwano „Posadą”. Zaś do skrzydła zamkowego od wschodu przybudowano dopiero przed kilku laty jakoby willę bez piętra, w stylu nowożytnym z wysokimi oknami; była ona wprawdzie ozdobiona długim gankiem od północy, ale główny jej front z bardzo piękną oszkloną werandą był obrócony ku południowi, na dziedzińce zamkowe. Ta najnowsza budowa służyła za mieszkanie gospodarzowi, mieściła w sobie kancelarję, bibliotekę i zbrojownię i nazywała się „Pałacem”. Z werandy tego pałacu można było przejrzeć wszystkie dziedzińce, rozciągające się za plecyma zamku, a które były otoczone zabudowaniami dla służby i gdzie się znajdowały stajnie

wozownie, psiarnia, sspichlerse, lamlii, stodoły i ganina. Budynki te stanowiły całość bardzo nieregularną, ale całe to obejsioie wyglądało jak małe miasteczko i było w niem widać porządek, czystość i niezwykłą w tych górach samotność.

W pierwszych dniach września roku 1830, w dzień niedzielny, bardzo pogodny a tak gorący, jak gdyby śród lata, około godziny drugiej z południa siedziało na ganku zamkowym dwóch mężczyzn, żywą ze sobą zajętą rozmową, a na małym stoliku przed nimi stały na srebrnej tacy im\* bryki i filiżanki. Obydwa mieli już około pięćdziesiąt lat wieku, albo może i więcej, obydwu zdawali się mieć coś sobie wspólnego, ale byli całkiem niepodobni do siebie.

Siedzący po prawej był to mąż dosyć słusznego wzrostu, zbudowany raczej okrągło, niż silnie, mocny brunet z krótko strzyżoną i lekko upudrowaną czupryną; twarz jego całkiem ogolona, raczej ściągła, niż pełna, o niezwykłej piękności, cera na jego wiek nadzwyczaj biała i cokolwiek zarumieniona, oczy czarne szeroko rozwarte i jakby śmiejące, nos równy, usta małe, świeże i bardzo pięknie uformowane, co wszystko znamionowało wielką staranność około swojej powierzchowności, przedstawiały go na pierwszy rzut oka jako człowieka, który przynajmniej część swego życia przeżył w Europie zachodniej i do obyczajów wielkoświatowych nawykł. Miał on na sobie spencer z zielonego aksamitu, lekkim obłożony futerkiem, zamieszowe pludry obcisłe, buty węgierskie z srebrnymi ostrogami, wstążeczką legji honorowej i wirtuti militari w pętlicy — a tak widać było zarazem, że dawniej służywał wojskowo.

Jego towarzysz był niższy wzrostem od niego, ale zbudowany barczysto i kościsto; także całą twarz miał ogoloną, ciemno-blond włosy, po których tu i ówdzie białe nitki się snuły, w tył zaczesywał, nos miał duży, usta cokolwiek przycięte, znamionujące pewną stanowczość woli i charakteru, oczy siwe, krzaczystemi brwiami nakryte, mała chmurka na czole, a po całej jego twarzy było rozlane jakoby ciągle zamyślenie. Była to postać żołnierza z powołań: jakoż był on ubrany w kurtę sukieną żołnierskim krojem, skórzane rajtuzy i ciężkie buty z ostrogami, przepasany był pasem czarnym rzemiennym i tylko pałasza mu brakowało.

Pierwszy z nich był to pan Tomasz Wisłocki, pan zamku, pułkownik wojsk francuskich i baron cesarstwa francuskiego — a drugi Tym ko Czuby, Kusinzrodu, herbu Bokij, właściciel przyległego sołtystwa, a kapitan gwardji napoleońskiej.

Obydwóch tych ludzi wiązały ze sobą węzły bardzo ścisłe, datujące od kolebki, a do dziś dnia nie rozerwane. Przyszli oni bowiem na ten świat w jednym roku i w jednym miesiącu, a matka Czubyego była mamką Wisłockiego. Byli sobie przeto młocznymi braćmi i przez kilka lat pierwszych razem się chowali w Wisłoku. Później losy ich się cokolwiek rozeszły.

Ojciec pułkownika, Teodor, kasztelan sanocki, posłużywszy czas jakiś w konfederacji barskiej, po jej upadku emigrował do Francji, tam wstąpił do pułku Boya i Polona, ożenił się z Francuską, panną de Riviere i wkrótce po ślubie porzucił służbę i przeniósł się do Wisłoka. Tam przemieszkał lat kilka, lecz słabość żony zniewoliła go do powrotu do Francji. Tam całą rewolucję przetrwał, wybiegając po dwakroć do Polski, aby się bić podczas ostatnich rozbiorów; toż i syn jego tamże się wychowywał do piętnastego roku swojego życia. Dopiero po śmierci żony przeniósł się do Wiednia i oddał Tomasza do tamtejszej akademji inżynierów. Młody Tomasz już z akademji rwał się do legjonów, ale go ojciec oilnował. Jakoż dopiero skończywszy tę szkołę i wyszedłszy z niej z rangą oficera, w roku 1800, przebrał się do Metz, gdzie Kniaziewicz już pod sztandarami francuskiemu formował nowe legjony polskie. Przyszędłszy z rangą oficera i przywiózłszy ze sobą parę tysięcy dukatów, zebranych pomiędzy rodakami, bawiącymi w Wiedniu, na cel legjonów, został natychmiast mianowany adjutantem Eniaziewicza i zatrudniony przy organizacji. Od tego czasu służył bez ustanku aż do Waterloo.

Funkcje jego bardzo często się zmieniały: służył, w konnicy i w artylerji, w adjutanturze i przy głównym sztabie, późniejszymi czasy odbywał nawet dyplomatyczno-wojskowe poselstwa, ale jego ulubioną bronią była piechota, jakoż i pod Waterloo dowodził pułkiem piechoty. Po ostatecznem uorganizowaniu kongresowego Królestwa, pojechał do Warszawy, aby się tamtejszemu stanowi rzeczy przypatrzeć; Miał wielką ochotę wstąpić do wojska, ale nie było to łatwem dla tych, którzy byli pod Waterloo i chcieli otrzymać tę rangę, z którą wyszli z tej bitwy. Tak przepędził lat kilka bez zatrudnienia, pomiędzy Warszawą, Paryżem a Wisłokiem, żyjąc w najwyższych sferach polskiego i francuskiego towarzystwa, wszędzie serdecznie kochany dla swego zawsze wesołego humoru, a jeszcze więcej szanowany dla swojej przeszłości, w której się odznaczył jako jeden z najwaleczniejszych oficerów swojego czasu, jako najserdeczniejszy kolega i jako człowiek honoru bez skazy. Około roku 1820 odziedziczył po swojej ciotce kilka wsi nad Pry-pecią, pojechał tam dla odebrania dziedzictwa, błąkał się jakiś czas między Wołyniem a Litwą i skończył na tem, że wstąpił jako pułkownik pieszego pułku do gwardji Litewskiej. Jakkolwiek było wielu Polaków, którzy wstępowali do tych-tam gwardyj, pozostających pod naczelnem dowództwem W. księcia Konstantego, a niektórzy chcieli nawet w nich widzieć jakoby część integralną wojska polskiego, która prędyj później z niem się połączy, różni różnie sobie to tłumaczyli i obiegały nawet pogłoski, jakoby to była sprawa kobieca. Cóżkolwiekby, Wisłocki wysłużył w gwardji cztery lata, z górą; ożenił się tamże z wdową po jenerale rosyjskim, księżną Abumelech, jeszcze przed ślubem wziął dymisję, natychmiast przeniósł się do Wisłoka i odtąd tutaj zamieszkał.

Całkiem inne koleje losu przeszedł Czubaty. Pochodził on z rodziny kozackiej, nobilitowanej konstytucjami czasu Zygmunów, która zawsze stała po stronie polskiej, lecz sprzykrzywszy sobie mordowanie swej własnej braci, a nie chcąc porzucić sztandaru, pod którym przez wiele pokoleń służyła, przeniosła się za Jana Kazimierza na zachodnie granice Rusi i tutaj otrzymała, o małe pół mili od Wisłoka, bardzo piękne sołtystwo. Sołtystwo te zostało nadane Czubatym z tym warunkiem, ażeby wyjeżdżali ramotrzec na każdą potrzebę Rzeczypospolitej. Jakoż służyli wiernie po wszystkie czasy, bili się walecznie, a nawet często otrzymywali honorowe od hetmanów nagrody, albo też inne ukontentowania. Szabla w srebro oprawna, którą Nyczko Czubaty otrzymał od hetmana Jabłonowskiego pod Wiedniem, wisiała dziś jeszcze pomiędzy bronią, przechowywaną w świetlicy sołtystwa — a Soter Czubaty za instancją samego Augusta Q. został mianowany kanonikiem kapituły przemyskiej i gdyby nie to, że przy zajeździe na dwór szlachcica, stronnika króla Stanisława, został zabitym, by ■łoby go pewnie nie minęło biskupstwo. Stryj Tymka, Dymitr, był proboszczem u św. Piętnie we Lwowie, należał do najuczeńszych kapłanów swojego czasu i wkrótce po pierwszym rozbiornie, został powołanym do Wiednia, dla założenia tamże seminarjum dla kleryków unickiego obrządku, którego też został rektorem.

Ojciec Tymka, Bazyli, do dziś dnia żyjący, podjechał był z młodu pod chorągiew hussarską marszałka koronnego Mniszcha, konsystującą w Sanoku, ale, że to było w ostatnie lata bonfederacji karkiej, jak tylko się zjawił Pułaski w tych stronach, przeszedł do niego i zrył kopytami swojego konia całą Polskę od puszczy białowieskiej aż do Krakowa. Później służył czas jakiś w gwardji konnej koronnej, ale mu się ta służba sprzykrzyła i na swoje sołtystwo powrócił. Wtedy się też ożenił. Jednak kiedy podczas Wielkiego Sejmu organizowano armję polską, wyjechał z domu — i dopiero w rok po ostatnim rozbiornie powrócił. Opowiadano o nim, że w czasie Targowicy stał na czele sotni kozaków, do której utworzenia mu książę Józef dopomógł; ale prowadził wojnę na własną rękę, napadając na dwory i na komendy tych niepoczesnych konfederatów, którzy nie chcieli innej Rzeczypospolitej, jak tylko ze starą szlachecką swawolą i z uciskiem dla ludu.

linię jego stało się natenczas atraszmem na Podola i na Wołyniu: miewał częstokroć, oprócz swoich kozaków, po parę set żołnierzy pod swoją komendą, poodrywanych od swoich korpusów, z którymi przecinał komunikacje, niszczył konfederackie załogi, zabierał wojenne zapasy, a nawet staczał bitwy zacięte, spadając nocą, jak jastrząb, na odosobnione oddziały rosyjskie i znikając, jak mgła, przy wschodzie słońca. I byłby może niebawem urósł do jakiegokolwiek potęgi, bo komendę miał ruską i lud tamtejszy się garnął do niego,—ale tymczasem król przystąpił do konfederacji, wojska polskie się rozpierzchły, a na Bazylego zrobiono oblawę. Jakim cudem się wymknął z pomiędzy komend rosyjskich, które te kraje zalały, tego nikt nigdy nie dociekł; to tylko pewna, że podczas powstania Kościuszki widziano go w Krakowie w mundurze kozackim, że należał do sztabu naczelnika i odtąd we wszystkich bitwach mu towarzyszył. Pod Maciejowicami dostał się wraz z innymi w niewolę i został wysłanym do Kijowa; ale i stamtąd się wymknął — a wtedy już na zawsze na swoje sołtystwo powrócił. Lecz wrócił bardzo zgryziony i smutny, zamknął się w swoim starym dworzysku, nigdzie nie wyjeżdżał, nikogo nie przyjmował, rzadko kiedy przemówił, a jeśli się odezwał, to tylko powtarzał te słowa: „Lachy zaprzepaściły Polskę, a z nią i Rna przepadła na wieki. Teraz wszystko to Moskwa pożre pomału. A tak to łatwo było jej wszystko odebrać po Dniepr i po Dźwinę!”

Wówczas jedna rzecz tylko jeszcze go zajmowała, a było nią wychowanie jego jedynaka, który właśnie skończył był rok szesnasty. Dzięki staraniom matki, która była córką ruskiego księdza i zabiegom stryja Dymitra, Tymko kończył właśnie gimnazjum we Lwowie i mimo gwałtownego czasem temperamentu, wcale nieźle się uczył. Według tradycyjnego obowiązku, jako jedynak, powinien był właściwie zostać na gruncie i służyć ojczyźnie wojskowo. Ale ojczyzna minęła—ojciec, ngiąwszy się pod ogólnym ówczesnym wrażeniem, w jej wskrzeszenie nie wierzył — a zatem postanowił wyuczyć Tymka na księdza. „Czubaci już się bić

za nią nie będą, więc niechaj za nią się modlą” — powiedział sobie tegoż roku pod jesień i odesłał Tymka do nowego seminajum do Wiednia. Ale chłop strzela, a Bóg kule nosi: i ojczyzna jeszcze nie minęła. Tymko księdzem nie został. Uczył on się łaciny i filozofji przez jakie półtora roku, ale dziwnie duszno mu było w tem seminajum. Aż też nareszcie i do seminarjum docisnęły się wieści, że Polacy żyją na świecie, a nawet, że legje formują we Włoszech. Wtedy Tymko już nie mógł sypiać po nocach, filozofja łacińska wydawała mu się wielką głupotą, seminajum więzieniem, jego stryj rektorem tyranem, jakoż nad tem tylko wciąż przemyślał, jakby się mógł dostać za Alpy. Ale czego człowiek szczerze chce, tego i dopnie; toż i Tymko jednego ranka przed świtem wymknął się z seminajum i przepadł. Naprótno rektor porozysłał gońców za nim na wszystkie strony, naprótno głosił przebaczenie, i drzwi i ramiona otworzył na ściegaj, Tymko już „wolnem odetchnął powietrzem i szelest swych skrzydeł usłyszał: Pójdź myśliwczę do domu, z klątką nie czekaj sokoła”.

O głodzie i chłodzie, a często o żebranym chlebie dobił się wreszcie do Włoch, od Dąbrowskiego mile przyjęty, dostał się pod komendę Chłopickiego i z nim odbył tę całą kampanję.

Kto nie znał tych ludzi, kto z ich ust własnych nie słyszał, jak to tam było, ten sobie ztrudna zrobi pojęcie, jak oni, ci najwznieśli bohaterowie wszęch czasów, ci prawdziwi wskrzesiciele zabitej ojczyzny, w ciałach swych wygłodniałych i nędznych, umieli utrzymać taki żar świętej odwagi, ofiary i poświęcenia, że nim zaćmili zapał najwaleczniejszych narodów... Podczas tej służby Tymko nie wyrobił w sobie niezwykłych talentów wojskowych, ale natomiast znajomość służby wojennej i olbrzymią siłę fizyczną, która była znana w całych legjonach; toż wiadomość tej siły wytworzyła w nim odwagę, posuniętą do niesłychanego zuchwalstwa, którą się mianowicie odznaczył w pojedynkowych zapasy pod

Trebbia, gdzie też został podporucznikiem. Był przytem żołnierzem pewnym, na którego można  
WMI Ojeowie.

było liczyć, jak na Zawiszę, i nicspożyte wytrwałym jak wszyscy Bosini, dlatego też częściej, jak innych, na ciężkie wystawiano go próby, ale dlatego także powszechnego ożywał szacunek. Jak wszyscy ludzie prawdziwej zasługi, był skromnym, a zarazem niezadnym protekcji, której nawet szukać nie umiał; stąd poszło, że po rozwiązaniu legionów zażył niemało nędzy i głodu, i ledwie w randze podoficera dostał się do nowych formacji. Ale potem już głódziej mu- poszło, był w randze porucznika z Chłopickim pod Sara" gossą, a wyszedł z rangą rotmistrza z ostatniej kampanji.

Podczas tych wojen niejednokrotnie się spotykał z Wisłockim. Byli razem na pontonach angielskich, z których Wisłocki za pomocą swoich towarzyskich stosunków i jego i siebie wydobył. Po Berezynie, kiedy Wisłocki z dawnych ran ciężko zaniemógł w Wilnie, Czuby został przy nim, narażając się na niewolę, w którą też rzeczywiście popadli. Podczas stu dni służyli w jednej brygadzie — a zawsze obchodzili się z sobą, jak brać, dzieląc się wszystkim, co mieli. Wzajemna ta miłość utrzymywała się tem łatwiej, ile że Czuby miał zawsze dla Wisłockiego pewną dyferencję, jak gdyby starszego brata, co też Wisłocki jako rzecz naturalną przyjmował. Po Waterloo Tymko wcale nie szukał umieszczenia w wojsku Konstantynowskim, według niego było to wojsko dla rewji, a rewje nie były jego rzemiosłem; toż wówczas na swoje sołtysostwo powrócił, zastał swojego ojca zagospodarowanego wybornie, obory pełne i skrzynie nie próżne, a do tego jeszcze i maleńką stadninę. Bardzo go to ucieszyło, że po tylu trudach miał gdzie przy tłustym kawałku chleba wypocząć, ohował więc konie i żył ze szlachtą sąsiednią, pełen tego szczęśliwego uczucia, że swoich obowiązków dopełnił i miał prawo do wypoczynku. Jednak kiedy Wisłocki wstąpił do gwardji litewskiej, zaczęło go to niecierpliwic, jakoż niebawem i on wstąpił do tego samego pułku i służył w nim w randze kapitana. Ale także razem z Wisłockim wstąpił — a kiedy tamten wszedł z księżną w śluby małżeńskie, on ożenił się z chłopką, córką bogatego wójta ze wsi sąsiedniej, bardzo piękną kobietą, miał z nią 3ynka, któremu właśnie rok minął, i był bardzo szczęśliwy. Ożenienie to wcale nie zaszkodziło jego towarzyskim stosunkom, bo był tak roztropnym, że nie narzucał swej żony dworom szlacheckim; jego zaś samego musieli wszyscy szanować, a ktoby się skrzywił, to na tego miał szablę przy boku... Ale nikt się na niego nie krzywił: waleczni wskrzesiciele ojczyzny byli wtenczas w poszanowaniu u wszystkich.

Tak tedy ci obadwa przyjaciele, siedząc obok siebie na ganku, rozmawiali ze sobą. A właśnie przeprowadzono konia przed gankiem, z którego dopiero co zsiadł był Czuby. Był to koń duży wiśniowo - gniady, z gwiazdą na czole i czterma białemi nogami powyżej kostek, jak jego pan, o silnych kościach i muskularnej budowy. Był osiodłany terlicą, nakrytą baranem, przed której kulą wisały dwie sakwy skórzane, a za nią był przymocowany mantelzak. Czuby nigdy bez tych pakunków nie jeździł, najprzód, ażeby konia przyzwyczajac do noszenia ciężaru, a potem, któż tam wie, co się komu t loże zdarzyć w podróży. Pałkownik skinął na chłopaka, aby się z koniem zatrzymał, obejrzał go okiem uważnem i rzekł:

— Twój Wisus (tak się koń ten nazywał) jeszcze znacznie się rozrósł, a choć jeszcze młody, jużby niejedną wytrzymał kampanję. Ze ja też u siebie nie mogę takich dochować się koni! Mój ogier angiebki przecie także nie chłystek, klacze mam, co najgrubsze, ze stada Oizyckioh, potomstwo pół krwie powinnyby przecie być do czegoś podobne, a dotychczas tylko jedna Wiktorja pójdzie mil kilka, a jak potrzeba, to jeszcze kilka, bez umęczenia. Reszta to jeszcze słabizna, bardzo pokaźne, ale też bardzo niepewne.

— Wszystkie konie, które pułkownik masz po klaczach Oizyckioh — odpowiedział na to Czuby — są doskonałe, ale za mało pracują. Ja na moich koniach latam, jak ptak po wszystkich sąsiedztwach, nie dla rozrywki, ale żeby się zaprawiały do pracy. Na Wisusie przeszłego tygodnia pojechałem o świcie do Rymanowa na jarmark, a przed pó\*no

całą wróciłem do siebie i przyszedł taki, jak gdyby dopiero co wyszedł ze stajni. Niech-że mi to kto drągi potrafi! To też ja na nim, choćby do Moskwy. Ale na co się to wszystko przydało! Koni nam nie braknie, ale nie masz kedy ich utyc. Konie się nam starzeją i my starzejemy i podobno nam już krzyżyk postawią na grobie a prochu pewnie więcej nie powąchamy :...

— A już mi znowu zaczynasz śpiewać na starą nutę, — zawołał na to śmiejąc się pułkownik i tak mówił dalej: — Jużci i u mnie konie zawsze gotowe, ujeżdżone i ostrzelano, ale między nami mówiąc, na co nam tego? Czyż-to nie dosyć natłukliśmy się za tę naszą ojczyznę? Ja przez lat piętnaście, ty lat ośmnaście, i przeddeptaliśmy całą Europę od Saragossy do Moskwy, a niechaj tam sobie kto mówi, co chce, przecież nie na]różno. Kościuszko nas zaprowadził do grobu, z honorem, to prawda, ale to grób był. Prawdę mówiąc, w samej Polsce nikt wówczas o Polsce nie myślał. A dzisiaj jest przecież Kongresowe Królestwo, polskie i żywe, na Litwi i, na Wołyniu. Podolu, i na Ukrainie także jeszcze jakoś żyjemy, Księstwo ma prawo zagwarantowane traktatem, toż i w Galicji nam jeszcze nikt nie zapiera polskiego oddechu. Wszystko to myśmy zrobili, jedno pokolenie; niech takie drugie po nas nastąpi, a dobieje się reszty. Trudnoż po nas samych wymagać, abyśmy wszystko to naprawili, co wioki zepsuły. A i my także skarżyć się nie możemy, jakobyśmy za nasze trndy nie otrzymali nagrody. Zrobiliśmy, cośmy byli powinni, a może nawet cokolwiek więcej, bośmy się za ojczyznę bili aż do Lipska, a potem jeszcze jakiś czas dla honoru: za to też mamy respekt u ludzi i pogodny zachód słońca przed sobą. A jak tam jest w tej naszej Galicji, przecież i na to się skarżyć nie możemy. Nie rządymy tym krajem, to prawda, ale Niemca nie widzimy na oko. Kiedy się raz na trzy lata pokaże we wsi jaki kraisdragon, to się cała wieś zbiega, aby go oglądać, jak raroga. Podatki nie ciężkie, każdy je łatwo opłaca, o egzekucjach nigdzie nie słyhać; dajemy wprawdzie rekrata, ale tego niewiele i jużciż trudno, aby się państwo obeszło bez wojska. Za to mamy jeść po uszy. Gumna pełne, spichrze się rozsadzają od zboża, korzec owsa po sorokowcu, funt mięsa po groszu, a czasem po niczemu. Do tego jeszcze wolnym jesteś, jak ptak, nikt nie zagląda ci w okna, nikt się o ciebie nie troszczy, nawet nie wiesz, czy jest jaki rząd w kraju: mój Czubyaty, czegóż ci jeszcze potrzeba? Jeżeli kiedy będziesz w rajy o czem zresztą nie wątpię, to się przekonasz, że i tam ci lepiej nie będzie.

Czubyaty słuchał tego wykładu z lekkim uśmiechem niedowierzania, a potem tak mówił:

— Pnłkownik zawsze przeciwko mnie rację mieć będziesz, bo ja się nie umiem wysłowić. Ale powiem, jak umiem. Jest Kongresowe Królestwo, to prawda. ale kto tam w niem rządzi ? Moskale. Ot i co porobili niedawno! Powieźili oficerów sztabowych i zacnych obywateli A za co? za to, że się pomiędzy sobą Panu Bogu modlili, aby też Litwa i kraje zabrane zostały przyłączone do Polski, jak to im cesarz Aleksander obiecał. A toż-to jest rzecz, za to brać kogo do turmy, a jeszcze i na Sybir wysyłać ? — A na Litwie, to już pozał się Boże. Przecieżeśmy tam byli i wiemy, jak tam małe chłopięta cięto różgami i z ogolonemi głowami wysyłano w żołdacy. Opowiadał mi Milek niemało tych rzeczy, od których mi włosy na głowie wstawały. A przecież dla tego poszliśmy precz z tej tam gwardji litewskiej, do której Bogiem a prawdą nie wiedzieć po cośmy też chodzili. Jeszcze pułkownik przynajmniej choć żonę sobie wywiozł z tych krajów, ale ja nie wiem, za co wysługiwałem się przez cztery lata Moskałom, to też i nie wiem, czy mi Pan Bóg to kiedy przepuści

A kiedy to mówił Czubyaty, z owej wielkiej ciosowej bramy wyjechała sześciokonna żółta karetka z dwoma paju- kami z tyłu i z forysiem na przodzie i skręuia nu lewo. Czubyaty zerwał się z krzesła i przyłożył małą lunetę do oka, którą zawsze nosił w rajtuzach, bo opodal nie dobrze widział, a pułkownik rzekł:



— To moja żona jedzie na nieszpór do jezuickiej kaplicy.

Wtedy Czubyty znów usiadł i tak mówił dalej:

— Co tam w Księstwie się dzieje, trudno wiedzieć, bo stamtąd i ptak do nas nie zaleci. Ale, jak słyszę, to i tam Prusacy gospodarują, jak niedźwiedź w pasiece, a jeszcze nadto i ziemię nam z pod nóg wydzierają. Niedawno temu, kiedyśmy icb wygrzmocili pod Jeną, to już ich prawie nie było. A teraz się znowu wzmogło to lichy. A co do naszej Galicji, to już chyba lepiej o tem nie mówić...

Wtem Czubyty sam sobie przerwał i znów przyłożył lunetę do oka, albowiem od bramy ktoś się zbliżał do ganku. Był to chłop ogromnego wzrostu, jak olbrzym, rozrośnięty szeroko, chociaż jeszcze był młody i zaledwie miał lat trzydzieści. Był on ubrany w krótki kozuszek barani, pas szeroki skórzany i buty jałowicze, sięgające do kolan, a na tem ubraniu miał zarzuconą brunatnego koloru guńkę góralską, zaś czapkę skórzaną okrągłą, obłożoną barankiem, trzymał w swem ręku. Twarz jego męska, ozdobiona krótkim przystrzyżonym wąsem i szeroko rozwartemi piwnego koloru oczyma, przy długich włosach, przyciętych równo nad czołem, znamionowała nie chłopa, przytłumionego uczuciem poddaństwa ale swobodnego człowieka, który stoi o własnej sile i czemsić się czuje. Tak się zbliżył do ganku, pokłonił Bie pułkownikowi czapką do kolan, Czubytego skinieniem głowy pozdrowił i z swobodnym uśmiechem na twarzy właśnie chciał coś przemówić, kiedy pułkownik go spytał:

— Cóż tam mój Pliszka ? pogoda sprzyja, możeby już "zaś wziąć się" do owsa?

— Właśnie po to do jaśnie pana przychodzę — rzekł Pliszka po polsku, ową piękną wymową, jaką się lud wiej ski odznacza bez różnicy obrządku nad brzegami Wisłoki i Sanu — objechałem dzisiaj wszystkie folwarki, lato było pogodne, owies dojrzał już wszędzie po dolinach, a i na górnych gruntach nie wiele mu braknie. Toż zakazałem na jutro\* ze wszystkich wiosek kosarzy od kołka do kołka, będzie ich najmniej ze trzysta peńszczyznianych, a jaka setka najemnych, toż za Bożą pomocą do końca tygodnia uporamy się z naszym owsiskiem. Ludzie się będą dziwować, bo wszystko to zniknie, jakby na ogniu.. — I Pliszka zacierał ręce, a pułkownik rzekł do niego z uśmiechem:

— No, to tak dobrze. A nie żałuj tam ludziom gorzałki i każ upiec chleba dla tych, co z dalszych wiosek się zbiegną i zechcą w polu nocować; niechaj dobrze rękawy zakaszą, ale nieoh będą kontenci. A potem spraw im suty dożynek, na którym i my też się zabawimy. A za to powiem ci dobrą nowinę. Oto pan Białobrzescki sprzedał mi sześćdziesiąt morgów ziemniaków, a nie pytaj, po czemu, ot, jakbym znalazł na drodze, ale pod tym warunkiem, abym sam je wykopał, bo jemu trzeba pańszczyzny do lasu. Trzebaby tedy zawczasu o tem pomyśleć, skąd robotnika weźmiemy...

A Pliszce na tę nowinę aż się serce zaśmiało z radości, jakoż mu przerwał:

— Od przybytku głowa nie boli. Nasza gorzelnia, jak smok, wszystko to pożre. A wedle wykopania i zwózki, to ia się naradzę z pisarzem. Tylko tak mi się zdaje, że trzeba będzie jeBzcie trochę wołów przykupić.

— I o tem już Domyślałem — rzekł pułkownik. Jutro, pojutrze powróci Herszko Żubracki z Ołomuńca, więc jakoś to obmyślimy. Idź że teraz, mój PliBzka, do pisarza, a jak się z nimi rozmówisz, to przyjdź tutaj i powiedz, coście tam uradzili.

W tej chwili Czubyty wstał, zbliżył się do Pliszki, ścisnął go silnie za rękę i rzekł:

— A jak tam żinka? — czy sia już obaczyła?

Zaczeai poszli obadwa o parę kroków od ganku

i chwilę rozmawiali ze sobą, aż nareszcie Czubyty położył rękę na jego ramieniu, drugą ręką wskazał na niebo i na swoje miejsce powróoił. Po chwili zaś rzekł:

— Walny-to chłop, jakich mało, wszystko byłoby do brze, ale mu żona choruje.

A pułkownik rozśmiał się na to:

— A ty zaraz wierzysz wszystkiemu. Żona jego poszła z przymusu za niego, bo się w innym kochała; on się z nią obchodził jak lalką, dobrze jej się powodzi, więc wodzi go za nos i stroi mu ceregiele. Czy w robronie, czy w dymce, kobiety podobno wszystkie jednakie. Posłałem do niej doktora, powiada, że jej nic nie brakuje.

Czubaty spojrział na pułkownika z pod oka, a potem tak dalej mówił:

— A co do naszej Galicji, to niech ją tam pan Bóg ma w swojej opiece. Na Mazurach to jeszcze jako tako: tam chłop i mieszczanin i szlachcic z jednego drzewa i jako kolwiek kapy się trzymają; ale im dalej w Ruś, to już wielka pstrocizna. Szlachcic tam wpływa we wszystko i ledwie nie każdy, jak magnat; chłop żyje w ciemności i nędzy, a mieszczanin to nawet sam nie wie, do jakiego należy narodu. A który trochę szkół liznął, to już taki zniemczony, te i trudno się z nim dogadać. Spotykałem tam ludzi z waszecia, co nawet nie wiedzieli, że kiedy była jaka Polska na świecie. A jak jeszcze tak potrwa, jakie lat kilka to będzie tam tak, jak u Łużyczan i Wendów, gdzie ład jeszcze słowiański, ale w łapoiach chodzi, a kto ma kapotę na sobie, to Niemiec. Ej! żeby to kary Boskiej za to nie było! Ale zdaje mi się, że już nie długo tak będzie. Byłem ja w Lisku we wtorek, pan Ksewery mnie na objad za prosił, a kiedyśmy podjedli, wziął mnie na stronę i rzekł mi do ucha: Czuj dach, Czuby! a przygotuj szabliśko, bo niebawem będzie robotą. Więc ja mówię sobie...

Ale pułkownik ma przerwał:

— Tak ci mówił pan Ksewery? Powiedz mi, jakie to było?

Tymczasem Czuby, zamiast odpowiedzieć, znów powstał i przyłożył lunetę do oka, patrząc na szeroki gościniec, który ze świata prowadził do zamku.

— I cóż tam znów widzisz? — zapytał pułkownik, który się był trochę zamyślił.

— Jakieś tabory się włoką — odpowiedział Czuby — na i jeźdźcy La koniach, jeno nie mogę dojrzeć, czy znajomi.

— To może właśnie pan Ksewery zjeżdża na polowanie — rzekł na to pułkownik wciąż zamyślony i nie chcąc ruszyć się z miejsca — bo tylko on jeździ z wielkim taborem, jeno by mi dziwno było, gdyby mnie nie uprzedził.

Jednąż wstał, spojrział w tę -stronę, a że miał wzrok niezmiernie bystry, zwłaszcza na dał, rzekł zaraz:

— Nie, to Netreba, przyjeżdża z Wołynia... A jużci Netreba, tylko nie wiem, dla czego na konia i co znaczą te liczne furgony.

Tymczasem do zamku zbliżał się rzeczywiście tabor bardzo okazały. Na jego czile dwóch jeźdźców na koniach tak wyniosłych i pięknych, że w oko wpadały; za nimi coś na kształt półkrytego powozu w trzy konie, równie wspaniałej postaci, dalej pięć bryk czterokonnych wysoko ładowanych, a na koniec sześć koni luzaków. Tym korowodem zajechali stępą przed ganek, a ich furgony wyciągnęły się z tyłu wzdłuż zabudowań zamkowych. Przed gankiem jeden z jeźdźców, który jechał po lewej stronie, prędko zeskoczył z kulbaki, przybiegł do pułkownika i ścisnął go za kolana, a pułkownik go ścisnął obydwoma rękami za głowę i rzekł wesoło:

— Jak się masz, mój Netreba! Kogoż to nam przywozisz ze sobą?

Netreba był to człowiek przeszło czterdziestu lat wieku, nie bardzo wysoki, ale niezmiernie chudy, z zapadniętymi policzkami, żółtawej cery, z ogromnymi krzacystymi wąsami, z oczyma siwymi, których blask znamionował bystrość, ale zarazem serce pełne dobroci i usłużności, z czupryną rozwianą, jak strzecha, lecz podłysiałą nad czołem, a zarazem z wielką giętkością kibici. Wyglądał on na dworskiego kozaka, wywędzonego na wietrze, słyszającego, jak trawa rośnie i zgadującego naprzód myśli swojego pana: miał na sobie kurtkę kozacką z szaraczkowego sukna, takżej hajdawery i buty podróżne, a przepasany był trzosem uio-

Wtu OJcowlo.

ono wyładowanym, który się dobrze opierał na jego bio drach szpiczastych. Pochodził on może z rodziny kozackiej, ale był; więcej, niżeli z kozakiem, bo rządził wszystkimi dobrami pułkownika, pułkownikowej i jej pasierba, poroz rzucanych po Pińszczyźnie i po Wołyniu i był okiem w głowie u pani Wisłockiej. Na zapytanie pułkownika odpowiedział z usłużnym uśmiechem:

— Jafnie pan będzie kontent ze swojego gościa.

Tymczasem, zsiadłszy z drugiego konia, zbliżył się do pułkownika mężczyzna bardzo pięknej powierzchowności. Był to młodzieniec słusznego wzrostu, smukły i jeszcze szczupły, bo zaledwie dwudziesty rok skończył, ale kształtnej budowy, twarzy pięknej o cerze zdrowej, chociaż cokolwiek sma<sup>ł</sup>awej, wyrazistych oczu, wesołych, chociaż trochę melancholijnych, z bogatą, ciemną czupryną i młodzieńczym wąsikiem. Miał on na sobie czarną czamare, zapiętą po szyję i buty węgierskie, a postać wyniosłą i jakoby wojskową, ale na pierwszy rzut oka widać było w nim młodzieńca, należącego do wyższych sfer towarzyskich, farm naturalnych, ale wykwintnych, i mimo odpowiedniej swojemu wiekowi skromności, wielkiej swobody w ruchach. Tak stanął przed pułkownikiem i rzekł z poufałym uśmiechem:

— Ciekawy jestem, ozy też pułkownik mnie pozna?

Pan Tomasz przez małą chwilę był zakłopotany, ale niebawem się ocknął, jak gdyby ze snu i zawołał:

— Jak to ? Borch i Michaś ? c\*o to być może i — i objął go zaraz w swoje raniona, całując go w głiwę i ściskając za ręce. Młodzieniec zaś pocałował go w ramię i patrząc mu w twarz, pytał wesoło: czy od lat pięciu tak bardzo się odmienił? i ozy Wisłocki mógł się kiedy spo dziewać, że go obaczy w tych górach?

— Ale jakże chcesz ? — zawołał na to pułkownik — to chyba mnie masz za jakiego znachota? Ostatnim razem widziałem cię w Petersburgu wyrostkiem, w mundurku szkoły wojskowej; już cię się domyślałem, żeś musiał wyrósć,

— 19 —

słyszałem nawet, żeś wstąpił do gwardji... ale tak nagle i tutaj w górach...

— Ja z początkiem przeszłego) roku wstąpiłem rzeczywiście do kawalergardów — rzekł na to Borch z uśmiechem — bom musiał. Ale niebawem zachorowałem i otrzymałem urlop trzechletni, a teraz lada dzień się spodziewam dymisji. Wszystkie papiery już od sześciu miesięcy są w Petersburgu.

— Jak to? więc nie chcesz służyć? — zapytał pułkownik.

Na to Borch spojrział prawie badawczem okiem na niego i rzekł:

— Mój ojciec ma tylko jeszcze jedno pragnienie... żebym się uwolnił od służby.

— A cóż tam ojciec, mój serdeczny przyjaciel?

Na to Borch spuścił oczy i rzekł półgłosem:

— Mój ojciec bardzo jest nieszczęśliwy...

Więc pułkownik zamyślił się smutno, a jakkolwiek Czubatego i Netreby już nie było na ganku, wziął Boroaha pod ramię i odprowadził go pomiędzy klomby, mówiąc ze współczuciem:

— Pogadamy o tem spokojnie...

Potem zaś tak mówił dalej:

— Ale powiedz-że mi, bo wiem, że nas kochasz i byłbyś gotów odszukać nas, choćby w Paryżu, wiem także, że mogłeś zapragnąć odwiedzić moją żonę, a twoją ciotkę, ale jakoś mi się tak zdaje, że musiałeś mieć jeszcze inne powody...

-T Chciałbym chętnie powiedzieć — rzekł na to Borch grzecznie — że przyjechałem tylko w odwiedziny, ale kłam- stwo-by się wydało. Pułkownik wieBz, że mamy tutaj w są-

siedztwie jakieś dobra po Urbańskich i Butlerach, do których, skutkiem układow, moja babka Ossolińska jeszcze coś przyłączyła z dóbr Rymanowskich...

— Co Łoś wam administruje? — zawołał nato pułkownik, uderzając się ręką w czoło — całkiem o tem zapomniałem.

— Dobra te podobno niewielkiej wartości — prowadził Borch dalej — jest tam tylko jeden znaczniejszy folwark, w którym żyto się rodzi, r>szta same góry, pastwiska i lasy. Ale zawsze to wielkie obszary, moje choć kiedyś będą coś warte. Otóż mój ojciec, zważywszy obecne okoliczności, przeniósł je na mnie i wyprawił mnie, abym je objął w posiadanie. Zabawiłem tedy dni kilka we Lwowie, aby załatwić sprawy tabularne i jadę stamtąd małymi etapami, dziennie po cztery mile, bo ciągnę za sobą cały tabor ze sprzętami i końmi. Ojciec dodał mi Gułę, aby mi gospo darstwo urządził, a nas obydwóch oddał pod komendę Nettleby, który właśnie się tutaj wybierał i dopędził mnie we Lwowie. Ojciec mi nakazał, abym się pułkownika radził we wszystkim...

— Ale to się samo przez się rozumie — zawołał, biorąc go za rękę Wisłocki — jestem całkiem na twoje rozkazy...

— Bardzo pułkownikowi dziękuję — odpowiedział Borch — tylko nie wiem, czy nie będę miał jakich trudności z Łosiem..

— Ais do czego? — zawołał Wisłocki — ludzie tam różnie o nim gadają, bo czasem zanadto jest rachunkowy, a przytem ma niedobry język, ale ja ci ręczę za niego.

Jednak pułkownik mówił to z roztargnieniem, widać było, że myślał o czem innym, jakoż pociągnął Borchą jeszcze dalej za sobą mówiąc:

— Tedy twój ojciec, zważywszy obecne okoliczności...

I od tych słów bardzo ożywiona i dosyć długa się między nimi wywiązała rozmowa, ale nie można było wszystkiego cośłyszeć, bo często mówili półgłosem, a chociaż pułkownik czasem głośniej przemówił, to wietrzyk, zrywający się z obniżającym się słońcem, odnosił jego słowa. Ra\* tylko można było dosłyszeć, jak mówił z naciskiem:

— Ja już od sądu sejmowego jestem na to przygotowany, że prędzej później musimy się wziąć z Moskwą za bary. Pal go kat ! ja swoje zrobię — i za to ci ręczę, że nie ostatni stanę na placu... Mam też i ja ich na pieńku i z gustem się z nimi wygrzmocę. Ale zastanawiając się nad tem rozumnie, pytam się, na co nam tej awantury ? Bo z czem to się nam na taką ogromną potęgę porywać? Mamy co najwięcej czterdzieści tysięcy wyćwiczonego żołnierza; przypuśćmy, że się to podwoi, dajmy nawet potroi, to jużby tu trzeba jakiegoś takiego szczęścia, jakiego jeszcze nikt nie miał na świecie, abyśmy tem zwyciężyli mocarstwo rosyjskie. Więc na czem-że się to może skończyć taka wojna nierówna?... Wy powiadacie, że źle jest- ja temu nie przeczę; ale ja wam powiadam, że może być gorzej...

Tu Borch zabrał głos i bardzo długo coś pułkownikowi wywodził. Zapalił się i mówił jakby natchniony, tak że pułkownik, chociaż człek trzeźwy i doświadczony, słuchał go z wielką uwagą, a nawet bardzo często malował się wyraz ukontentowania na jego twarzy. Zapewne młodzieniec, mający niejakie wiadomości o sztuce wojskowej, wystawiał mu, jak nieliczną jest jeszcze w tej chwili armja rosyjska, którą przygotowują do boju przeciwko Francji; na jak rozległych jest rozłotona przestrzeniach i jak łatwo byłoby armji polskiej, chociaż tak małej, gwałtownymi marszami opanować Litwę i kraje zabrane, nim się jeszcze Rosja spostrzeże, że rewolucja wybuchła. A potem rzekł ze stanowczością, prawie zadziwiającą na jego wiek młody:

— Prócz tego nie ma innego wyjścia, jesteśmy w kleszczach. Rosja przygotowuje się do wojny przeciwko Francji i prędzej czy później, lecz pewnie na nią uderzy. Armja polska zostanie wysuniętą na awangardę — a wtedy, cokolwiek zrobi, czy pójdzie z Rosją, czy przejdzie tamibour ballant do Francuzów, do Królestwa już pewnie nie wróci, które tymczasem zaleją Moskale.

Na te słowa Wisłocki oniemiał i wyglądał jak człowiek, który się zachwiał w swym przekonaniu; jak żo dopiero po chwili zapytał:

— (Cóż ojciec?

— To są właśnie zdania mojego ojca, — odpowiedział Borch, jakoby z lekkim tryumfem.

Wtedy pułkownik wziął znowu Borchą pod ramię i pytał go, jak rzeczy stoją w Warszawie.

Borch opowiadał ma Bzeroko i długo i skończył temi słowami:

Rzecz jest postanowiona. Co, jak i kiedy, to bę dzie od wpływu pojedynczych osób zależęć. Tymczasem jeszcze są pewne trudności co do samej Warszawy, bo starzy generałowie...

Ta znowu Borch wziął pułkownika pod ramię i usiłował widocznie go w jakiejś kwestji szczegółowej przekonać. Wówczas pułkownik dziwnie wyglądał, raz bowiem głowę podnosił z uśmiechem zadowolenia, to znowu brwi marszczył i jakoby się srożył. A kiedy Borch powiedział te słowa:

— Więc któż? Machnicki, Zaliwski...

Tu pułkownik się wzbarzył i zawołał, choć niby groźnie, ale z uśmiechem na twarzy:

— Ale do czegożby to było podobne ? Przecież są starsi odemnie. Wszyscy starsi odemnie...

Po chwili milczenia zaś dodał:

— A dlaczegóż twój ojciec ? Przecież mnie wodę wozić za nim co do wiadomości wojskowych.

Na to Borch oczy spuścił ku ziemi i rzekł:

— Jest to nieszczęście. Przysięga...

Wisłocki nad tem chwilę się zastanowił i odpowiedział:

— Mój drogi... to trudno! Twój ojciec ma rację. Ojczyźnie można wszystko poświęcić, prócz — honoru.

Po chwili zaś tak mówił:

— W tem wszyBtkiem jedna rzecz przecież mnie dziwi. To mnin tam przecież jeszcze znają w Warszawie, czego się wcale nie spodziewałem! Ale mnie źle znają. Ja rewolucjonistą nie jestem... — Ta Borch zaczął znowu coś mówić, ale Wisłocki mu przerwał, mówiąc seijo:

— Jeśli mnie kochasz, daj pokój. N'en parlons plus- parole d'honneur, bo mnie obrazisz.

Poczem wziął Borchą pod ramię i poprowadził go wolnym krokiem ku gankowi, mówiąc po drodze:

— Ale jakieś pyszne konie przyprowadziłeś ze sobą; jeżeli pozwolisz, to je obejrzymy.

Tymczasem, jeszcze w owej chwili, kiedy Wisłocki odprowadził Borchą od ganku na osobną rozmowę, Czubyty i Netreba poskoczyli ku sobie i zaczęli się ścisnąć i całować, a co Bię za ręce ścisnęli i w oczy sobie spojrzeli, to się znowu pocałowali, a Netreba przemawiał:

— Cy w doma na porozi, cy w daleki) dorozii...

A Czubyty kończył:

— Zawsze sobi dumają, szo tia wirne kochaju...

Poczem się wzajemnie wypytywali o żony, o dzieci, o gospodarstwo, a wzięwszy się popod ramiona, szli ku owemu taborowi, aż Netreba rzekł: Chodźmy do Guły.

A Czubyty w tej chwili palnął go płaską ręką po ramieniu i zawołał:

— Ja kto ? to Guła tu jest, a ty mi nic nie powiadasz ?

Tak przystąpili do owego powozu uprężonego w trzy konie, któryśmy widzieli na czele taboru, a przy którym stał Guła ze swoim wyrostkiem.

Guła był to człowiek niskiego wzrostu, silnej i krępej budowy, na niskich nogach, lecz chociaż jeszcze młody, 4>0 miał zaledwie trzydzieści lat wieku, był już cokolwiek otyły. Twarz miał jakoby obrzękłą, ciemną, krótko strzyżoną brodę, wąsy obwisłe, nos mięsisty i długi a oczy małeńkie, piwnego koloru, na pozór spokojne i skromne, ale błyszczące tym blaskiem. w którym zdaje nam się widzieć



lekceważenie ludzi i świata i nieustającą ironią. Miał on na sobie kubrak krótki granatowy, na nim pas skórzany, szerokie hajdawery w butach, a buty juchtowe. Tak prawie 1 na kacapa wyglądał; ale Czubyty znał dobrze jego hiatorjęT i nazywał go durniem LumaAskim.

Jakoż Guła był rzeczywiście rodem z okolic Humania, z majątku, który Borchowie odziedziczyli po Potockich; był synem bogatego chłopca, który się wykupił z poddaństwa, a syna wykupił od służby wojskowej, bo go używały do handlu rybami i mięsem solonetu, który na wielkie rozmiary prowadził. Ale Guła był wielki hulaka, a przytem czuł się synem bogacza; wracając za młodu od Kaspij- sk<ego morza z to varem, zatrzymał się był w Kijowie, pobił Bie z ofieerami w winiarni i został gwałtem wzięty w soł daty. Wtedy pomimo sowitych ofiar pieniężnych, jakie jego ojciec chciał ponieść, już niepodobna go było uwolnić; jednak pan jego, pułkownik Borch, ujął się za nim i potrafił go przenieść do pułku olwiopolskich ułanów, którym wtedy dowodził, a tak Gułą przynajmniej to zyskał, że nie poszedł na Kaukaz, albo do Orenburga. Mając protekcję swojego pana, a prócz tego pieniądze, byłby miał w każdym razie życie dość znośne; ale Guła zaraz po wstąpieniu! do pułku, okazał się jeźdźcem nadzwyczajnej odwagi i nie porównanej zręczności i tem zwrócił szczególną na siebie.<sup>1</sup> uwagę. Jakoż istotnie był on jakoby czarownikiem na konie, dosiadał najdzikszych tabunów bez żadnej trudności, tresował je w dni kilkanaście daleko lepiej niżeli inni,, w przeciągu całego roku; konie do niego lgnęły jak dzieci, a co najważniejsza, nie wiedzieć skąd, znał szkołę wyższą i był w rajtszuli mistrzem nad mistrze. Żołnierze rozumieli o nim, iż znał język koński i umiał z końmi rozmawiać.' Poznawszy te jego talenta, pułkownik wziął go naprzód do swojej stajni, potem przeniósł do swoich dóbr i oddał mu swoje stado — a dzisiaj Guła u swojego pana był wszy- stkiem: powiernikiem jego najskrytszych myśli, które szczególniejszym swym zmysłem naprzód zgadywał, pośrednikiem i ambasadorem w najtrudniejszych poselstwach.

bardzo trafny doradcą w najzawikłańszych sprawach i gubernatorem wszystkich dóbr jego. Guła miał swoje wady: dno dzbana miało dla niego niezwykłą pokusę, zapalonym był wielbicielem kraśnego lica, a kiedy Bie bójka zdarzyła, rzadko się umiał powściągnąć; ale wszystkie te wady przeważał swojemi cnotami — a stary hrabia powiadał o nim, że jeżeli jest taki człowiek na świecie, któremu można ufać we wszystkim, to jest nim Guła.

Czubyty znał go od tego czasu, kiedy służył w gwardji litewskiej i sam był w łaskach u starego hrabiego i serdecznie go kochał. Toż i teraz przyskoczył do niego i ścisnął go kilka razy za rękę, wołając głośno po rusku:

— Ej Guła, Guła! ty do nas przyjechał, a czemuż ty się nam nie pokazał?

Guła go także ścisnął za rękę, ale rzekł skromnie:

— Chciałby się był pokłonić panu kapitanowi, ale moja służba przy koniach.

— A cóż ty mnie kapitanem nazywasz! — zawołał Czubyty — większy ty pan, niżeli my kapitanowie — w odstawce. My bracia Rusini, a u nas nie ma ani panów, ani kapitanów. My zawsze tylko mężczyźni! A ty zdrów — a dureń humanBki; jak zawsze. No 1 a co tam dziewczuchy ?

Poczem patrząc mu w oczy, dodał wesoło według ruskiej piosneczki:

— Ej, kozaczki czernowusy, czom u tebe żupan kusy?

A Netreba dodał ze śmiechem:

— Mene diwki podpoily, żupan meni podkroily.

A więc Guła także był wesół i skończył, śmiejąc się i zacierając ręce:

— A wse tiło, jak deń biłe, kuda hlaniesz, wsiuda myło...

Tak ciesząc się z sobą. Czubyty położył r<sup>ę</sup> na ramieniu Guły i rzekł:

— Chodź-ie, pokaż-no nam twoje konie, bo ty wiesz, jak to mówił, kiedy mnie mój pułkownik dał do piechoty: człowiek, to pół człowieka, a cały człowiek to dopiero na koniu.

Wut OJoorie.

Orano ta Gale w jego najmilsze nuty, a więc był kon- tent i pokazał im naprzód swoją trójkę zaprzężną. Powóz nie należał wcale do osobliwości: była-to bowiem tylko starannie i silnie zbudowana kibitka, z kozłem wygodnym i szerokim, bo Goła sam zawsze powoził, z siedzeniem dla pana obszernem, bardzo pakowna i spuszczana z woskowanego płótna budą nakryta; ale konie były bardzo okazałe. W kabłąku siedł ogier ogromny, z szeroką pierśią i krzyżem, ciemnobałany z konopiatym ogonem i grzywą i z ry- biemi oczyma, koń, jak słoń, nie bardzo piękny, ale siły niepospolitej, kości potężnej i mięśni już wyrobionych. Po jego bokach zaś szły dwa kare ogiery, cokolwiek mniejsze i o wiele piękniejsze, z długimi bardzo giętkimi karkami, jeszcze zanadto okrągłe, jak na konie służbowe, ale także potężnej budowy. Czuby patrzył na te konie i ml a" skał ustami, a co chwila spoglądał na Gułę. Nareszcie rzekł:

—Bodaj tobi trzysta.. jakie ty konie tam chowasz! U nas takich nie znajdzie i u księcia Sanguszki.

Po takim komplemente Gała arósł, jakby na drożdżach i odpowiedział:

—Obydwa wrone to jeszcze dzieci, półpięta roku, wziął ja ich z sobą, aby ich trochę obtargać w podróży ale ten bułan, chociaż także dopiero półszosta roku, to niedźwiedź prawdziwy, a tak tobie powiadam, bracie Czuby, że kiedyby te dwa wrone padły na drodze, to on sam pój-; dzie z kibitką, jak wiatr, choćby na Sybir.

Wtedy Czuby jeszcze raz ma się przypatrzył i rzekł.

—Rybie ma oczy, jak lewiatan, beitja zła pewnie, ale że coś wytrzyma....

—Ale gdzie tam! — zawołał Guła -4- to koń, jak dziecko. Hej! Kalik! pokażno panom, czy to zła bestja.

Na to wysanął się z po za kibitki wyrostek Guły, który chodził około koni, a zawsze obok niego siadywał na krześle, chłopak ośmastoletni, z rudą ciapryną, z długim nosem szpiczastym i także prawie rybiemi oczyma, ale z wyrazem niezwykłej bystrości na twarzy, stanął przed końmi, a konie łby nachyliły ku niemu i zaczęły się łaścić do niego.

Czuby z nich oka nie spuścił, ale w tem nadszedł Wisłocki z Borchem, ażeby także konie obejrzyć. Oba- czywszy ich, Gała wyprostował się po żołnierska, ale pułkownik przemówił do niego ze zwykłą sobie dobrocią.

— Witaj-że mi, mój Guła. Ty jeszcze zawsze wojskowy, a my tu już wszyscy cywilni.

— Jaśnie panie — rzekł Guła po polsku, kłaniając mu się do kolan — za łaską mojego grafa już i ja poszedł nazad w kacsy.

— A jakto ? — zawołał pułkownik nie pomału zdziwiony — toś się uwolnił ? Jakim-że się to stało sposobem ?

- Ot, jakim! — rzekł na to Borch — czegoż-to Guła nie dokaze ? Przeniósł się do piechoty, został oficerem i wziął dymisję.

Na to pułkownik rozśmiał się głośno i zawołał:

— Jakto? Guła oficerem? niechże was Pan Bóg ma w swojej opiece, czego wy tam nie dokazujecie w tej Rosji.

Na tę uwagę Guła się kwaśno uśmiechnął, ale pułkownik, który był wzorem delikatności uczucia, zaraz się spostrzegł, wyciągnął dłoń ku niemu i dodał serdecznie:

— Dajże mi rękę, mój oficerze, już my teraz koledzy.

A tak wszystko się naprawiło. Poczem pułkownik oglądał konie zaprzężne i bardzo je chwalił, Guła mu opowiadał ich pochodzenie — a było tam ośmnaście klaczy, z których dwanaście w : aprzęgu, a sześć wyborowych prowadzonych luzem. Dla dokładniejszego obejrzenia tych ostatnich powrócili wszyscy na ganek, a Guła każdą z nich sam przeprowadzał przed gankiem. Borch stał obok pułkownika i słuchał jego

spozrzezeń z uwagą. Kiedy wtem we drzwiach otwartych, prowadzących z mieszkania na ganek, pojawiła się nowa figura.

Był to młody człowiek bardzo niskiego wzrostu, lesz zbudowany nad wszelką miarę barczysto, z piersią nie-

miernie wypukłą i mocno podniesionymi ramionami — a silny ten tułów spoczywał na wiotkich nogach, więc cała jego postać sprawiała przedewszystkiem wrażenie bardzo. [ nieregularnej budowy. Głowa jego dość duża nakryta brzośką, jasnoniebieską, w tył zaczesaną czupryną, która spływała w kędziory na plecy, była osadzona na krótkiej szyi i znamionowała nie tylko energię, ale nawet dumy cokolwiek; natomiast zaś jego twarz blada, usta mięsiste i duże niebieskie oczy, jakby mgłą przyćmione, kazały się domyślać, że jest to człowiek wrażliwy i skłonny do uczuć miłych, a może nawet głębokich. Miał on na sobie krótką katanę czerwoną, nazywaną we Francji la carmagnole, białą kamizelkę z szerokimi kłapami wyłożonemi na piersi, w prawej ręce książkę i czapkę czerwoną frygijską, a w lewej fajkę dymiącą z ogromnym, perłami i brylantami wysadzonym bursztynem. Tak dosyć dziwnie wyglądał — lecz całość jego, chociaż była widocznie zlewkiem różnorodnych żywiołów i przyborów, któremu brakowało harmonji, nie była jednak niesympatyczną, zdawało się bowiem widzieć przed sobą jeszcze na pół dzieciennego młodzieńca, i który wszystkim się bawi i do którego można się przyzwyczaić. Młodzieńcem tym był książę Abumelech, pasierb pułkownikowej.

Wskoczywszy na ganek zapewne w celu, aby pułkownikowi jakiś wieść oddeklamować, który dopiero co] w książce wyczytał, a zastawszy taki tłum ludzi i koni, o których przybyciu wcale nie wiedział, stanął zdziwiony i swoje błękitne oczy szeroko otworzył. Ale wtem przy szedł do niego Netreba i ścisnął go za kolana, on zaś tymczasem poznał Borchę i rzucił się z krzykiem ku memu.:

— Michaś! Michaś! a co ty tu robisz?

Borchę z równą radością porwał go w swoje ramiona i jak brata wyściskał, i zaraz obydwaj zarzucili się jedno drugiemu czelnie równymi zapytaniami, na które nie mogli odpowiedzieć, bo je sobie z ust wrywali. I nic w tem dziwnego, byli oni bowiem sobie blisko pokrewni, a oprócz tego do- , piero przed dwoma laty siedzieli na jednej ławie w petersburskiej szkole wojskowej. I byłoby zapewne taką konwersację bez związku prowadzili bardzo długo, gdyby nie to, że pułkownik, widząc ich oddalających się zawołał czegoś dosłyszał, albo coś sobie przypomniał, go «p» kn Milka do siebie (tak przez skrót nazywali pułkownikówstwo swojego pasierba.) wziął go za rękę i szepnął mu do ucha:

— Mój Miłku, zrób mi tę łaskę i zaproś Czubatę, Netrebę i Gułę do siebie na wieczerę, bo Michaś ma bardzo delikatne sprawy majątkowe z nami do omówienia, a nie mógłby o nich mówić przy Czubatym i Netrebie. A tylko im winno, nie żałuj, aby byli kontenci.

— Dobrze wujaszku — zawołał Milek, jak się zdaje bardzo z tego zadowolony — jeszcze im i Pliszkę zaproszę, tak będzie razem trzech gubernatorów, co nie często się zdarza.

— Jakich gubernatorów? — zapytał pułkownik zdziwiony.

— No, Netreba, Guła i Pliszka, przecież wszyscy trzej są gubernatorami w majątkach swych panów.

Pułkownik się na to roześmiał i rzekł prędko:

— No, to jak tam chesz, —

i kiedy Milek zabrał się z Czubatym i Netreba, aby Gułę odszukać, on wziął Borchę pod ramię i zaraz mu powiedział półgłosem:

— Proszę cię, mój Michasiu, nie wspominaj nic Miłkowi o tych-tam nowinach z Warszawy, boby mu się zaraz zapaliło i w sercu i w głowie, i nie mielibyśmy już wcale spokoju.

Kiedy to mówił pułkownik, właśnie przed za- dniami zabudowaniami zamku pokazała się sześciokonna karetka pułkownikowej i wjechała pomału w bramę zamkową, bo właściwy zajazd dla domowników był wewnątrz, a przed ganek północny zajeżdżali tylko goście postronni. Już też i słońce zaszło i zaczynało się zmierzchać.

— To moja żona wraca z nieszpórów — rzekł Wi słocki — i przywozi zapewne naszego misjonarza ze sobą.

Ale to nic nie szkodzi, jest to bowiem spowiednik nas wszystkich i co mn powiem, to zawsze jak na spowiedzi. Milek zaprosił twoich i moich ładzi do siebie, a tak będziemy sami. Chodźże teraz ze mną na Posadę, pokaię ci twój apartament na pierwszym piętrze, najlepszy, jaki mamy w tem naszym obejścia, może sobie każesz swoje rzeczy poznosić i chwilkę wypoczniesz — a jak moja żona się ułatwi z Netrebą, bo jej jakieś poprzywoził sprawunki, to tam przyjdę po ciebie.

Tymczasem, kiedy pułkownik prowadził Borchę do jego pokojów gościnnych, a Netreba lokował Gułę z jego powozami z końmi po stajniach i wozowniach, (szczęściem, że się znalazło miejsce dla wszystkich,) Milek szedł ramię w ramię z Czubatym i prowadził go także na Posadę, gdzie zajmował dla siebie całe przyziemie. Ale Czubyaty zdawał się jakoby chmurny cokolwiek, jakoż rzekł nawiasem do Milka:

— Więc my dzisiaj przy stole marszarłowskim..

A Milek na to w głos się roześmiał:

— Powiedz prawdę Czubyaty, ty taki zawsze arystokrata...

Wszakże Czubyaty wrzucił na to ramionami:

— Ot, także koncept ci przyszedł. Ty wszędzie wietrzysz arystokrację. Przecież wiesz, że kiedyby mi przyszło cały rok siedzieć w turmie z Netrebą i Gułą, tobym się jeszcze nie znudził. Ale powiedziałem to tak Bobie...

Z tem weszli do pomieszkania Milka. Składało się ono z sześciu dużych pokoi, umeblowanych obyczajem wschodnim, zaścielonych miękkimi dywanami, zastawionych niskimi sofami, obwieszonych makatami, zarzuconych oijentalnemi sztukami broni, tureckimi fajkami i rozmai- temi książkami i dziennikami. Wszystkie te sprzęty, odziedziczone po ojcu, sprowadził Milek z dób? swoich z Wo> lyna. Pierwszy pokój, do którego się wchodziło z wielkiej sieni od wschodów, była to sala jadalna, ozdobiona tarczami, kopjami i rynsztunkami, częstokroć dziwnie pięknej roboty. Przy prawej ści> nie od wejścia był komin ogromny, na którym paliły się z trzaskiem wielkie kłody jodłowe, przed kominem widać było rozścieloną ogromną skórę niedźwiedzi, a na niej leżało jakieś stworzenie, zwinięte w kłębek i chrapiące na wszystkie tony. Milek zbliżył się do niego, trącił go lekko nogą w chodaki i zawołał:

— Hej, Gacek 1 to znowu spisz tutaj jak kot na przypiecka. Ten marga jeszcze się kiedyś tu spali. Gacek, wstawaj-że do stu tysięcy.

Na to śpiący chłopak zrazu tylko otworzył oczy, potem wyciągnął ręce, potem się wzięął za kolana, a nareszcie wstał na nogi pomału i zaczął oczy przecierać i ziewać. Dziwno było go widzieć w tych komnatach, bo było to istne straszidło. Głowa jak u puhacza, na niej czapryna popielata, jak stara strzecha, twarz cery wyżółkłej i bab- kowatej, tak, że i wieku jego trudno było rozpoznać, usta zsiniałe szerokie, zęby wszystkie, ale ogromne, ręce długie, nogi koszlawe, na nim kożuszek bez rękawów, płócienne ohołosznie, tylko pas szeroki i dobrze zasnurowany: takie to było chłopczysko. Wyglądał wcale jak nietoperz i dla tego nazwano go Gackiem. Tylko oczy miał piękne, litościwe, myślące i niemi sobie ludzi zyskiwał. Było mu też to bardzo potrzebne, bo był nieszczęśliwy...

Chodziły o nim wprawdzie wieści, że był synem zamożnego gospodarza z jednej z wsi górskich, że mu się grunt cały należał, ale go szwagrowie wypędzili po śmierci matki i nic mu nie dali; wszakże z gospodarzy porządnych nikt temu nie wierzył: starszyzna powiedziała, że był dzieckiem porzuconem i nie wiedzieć czyjem i nikt nie śmiał zaprzeczyć starszyźnie. Gacek od piątego roku swojego życia zaczął chodzić po żebrach, cierpiąc głód, nędzę, sypiając latem pod płótem, a zimą pod stodołami; bity, sztur- kany, pędzony od wioski do wioski, stracił pamięć i rozum sam już nie wiedział, skąd się wziął na tym świecie. Przed dwoma laty wyrósłszy jaż na młodzieńca, chociaż nie miał ni sił ni wzrostu wprosił się do

parobków u dworu, aby ich w pracy wyręczać. Przyjęli go, ale i tutaj mu bardzo ile było. Rzadko mu się ciepła strawa dostała, nie miał



ani kąta, ani pościeli, musiał drwa rąbać i w piecach palić, toż i przywykł sypiać przy piecach. Dopiero kiedy Milek do Wisłoka przyjechał, ujął się za nim, przywiązał go do swojej posady, kazał mu dawać jeść z kuchni, dał mu nawet pieniędzy na bieliznę i suknie i pozwolił mu sypiać w małej izdebce, gdzie był skład drzewa i skąd się w piecach paliło...

Toż Gacek od tego czasu odżywił się znacznie, zaczął mieć rozum, a nawet, czując mocne plecy za zębą, podrwiwał czasem z parobków, a nieraz i gumienemu i pisarzowi taką prawdę wypalił, że byliby mu chętnie odpowiedzieli kułakiem, gdyby nie wiezieli, że ma protekoję panicza za sobą. Gacek też umiał pokornie, ostrożnie i zręcznie z tego korzystać, już i w zamku go znano, panny służebne Bie nim często posługiwały i posyłały mu kawałek kołacza, u Pliszki w wielkich był łaskach i często z nim na stronie rozmawiał, a nawet i sam pułkownik, ile razy go spostrzegł, zawsze mu dał pół sorokowca. Tak Gacek wkrótce, chociaż był biedny i śmieszny, przyszedł do pewnego znaczenia — a nawet mówiono o nim, że ma pieniądze i na lichwę pożyczca, - ale była to rzecz bardzo jeszcze wątpliwa..

- A on jeszcze wciąż spi, — zawołał Milek, śmiejąc się głośno i patrząc na Czubatego.

— Tyle jego szczęścia, co przęspi, — rzekł na to; Czubaty z politowaniem.

— No, idź-że, — krzyknął znów Milek — zawołaj' mi tu kucharza i odszukaj kozaka, który pewnie z ludźmi' Netreby się gdzieś zawifaruszył. A ruszaj skokiem!

— Zaraz, Jaśnie Panie! — odpowiedział Gacek, który już się całkiem rozbudził, wyskoczył przez drzwi otwarte" i zniknął w dziedzińcu. —

n.

O maleńkie pół mili od zamku, w okolicy jeszcze zawsze górzystej, ale w ziemi urodzajniejszej, klinem wbita w dobra wisłockie, leżała wieś duża i piękna, którą Wisłoccy jeszcze w początku XVII. wieku nadali byli 00. Jezuitom. Był tu niegdyś mały zameczek, zbudowany na skale, z przepyszny widokiem na całą wieś i bardzo malownicza jej otoczeni-. Jezuitci, objawszy tę posiadłość, przymu- rowali zaraz ao zameczku dużą i piękną kaplicę z wieżą, zameczek zaś śjun obrócili ua klasztor, którego górne pięterko służyło zakonnikom za mieszkanie, dolne zaś izby za przytułek dla gości, a przedewszystkiem dla rekolektantów, któryob chętnie przyjmowali u siebie.

Kaplica, która była zmurowana z ciosowego kamienia i miała posadzkę bardzo misternie ułożoną z karpackich marmurów, mieściła w swoich piwnicach groby Wisłockich i innych potomków okolicznego rycerstwa, a ściany jej były prawie dokoła okryte nagrobkami, przedstawiające^ kamienne postacie brodatych mężów w pancerzach, klasztor ten, zwany powszechnie, „jezuicką kaplicą", był po wszystkie czasy w wielkiem poszanowaniu u okolicznych mieszkańców, albowiem rządzący nim zakonnicy nie nawracali nigdy Unitów na obrządek łaćński, czem nie raz i świeccy proboszczowie zanadto gorliwie się zajmowali, ale przeciwnie opiekowali się z równą miłością ludem nukim, jak polskim, a nawet i samymi parochami unickimi, którzy

WMt Ojoowl\*.

o

aż po czasy niniejsze częstokroć bardzo niedostateczne mieli kształcenie. Wielu z nich chodziło w sierakach i łapciach, a tylko do inszy ubierali się w rewerendę, niektórzy zaś nawet ledwie cokolwiek czytać umieli i z wielką trudnością podpisywali s.woje nazwisko. Tych biednych księży owi zakonnicy wyręczali w służbie duchownej około ludu od prawując misje i nabożeństwa po cerkwiach, a nawet często im samym dopomagali, dzieląc się z nimi chlebem po wszednim, lub wyrabiając im zapomogi u ich kolatorów.■'. Lecz nigdy tu wMu zakonników nie było trzech a naj więcej czterech, a ich przełożony nosił tytuł definitora.

Dawnemi laty bywał zawsze jeden pomiędzy nimi który z okolicznem rycerstwem chodził na wojny: zdaje się, że to było jednym z warunków donacji Wisłockich, lecz ta tradycja aż do ostatnich czasów się utrzymała, a podczas konfederacji Barskiej klasztor ten był jakoby stanicą konfederatów. Ze zniesieniem jezuickiego zakonu, które przypadło właśnie w czas pierwszego rozbioru, Jezuiści zniknęli, ale przeto ani klasztor ich, ani i .h wieś, nie zostały zabrane: w akcie donacji był bez wątpienia przewidziany i taki wypadek. Albowiem wkrótce po zniknięciu Jezuitów zjawił się tutaj ksiądz zakonu Misjonarzy, których to we Francji nazywano Lazarystami, i zasiadł w klasztorze ; kiedy ten umarł, nastąpił drugi, po nim trzeci, a teraz już czwarty po nich dziedziczył. Jakkolwiek Jezuiści natenczas już znów powstali na nogi, terażniejszy definitor był miany także za Misjonarza. Nie nosił on wprawdzie dawnego Misjonarzy ubrania, których suknia czarna i długa odznaczała się kołnierzem, białem płótnem obszytym, a których czapka sukienna była obłożona opuszką z trzech końskich ogonów; lecz chodził w czarnym długim habicie zupełnie do jezuickich podobnym, tylko gdy jechał z odwi- dzinami w domy zamożne, wkładał na siebie misjonarski kanoniczy mantolet. Nikt przeto właściwie nie wiedział, jakiego on był zakonu; wiedzieli zapewne Wisłoccy, ale nigdy o tem nie mówili; okoliczna szlachta miała go za Jezuitę, — ale było to obojętnem wobec Boga i ludzi, bo nie no zakonie należy sędzić kapłana, tylko po jego uczynkach.

Dzisiejszy definitor nazywał się ksiądz Anioł. Był to człowiek, mający zaledwie trzydzieści kilka lat wieku, cokolwiek więcej niżeli miernego wzrostu, chudy, lecz silnej kościstej budowy, czarnego włosa o bladej twarzy z du- żemi czarnymi oczyma, pełnemi dziwnej słodyczy ale umie- jącemi także w razie potrzeby uderzyć blaskiem straszliwych piorunów. Był on jak na swój wiek bardzo uczony, wyćwiczony zarazem w naukach świeckich, odpowiadający każdemu tym językiem, jakim do niego przemówił. Z pułkownikowi) rozmawiał zawsze po francusko, a z Czubatym po włosku, a kiedy chciał pożartować, to mówił z nim po hiszpańsku. Czubaty mówił doskonale po włosku, bo się tego języka z młodu nauczył, po hiszpańsku także dość płynnie, tylko po francusku jakoś mu nie szło, ale się przecie rozmówił. Ks. Anioł był z rodu Polakiem, powiadano o nim, że miał krewnych w górach sądeckich, ale zdaje się, że bardzo młodo wyszedł z kraju i dopiero przed dwoma laty powrócił, bo jak tylko objął rządy klasztoru, zaczął się bardzo skwapliwie uczyć historii polskiej i jeszcze do dziś dnia zabierał z biblioteki pułkownika starych polskich pisarzy do siebie, robił z nich wypisy i często o nich z pułkownikiem rozmawiał.

Gdzie bywał, a kto to mógł wiedzieć! Widać jednak było po nim, że znał całą Europę zachodnią lepiej niż legionieści, a może nawet i w krajach zamorskich bywał na misjach, bo nikt lepiej od niego nie wiedział, jakie tam murzyny mieszkają. i jakie owoce się rodzą po tych ziemiach zapadłych. Ksiądz Anioł był jakby sumieniem całego domu Wisłockich, moralność sług jego miał szczególnie na pieczy, pułkownikowa miała go w uwielbieniu, a nawet sam pułkownik, który wprawdzie szanował religię, ale nie był bardzo nabożnym, częstokroć pragnął słyszeć jego zdanie o rzeczach ważniejszych. Pułkownik przede wszystkim dlatego go lubił, iż kapłan ten lubo jeszcze tak młody, był nadzwyczajnie poważny, spokojny, i cierpliwy i pohła-

zający we wszystkich sprawach codziennego znaczenia ale w wypadkach ważnych wybuchał demonicznym zapałem i szedł jak wichr, którego żadna siła ludzka powstrzymać nie zdoła. Podczas swego dwuletniego pobytu w klasztorze, już kilka razy się taką niezwykłą odznaczał energią, ratując ludzi w nieszczęściu; lud wiejski przypisywał mu moc robienia cudów — ale pułkownik tylko o nim powiadał, że gdyby nie był księdzem, to byłby doskonałym żołnierzem.

Teraz ksiądz Anioł Biedział w kącie ogromnego salonu, wyścielonego miękkim dywanem, na bardzo niskim fotelu przy bardzo niskim stoliku, na którym stała wielka lampa oliwna, a przy nim, oparta o jego kolana, stała malutka dziewczynka; ksiądz trzymał otwartą księgę przed sobą i pokazywał jej obrazki świętych, tłumacząc znaczenia. Było to śliczne dziewczątko, mające teraz półczwarta roku, z świeżą jak pączek twarzyczką, z dużymi ciemnego koloru oczyma i bogate mi jasno-blond kędziorami. Było to jak się zdaje dziecko bardzo ciekawe, bo chociaż mówiło bardzo powoli, ciągle się o coś wypytywało, a ksiądz mu odpowiadał z uśmiechem i ukontentowaniem.

Pułkownikowa stała przy drzwiach, a przed nią treba, odpowiadając z usłużnością poufałego dworaka na różne jej napytania.

Pułkownikowa była to kobieta, najwięcej trzydziestu lat wieku, ale prawie nad wiek swój poważna. Może być, że na pierwszy rzut oka przebijała się w niej nawet pewna surowość, lecz może być także, że pozór ten nadawały jej tylko cierpienia, jakie przeżyła w rwem życiu. Cóżkolwiek- bądź, wyniosła wzrostem, o bardzo pięknej twarzy, cokolwiek krótkiej, ale rysów dość regularnych, o dużych oczach brunatnego koloru i ciemnych włosach, gładko przyczesanych na skroniach, wyglądała tak imponująco, że jeżeli kiedy była księżną, to tytuł ten był jej pewnie do twarzy — a gdyby była została królową, to i temu stanowisku nie byłaby ujmy przyniosła swoją postacią. Takich kobiet było w Polsce wiele pod owe czasy, bo jeszcze nie wyginęła była tradycja, że każda polska szlachcianka może zostać królową.

— Odpoosnij-że sobie teraz, mój Netreba — rzekła pułkownikowa — a jutro mi pokażisz towary, które przy- wiózłeś z Brodów.

A wtem wszedł pułkownik z Borchem. Borch przebrał się był tymczasem i przedstawił się w granatowym fraku i białej chustce na Bzyi, a pułkownik włożył także na siebie strój salonowy, zachowywano tam bowiem etykietę, jak w mieście.

— Oto jest nasz młodzieniec! — zawołał pułkownik, całując żonę w rękę — Cóż? powiedz prawdę, czy byś go była poznała ?

Borch, uśmiechnięty i wesół także pocałował ją w rękę, a ona pocałowała go w czoło poczem przypatrzywszy mn się dokładniej — rzekła uprzejmie:

— Śliczeńś nam wyrósł... i prawdziwą sprawiłeś nam uiespodziankę. Nie uwierzysz, jak częBto myślałam o was, a zawsze w tem przekonaniu, że was nigdy już nie obaczę.

I zaraz zaczęła go wypytywać, czy jest jeszcze w służbie, czem się zajmuje i jak Bie jego ojcu powodzi. Tymczasem przybliżył się do nich ksiądz Anioł, którego mu pułkownik zaraz przedstawił, mówiąc wesoło:

— Jeżu li masz grzechy, to jest i lekarstwo.

Jednocześnie przybliżyła się i córeczka pułkownikowa, a trzymając się sukni matki, ciekawie patrzyła na gościa — a kiedy Borch jeszcze raz pułkownikową pocałował w rękę, zapewniając ją o swoim szacunku i przywiązaniu swojego ojca, dostrzegł także i tę dziecinę, porwał ją natychmiast tiał rękę i obsypał pocałunkami, mówiąc do matki:

— Ależ śliczna ta Lorcia, którą dotychczas znałem tylko z imienia.

Wszakże na to dziewczynka wyciągnęła rączkę do niego i powiedziała z powagą :

— Kiedy pan mamę w rękę całuje, to proszę i mnie w rękę pocałować.

Na to wszyscy się roześmiali, a pułkownik prawie wyrwał dziecinę z rąk Borchy, wziął ją w swoje ramiona i zaczął ją sam całować z wzruszeniem. Jednak wkrótce się opamiętał, bo sentymentalności nie lubił i rzekł:

— Tyle naszego szczęścia na tym świecie, trudnoż się niem nacieszyć do syta.

Pułkownikowa spojrzała z miłością na dziecko, a w tem dano znać, że herbata na stole, więc wszyscy przeszli do sali jadalnej.

Pułkownik miał knchnię i piwnicę, którym nie było równych na kilkanaście mil naokoło. Sam znał się na tem i skrzętnie pilnował, aby zawsze były jak największe za- I pasy kurnego drobia, wszelkiego rodzaju wędlin i marynat, | wszelkich bakalij, konfitur i suszonych owoców. Jego ka- j płony poszły nawet w przysłowie, toż mawiano powszechnie-: 'J rozpływa się w UBtach, jak kapłon wislocki. Równic sławne, były jego indyki, karmione włoskimi orzechami i ciełeta, tuczone żółtkami jaj. Trzymał kucharza, Francuza, który wytworzył szkołę; niejeden dom zamożny z sąsiedztwa; miał Bię za szożęś'iwego, jeżeli otrzymał kuchtę z Wisłoka. Nietrudno było naówczas w tych stronach mieć sławną pi-a wnicę, bo każdy szlachcic chował u siebie wina węgierskie' z dziada i pradziada; ale jego piwnica tem się odznaczała nad inne, że obfitowała także w wina francuskie i reńskie, które w kraciastych skrzyniach żelaznych spoczywały pod jego własnym kluczem. Napoleońscy oficerowie wiekopo-1 mniej nabyli sławy, roznosząc postępowe idee po świeck\* i walcząc za wolność narodów, ale i tem się także wsła- wili, że się znali na piwnicy i kuchni — a Wisłocki nie był pomiędzy nimi ostatnim. . Takoz jad ino u niego kopiasto, i wykwinnie i smacznie — a taki był zwyczaj w Wisłoku, że w południe dawano śniadanie, które mogło służyć za objad, a o szóstej wieczorem objad z herbatą, który zastęp pował wieczerzę.

Po takiej wieczerzy pułkownikowstwo przeszli ze swymi gośćmi do małego salonu i tam zasiedli do owej zajmującej rozmowy, jaką miewają krewni ze sobą, kiedy się od kilku lat nie widzieli. Przypominano sobie czasy dawne i najdawniejsze, do których każdy dodawał wspomnienia, zapomniane przez innych, opowiadając nareszcie zdarzenia, których był świadkiem. Z grzeczności dla Borchy wypytywano go przede wszy stkiem o jego ojca, który w ostatnich czasach przechodził niezwykle koleje losu i wszystkich bardzo zajmował. Borch opowiadał, co wiedział, a o tym lub owym szczególe jegó życia dawali objaśnienia z kolei czasem pułkownik, a czasem jego żona; my wszakże opowiemy to krócej.

Rodzina Borchów, używająca połączonego herbu: z trzech kruków, z orła białego i triangułu, z mitrą książęcą, z dwoma krzyżykami po obudwóch stronach tarczy i z podpisem: „tres iti unutu", była niegdyś udzielną w królestwie neapolitańskim, stamtąd przeniosła się do Westfalji, dostarczyła wielu Heermeistrów kawalerom mieczowym, a podzieliwszy się na trzy linije, osiadła nareszcie w Inflantach, na Białej Rusi i w Austrji, pisząc się czasem Borch, a czasem von der Boreh, wedle krajowych zwyczajów. Cesarz Maksymiljan I. mianował ich hrabiami św. państwa rzymskiego, a Zygmunt Stary im ten tytuł potwierdził, do którego jednakże dołączali jeszcze czasowo rozmaite inne godności, jako kawalerów złotego runa i kawalerów maltańskich.

Powinowactwo tych trzech linij pomiędzy sobą dziś trudno rozwikłać, choćby tylko dlatego, że prawie co dragi nazywał się Michał, a często jednocześnie żyło po kilku Michałów; natomiast wszakże wiadome są ich powinowactwa z innemi domami. Toż byli oni spokrewnieni z książętami Mantuańskimi i Pomorskimi, z Paleologami, a przez Paleologów z rosyjskimi carami W Polsce nie było prawie rodziny magnackiej z którąby choć zdaleka nie byli spowinowaceni. A że ich wszystkie trzy linje głównie się opierały o Polskę, więc też i w Polsce największe położyli zasługi. Toż mieli oni tutaj jednego marszałka koronnego, a wojewodów, generałów i kasztelanów bez liku; dobra ich były także niepoliczone, chociaż rozrzucone po Inflantach,

## I

Kurlandji, Litwie, Białej Rusi i Ukrainie, na Szląsku, w Krakowskiem i pod Karpatami. Borchowie, służąc Rzeczypospolitej polskiej przez kilka wieków, odznaczali się zawsze niezawisłością charakteru, gorącym patriotyzmem, bezinteresownością, a w razie potrzeby ofiarnością bez granic. Jakoż cieszyli się oni po wszystkie czasy wielką popularnością. Kiedy Zygmunt August, przez intrygantów irzeciw nim uprzedzony, kazał im skonfiskować ich dobra Warkla-ny i odebrał tytuł hrabski, to cała szlachta inflancka się za nimi zburzyła, a ręczęc Bwemi głowami i majątkami za ich ucziwość, zniewoliła króla, że oddał im dobra i tytuł przywrócił. Od tego czasu szli zawsze z opinią patriotyczną, kierując nią sami, albo też przez nią niesieni. W drugiej połowie XVIII, wieku należeli do partji saskiej, borykając się zawzięcie z Czartoryskimi, z którymi wszakże później się pogodzili; popierali konfederację barską, bili się < pod Kościuszką i służyli w legjonach.

Aleksander Borch, ojciec Michała, urodzony z Lubomirskiej, przemierzając ze swoją matką czasy rewolucji! francuskiej w Paryżu, wszedł tamże do szkoły politechnicznej, którą z odznaczeniem ukończył i zaraz po jej ukończeniu zaciągnął się do armji francuskiej. Był on jednym z pierwszych, którzy się znaleźli przy boku Napoleona I; z nim był we Włoszech, z nim odbył kampanję w Egipcie i dotrwał przy nim aż do tylicyckiego pokoju. Borch służył przez wszystkie te czasy jako bogaty kawaler, o własnym koscie z licznymi końmi w służbę, zawsze był w sztabie, często był używany w misjach dyplomatycznych, lecz jeszcze częściej prosto wadził pułki piesze i konne w ogień, i zawsze odznaczył się nie tylko męstwem nad wszystkie pochwały, ale zarazem wytrwałością żelazną i wielką znajomością sztuki wojennej. Skutkiem tych zasług, już przed bitwą pod Jeną, chociaż nie miał jeszcze trzydziestu lat spełna, był już pułkownikiem, komandorem legji honorowej i kawalerem i większej ilości krzyżów zagranicznych, niżeli ich mógł n. < ' swojej piersi pomieścić. Ale po bitwie pod Jeną, w której a

się wielką przytomnością umysłu odznaczył i byłby pewnie szlify jeneralskie otrzymał, zaszła nagle zmiana w jego umyśle. Jaki był jej powód, nikt nigdy dokładnie o tem się nie dowiedział; zdaje mi się jednak, iż miał pewne przyrzeczenie od Napoleona, iż już po bitwie pod Jeną spostrzegł, że Napoleon! ich nie dotrzyma, i z tej przyczyny miał z nim kilkakrotnie, a cierpkie rozmowy... a po takiej rozmowie ostatniej nie zostało mu nic innego, jak wziąć dymisję. Cóżkolwiekby to było rzeczą pewną, że nie szło tam o jego Bprawę osobistą, tylko o Polskę, bo jak ■ jednej strony wiedziano dowodnie, że Napoleon z jego powodu powiedział, że „Polacy są najcierpliwszym narodem na świecie;” tak znowu z drugiej Borch nie robił prawie z tego sekretu, iż się zawiódł na tym człowieku i jego zdaniem Polacy się niczego nie powinni spodziewać od niego. Tak, dziwnym trafem, właśnie wtedy, kiedy Napoleon tworzył księstwo Warszawskie i Wszyscy Polacy Bie garnęli do niego, on był pierwszym, a może jedynym, który stracił wiarę. Jakoż niektórzy patrioci w Warszawie brali mu to za złe, godząc się na zdanie Napoleona, że w sprawie wskrzeszenia Polski mieć trzeba cierpliwość; ale on się tem nie dał zbić z tropu i wtedy to powiedział jednemu z najgorętszych stronników tego zdobywcy połowy świata: „Utworzyć miniaturowe księstwo Warszawskie kiedy można było za jednym zamachem całą Polskę odebrać, jest albo polityczną głupotą, albo też politycznym szalbierstwem — a ja ani do jednej, ani też do drugiego ręki mej nie przyłożę”. Słowa te, doniesione do Petersburga, jak utrzymywano w kołach poufnych, sprawiły tam pewne wrażenie.

Uwolnwszy się od służby i wracając do domu, Borch przedewszystkiem do Opola zajechał, do tej odwiecznej Lubomiskich siedziby, gdzie wówczas wychowywały się trzy

siostry, urodzone z jednej matki, ale z trzech różnych ojców. Matka ich była z domu Sosnowska, kobieta sławnej w całej Europie piękności, ale niestałych sentymentów małżeńskich: poszła ona najprzód za Rze-

Wtrt OJoowia

®

wąskiego, rozwiodła się z nim i poszła sta Lubomirskiego, a nareszcie rozwiodła się z Lubomirskim i zaślubiła Sosnowskiego, swego własnego synowca, W Polsce za Stanisława Augusta tik się były zageściły rozwody, że czasem chyba tylko kurja rzymska mogła rozeznać, kto komu w jakim stopniu jest krewny — a trzeba było bardzo dokładnie być obeznanym z temi pokrewieństwami, ażeby utrzymać konwersację w salonie, a nie powiedzirć ozegoś takiego, coby kogoś z obecnych dotknęło. Owóż pani Sosnowska ze swoich trzech mężów miała trzy córki, z których dwie starsze miały wtedy jedna lat ośmnaście, | drnftft dwadzieścia, trmciai zaś dopiero rok siódnw. Ryły one pomiędzy sobą siostrami, ale ponieważ ich ojcowie swoją drogą się poženili i mieli dzieci, więc i one miały dalszo siostry i braci po świecie, których woale nie znały. Tym\* czasem najstarsza z nich, Rzewuska poszła za Borchą, młodsza Lubomiska za księcia Abumelech, jenerała w służbie rosyjskiej — a najmłodsza, Sosnowska, poślubiła we dwanaście lat potem, pi śmierci swej siostry, tegoż simego księcia Abumelech Ta ostatnia była to dzisiejsza pułkownikowa Wisłocka. Była ona zatem niejako ciotką przyrodnią Michała Borchy i dlatego ktoś z złośliwych nazwał ją był la tante utórine.

Aleksander Borch, ożeniwszy się, zamieszkał na Białej Rnsi i przez dwa lata prawie się z domu ■ nie ruszał. Po dwóch latach, żona jego wydawszy na świat syna Michała, po kilkutygodniowej chorobie umarła; Borch został się sam — a było właśnie rok 1809. Jakkolwiek księstwo Warszawskie było d.a niego jakoby trucizną, dla tego, że było tak małe a mogło być wielkiem, jednak wtenczas znowu strzelać zaczęto, zapach prochu nie dał mu w domu dosiedzieć, no szedł do księcia Józefa i bił się jako ochotnik. Ale kiedy się i ta wojna nie według jego fantazji skończyła, znowu do siebie powrócił. Tymczasem między latami 1810 a 1811, kiedy przebiegły cesarz Aleksander I. zaczął podwajać swoje usiłowania, ażeby przynajmniej szlachtę litewską i ruską dla siebie pozyskać, zaczęły i do niego dochodzić wie ści, że cesarz często o nim wspomina i radby go poznać. Przyjechał także do niego i jego szwagier, książę Abumelech, który wówczas był w wielkich łaskach u dworu, a właśnie z Petersburga powracał, i zapewnił go, że cesarz formalnie choruje na to, że go nie zna dotychczas, i że trzeba koniecznie, aby mu się pokłonił: „bo kto wie, na co ci się to przyda — dodawał w wielkiej swej poczciwości ten książę — bądź tobie, bądź twemu synowi, a może nawet krajowi”.

Borch namyślał się chwilę, ale wreszcie się zdecydował i pojechał do Petersburga. Tam przez cesarza z największą uprzejmością przyjęty: imperator ścisnął mu rękę, kazał ledwie nie codzień bywać u dworu, prosił go sam, aby przychodził w mundurze francuskim i ze wszystkimi krzyżami, które sobie swoją walecznością zarobił, woził go z sobą do zakładów wojskowych i uwag jego słuohał z największą atencją, zgoła postawił go tak, że mu najstarsi jenerałowie nadskakiwali — lecz skończył na tem, iż mu zaproponował, ażeby wstąpił do armji rosyjskiej. Borch znalazł się w bardzo trudnem położeniu: w Napoleona wprawdzie nie wierzył, był raczej skłonnym do niejkiej nadziei, że cesarz Aleksander, przy danej sposobności, ażeby odebrać Księstwo Warszawskie, gotów będzie przyłączyć doń Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę, — ale nie mógł nie przewidywać, że pierwej Francja wojnę wytoczy Rosji, po stronie Francji staną Polacy, a bić się przeciw Polakom, na to nie mógł Bie narażać. Odpowiedział mu tedy w ten sens, otwierając przed nim swój umysł i serce; ale cesarz mu przerwał, a ścisnąc go za rękę, sam mu odpowiedział, może z wyrazem żalu, ale głosem dźwięcznym i pełnym: „Nie wysilaj się na wypowiedzenie mi uczuć, które sam odczuwam i szczerze szanuję. Zazdroszczę Polsce, że takich ma patrijotów. Nie będę wywierał nacisku na ciebie. Ale zastrzegam sobie, żebym mógł kiedyś — jak sam się przekonasz o moich szczerych chęciach dla Polski — do mojej propozycji powrócić. Hrabia Borch będzie miał zawsze najpiękniejszy pułk mojej armji do swego wyboru.”

Borch był bardzo szczęśliwy, że się na tem skończyło — a że panujący z wielką łatwością wywierają urok na swoich podwładnych, a Borch był także człowiekiem, więc wrócił do siebie pełen nadziei, że, jeżeli nam posłżną okoliczności, to z Aleksandrem łatwiej będzie się porozumieć, niżeli z Napoleonem.

Wróciwszy do kraju, Borch stał się jednym z najpopularniejszych obywateli na Białej Rusi i Litwie, było tam bowiem podówczas bardzo wielu patriotów, którzy podzielali jego nadzieje — a on pozyskał nadto zaufanie cesarza i miał ustaloną sławę człowieka nieposzlakowanej zacności, wzniosłego charakteru i doświadczonego żołnierza. Wkrótce' rozpoczęła się tak zwana przez Napoleona „druga kampa- nja polska”. Borch nie ruszał się z domu. Raz tylko, znajdując się przypadkiem w Witebsku, kiedy Napoleon stał właśnie obozem pod miastem, idąc do Moskwy, został wraz z Chrapowickim zniewolony przez Romana Sołtyka przedstawić się cesarzowi. Trwając zawsze w swych przekonaniach, uczynił to raczej na przekór; jakoż wystąpił w mundurze maltańskim, którego Napoleon nienawidził, i miał do niego przemowę, w której usiłował go przekonać, że należało pierwej zorganizować Polakę, a dopiero potem prowadzić dalszą wojnę przeciw Rosji. Ale cesarz spojrział chmurno na niego, udał, że go nie poznał, przerwał mu i powiedział, że nie po to ich kazał do siebie zawołać, aby mu rady dawali, tylko, aby mu dostarczyli „des vivres, des fourrages et surtout du pain” — i z tem ich odprawił. Borch odszedł z zaciętymi ustami, lecz prawie dumny tem, że cesarz go jeszcze utwierdził w jego wyobrażeniach o swoim zachowaniu się względem Polaków.

Bolał on potem nad ciężkimi klęskami, jakie Polska poniosła; po przeprawie przez Berezynę ocalił wielu rodaków, ofiarując im żywność, pieniądze i przytułek w swych dobrach, innych zaś swemi wpływami powydobywał z woli, a do tych właśnie należeli Wisłocki i Czubyty. Organizacji Kongresowego Królestwa przypatrywał się zdaleka, Jecz sympatycznie, bo je nważał za kamień węgielny do

odbudowania Polski przez carów rosyjskich: ale właściwie dopiero w roku 1818 zaczął się znowu zajmować tą myślą. Wówczas bywał często w Petersburgu, znów przyjmowany uprzejmie u dworu, ale znów namawiany, aby wstąpił do armji rosyjskiej. Długo się wahał: ale jednego dnia hr. Benkendort zaprosił go na śniadanie, na którym było wielu jenerałów, a po śniadaniu wyprowadził go na balkon, przed którym właśnie defilował w pełnej paradzie pułk olwiopol- skich ułanów. Był to pułk śliczny, na siwych koniach, jak gdyby z pudełka. „Panie hrabio, — rzekł Benkendorf do niego — ten pułk defiluje przed tobą; pułkownik został właśnie wysłany na Kaukaz, potrzebujesz tylko wsiąść na koń, aby objąć jego komendę”. Czy to pod naciskiem swoich politycznych nadziei, czy też targnęła go w tej chwili jego krew żołnierska, dość, że prawie bez namysłu podał mu rękę. W kilka dni potem predefilował z swym pułkiem przed cesarzem i całym dworem — a w tydzień później odebrał rozkaz wymaszerowania do Bobrujska, odległego tylko o małą milę od jego własnej rezydencji, co też uważał za szczególną grzeczność ze strony cesarza.

Od tego czasu blisko sześć lat przesłużył, konsystując ciągle w Bobrujsku, bez żadnej zmiany, z wyjątkiem rewij corocznych, na których jednak także mu się nie zdarzyło nic nadzwyczajnego. Z początku nosił Bie jeszcze zawsze ze swujemi nadziejami i wówczas-to Wisłockiego namówił, ażeby także przyjął służbę rosyjską. Ale kiedy pięć lat minęło, a jemu nawet ani razu się nie zdarzyła sposobność mówienia z cesarzem o sprawie polskiej, kiedy przez te pięć lat nie doczekał się ani awansu, ani żadnej innej dystynkcji, i nie był wcale uważanym inaczej, jak którykolwiek z kilkuset innych pułkowników, służących w armji,



natenczas zaczęło mu się robić ckiwo cokolwiek i miał takie uczucie, jak gdyby wpadł po prostu w pułapkę. Zdarzyło mu się także podówczas w czasie rewji w Smoleńsku słyszeć bardzo oględnie, ale cokolwiek ironicznie wypowiedzianą uwagę, że cesarz nie zapomina nigdy otrzymanej odmowy, a kto wstąpił do armji rosyjskiej, kiedy Rosja

zwyciężyła Napoleona i zajęła pierwsze miejsce między euro-pejskimi mocarstwami, ten przecie nie będzie rozumiał, że jej tem oddał usługę. Zgoła już bardzo czarne myśli napadały Borchę naówczas, ale jeszcze tem się pocieszał, że mimo służby, mieszkał prawie ciągle u siebie, że mógł często na parę tygodni wyjeżdżać i że miał rangę, a przeto także znaczenie. Jakoż rozrywał się, jak mógł, przyjmując rodaków i wyższych oficerów rosyjskich u siebie i jeżdżąc często do Kijowa, gdzie miał szwagra i bardzo wielu przyjaciół w sferach wojskowych.

Ale już w roku 1824 zjawiał się u niego generał, dowodzący jego dywizją i miał z nim konwersację bardzo enigmatyczną. Robił on mu rozmaite uwagi o jego pułku, o służbie, o zjazdach, które się odbywały na jego zamku,

O jego częstych podróżach do Kijowa, a wreszcie a jego synu, który się wychowywał w szkołach wileńskich, co dla pułkownika w służbie rosyjskiej wcale nie było rzeczą przystojną. Zdziwiło go to tem bardziej, ile że Michaś bardzo roztropnie się prowadził i miał to szczęście, że podczas inkwizycji ówczesnych nie był nawet indagowanym. Generał odjechał i zdawało się, że była to tylko mała chmurka, która przeciągnęła nad jego głowę. Ale niestety, tak to nie było: niebawem bowiem się spostrzegł, że się powietrze około niego zmieniło, sam nie wiedział, co jest, ale jak mówił, czuł się mdl a son aire, zdawało mu się, że inny wiatr zawiął n\* niego z Petersburga, czasem mu się nawet przywidywało, jakoby był otoczony szpiegami. Wszelako jeszcze nic sobie z tego nie robił, był tylko bardzo ostrożnym i powiedział sobie: wezmę dymisję i koniec. Une Ulusion de moins, une diception de plus, et t>oila lout. Ale to z Rosją sprawa, nie z Napoleonem, więc rzeczy wzięły całkiem inny kierunek.

Tak jeszcze przeszło rok przetrwał w tej służbie, raczej przez upór, niżeli w jakim bądź celu, bo już prześladowania Wileńskie go przekonały, że w sprawie odbudowania Polski jeszcze daleko mniej można liczyć na Rosję, niżeli na Francję. Po roku zaś zaszły wielkie wypadki. Cesarz

Aleksander umarł, dekabryści powstali, Mikołaj ich stłumił i panowanie swoje rozpoczął szubienicami, niezliczonymi zsyłkami na Sybir i systematycznym prześladowaniem podejrzanych. Prześladowania te nie ustawały, bo z woli Mikołaja mszczono się nawet na tych, którzy o spisku mieli choćby najogólniejszą wiadomość, a nie donieśli jej władzy. Jakoż w roku 1826 przyszła kolej na Borchę. Wówczas zjawiał się w Bobrujsku znowu ten sam generał dywizji i znowu miał kilkakrotną rozmowę z Borchem, ale tym razem już go wprost wypytywał o jego stosunki z dekabrystami. Borch znał ich wielu, z niektórymi z nich żył nawet w przyjaźni, oni może na niego liczyli, jako na człowieka wzniosłego charakteru i wysokich zdolności; ale nawet nie próbowali go wtajemniczyć, - bo wiedzieli, że był monarchistą, a konspiracje nie mogły być jego rzemiosłem. Dlatego też zdało mu się, że generała przekonał, i dalej o tem nie myślał. Jednakże wkrótce zjawiał się w Bobrujsku generał-audytor, który miał inne sprawy do załatwiania w tym garnizonie, lecz przy tej sposobności i jego wziął w indagację. Nie spisywał on z nim protokołów, nie postawił go w stan oskarżenia, owszem, wypytywał go zawsze jakoby o innych, ale była to indagacja formalna i Borch spostrzegł już wtenczas, że chodziło o to, aby znaleźć jakąś winę na niego. Jakoż naówczas zamianowano podpułkownika, który był jawnie protegowany, większą część jego władzy przejął na siebie i stał się oczywiście jego nadzorcą — a zarazem jencrał-audytor dał mu przed swoim wyjazdem przyjacielską radę, aby swojego syna przeniósł natychmiast do szkoły wojskowej do Petersburga. Generał zrobił przytem uwagę, że krok ten sprawi jaknajlepsze wrażenie w Petersburgu i odtąd wszystko zostanie zapomnianem. Co zapomnianem?! — pytał siebie Borch w oburzeniu, — cóż kiedy zrobiłem takiego, czembym na nieufność zasłużył? Mianożby się dotąd mścić na mnie za to, że w roku 1811 nie chciałem przyjąć służby rosyjskiej? Wielką on wtenczas stoczył walkę ze sobą, ale się

przewyciężył. Pojechał do Wilna, przewiózł syna do Petersburga, oddał go do szkoły  
wojskowej i pro

sił o audjencję. Ale zdaje się, że w Petersburga wszystko to naprzód przewidziano, dano ma bowiem nrlop tylko dwutygodniowy, a audjencji odmówiono pod tym pozorem, że jego obecność w Bobrujsku jest niezbędnie potrzebna, bo za parę dni któryś z w. książąt będzie tamtędy przejeżdżał. Borch wrócił, żaden w. książę do Bobrujska nie przyjechał — a natomiast przez ten czas jego podpułkownik tak dobrze rozgospodarował się w pałku, że jema już prawie tylko sam tytuł pozostał. Tak minęło parę miesięcy — a potem dano mu urlop trzyletni, jednak z tym warunkiem, że mu nie wolno było bez pozwolenia jenerała dywizji po za granice dóbr swoich wyjechać

Borch tedy został po prostu uwięziony w swoim domu. Dla czego?... za co? napróżno tego dociekał. Targał się wtenczas sam ze sobą, cierpiąc męki piekielne. Wszakże nareszcie się zdecydował i powiedziaławszy sobie: niech się stanie, co chce, — podał się do dymisji. Ale podanie jego pozostało bez odpowiedzi. Tak minął rok cały. Straciwszy cierpliwość, podał o pozwolenie przyjazdu do Petersburga, aby syna odwiedzić. W pół roku dano mu to pozwolenie. Przyjechawszy do stolicy, zaczął się zaraz starać o audjencję u cesarza. Miał on tam niegdyś wiele przyjaciół, którzy go na rękach nosili, a mieli przystęp do cesarza. Znalazł pomiędzy nimi niektórych, co mu nie odmawiali współczucia, a byli to sami tacy, którzy żadnego wpływu nie mieli. Inni byli grzeczni, lecz zimni. Borch czekał na audjencję pół roku: nareszcie naznaczono mu dzień i godzinę, w której cesarz go przyjmie.

Borch był to mężczyzna ogromnego wzrostu, wyżej sześciu stóp wysokości, zbudowany silnie, lecz kształtnie, form bardzo wykwintnych, ale cokolwiek wojskowej sztywności. Był ciemny blondyn, nosił wasy i krótkie faworyty na wzór grenadjerów napoleońskich, oczy miał ciemnoniebieskie, pełne słodyczy, ale otwarte i śmiałe. Głowę nosił wysoko, lecz w całej jego postaci przebijało się mniej dumy, a więcej uczucia własnej godności.

Mikołaj był także ogromnego wzroBtu. miał głowę stosunkowo maleńką, ale nosił ją sztywnie, a na jogo twarzy odbijał się najczęściej wyraz nieruchomej surowości, a tylko czasem przelatywał przez nią uśmiech szyderski.

Tak stanęli te dwa olbrzymy naprzeciw siebie: jeden przedstawiający nie człowieka, lecz system, machinę, ukutą z żelaza, bez myśli i serca, — a drugi będący uosobieniem człowieka, pełnego zacności, wzniesłego umysłu i obywatelskiej godności.

Mikołaj przyjął go przy drzwiach, nie z wyrazem gniewa, tylko z aśmiechem ironji i czekał, co mu powie. Borch zaczął mówić po francusku, bo nie umiał dość dobrze po rosyjsku, aby był pewnym swoich wyrażen. Już z tego powodu Mikołaj się na niego zachmurzył, ale go słuchił. Borch opowiedział mu cały tok prześladowań, jakich doznaje, zapewnił go, że nie ma sobie ani cienia myśli do zarzucenia, przeciwnej cesarstwu, — a wszakżeż sam dobrowolnie przyjął służbę w jego armji — i skończył na tem, iż prosi albo o uwolnienie od prześladowań, albo o postawienie go w stan oskarżenia i sąd. Mikołaj patrzył na niego przesywającym i ironicznym wzrokiem przez chwilę, jak może lew patrzy na jagnię, kiedy je w swoje szpony uchwyci, nie wspomniął ani słowem e podejrzeniach, a natomiast zapytał: Jakież miałeś powody wstąpienia do wojska w czasie ogólnego spokoju? — Borch, dotknięty do żywego tem zapytaniem, odpowiedział z godnością:

— Najjaśniejszy Panie! Nigdy w mem życiu nie przedsięwziąłem żadnego uczynku, jak tylko w cela służenia mojej ojczyźnie.

Na to Mikołaj podniósł głowę, jak człowiek, który spostrzegł, że ma rację, znów patrzył przez chwilę w milczeniu na swoją ofiarę, a potem zapytał:

— Vous etes Attemand, Oraf von der Borch?

— Je demande pardon a Totre Majesté, je suis Polonais — odpowiedział Borch ze stanowczością.

— A gdzie masz twoje posiadłości? — zapytał cesarz. Borch odrzekł: — Na Białej Rusi i na Ukrainie, a cokolwiek mam także w Austrii.

Wui Ojcowie.

7

— Alors, — rzekł na to Mikołaj, — dCapres votre geogra phie, la Russie blanche et l' Ukraine, c'est la Pologne? Gest hien, fy amserai. — Poczem kiwnął głową, obrócił Bię tyłem do niego i odszedł. I na tem skończyła się aadjencja.

Konwersacją tą Borch oczywiście się zamordował, bo wtedy już było zbrodnią, mieć dobra na Białej Rnsi i nazwać się Polakiem Toż i on sam tego był przekonania i przed^wszystkiem dał swema synowi instrukcję, że ma się ciągle skarżyć na słabość piersiową i jak najczęściej meldować się chorym, wszystkich lekarzy szkoły wojskowej przepłacił złotem i sam jeszcze został w stolicy, ażeby syna pilnować w chorobie. Dopiero w pół roku potem do dóbr swoich powrócił.

Tymczasem Michaś skończył niebawem szkoły, został mianowany oficerem, wstąpił do gwardji i wkrótce dla słabości zdrowia urlop otrzymał. Natenczas ojciec wyprawił go do Warszawy i dał mu listy do Sołtyka i Gustawa Małachowskiego, z któryui wiązały go pokrewieństwa. A działo się to już z początkiem wiosny roku 1880. Michaś, natchniony tym idealnym patryotyzmem i tą gorącą miłością wolności, jakie weń wpojono w szkołach wileńskich, a zarazem przepełniony nietylko nienawiścią, ale głęboką pogardą tego rządowego systemu, który jego ojca rozpiął na takie barbarzyńskie tortury, za powodem Małachowskiego wszedł zaraz w te sprzysiężenia, które podówczas wiązały całą młodzież warszawską. Małachowski już dawno zgodził się na to, żeby wybuchnąć, ale niezmiernie troskał się o to, że powstanie nie będzie miało wojskowego dowóacy, albowiem jako człowiek głębszego i bystrzejszego poglądu od innyoh, wiedział naprzód, że ani na Chłopickiego liczyć nie można, ani też którykolwiek ze starszych generałów stanie w pierwszej chwili na czele powstania. Wiedział zarazem, że Litwa i kraje zabrane nie są przygotowane, co gorsza, że myśl rzucenia armji rewolucyjnej na Litwę, spotka na niezwyknię opór w sferach rządzących. O Borchu zaś zdawa bardzo wielkie miał rozumienie i był przekonany, że jest to człowiek, który zamiar powstania w wielkim stylu obejmie i sam wszystkiemu da radę. „Więc jedź do ojca — rzekł w lipcu do Michała — i jedno z dwojga: albo niech będzie gotów i na nasze zawołanie do Warszawy przyjeżdża, albo na dany znak niech stanie na czele Litwy i Rusi. Wtedy jeszcze raz spotka się z Mikołajem, lecz wtedy będzie to całkiem inne spotkanie 1”

Michaś pojecUał do ojca i zdał mu poselstwo. Borch, który jeszcze przed dwoma laty byłby zamiar powstania niewątpliwie odrzucił, dziś... niezmiernie się zajął tą myślą. Kazał sobie opowiadać wszystkie szczegóły sprzysiężenia i powtarzać pó kilka razy, co jemu powiadali Małachowski i Sołtyk. Zaraz potem porozkładał mapy na stole, pokazywał synowi rozmaite strategiczne punkty i drogi i ich zna- ezenie objaśniał, a wreszcie opowiedział mu jak najdokładniej, jak armja rosyjska jest rozgałęziona, jaki jej stan, jakie sity i ile miesięcy będzie potrzebowała na to, aby w odpowiedniej potędze i organizacji zbliżyć się do granic Królestwa. Mówił potem o siłach, jakieby można wytworzyć na Litwie — a późno w noc skończył na tem:

— Jestem przekonany, że we trzy miesiące można wszystkie kraje dawnjj Rzeczypospolitej odebrać i mocno obsadzić. Oni wystawiliby później drugą armję i trzecią, ale byłaby to już dla nas tylko wojna obronna. Rzecz ta godna zastanowienia. Dobranoc do jutra.

Nazajutrz rano Borch przyszedł do śniadania tak wzbarzony, jakim go jeszcze nikt nigdy nie widział. Twarz miał zsiniałą, oczy nabrzękle, włosy wzburzone, widać było> że całą noc przeczuwał w straszliwej walce ze sobą. Zasiadł z synem do herbaty i milczał przez ohwilę — a kie dy go syn, drżący z niecierpliwości, zapytał, czy powziął jakie postanowienie, on zrazu odpowiedział na pozór spokojnie:

— Nie, to nie dla mnie... •

Lecz kiedy syn jeszcze raz natarł na niego, natenczas zerwał Bie z krzesła, podniósł obydwie ramiona, zacisnął pięście, uderzył nimi konwulsyjnie o swoją głowę i głosem ochrypłym, załamionym, strasliwym, jakim mó wia tylko umarli, zawołał do siebie:

— Je ne puis pas! Je ne puis pas!... złożyłem carowi przysięgę.

Syn się głośno rozplakał, bo okropna rzecz była widzieć tego człowieka, rozdartego tak rozpaczliwym cierpieniem. Jakoż dzień cały przeszedł, a syn i ojciec nie śmieli do siebie przemówić. Dopiero przy wieczornej herbacie rzekł Borch do syna, głosem gorzkim, ale spokojnym:

— Obaczymy, co będzie. Są położenia, w których sumienie rozwiązuje przysięgę.

Tymczasem trzeba myśleć

O sobie. Jestem proskrybowany. Zabrano mi wolność, naważono na moje życie, a może i na majątek. Sprzedałem moje dobra na Ukrainie i pieniądze ulokowałem na twoje imię w banku wiedeńskim. Sprzedałem i tutaj kilka folwarków, co za nie wziąłem, to z sobą zabierzesz. Mamy tam jakieś dobra pod Karpatami, trzeba, ażebyś tam bez zwłoki pojechał i wziął je w posiadanie.

Michał pobiegł jeszcze raz do Warszawy, wrócił do ojca, a w sierpniu wybrał się z wielkim taborem do Galicji

I przyjechał do Wisłoka, tak, jakżeśmy go właśnie widzieli.

Ksiądz Anioł słuchał tego opowiadania z taką uwagą, że każde słowo połykał — a kiedy Michał opowiedział ostatnią scenę, która była nową dla wszystkich, on westchnął głęboko i rzekł:

— Otóż-to nasze polskie męczeństwo! Ccy kiedy świat będzie wiedział, przez jakie niepoliczony naród ten przeszedł męczarnie! Czyż my sami będziemy wiedzieć o tem, że wszyscy nasi ojcowie za Polskę cierpieli, a między nimi i tacy, których może już posądzano, że przeszli do obozu zwycięzców! A ci może czasem wycierpieli daleko sroższe męczarnie, niżeli inni, i nawet im nie policzono tych cierpień! Boże wielki, Ty sam wiesz tylko dlaczego nas wybrałeś na męczennicę narodów...

A to mówiąc z załzawionymi oczyma i złożonymi rękami, wstał, poszedł powolnym krokiem ku oknu i przez chwilę się modlił.

Wszyscy milczeli — a kiedy ksiądz Anioł wrócił do

stołu, zaczęto mówić o Miłku i jego ojcu. Ale my i te rzeczy możemy opowiedzieć po krótkce.

Księżę Abumelech, potomek niegdyś udzielnej, ale wydziedziczonej przez Rosję rodziny gruzyjskiej, był to człowiek bardzo niskiego wzrostu, bardzo otyły i bardzo brzydki — ale wielkiej zacności, niezmiernie miękkiego serca i nadzwyczajnie miłego obejścia. Miał on niby jakąś wyjątkową pozycję u rządu, w bardzo młodym wieku już był generałem, ale nie trudno było mu dostrzedz, że w Petersburgu mają dla niego takie uczucia, jakie jakiś zły człowiek może mieć dla swego krewnego, którego wyzuł z majątku i dla zachowania pozorów musi mu płacić pensję dożywotnią. Toż i on dla carskiej rodziny miał takie same uczucia, jakie ma taki krewny, wyzuty ze swojej własności. Już to samo zbliżało go do Polaków; lecz, oprócz tego, stojąc w Polsce na konsystencji, wyuczył się po polsku, ponawiały wiele przyjaznych stosunków z mieszkańcami tych krajów, a nareszcie ożenił się z Lubo- mirską, siostrą przyrodnią pani Borchowej. Z tej żony w roku 1809 urodził się Bię Milek. Lecz jego żona w kilka lat potem umarła — a on odwiózł Bwojego syna do Opoła, gdzie go wychowywano razem z jego drugą ciotką, podówczas jeszcze dorastającą dziewczynką. Około roku 1819 Abumelech ożenił się z tą drugą ciotką swojego Byna, dzisiejszą panią Wisłocką. Pani Wisłocka wyszła za niego nie z miłości, lecz ulegając radom familji, albowiem Abumelech był bardzo bogaty, a ona wówczas nie miała posagu; ojciec jej, pan Ccsnowski, po śmierci jej matki, ożenił się powtórnie, zamieszkał w Wiedniu i bardzo wiele potrzebował dla siebie. Była to zatem świetna partja dla tej panienki, bo przynosiła jej tytuł księżnej i generałowej i bardzo znaczny majątek, a przy tem związek z bardzo dobrym człowiekiem, którego się nauczyła szanować; ale jednym z powodów, które ją do tego małżeństwa skłoniły, była także ta okoliczność, że nie potrzebowała rozłączać się z



Miłkiem, do którego bardzo się przywiązała. Wyszędłszy za mąż, przemieszkiwała przez zimę w Kijowie, gdzie jej mąż stał gar-

nizonem, prowadząc dom wielki i przyjmując całą arystokrację rosyjską i polską u siebie; czasem bawiła z mężem po kilka miesięcy w Petersburgu, gdzie całe towarzystwo ją uwielbiało dla jej piękności, niezwykłego ukształcenia umysłu i wykwintnego tonu w obejściu; lato zaś przepędzała w mężowskich dobrach, leżących nad Prypecią i porzrzucanych po północnej części Wołynia.

Milek, będąc dzieckiem, był prawie ułomnym, tylko za pomocą usilnych ćwiczeń gimnastycznych naprostowano cokolwiek jego budowę; ćwiczenia te jednak posłużyły także jego zdrowiu i nadały jego charakterowi pewną energię, która częstokroć dziwnie odbijała od jego wrodzonej miękkości serca i wrażliwego umysłu. Jego ciotka, a zarazem macocha, nie mając innych zajęć poważnych, bardzo pilnie zajmowała się jego wychowaniem, trzymając dla niego metrów i guwernerów bez liku. Milek, bardzo dobry, lecz często bardzo kapryśny, nauczył się wielu języków, muzyki, rysunków, fechtunku, jeźdźstwa na koniu, lecz z właściwych nauk te tylko pojmował, które sprawiały na nim pewne wrażenie. Trzeba było temu jakoś zaradzić; ojciec rozpadał się za nim, księżna go bardzo kochała: ale oboje umieli się przewyciężyć i już w roku 1822 oddali go do szkół, do Wilna. Jednak i tam Milek się nie zmienił. Także i tam tylko tym się zajmował, co na nim sprawiało wrażenie: toż przede wszystkim przystąpił do tajnych towarzystw, a nawet i sam tworzył nowe sprzysiężenia na własną rękę. Były to wszystko prawie dziecinne, a w każdym razie całkiem niewinne zabawki, bez których się obejść nie umie młodzież wszystkich narodów, na uniwersytetach całego świata; ale dla rządu rosyjskiego, który już wtedy, chociaż sam stworzył polski uniwersytet w Wilnie, zamierzył wytepić polskość na Litwie, było to dostatecznym powodem do prześladowań. Milek tedy w roku 1824 został wraz z innymi do więzienia wrzucony, morzony głodem, duszony zgnieciem powietrzem i wszelkimi innymi tego rodzaju torturami niewolony do wyznań o rzeczach, o których dopiero w inkwizycji się dowiadywał. Ale Milek był twardy, dodawało mu siły fanatyczne pragnienie męczeństwa, które już wtedy się w nim wyrobiło: nie przyznał się do niczego, a nadto jeszcze odpowiadał zuchwale, złożąc rządowi i tyranom całego świata. Tem zachowaniem się zwrócił na siebie uwagę samego Nowosilcowa — a ten szatan wcielony, przenoszący swoją krwiożerczą srogością wszystkich inkwizytorów hiszpańskich, czy to przez zaciekłość przeciwko Polakom, czy to dlatego, że od bogatego ojca mógł się spodziewać sowitego okupu, wziął go w swoją szczególną opiekę. Natenczas Milka po zwierzęcemu ocięto różgami, tak, że się zalał krwią cały i omdlał, i ledwie napół żywego wyniesiono go do jego kaźni — a kiedy jeszcze z ran się nie wygoił, ogolono mu głowę, ubrano w szynel i wywieziono na Kaukaz w żołdacy. Ojciec jego, jak tylko się dowiedział o jego aresztowaniu, co dla odległości zabrało parę tygodni czasu, zażądał urlopu; rzecz była drażliwa, trzeba się było odnieść do Petersburga — tak znowu minęło parę tygodni: nareszcie generał się zniecierpliwiał i bez urlopu pojechał do Wilna. Ale przyjechał za późno; Milek już był wywieziony. Nieszczęśliwy ojciec dowiedział się tylko od swoich przyjaciół, jak srogie barbarzyństwa poprzedziły równie barbarzyńskie wysłanie jego syna na Kaukaz. Natenczas włosy mu wstały na głowie, krew w jego żyłach się ścięła, stracił całkiem przytomność — a porwany świętym szałem miłości ojcowskiej, poleciał do Nowosilcowa, poroztrącał szyldwachy, drzwi wybił nogami i rzucił się z zaciśniętymi pięściami na swego syna zabójcę: ale, nim jeszcze swoją mściwą ręką go dotknął, krew mu uderzyła do głowy, padł na posadzkę i więcej już nie wstał.

Księżnie, na samą wiadomość o barbarzyństwach, popełnionych na Miłku, umysł odretwiął, dostała gorączki z dreszczami i musiała się położyć do łóżka. Wiadomość o śmierci jej męża już ją całkiem ubezwładniła: zdawało się, jakoby przestała myśleć i czuć i wiedzieć, co się dzieje koło niej — i tak przeżyła kilka miesięcy. Czyż potrafi kto opowiedzieć, co cię działo w jej sercu? czy zdoła kto

zgadnąć, co myśli i czaje taka istota, żywa ciałem, leci duchem zamarła, którą takie olbrzymie przywaliby nieszczęścia? Lecz wtedy, nie przyzwany, ani proszony, tylko z własnego popędu, wystąpił na scenę Wisłocki.

Wisłocki, wówczas pułkownik pałka piechoty, konsystujący to w Wilnie, to na Wołyniu, lecz jako zawsze wesoły i greczny kawaler, przez całą jeneralicję lubiony, a przeto używający wszelkich wolności, bywał bardzo często w domu księstwa, w Kijowie i na wsi, żył w wielkiej przyjaźni z księciem i był zawsze jawnym admiratorem księżnej. Mówiono, że Wisłocki się w niej kochał szalenie — i zapewne tak było; ale mimo to, choć żyli w świecie żołnierskim, gdzie obyczajom swawolnym równie swawolna towarzyszyła złośliwość, nigdy żadna plotka nie powstała z powodu tego romansu, de tego stopnia cnotliwość księżnej była znaną i szanowaną przez wszystkich. Otóż Wisłocki, jak tylko się dowiedział, jakie nieszczęścia Bpota tknęły jenerała i jego syna, natychmiast wziął urlop i pojechał do Petersburga. I wziął się do rzeczy z nadzwyczajną zręcznością. Ani nawet nie usiłował wtawiać się u kogoś — S kolwiek za Miłkiem, ale przedewszystkiem postarał się o to, aby sobie samemu wyrobił sympatję i kredyt w sferach ■ rządzących. Żył przeto na wielką skalę, bywał wszędzie,\* grał w karty, dawał śniadania, prawił grzeczności starszymi kobietom, tańczył jak młodzieniec z młodymi — a tak w kilka miesięcy stał się ulubieńcem wszystkich; był chętnie przyjmowany u dworu, a nawet i tam potrafił zwrócić J| na siebie uwagę. A dopiero wtenczas, tak niby od niechcienia, z uśmiechem na ustach, zaczął się tu i ówdzie z tem odzywać, że Nowosilców wielką popełnił niezręczność, zabijając ojca i wysyłając syna w żołdackie, że Abumelech sam i przez swoje obydwie żony jest spokrewniony z aaj- pierwszymi europejskimi domami, że wieści o tem muszą Bie rozejść po całym świecie, że mogą wywołać krytyki nawet na dworze francuskim: cóż na to powie Paryż ? co Europa ? i na co to tego wszystkiego ? Co na to powie Paryż, co Europa? — były to za cesarza Aleksandra argt- menta zawsze godne zastanowienia. Jakoż doniosło się to do cesarza — a wtedy Wisłocki umiał przez swoich przyjaciół tak zręcznie rzecz pokierować, że jednego dnia dano mu z góry do zrozumienia, iż gdyby on chciał się tem zająć, toby go zapewne upoważniono, aby tę sprawę załatwił. A wówczas już w kilka dni to otrzymał, iż mu pozwolono przenieść Milka z Kaukazu do szkoły wojskowej w Petersburgu.

Wisłocki, dokazawszy tej sztuki, nie zaniedbał pchnąć natychmiast gońca z tą wiadomością do księżnej, lecz jednocześnie sam pojechał na Kaukaz, wydobył chłopca z kompanij karnych i odwiózł do Petersburga. Księżna już na parę miesięcy przedtem podniosła się była ze swojej słabości. Myśl pomożenia Miłkowi odżywiła jej siły; sama wyjechać nie mógł-, ale wysłała Netebę na Kaukaz, aby obaczył, czy się tam nie da co zrobić. Neteba, człek zmyślny, nie znający niepodobieństwa, ufający w moc złota, a w razie potrzeby niesłychanie odważny, już dotarł do Milka, już mu tam znacznie położenie jego ulepszył, a księżna miała wiadomości od niego. Dopieroż goniec, przybyły od Wisłockiego, taką ją przejął radością, że całkiem wstała na nogi. W tem wielkim nieszczęściu podwójna ją uszczęśliwiła pociecha: pasierb jej uwolniony — i uwolniony szla- chetnem staraniem przyjaciela, dla którego miała wyższe w swem sercu uczucie, niż przyjaźń. Toż, kiedy Wisłocki powrócił z Petersburga i rzucił się jej do nóg, ona z głę- bokiem wzruszeniem podniosła go z ziemi i dała mu rękę i tylko ten jeden położyła warunek: aby porzucił służbę i zamieszkał w Galicji. Tym torem wypadków, Wisłocki- spędziwszy lat tyle w najwyższych i najświetniejszych sferach wielkiego świata, zamieszkali w tak odludnem ustroniu, jak Wisłok, ale było im bardzo dobrze w tej ciszy i byli bardzo szczęśliwi.

Od czasu zamieszkania w tych górach, pułkownikowa tylko raz była na Wołyniu, przed rokiem niespełna — a to także z powodu Milka, który po skończeniu szkoły wojskowej, wstąpił był do gwardji konnej wołyńskiej i już w

Wasi ojcowie.

S

parę miesięcy otrzymał dymisję. Milek chciał wtedy na Wołyń zamieszkać, ona zaś do tego za żadną cenę nie chciała dopuścić, pojechała więc sama po niego i tu go przywiozła. Pułkownik nie towarzyszył jej w tej podróży; nie chciał, czy nie mógł, rozmawiać o tym mówiono, lecz nikt nic pewnego nie wiedział.

Ks. Anioł był tego ciekawy i spytał:

— A jakimże się to stało sposobem, że Milek tak prędko, a zarazem tak łatwo otrzymał dymisję?

Na to pułkownikowa mocno się zarumieniła i Borch! także spuścił oczy ku ziemi, ale pułkownik odpowiedział spokojnie:

— Przecież musiałeś uważać, że Milek, jak fizycznie nie jest wcale na żołnierza stworzony, bo nie ma zdrowia po temu, tak znowu moralnie nie ma i nie chce mieć wyobrażenia o konieczności subordynacji w wojsku. Wynikły stąd wielkie nieporozumienia... i dobrze jeszcze, że się na. l tem skończyło. A to już mamy mojej pani do zawdzięczenia — dodał Wisłocki, biorąc żonę za rękę i przyciskając ją do ust — bo ja, jako żołnierz, nie mogłem być adwokatem w tej sprawie.

Ks. Anioł musiał się zadowolić tą odpowiedzią, a to tembardziej, że wtedy Borch — zapewne, aby odwrócić rozmowę od tego przedmiotu, — zaczął opowiadać o wzburze! niu umysłów, pannaćem obecnie w Warszawie, co byłoJ daleko ważniejszym. Borch mówił w ten sens, że kielicfl goryczy jest pełny po same brzegi i lada kropla może wy- ' lew sprowadzić, dość na to jednego gwałtownego kroku ze strony w. księcia: ale mówił ostrożnie, ze względu na puM kownikową, aby jej nie przestraszyć. Wszakże pułkownik uśmiechał się na to, bo nie uważał zapewne, ażeby taks ostrożność była potrzebna, toż niebawem przerwał ma, mówiąc:

— Już to w tem muszę przyznać ci słuszność, że wybór tego, który ma stanąć na czele w chwili wybuchu, niezmiernie wielkiej jest wagi. Musi-to bowiem być człowiek nie tylko bardzo popularny i znany całej Warszawie, ale zarazem wielkiej determinacji, a przy tem wódz zdolny, wiedzący naprzód, gdzie, jak i jakimi siłami uderzyć. Ja między naszymi generałami znam tylko jednego takiego człowieka, a tym jest Chłopicki, ale i on musiałby być takim, jakim go widziałem pod Saragossą, gdzie rozpalone kamienie rzucano i roztopiony ołów lano na niego, a on tak walił naprzód, że nam się zdało, iż mary przed nim pękają! Jeszcze teraz go widzę, jak bez kapelusza, z rozpierchnioną czupryną, jak grzywa, w poszarpanym mundurze, ze szpadą w podniesionej prawicy, parł w górę alicą, jak burza, jak smok skrzydlaty z Apokalipsy i pierwszy stanął na szczycie. Toż i my parliśmy za nim — a takeśmy wzięli ten wulkan buntów hiszpańskich, co wszyscy uważali za niepodobieństwo. Ale dzisiaj i on się zestarzał... dobry zresztą do wzięcia zbuntowanego miasta, ale nie wiem, czy potrafiłby sam stanąć na czele buntu. Innych nie widzę; chyba, że między młodszymi się jakiś talent wyłoni. Boć i Napoleon był niegdyś porucznikiem, a dopiero wypadki zrobiły zeń wodza. Ale powiedz-że m z łaski swojej — dodał Wisłocki nie bez pewnego zadowolenia — bośmy jeszcze o tem nie mówili, któż-to tam był na mnie tak łaskaw w Warszawie, że przy tej materji wymówił moje nazwisko?

— Kiedym w lipcu od mego ojca wrócił jeszcze raz do Warszawy —• odpowiedział Borch — miałem z panem Gustawem kilkakrotne w tej kwestji narady, i on-to pułkownika przypomniał, opowiadając mi różne wojenne zdarzenia, w których pułkownik złożył dowody tego rzadkiego talentu, co w danej chwiliJimprowizuje organizację. Zaś oo do determinacji i gwałtowności w uderzeniu, to chyba tylko Chłopicki, albo może Bogusławski...

— Bardzo wdzięczny jestem panu Gustawowi — przerwał mu pułkownik — za tak dobrą o mnie opinię. Ja jego kocham, jak brata, jak też i w ogólności mam formalną słabość dla Małachowskich, bo są tam cnoty w tym rodzie, którychby najznamienitsze rodziny mogły mu

pozazdrościć. Gustaw mi oddał wielkie usługi w Petersburgu i pewnie

— eonie przesadzę, jeżeli powiem, że Milek swoje uwolnienie z Kaukazu ma jemu do zawdzięczenia. Pan Gustaw jest-to ozłowiek genialny — i jeżeli i ja wierzę, że między nami a Rosją niemasz innego wyjścia, jak wojna, to głównie dlatego, że to jego jest zdanie. Ale co do mnie, to się omylił, przedewszystkiem dlatego, że mnie nikt nie zna w Warszawie. Nie masz zresztą co o tem mówić. Zdajmy to Bogu... a prosimy go tylko o szczęście. O resztę sami się postaramy.

— Szczęście — rzekł na to Borch — jest zapewne rzeczą bardzo ważną, ale gdzie nie ma organizacji...

— Słuchaj mnie, mój kochany Michasiu, — przerwał mu pułkownik, — jeżeli wy zamierzacie robić rewolucję mieszczańską, to sobie ją róbcie, jak chcecie, a mnie nie pytajcie o radę; z tem trzeba iść do Kolińskich i Kaposti- sów, bo to nie nasze rzemiosło. Ale jeżeli wojsko ma powstać, to się radźcie żołnierzy. Otóż my żołnierze jesteśmy] gracze: według nas wszystko od szczęścia zależy.

Myśmy bijali bardzo wielkie armje bardzo małemi siłami i przeciwnie, bywaliśmy bici, kiedyśmy bardzo zna- cznymi dysponowali siłami. Jedna myśl szczęśliwa prze waży szalę wojny na stronę tego, który ją miał i wykonał jedno opóźnienie z przypadku, niespodziewana ulewa, adju tant, jadący z rozkazem, przejęty przez nieprzyjaciela, spro wadzają przegranę. Jak nie można grać bez pieniędzy, tak i bić się nie można bez armji; ale jak ci Pan Bóg da szczęście, to wygrasz małemi pieniędzmi i wygrasz armją. Wszystko inne to tam ludzkie rachuby, które na szali wojny nie wiele wazą.

Borch, czując swą młodość i brak doświadczenia, już na to nic nie odpowiedział, a pułkownik zapytał:

— Cóż ty na to, księżu Aniele ?

Tymczasem ksiądz Anioł był ^bardzo zamyślony, po- milczał chwilę i rzekł:

— Jeżeli się Panu Bogu podoba powołać nas jeszcze i do tej próby, to ją przyjmimy z pokorą — a wypełnimy, jak się spodziewam, z godnością i poświęceniem.

- 61

— A przedewszystkiem z honorem!... — dodał znacząco pułkownik.

Podczas tej rozmowy Borch ciągle spoglądał na pułkownikową, z ciekawością, ale zarazem z pewnem zdziwieniem, albowiem jej spokojne milczenie kazało się domyślać, że na zajść mogące wypadki nietylko już jest przy gotowaną, ale że je przyjmie z rezygnacją godną podziwu. Pułkownikowa wszakże to zauważyła i rzekła:

— W mojej młodości wpojono we mnie zasady poszanowania dla władzy i nienawiść dla rewolucji. Trzymałam się wiernie tych zasad niemal przez cały czas mego pierwszego małżeństwa. Lecz przypatrzwszy się z bliska, jak wiarołomnie Rosja dopełnia traktatów, jak wszelkiemi środkami wysiła się na to, ażeby nasz naród wytepić, jak po barbarzyńsku katuje ludzi niewinnych, z jakim urąganiem depce nogami nawet tych, którzy z zaparciem się własnych swych uczuć służą jej wiernie; doświadczywszy nareszcie na sobie samej i moich najbliższych jej ręki nieludzkiej, nielitościwej, drapieżnej, — powiedziałam sobie: każde zwierzątko wyteży wszystkie swe siły, aby byt swój zachować; człowiekowi na to jest dana ręka i głowa, aby bronił swego istnienia; spełnia się jakieś przeznaczenie Boże nad nami; Bóg sam wie tylko, dla czego nas na takie ciężkie próby wystawił, a nie odebrał nam środków obrony; bronić się naszym jest obowiązkiem; może się obronimy,... a jeśli mamy zginąć, to gińmy! Lecz niechaj nie powie potomność, żeśmy nie dopełnili swych obowiązków.

Na to pułkownik z tryumfem spojrział na synowca swej żony, Michaś się zerwał i z uniesieniem porwał jej rękę, aby ją do ust przycisnąć, a ks. Anioł rzekł także z niemałym zadowoleniem:

— W każdym kraju mężczyźni mogą powiedzieć o sobie: „My rządzą światem, a nami kobiety”; ale my mamy ten przodek przed nimi wszystkimi, że nasze kobiety godne są panowania I

Wtenczas wszyscy już wstali, bo też miało się już



kn północy. Borch mówił pułkownikowej dobranoc i żegnał się z księdzem — a pułkownik spytał go jeszcze:

— Powiedz-że mi mój Michasia, jakże myślisz postąpić z Łosiem? bo przecież trzeba, aby ci oddał admini- trację twego majątku Ja jestem do twojej dyspozycji.

— Bardzo pułkownikowi dziękuję — rzekł na to Borch — ale zastanowiwszy się, sędzę, że najlepiej zrobię jeżeli sam do niego pojedę, bo jeślibym się z pułkownikiem tam zjawił, to gotówby myśleć, że go podejrzewam i dlatego z asystencją przyjeżdżam.

— Bardzo ci chwałę tę delikatność uczucia — dodał prędko pułkownik — nie masz zresztą żadnej obawy. To tylko godzina jazdy mojemu kołmi. Jutro to urządzimy...

I z tem wziął go pod ramię, aby go odprowadzić do jego apartamentu. Służący szedł - przed nimi z latarnią i prowadził ich przez dziedziniec, bo wszystkie pomieszkania komnikowały tędy ze sobą, będąc połączone krytymi gankami, niezbędnymi w dniu słotne i w zimie Tak doszli do Posady. A kiedy już byli w sieni, właśnie się otworzyły drzwi od mieszkania Milka na ścieżaj, jego goście także już wychodzili, a Guła, bez wątpienia w wyborym humorze, bo był mocno czerwony, cofał się tyłem ku sieni i kłaniając się gospodarzowi, mówił wesoły :

— ...Zdijmim szepoczki, pokłonimo sia, na pered Bohu, hospodarewy, za chliba prynesenie, za wyna prystawlenie, za studennoju wodu, za dobroju zhotu.

Widząc to Borch, trochę się wyprężył, ale rzekł łaskawie do Guły:

— Już to podobno wina wam nie brakowało. No, a była i zgoda?

Na to Guła troszeczkę się zmięszał, ale przytomności nie stracił, toż się pokłonił swojemu panu i odpowiedział:

— Jak to wse u nasdwa hołuby woda pyły, a dwa kołotyły...

Na to pułkownik się głośno roześmiał ale Borch powiedział z naciskiem:

— Toż trzeba im było powiedzieć: Bodaj tyi ne skonały, szo nas rozłuczły.

Poczem wzięwszy ramię pułkownika napowrót. poszedł z nim po schodach na pierwsze piętro. Ks. Anioł im towarzyszył, bo i on tam miał swoją izbę gościnną — a tak znalazłszy się we trzech, pomimo północy, jeszcze długo rozmawiali ze Bobą, bo pułkownik był gorąco kapany i te wiadomości z Warszawy daleko żywiej go zajmowały, niżeli się z tem zdradzał wobec swej żony.

Tymczasem Guła, wzięwszy Czubatego z jednej, a Netrebę z drugiej strony pod ramię i idąc z nimi ku oficynie, gdzie Czubaty miał swoje pokoiki gościnne, żartował sobie z Czubatego, że jako żonaty nie powinien nocować ta domem i śpiewał mu pioBnkę: Kotyły sia wozy z hory, połamały szpyci, A wżeż meni ne chodyty na ti wieczernyci...

Ale Czubaty był wesoły i odpowiadał mu innemi piosnkami.

Tak doBzli do oficyny, gdzie się pożegnali z Netrełą, bo ten miał u pisarza swoją kwaterę i weszli do dwóch izdebek, z których pierwszą Czubaty odstąpił Gnie. Pocałowawszy go na dobranoc, poszedł da swojej izby i zaczął Bię rozbierać; tymczasem Guła rozpakowywał swoje wołoki — a że to długo trwało i jeszcze mu się na sen nie zbierało, więc zawołał przez drzwi otwarte:

— I ty Czubaty także pójdziesz bić Moskala ?

— Jużci pewnie, że nie zostanę za piecem — odpowiedział bez namysłu Czubaty.

Guła nie odpowiedział mu nic, ale rozkładając bieliznę na stole, zaśpiewał piosnkę: Sim deń mołotyła, Czech, czech zarobyta, Samaru sobi dywowała Szom wsio z Laszkom prohulała...

Ostatnie słowa tej piosnki Czubatego zapewne niemile uderzyły, bo stanął w progu i rzekł:

— A ty może nie wierzysz, że my pobijemy Moskali ?

— Ja wierzę — odpowiedział ma Gała — tylko ja głupi, więc mi się tak zdaje, że kiedyście jut chcieli ich bić, to łatwiej było wybić ich z Polsczy, kiedy się wyprawili na Turka, nieli teraz, kiedy sobie już odpoczęli i zbierają się na Francuza.

Czubaty był niekontent z tej uwagi, bo spytał:

— Ot głupi i a kiedy ty trzęsiesz jabłka z jabłoni?

— Kiedy dojrzeją.

— No, to idź spać i nie gadaj lada czego.

Czubaty położył się spać: ale nie mógł zasnąć, bo przecie mu się zdawało, że Gała miał rację. Jakiego-to sadła można było zalać Moskałom za skórę, powstawszy przed dwoma laty, kiedy swoje najlepsze pułki wyprawiali na Turka? Polacy się zawsze zrywają nie wczas... A potem jakieś nieznośne mary ma się śniły przez całą noc.

UL

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, Borch pojechał do Łosia — a pułkownik wziął Czubatego do siebie i miał z nim długą naradę. Czubaty mimo snów niespokojnych był w złotym humorze, chodził wielkimi krokami po obszernej komnacie, która pułkownikowi służyła za kancelarię i mówił:

— Gdybym wiedział, że mi dadzą jaką komendę, tobym zaraz do Warszawy pojechał. Co tam! znany nieznanym, przecie każdy wie, że służyłem przez lat dwadzieścia kilka i w tych rzeczach mam doświadczenie. Jest tam jeszcze niemało moich kolegów, którzyby mnie wyświadczyli. Bo to tam młodzieńcy się zerwie najpierwsza — a nie wiedzieć, jak się weźmie do tego. Moim zdaniem, nasam- przód trzeba na arsenał udeżyć i broń rozdać ludowi, a ochotnicze kompanje utworzyć. A to tylko stary żołnierz potrafi...

— Daj-no pokój, Czubaty, — rzekł na to pułkownik, — nie troszczmy się o Warszawę. Jest tam dość starych żołnierzów. Każdy powinien swoich obowiązków dopełnić, gdzie go los postawił. Trzeba nam tutaj objeść sąsiadów i umysły ich przygotować. Ale i na tem nie dosyć, bo przecie sam przyznasz, że nie wypada mi przyjść do powstania z gołymi rękami. Chciałbym cokolwiek broni uzbierać i przysposobić...

• - Bal — rzecze Czubaty, — nieileby to było, przywieść ze sobą choć kilki set dobrych gwintówek. Ale gdzie-to je znaleźć? tutaj w okolicy jest broni niemało,

o

Wasi Ojccwle

Mil

[fil; ■ I;

Will

■■fm' iii

ale to do polowania i do parady. Tego i wozić nie warto, — a jeszcze i na to-by szlachta płakała...

— Nie tak. nie tak, mój Tymka, — odpowiedział pułkownik, — ja-bym się chciał inaczej zabrać do tego, W Ołomuń su dostaniesz karabinów z bagnetami, ile chcesz. Jest to broń stara, ale są między nią sztuki dobre; o to tylko idzie, aby umieć je wybrać. Słuchaj 1 gdybyśmy mieli jaki tysiączek takich karabinów i przyszli z nimi do Królestwa, to-by i pułczek dla nas się znalazł, bo przecie\* ludzi nie brakni?. Ł taki pułcz k byłby już nasz...

Na to Czuby strzepnął z ukontentowaniem palcami I i zaraz zasiadł naprzeciw pułkownika na stołku, mówiąc i półgłosem, ale z naciskiem:

— I nie potrzebowali-byśmy czekać, aż nas tam gdzieś 1 umieszczą...

— Otóż to, — rzecze pułkownik, — bo to wiesz, jak to bywa w takich wypadkach. My tam pierwsi nie przyjdziem, w starych pułkach miejsca będą\* zajęte, a prosić o nominację do nowych...

— Hm 1 — przerwał Czuby, już cały myślą tą zajęty, — ale kto nam tych karabinów nakupi? ja bym pojechał, ale ja po niemiecku ani w ząb...

— Ale kto kupi ? — zawołał pułkownik, od czegoż ■ Herszko ?

Na to Czuby znów strzepnął palcami, a pułkownik mówił dalej:

— On w Ołomuńcu, jak w domu Jeździ tam prze- ] cież po cztery razy na rok z wołami. On ci kupi, co zechcesz i armat-by dostał. Tylko on na broni się nie zna, gotów kupić jakieś rupiecie. Trzeba-by kogoś z nim posłać. Cóż ty na to?

— To ja pojedę, pal jego kat! Jakoś ja się tam porozumiem. Powiem się Włochem...

— Nie, — rzekł pułkownik, — Włochem niedobrze, bo Włochy teraz się burzą, Niemcy gotowi cię zaraz przy- capić. Ale mógłbyś udać się za Hiszpana...

— To wszystko jedno! - zawołał Czuby, — jakoś to będzie. Trzeba-by tylko porozumieć się z Herszkiem.

— Herszko tu jest, czeka w przedpokoju, — rzekł na to pułkownik i zaraz zadzwonił.

W chwilę potem wszedł Herszko.

Był to żyd bardzo słusznego wzrostu i silnej budowy, cokolwiek dzióbaty, ale wybitnych rysów twarzy, z dużym nosem, siwemi, bardzo wymownymi oczyma i długą ciemną brodą, po której białe włosy się snuły. Twarz jego była zawsze nśmiechniona i dziwnie spokojna; wszelako w jego wnętrzu wulkaniczne paliły się ognie, sycone żądzą zgromadzenia milionów, dobicia się do znaczenia, ale zarazem i do powszechnego szacunku za pomocą dobrych uczynków. Nazywał on się Herszko Żubracki, od wsi Żubracze, którą trzymał w dzierżawie, lecz tylko dlatego, ażeby się tam czasem mógł schować na kilka dni dla wypoczynku, bo wioska ta, w głębokich górach leżąca, nie przynosiła wówczas więcej, jak dwieście dukatów dochodu. Pole to, na którym on pracował, było ogromnych rozmiarów. Trzy mał pr< pinację w stu wsiach okolicznych, pędził na swój rachunek kilkanaście gorzelni, przepędzał rocznie po kilkanaście tysięcy wołów od Sadagóry do Ołomuńca i Wiednia, trzymał na tej całej przestrzeni konie rozstawne, które remi latał jak koleją żelazną, trząsał jarmarkami na całej podkarpackiej przestrzeni, zaopatrywał bakaljami, sprowadzanymi z Włoch i ze Zachodu, kilkadziesiąt sklepów w miasteczkach, miał kredyt nieograniczony we wszystkich miastach, a na <jego słowo sypały się krocie, którymi też według swej woli przerzucał. Był on historyczną postacią na całym ruskiem podgórzu, każde dziecko go znało, wszyscy mu się kłaniali, jako wszechmocnej potędze, wszyscy w potrzebie się uciekali do niego, ale też wszyscy go szanowali. Był on bowiem nadzwyczajnie uczciwym, nigdy

nikomu słowa nie chybił, a zawsze każdemu dopomógł. Był także bardzo nabożnym i miłosiernym, często sam się narzucał z ofiarą, a przed jego domem gromadziło się co piątek po parę set żydów ubogich, którzy zawsze sowitą otrzymywali jałmużnę. Nie umiał ani pisać, ani czytać, ty

siężne swoje rachunki robił w pamięci i dlatego zapewne już w młodym wieku siły swe zużył do tego stopnia, że głowa mu się trzęsła, jakby starcowi. Rezydencję swoją miał w Wisłoku, gdzie wielką karczmę z zajazdem sam wybudował i miał przyzwoite izby mieszkalne, do Żubra- czego zaś tylko czasami dojeżdżał, gdzie się zamykał i nie przyjmował nikogo.

Teraz, ubrany w kaftan długi do kostek, w lekką szubę, kunami podbitą, ze złotą tabakierką w ręku, z uśmie- chniętą twarzą, jak zawsze, wszedł krokiem powolnym i rzekł do pułkownika:

— Najpierwej muszę wyklócić się z Jaśnie Panem. Ja już wiem, o co chodzi. Panowie mówili ze sobą półgłosem, ale drzwi zostawili otwarte. Jaka to ostrożność jeBt u Polaków. A jeśliby Herszko pojechał do starosty i zdradził ?

— Słuchaj Herszku — zawołał na to porywco Wisłocki — gdybyś ty zdradził, to jabym nie ciebie, ale siebie powiesił, bo wtedy jużbym i sobie samemu nie wierzył. A stąd możesz powziąć, jaką mam ufność do ciebie.

— No to dobrze, Herszko pewnie nie zdradzi — odpowiedział Żubracki — ale mógł tam kto inny być w przedpokoju.

— Słuchaj że Herszku, więc wiesz, o co chodzi; cóż na to powiadasz? Siadaj sobie, zażyj tabaki i mów szczerze, iak zawsze.

Żubracki poczęstował naprzód pułkownika, a potem Czubatego tabaką, siadł poważnie na krześle i rzekł spokojnie :

— Ja Jaśnie Panu i pięć tysięcy karabinów w Ołomuńcu zaku ię i dostawię aż do granicy. I to także powiem Jaśnie Panu, że nie masz żadnego niebezpieczeństwa. Rząd będzie patrzył na to przez szpary, bo co jemu zaszkodzi, że u jego sąsiada, który mu pewnie nie jest dogo- 1 dnym, dach się zapali: przecież ognia gasić nie będzie, I chyba prędzej jeszcze podmucha. Dlatego i pana Czubatego tam nie potrzeba; karabiny będą dobre, za to ja rę- czę. A wiele-to tego potrzeba?

— Ja tobie ufam, mój Herszku, — odpowiedział pułkownik — tymczasem tysiąc. Ale to na tem nie koniec. Bo trzeba mi także kilkadziesiąt postawów sukna, a jeślibyś lederwerków mógł dostać... Siadaj-no tutaj, Czuby, weź pióro do ręki i zróbmy notatkę, a zarazem obliczmy, co to będzie kosztować, bo koniec końców ja milionów nie mam w szkatule, a parę tysięcy dukatów, które mogę na to poświęcić, prędko się wyczerpią. A oprócz tego trzeba będzie przecież coś wziąć ze sobą.

Tak tedy zasiedli we trzech do stołu — a za godzinę Herszko już wiedział na pamięć, co ma pokupić i obliczono także mniej więcej, co te towary będą kosztować. Do czego dodał pułkownik.

— A więc dostawisz mi to wszystko do Leżajska...

— Nie, Jaśnie Panie — rzekł Herszko — do Narola.

— Ale dlaczegóż do Narola?—zawołał pułkownik.— Leżajsk to miasteczko, najbliższe granicy, jest to posiadłość pana Alberta Miera, mojego przyjaciela...

— Ale do Narola, Jaśnie Panie, — odpowiedział Herszko — bo ja tam mam moich ludzi. Tam mój stryj siedzi na propinacji i ma etlą ludność za sobą. A zresztą tam lepsza granica, jak w Leżajsku, stamtąd prowadzi gościniec do Zamościa. A Zamość może się zda na co, bo przecie Jaśnie Pan nie będziesz pułków formował w ot war tem polu...

—A to masz rację I — zawołał Wisłocki i rzekł do Czubatego. — Jak mi Bóg miły, tak czasem nie mogę się temu człowiekowi nadziwić, skąd się u niego bierze ten rozum.

Poczem się zwrócił i dodał:

— Tak tedy, mój HerBzku, wszystkośmy już umówili. Tylko musisz się spieszyć, bo tam lada chwila może tych karabinów będzie potrzeba.

— Mnie Bię zdaje — rzekł Herszko — że jeszcze wytrzymają do wiosny. Ale zawsze trzeba się spieszyć, bo to ce najmniej, ze sześć tygodni upłynie, nim te bryki dowloką się do Narola.

n

n

I

fi

i

— 70 —

ale już

— Tak i ja liczę, — zauważał Wisłocki z twoją podróżą. Kiedyż więc jedziesz?

— Ja wyjadę jutro przed Świtem, około północy będę w Tarnowie — a pojutrze wyprawię Btamtąd człowieka, który się z tem lepiej załatwi odemnie. Jest to mój krewny, który służył czternaście lat w wojsku i zna się lepiej na karabinach i moderunkach, niżeli sam komendant arsenału.

Pułkownik zastanowił pięć chwilę, lecz prędko dodał:

— To już twoja rzecz, ja się spuszczam na ciebie. Tylko jak transport będzie w Narolu, powiesz mi, u kogo złożony, bo wtedy poBzle tam mego człowieka.

— A kogo Jaśnie Pan poszle ?

— Tego jeszcze dziś nie wiem. Pojedzie Czuby, albo może poBzlemy Mrocza.

— To dobrze — rzekł Herszko, wstając z siedzenia, a zażywszy raz jeszcze tabaki, zapytał pułkownika: — Proszę Jaśnie Pana, czy ten młody pan Borch myśli zamieszkać w Leśniowej, bo widzę, że całe stado przyprowadził ze sobą a prsytem i sprzętów trzy bryki ?

— Dlaczegoż się pytasz? czy może sądzisz, że będzie\* miał z Łosiem trudności?

— Uchowaj Boże i Pan Łoś dobrze tam rządził i może mu oddać te dobra każdej godziny. Ale możnaby tam lepiej gospodarować, bo to bardzo piękny majątek. Tam w kilku folwarkach ozimina się rodzi, pastwiska i łąki ogromne, pańszczyzny więcej, jak trzeba, a lasy nietknięte i nieprzebrane. Gdyby tam gorzelnię i kilka tartaków postawić, to możnaby z Leśniowej bardzo wielkie ciągnąć dochody.

— Proszę cię — rzecze pułkownik — a ja o tem nic nie wiedziałem, bo też cudzych spraw nigdy nie jestem ciekawy. Ale kiedy tak, to ja to powiem Borchowi, nie wątpię o tem, że cię poprosi o radę.

— O i Leśniowa, w mojem ręku — mówił Żubrcki powoli, robiąc zapewne w swej głowie rachunek — musiałyby odrzucić co roku cztery, pięć a może i sześć tyBięoy

— 71 —

dukatów. A ile to takich majątków jest w kraju, któreby mogły przynosić znaczne dochody, a leżą prawie odłogiem! Ale panowie o to nie dbają. Panowie cbca Polski, bo bez niej nic ich nie cieszy. Może to i tak być powinno. No! niech Pan Bóg da szczęście...

I z tem wyszedł do sieni.

Wtedy już zmrok zapadł zupełny — a Borch jeszcze nie było. Wrócił on dopiero około dziesiątej i bardzo był kontent Łoś go przyjął jak nijredeczniej, jako syna swojego przyjaciela i jako krewnego swej żony, zdał mu natychmiast rachunki i bardzo prosił, aby zaraz nazajutrz dobra odebrał, w którym-to celu jeszcze tego wieczora wyprawiał swego rachmistrza do Leśniowej. Wiec i pułkownik był kontent; tylko Czuby coś kiwał głę \*a i mrucał pod nosem:

— Bodajby tylko tak wszystko było w Leśniowej. jak powiedziano w Urwiskach.

Ale pułkownik rozśmiał się na to i zawołał:

— A ty zawsze z Łosiem, jak pies z kotem - a mimo to bardzo się z sobą kochacie. Kto się lubi, ten się czubi, podobno to dla WEB wymyślono to przysłowie.

— Już ja wiem swoje — odpowiedział Czuby — i kiedyś się to pokaże..

Tak jeszcze chwilę rozmawiali ze sobą, lecz wcześniej udali się ne spoczynek, bo nazajutrz o świcie Borchowi trzeba było wyjechać z całym swoim taborem do Leonio w ej —

a pułkownik z Czubatym także o bardzo ранней godzinie wybierali się na objazd pomiędzy sąsiady i pojechali najprzód do Łosia.

Pod owe czasy żyły w ziemi sanockiej cztery rodziny Łosiów: jedni rezydowali na Rajskiem, drudzy na Jaworcu i Łuhu, trzeci na Smereku — a Mikołaj Łoś na Urwiskach, bardzo pięknym majątku, urządzonym wzorowo pod każdym względem, co jego sąsiedzi nazywali gospodarstwem niemieckim. Mikołaj nie był popularnym u szlachty, ani nawet u swych imienników, ale tylko Bóg wiedział, dlaczego. Ło-



siołowie narolscy, panowie z panów, z których jeden, postawiwszy z powoda uratowania się od śmierci kapliczkę, napisał na niej: „Zn to, ie Pan Pana od śmierci wybawił, Pan Pana na pamiątkę ten pomnik postawił”, nie przyznawali się wcale do niego — a sanoccy mówili o nim: Nie wiemy, skąd się' wziął na tym świecie. Jakoż istotnie Mikołaj zjawił się młodzieńcem w Wiednia w pierwszym dziesiątka bieżącego wieka, przyjechał z Pras, uzyskał protekcję Józefa Ossolińskiego i z nim razem pracował w naukach i literaturze, a zarazem i w sprawach politycznych. Ale był niezawisłym, żył z własnej kieszeni, wszedł w towarzystwa najwyższe z tytułem hrabi, którego nikt mu nie bronił, i był w Wiedniu znany cał -mu światu, a nawet powszechniej Inbiony, jako kawaler wesoły i ukształcony. Już przed kilkunastu lamy nabył w tych stronach Urwiska, podobno od Ossolińskich, a raczej od Mniszchów, zaprowadził administrację porządną ale mało tutaj przebywał, mieszkając wciąż w Wiedniu. Dopiero przeszłego roku ożenił się tamże z hrabianką Sosnowską, siostrą pułkownikowej po ojcu, bardzo młodziutką panienką, i odtąd tutaj stale zamieszkał. Szlachta go nie lubiła, nazywała go Niemcem, a jego żonę wiedeńską furfantką; ale jak to często u nas się zdarza, że bogatsi członkowie tej albo owej rodziny, swoich uboższych krewnych, zwłaszcza takich, z którymi od dawna nie mieli bliższych stosunków, podejrzewają o podszywanie się pod ich herb i nazwisko, tak podobno było także tym razem. Tak przynajmniej utrzymywała pani Erajczyna, która o nim mawiała: Gdyby tylko o to chodziło, to ma on więcej wojewodów i kasztelanów w swym rodzie, jak jego wszyscy sąsiedzi. I tak było zapewne, bo Mikołaj wywodził i«« z Łosiów zwanych pruskimi, o których szeroko piszą wszystkie herbarze; pisał się Guldstern-Łoś z Krzywonogi, i nie- tylko sobie nic z wszystkich plotek nie robił, ale jeszcze i rad sobie ze szlachty, a nawet i z swoich krewnych podrwiwał.

Mikołaj wówczas już pięćdziesiątki dosięgał, był dosyć słusznego wzrostu i zbudowany dość silnie, ale zdaje się że wesoło żył swego czasu, bo miał już sporą łysinę, twarz bladą bez wąsów, ale z krótkimi czarnymi faworytami, które tik samo siwiały, jak reszta czupryny, a oczy duże czarne, mocno błyszczące, ale podsiniałe cokolwiek ; toż i usta blade, chociaż ciągle śmiejące. Mieszkał w dużym nowożytnym pałacu, pomalowanym na żółto, a z dachem czerwonym, który po obu stronach był otoczony tak samo poma- lowanymi budynkami; wszystkie te budynki stuły na wyniosłości, na świeżem i zdrowem powietrzu i były urządzone cokolwiek po staroświecku, ale zasobnie i bardzo wygodnie. Też Łoś bardzo lubiał cztery ścVny swego pałacu, ze swojej kancelarji zarządzał swem gszpodarstwem, chętnio gości przyjmował u siebie, lecz sam rzzdko wyjeżdżał, ale i wtedy tylko karjolką w pogodę, a w słotę karetą, bo kulbaki nie lubiał, a podobno nawet jak żyw na niej nie siedział Teraz ubrany w szlafrok kwiecisty i w czapczkę z kutasem na głowie, w swej kancelarji, Komnacie ogromnej, zastawionej szafami, która mu także Błużyła za męski salon, był właśnie zajęty rozmową ze swoim wiernym Markowskim, człowiekiem twarzy pucułowatej z ogromnymi konopiastymi wąsami, który był rządzcą i totumfackim u niego,—kiedy pułkownik z Czubatym zajechali przed ganek.

— Tak rano ? któż to być może ? — zawołał Łoś i pobiegł do okna, a Markowski do sieni, kiedy wtem goście weszli do komnaty, a pułkownik zawołał, wyciągając rękę do nijgo:

— Jak się masz, Łoś? (Napoleończycy mieli zwyczaj każdego po nazwisku nazywać ) Myśleliśmy, że cię jeszcze zastaniemy w pierzynach...

— Jak się masz, panie szwagrze? jak się masz, Czubyaty ? — wołał do nich Łoś, ściskając ohudwóch za ręce — otóż-to mi goście 1 bodaj wasi rad wam jestem, jak sobie samemu. Czem-że wam służyć? Czyście już po śniadaniu? hej, Markowski, każ-no dać wina, pierników, a może tam tort jaki się znajdzie...

— Słuchaj Łoś — przerwał mu Wisłocki — spodziewam się, że nie wzięłeś mi za złe, zem wczoraj nie przy-

W««l OJcowlo.

jechał z Borchem do ciebie, ale ty wiesz, jak ja nie lubię się mieszać w rachunki, a nawet i nie znam się na tem. Dla tego dziś przyjechałem...

— Bardzo ci dziękuję — rzekł Łoś — ale między nami mówiąc. Borch, chociaż młody, opiekuna nie notrze- buje. Tak mi się zdaje. Zresztą nie dziwno, bo i ojciec jest rządnym i rachunkowym. Nadto zaś jeszcze ja sam jak najmniej mieszałem się w administrację Leśniowej. Nadzorowałem tylko ich rządce, który im zawsze zdawał rachunki. Sądzę, że Borch znajdzie wszystko w porządku. Tu urwał i zaraz się zwrócił do Czubatego:

— No, cóż tam nowego, mospanie Czubaty? A zawsze przy ostrogach, jak gdyby już jechał na wojnę. A wszystko mu jedno, z kim i za co, byle się siarczyście wyczubić. A tu wojny, jak nie ma, tak nie ma...

— Ej, nie wywołuj wilka z lasu — rzecze na to pewny siebie Czubaty — wiesz, jak to wasza stara pieśń mówi: „Nie wołaj, Mikołaj, będziesz w czas.” A nuż będzie wojna, bodajby takim szlafrokowym nie dano także po czubie.

— A, już zaraz po czubie! — zawołał Łoś — a za co? chyba za to, że przy ostrogach nie chodzą. A przecie na ostrogach świat nie stoi, są i inne rzemiosła w kraju, a nie wszystkie idą pod komendę panów Czubatych.

— No, jak strzelać zaczniemy — rzecze Czubaty — to ja tobie wynajdę rzemiosło, a wtedy obaczysz, że i ty się dostaniesz pod komendę Czubatych.

— A, to nie wiem, jakie wy dla mnie znajdziecie rzemiosło! — odpowiedział Łoś, śmiejąc się i patrząc w twarz Czubatego, — chyba, że mnie konowałem zrobicie, albo każecie mi krupy wozić za sobą.

— Będziesz krupy wozić — zawołał Czubaty — ale wiesz, że do krup potrzeba słoniny, otóż, jak słoniny nie będzie, to wtedy po czubie.

Tak docinali sobie ci przyjaciele, ale wtem pułkownik wziął Łosia pod ramię, odprowadził go o parę kroków ku oknu i zaczął mu coś opowiadać: tymczasem zaś Czubaty zasiał do stołu pod drugim oknem, nalał sobie szklanekę wina i ukroił kawałek toruńskiego piernika. Łoś zrazu szeroko otwierał oczy, przekrzywiał usta i zdawał się wyrażać powątpiewanie, jakoż wymówił te słowa:

— I myślisz, że się to uda?

— To tylko Bóg może wiedzieć; my tylko wiemy, że może się udać.

— A więc odbierzemy Moskalom wszystkie nasze prowincje i będzie Polska, jak dawniej? — zawołał Łoś a jego twarz rozpromieniła się jakąś dziwną wesołością, o której także tylko Bóg wiedział, czy była szczerą, jednak z tą wesołością krzyknął zaraz do Markowskiego, który zawsze jeszcze stał przy drzwiach:

— Markowski! jest tam chłop jaki przed gankiem?

— Jest Jaśnie Panie, właśnie chciałem powiedzieć...

— Pal jemu dwadzieścia pięć — zawołał Łoś.

— Cóż-to, chyba żartujesz? — rzekł na to pułkownik, śmiejąc się — a tymczasem Czubaty otworzył gębę, nadzianą piernikiem i wpatrzył się w Łosia szeroko rozwartymi oczyma.

— Jak to? — zawołał Łoś — Polska będzie a mnie nie wolno... Markowski! pal jemu pięćdziesiąt.

— Ale cóż-ci to znowu za warjacja przychodzi! — huknął Wisłocki na niego, porywając go za rękę — panie Markowski! idź sobie z Bogiem.

Ale Łoś śmiał się i ręce zacierał — a tak prawdopodobnie był to tylko jadowity żart z jego strony. Ale Czubaty nie zrozumiał, że ten żart był wymierzony przeciwko szlachcie, bo bardzo gniewnymi oczyma patrzył na gospodarza, a przełknąwszy piernik, rzekł do niego głosem zirytowanym:

— Gdybym nie wierzył, żeś prawdziwy karmazyn, tobym się teraz o tem przekonał...

Łoś spojrział z tryumfem na niego, widać, że mu to szczególniejszą sprawiała uciechę, jeżeli go dobrze podrażnił. Pułkownik także się śmiał i właśnie brał szklanę do ręki, którą gospodarz mu nalał, kiedy Czuby porwał się

lewą ręką za swoją gęstą czuprynę, przegiał w tył głowę, a doniósłszy prawą ręką swoją szklanke do ust, wypił ją duszkiem. Na to też Łoś rozśmiał się głośno i spytał;

— Czemuż-to tak za łeb się bierzesz, Czuby?

— Gdybym się za łeb nie trzymał, tobym dawno uciekł od tej Inry, — rzekł Czuby, mszcząc się tym sposobem na Łosiu, i nalał sobie drugą szklanke.

— A przecież drugą nalewasz, — zauważał Łoś, przy- czem mu się jednak twarz przeciągnęła, bo nie tak bardzo ile rozumiał o swojej piwnicy. Ale w tej chwili znowu się rozweselił, zasiadł ze swymi gośćmi do Btołu, mrugnął na Markowskiego, aby kazał przynieść lepszego wina i nie spuszczać z oka Czubatego, zaczął opowiadać rozmaite historie.

— I ja także rozumiem, że się to uda — mówił do pułkownika — a jeśli mam prawdę powiedzieć, to nie mało ja przy tem liczę na Rusinów. Naród to bitny, wytrzymały i ukształcony... szkoda tylko, że kiedy mu przyjdzie pić lure, to musi za łeb się trzymać. Ale są między nimi i tacy, którzy nie potrzebują prynuki. U mnie jest ksiądz tego narodu, co go muszę w sobotę na klucz kazać zamykać, bo inaczej w niedzielę rano nie trafiłby do ołtarza, przy którym ma służbę Bożą odprawić.

To mówiąc, Łoś śmiał się i ręce zacierał i mówił dalej:

— Ten ksiądz miał dwoje dzieci, Jasia i Marysię; niedawno temu Jaś umarł, położyli go na katafalku, Marysia przypatrywała mu się ciekawie i niecierpliwie, a kiedy się matka zjawiała, spytała jej: Mamo, kiedy będą z Jasia skórke ściągać? Dlatego ja mówię, że to naród jest ukształcony...

Na to Czuby gorzko się rozśmiał i właśnie się odciął:

— Poczekaj-no Łosiu! ściągnę ja skórke z ciebie i nie będę czekał, aż cię na katafalku położą...

Tak siebie ci zacni sąsiedzi żartowali ze sobą, jak było wówczas w całej Polsce w zwyczaj, kiedy wtem przez drzwi otwarte do drugich pokojów weszła, a raczej wbiegła pani Łosiowa. Wszyscy się zerwali, aby ją powitać, bo dla swej wesołości była przuz wszystkich nadzwyczajnie lubioną.

Hrabina była wtedy jeszcze bardzo młodzianka, nie miała więcej jak lat dziewiętnaście, miernego wzrostu, prześliczna blondynka, pulchna i świeża, jak róża dopiero-co rozwinięta, na której migocą jeszcze majowej rosy perełki, z oczyma filuternemi, śmiejącemi się zawsze i z maleńkimi zmarszczkami około oczu, kiedy się śmiała serdecznie. Wolno było o niej mówić po za oczyma, co się podoba, lecz przy niej każdy topniał, jak воск i musiał jej być przyjacielem. Nawet kobiety ją bardzo lubiły, chociaż miały jej to i owo do narzucenia. Tylko pułkownikowa traktowała ją, wprawdzie także łaskawie, lecz chłodno, chociaż była jej siostrą po ojcu. Ale nic w tem dziwnego. Były to bowiem całkiem różne temperamenty, a oprócz tego pułkownikowa jej dawniej wcale nie znała i po pierwszy raz z nią się spotkała, kiedy Łoś z"hią osiadł w Urwiskach, albowiem ojciec drugą swą córkę, urodzoną z Bukowskiej, dzieckiem odumarł, pozostawiając jej wychowanie krewnym swej drugiej żony. Łoś był niezmiernie dumny ze swojej młodzianki małżonki, którą wszyscy pieścili — a chociaż i on topniał przy niej jak воск, a może w tem topnieniu czasem duszno mu było, był z nią bardzo szczęśliwy.

— Moja droga Salusia! — zawołał pułkownik, całując ją w czoło i w rękę — już tak rano ubrana, a jeszcze do tego tak ładnie!

Dowiedziałam się, że pułkownik przyjechał i w lot się ubrałam, bo widzę, że nawet konie nie wyprzę- żone. Ej! ooś to tam być musi pilnego! — odpowiedziała wesoło hrabina i zaraz się zwróciła do Czubatego, który już całkiem rozpromieniony ścisnął jej rękę: — a pan Czuby podobno znowu klócił się « Łosiem? szkoda, że innie tu nie było, bo byłabym zaraz wody na was polała. A o co to wam chodziło?

— O! toby wcale Łosiowi nie zaszkodziło! — zawołał Czuby, — bo by mu się też przytem i języczek ochłodził...

— Tylko tym razem, — poderwała pani Łosiowa, — ■ tak mi się zdaje, że Łoś miał rację. Ja nie wiem... ale coś mi się przysłyszało, że chcecie krupy nim wozic. A przeciw temu już i ja musiała-bym protestować.

— Ale cóż z nim zrobimy ? — rzekł żartując Czuby, •— jak wojna wybuchnie, przecież i on mrsi służyć krajowi. Żołnierzem nie jest, chce, abyśmy go wzięli na konowala, ba 1 ale-bo i to jest rzemiosło i miałby się z pyszna, zwłaszcza na wojnie, gdyby mi konia zagwoździł.

— A' mnie się zdaje, że o to nie będzie kłopotu, — odpowiedziała hrabina, — przecież Łoś jak tam powiada, o włos, że nie został hofratem. Szkoda wielka, bo byłby mi zrobił w Wiedniu pozycję. Otóż ja sądzę, że w Warszawie włosy nie będzie...

— Ot! i to prawda, będzie i tam gryzie-piórków potrzeba, zawsze to lepiej, niżeli krupy wozic za wojskiem.

A kiedy pułkownik znów wziął Łosia pod rękę i odprowadził ku oknu, jego żona obrzuciła Czubatego pytaniami : — A co tam robi Marunia ? a jak się ma mały Fedorek ? — co tego wybornego męża i ojca nadzwyczajnie uszczęśliwiło.

Ale już tylko chwilę trwała ta rozmowa, bo pułkownik się spieszył i właśnie mówił cokolwiek niecierpliwie, chociaż wesoło:

— Nie, nie. mój drogi. Jeżeli chcesz złożyć jaką ofiarę, to musisz się z tem udać do pana Ksawerego, bo jeśli co będzie, to tam te składki zbierać się będą. Ja, jak wiesz, broń mnie Boże...

— Ale ja na każdy wypadek za parę dni do ciebie na gawędkę przyjadę, — zakończył Łoś, — bo ty wiesz przecież, że ja mam w Wiedniu stosunki...

— To i owszem, rad tobie będę i pogadamy, — odpowiedział pułkownik i zaraz wziął Czubatego ze sobą, pożegnali się i wyjechali do Plennej.

Kiedy już siedzieli na wózku, Czuby zapytał:

— A co to tam za ofiary roją się Łosiowi po głowie ?

— Chce daś parę set dukatów na sprawę publiczną, — odpowiedział Wisłocki, — i kilkanaście koni na wojnę.

Ale Czuby na to jakoś głową pokiwał, a po chwili rzekł:

— To niech dukaty poszle do Warszawy, a co do koni, to już chyba niech je dla siebie zatrzyma, bo oprócz tych dwóch kucochwostych anglezów, co je do karety zaprzęga, jeszcze u niego pocziwej szkapy nie widział.

Zaczem, pomilczawszy'chwilę, znowu zapytał:

— A co to on tam mówił o swoich wiedeńskich stosunkach ?

— Nie takie to głupie, — rzekł na to pułkownik, — co on mi powiedział, bo już ci z trzema mocarstwami wojny prowadzić nie mogę, a nie będzie to obojętnie, jak się zachowa Austria.

Tak więc o tem rozmawiali przez chwilę, aż im się pokazały dworskie zabudowania w Plennej.

Dziwna-to tam była ta siedziba szlachecka. Dawnemi czasy stał tam zamek obronny, z ogromną wieżą okrągłą, opatrzoną otworami do zataczania armat; zamek ten był okolony murem dość wysokim z trzech stron, a plecyma cierał się o wzgórze skaliste, nieprzystępne ani dla konnych, ani dla pieszych. Ale już w przeszłym wieku zamek poszedł w ruinę, a została się tylko wieża i mur okolny z bramą żelazną. Do tej wieży przybudowano wielki dwór modrzewiowy, z pięterkiem, przytykającym do wierzchu wieży i ogromnym gankiem, opartym na ośmiu olbrzymich słupach. Z czasem zaś przystawiono jeszcze, to do starego

dwora, to do wieży, rozmaitego kształtu budynki, tak, że trzeba tam było jakiś czas mieszkać, aby się z wnętrzem tych zabudowań obeznać.

Majątek ten był jedną z siedzib starożytnej i sławnej rodziny Korabitów-Łaskowskich, ale dzisiaj rezydowała na nim kobieta, matrona bardzo poważna i używająca wię-

kieg) respektu w całym sąsiedztwie. Czy ją szczerze kochano, trudno wiedzieć, bo szlachta czasem dla bardzo błahego powodu odmawia swoich sympatyj; ale to pewna, że byli tacy, którzy się jej obawiali dla jej prawnomowności. Pochodziła ona również z starożytnego rodu Osojów-Bukowskich, którzy rezydowali na Nozdrzu i liczyli bardzo wielu kasztelanów, starostów grodzkich i podkomorzych pomiędzy swymi antenatami; wychowywała się we Wiedniu, gdzie ojciec jej przez wiele lat mieszkał, prowadząc jakieś zawikłane procesy i tamże wyszła za pana Laskowskiego, który z młodu wszedł w służbę arcyksiężąt modeńskich, wysoko piastował urzędy, a umarł kraj-czym koronnym. Pani krajczyna miała z nim syna jedynaka, który przeciw jej woli wychowywał się w wiedeńskiej szkole inżynierji, a potem służył jakiś czas w wojsku dopiero co służbę porzucił i właśnie przyjechał do matki. Była to kobieta słusznego wzrostu, nie otyła, ale zbudowana barczysto, o twarzy chropowatej cokolwiek i siwiejących już włosach, staroświeckim czepcem nakrytych, mówiła głosem niskim, na pozór również chropawym, ale umiejącym także przybierać tony ujmującej dohrooduszności.

Kiedy pułkownik z Czubatym zajechali przed ganek, nikt do nich nie wyszedł, zapewne dlatego, że była-to jeszcze bardzo ranna godzina. Weszli zatem do przedpokoju, a tam zastali s'arego kamerdynera, który ubrany w czarny frak i białą chustkę nu szyi i w białej szlafmycy na głowie, siedział przy oknie i robił na drutach pończochę. Kamerdyner ten był rodem z Czech, nazywał się Cybulka, służył jeszcze u ojca krajczyny we Wiedniu, a teraz był już na łaskawym chlebie, ale jeszcze zawsze pełnił służbę pierwszego kamerdynera. Cybulka poznał pułkownika". } rzemówił do niego po niemiecku, pocałował go w rękę i otworzył mu drzwi do ogromnej komnaty, która choć opatrzona licznymi oknami, lecz obwieszona ciężkimi kotarami i zastawiona starożytnymi sprzętami, była cokolwiek posępną. Wszedłszy tam, kiedy Cybulka poszedł ich zameldować, Czubaty skrzywił nosem i rzekł szeptem do pułkownika:

— Jakiś dziwnie Niemcem tu pachnie. Toż niewiem, czem nam tutaj zakadzą, jak co wspomnimy o Polsce.

A w tem weszła krajczyna.

— Jak się masz, mój družbo, — rzekła poważnie, ale łaskawie do pułkownika, który będąc jeszcze w akademji inżynierów, na jej weselu družbował, — Bóg ci zapłać, żeś sobie przecie przypomniał, że ja jeszcze żyję na świecie. Twoją żonę widziałam w niedzielę w jeznickiej kaplicy i wiem, że jest zdrowa i ślicznie wygląda. Widziałam także Lorcię, śliczne to dziecko, niech wam Bóg da z niego pociechę. Wiem także, że macie gościa; powiadano mi, że z wielkim dworem przyjechał i chce w Leśniowej zamieszkać. No, a jak-to tam z Łosiem?

— Jak dotąd, wszystko w najlepszym porządku.

— To chwała Bogu. Inaczej byłabym tam jakieś słówko dodała. Spodziewam się, że przecie kiedyś przywieziesz mi Borcha. Podobno to także wojskowy, będzie dla mego By kompanja. No, a kogoż-to mi przywozisz? Mości Czubaty, daj-że mi rękę. Rzadko ja waści widuję, boś na mnie nie łaskaw, ale znam dobrze i mam dla waści konsyderację. Natłukłeś się waści niemało po świecie za tę naszą nieszczęsną ojczyznę; no, ale masz przecie na czem odpocząć, rządzisz się dobrze, jak Błyżę, masz piękną żonę, Bóg ci dał rynka.— a tak jeszcze jakoś Bóg na nas łaskaw, może też jeszcze się i nad Polską zmiłuje. Ale wy głodni... bądźcież cierpliwi, zaraz nam dadzą śniadanie, to się i pożywicie. Siadajcież sobie tymczasem... i pogadajmy.

Krajczyna siadła w swoim ulubionym fotelu przy stole, oni koło niej; Czubaty się na takie serdeczne przyjęcie toczulii i chciał dziękować, ale wobec krajczyny nie łatwo było przyjść do słowa. Pułkownik ledwie ją spytał o syna, kiedy ona zaraz głos zabrała i tak mówiła:



— Mój Walek, Panie Boże odpuść tym, którzy g6 mieli w swoich szponach aż do jego pełnoletności, przecie nareszcie odzyskał wolność. Skończywszy akademię, trzeba mu to przyznać, że z wielką dystynkcją, wstąpił jako podporucznik do artylerji, już w kilka miesięcy awansował na

Wail ojcowie.

porucznika, a tej jesieni byłby już kapitanem; ale jak tylko dwudziesty czwarty rok skończył, upadam do nóg. Opieka się skończyła, wziął dymisję i przeszłego tygodnia przyjechał. Zaraz go obaczycie.

Jakoż istotnie w tej chwili weszło dwóch młodych ludzi do komnaty. Pierwszy z nich był wzrostu miernego, cery spalonej, z dużym nosem chrząstkowatym i wybitnymi jysami twarzy, znamionującymi energję, toż i jego czupryna tak czarna, że za oczy chwytiała, podnosiła jeszcze to samo wrażenie; ale jego oczy, choó także czarne i błyszczące, patrzyły wzrokiem dziwnie nieśmiałym, jakoż i w ca'ej jego postaci przebijała się uderzająca skromność i jakby niepewność siebie samego. Widać było na pierwszy rzut oka młodzieńca, który przeżył swe życie w twardej suborjynacji i jeszcze nigdy nie Btał na własnych nogach.

Natomiast drogi miał całkiem inne wejrzanie. Był on dużo słuszniejszy, bardzo jasny blondyn z dużemi niebie- skiem i małemi, w górę podkreconemi wąsami, bardzo kształtnej budowy i ruchów, odznaczających się ową elegancją wytworną, którą pod owe czasy tak wysoko ceniono w salonach; z wypukłą piersią, mocno spięty w pasie, miał przytem także postać cokolwiek wojskową, lecz przedewszystkiem uderzał wyrazem swobodnej wesołości ■ni troski na gładkiej swej twarzy i ową pewnością siebie, która świadczy o stanowczości charakteru, a często jest także znamieniem przedsiębiorczości. Zgoła była to postać bardzo sympatycznego młodzieńca, który nas pociąga ku sobie, bo widzimy na pierwsze spojrzenie, że ma przyszłość przed sobą, a zarazę 3 czujemy, że tę przyszłość w wła- si,cm ma rękę.

— Ot'ż mój Wałek — rzekła krajczyna, pokazując na pierwszego — ale uprzedzam was, że się z nim nie rozmówicie po polsku, tak mu tam Niemcy złamali język w tej akademji. Trzeba z nim mówić po francusku, albo kto umie, to po włosku, bo Ho niemiecczynny was nie zapraszam. A to jest pan pułkownik Wislocki.. a to pan Czubyaty, także ze starej gwardji napoleońskiej.

Na to obydwaj goście wstali z swych krzeseł. Wałek wyprężył się, jak prosty żołnierz, a pułkownik także się wyprostował, ale czy to bez żadnej myśli, czy pod wpływem nieprzyjemnego wrażenia, przemówił po niemiecku do niego, pytając go o lata służby i dodając łaskawie, że i on swego csa&u wyszedł z tej samej akademji. Zgoła była to konwersacja bardzo grzeczna, lecz sztywna; pułkownik raczył tu mówić z porucznikiem, tak, że nawet Czubyaty to uczył i zaraz się zbliżył do Walka i zaczął z nim mówić po włosku.

— A asińdzi, mój družbo — zauważyła krajczyna — mówisz jeszcze po niemiecku, jak Niemiec...

Pułkownik uśmiechnął się na to i rzekł:

— A któż jest ten drugi młodzieniec?

— A to jest ten sam Dziaduski, synowiec nieboszczyka mojego męża, za którym przed trzema laty pisałeś list do pułkownika Bogusławskiego. Czy nie pamiętasz ?

— A jużci pamiętam — zawołał pułkownik, kłaniając Dziaduskiemu uprzejmie — ale nie wiedziałem, że się wstawiam za tak pięknym młodzieńcem. Więc jakże tam, mój młody panie, czy mój list przydał się na co? czy Bogusławski jeszcze mnie sobie przypomniał ?

— Bardzo pułkownikowi dziękuję — odpowiedział wesoło Dziaduski — i bardzo się cieszę, że mam sposobność podziękowania, które od dawna mi ciąży na sercu. Bogusławski sobie pułkownika zaraz przypomniał, powiadał mi, żeście się panowie niedawno przedtem widzieli w Warszawie, i treści listu wysłuchał, bo już w kilka miesięcy po tem zrol>ił mnie podporucznikiem.

— W czwartym pułku linjowym — rzekł na to pułkownik — przyznajże, że to nie bagatela. Ale musiałeś sam mieć szczęście do ludzi, bo to tam w tym pułku nie znają protekcji. Chyba, że sam w. książę...

— W. książę z początku bardzo łaskaw był na mnie, — odpowiedział pokornie Dziaduski — ale później zaszły wypadki...

— Jak to ? więc już nie słyszysz ?

«- Ot, szkoda mówić — przerwał krajeźyna — Iu»6

\*

84 I

pan Dziadnski, zamiast czekać spokojnie, aż pora przyjdzie po temu, bił w papę oficerów moskiewskich i wyzywał na rękę. Udało się raz, ndało i drogi, ale nareszcie się to doniosło do księcia, a wtedy, gdyby był nie czmychnął zawczasu, byłby pewnie poszedł na dwadzieścia lat do Zamościa. A i tak go tam podobno osądzono zaocznie...

— Hm — mruknął na to pułkownik — gruba-to sprawa... ale znów z drugiej strony, krew nie woda, a z tymi Moskalami czasem istotnie...

Pułkownik był widocznie bardzo zaambarasowany, bo końcem końców miał zbiega przed sobą; ale znów z drugiej strony... młodzieniec ten bardzo mu się podobał. Tymczasem wydobył go z ambarasu Czuby, bo usłyszawszy, co tam w Warszawie pobroił Dziaduski, porwał go w swoje ramiona, wyściskał za ręce i zaraz się z obydwoma młodymi żołnierzami w ką zaprowadził na koleżeńską rozmowę.

Dano znać do śniadania, przy którym się wesoło bawiono, rozmawiając po polsku, po włosku, po niemiecku i po francusku, tylko spraw publicznych nie dotykano, bo były przy stole jakieś stare guwernantki i panny respektowe, kapelan domowy i karzeł Hiszpan, który Czubyego w doskonały humor wprowadził, mówiąc z nim po hiszpańsku. -Dopiero po śniadaniu krajczyna zaprowadziła się z pułkownikiem do swojej ulubionej komnaty i zasiadła naprzeciw niego do poufnej rozmowy. Czuby z obydwoma młodymi oficerami zasiadł w drugim pokoju, wypytując Wąłkę ciekawie o jego służbę artylerzycką, a Dziaduskiego o pojedynki. Pułkownik skorzystał z tej sposobności, aby zwrócić uwagę krajczyny na nastąpić mogące wypadki

i podsunąć jej myśl, że obowiązkiem młodych rodaków, a zwłaszcza wojskowych, jest służba... bez względu na to, jakie tam który z nich ma przekonania polityczne. Ale krajczyna przyjęła te wiadomości i uwagi dość chłodno.

— Nie potrzebuję cię zapewniać — mówiła ona do pułkownika — jak mnie to zawsze bolało, że mój syn się tak niemczy. Jakoż będąc przed rokiem w Warszawie, myślałam o tem, aby tam wstąpił do wojska, jak tylko się

tutaj uwolni. W tym celu zaskarbiłam sobie łaskę księżnej Łowickiej i pozawiaływałam tam trochę stosunków, do czego mój krewny, pułkownik Bukowski, był mi bardzo pomocnym. Ale od czasu, jak przed kilkoma miesiącami zjechał do mnie Dziaduski i opowiedział mi szereg szczegółów, jakto tam traktują naszych oficerów w tej armji, zaczęłam się zastanawiać — a teraz postanowiłam sobie zaczekać do wiosny. Zresztą mój Wąłek musi się pierwej nauczyć po polsku, bo inaczej byłby tam pośmiewiskiem.

— No, to tam mniejsza — rzekł na to pułkownik. - - Dąbrowski, kiedy przyjechał do Włoch, aby formować legiony, także mówił po polsku z bardzo mocnym akcentem niemieckim, często nawet mu słów brakowało, do tego stopnia, że nie można było się z nim porozumieć po polsku. Żołnierze śmiali się z niego po kątach, a młodszy oficerowie nawet powątpiewali o jego miłości dla Polski. A przecież to mu nie przeszkodziło przewyższyć wszystkich patrioty- zmem i poświęceniem i zająć najpierwsze miejsce w ojczyźnie.

— Nie każdemu się zaraz równać z Dąbrowskim, — odpowiedziała krajczyna, patrząc z uśmiechem w oczy pułkownikowi, lecz zaraz dodała — a co tam się tyczy tych spodziewanych wypadków, to mam i ja oczy otwarte; ale trudnoż coś postanawiać o rzeczach, które są jeszcze w powietrzu. Jeżeli to będzie coś rozumnego, to nas tam nie braknie, byle i innych nie brakło.

Z tych słów pułkownik ni 3 odniósł takiego wrażenia, jakiego się spodziewał, bo przecie stary żołnierz może być z?wsze młodemu pomocnym. Jakoż odwrócił rozmowę od trgo przedmiotu i spytał:

— Powiedz że mi, pani siostró, — Wisłócki tak ją nazywał, bo była mu krewną po babce — czy nie możnaby jakoś Dziaduskiemu dopomódcz? bo żal mi tego młodzieńca. Osądzony zaocznie za pojedynek, to prawda, ale z.iwaze to jest dezercja. Już się tam nie będzie mógł nigdy pokazać, a do tego podobno i nie bogaty...

— Dziadami — mówiła krajczyna — dziś nie bogaty,

nie ma bezdzietnego stryja w Krakowskiem, którego szacują >ia dwa miliony, a którego majątek się jemu kiedyś dostanie. O to tedy nie ma się co kłopotać. Ale między nami mówiąc, wisus to wielki. Ja jego kocham, bo to krew nasza, a zresztą taki to wisus, że go trudno nie kochać. Ale mam ja z nim nie mało zmartwienia. Nie dosyć, że mi wszystkie konie zajeżdża, ale jeszcze i żadna panna służąca nie może przejść przez kurytarz, żeby jej choć z daleka nie cmoknął. On myśli, że ja o tem nie wiem, ale asindzi wiesz, że u mnie mysz się w swej dziurze nie ru- Bzy, żeby jej nie spostrzegł v. Pozaprzeszłej niedzieli przy- parł nawet (.opadnę do kąta i wycalował na piękne i tak mu się to udało, że go ksiądz złapał na gorącym uczynku. Bóg wie, co by się było z tego zrobiło, ale przeniez jakoś uspokoila księdza, zapewniając go, że poszle grzesznika do spowiedzi. Jakoz wyprawila go do kościoła i podobno się tam spowiadał...

— Jeżeli go ksiądz złapał na gorącym uczynku, — zawołał pułkownik — to djabli mu tam po tej spowiedzi I Chyba, że się przed nim samym spowiadał...

— Nie, jeździł do Urwisk, bo i tam także dojeżdża, a wraca czasem dopiero, jak kury pieją. Zgoła cały dom mi przewrócił do góry nogami. Jest z tego czasem nie mała rozrywka, na co ja się w mojej samotności nie skarzę, ale nieraz więcej, jak trzeba. To tylko jedno w tem mnie pociesza, że mój Walek się przy nim rozrusza, bo go tam Niemcy już tak zachmurzyli, że jak kanonik wyglądał. A to nie dobrzs w tym wieku. Tak tedy mój dom się trochę ożywił — a jeżeli jest przy tem trochę pustoty, to może nam to Pan Bóg w swej łasce przebaczy.

Pułkownikowi przypomniał się jego własny wiek młody, więc znowu się rozpogodził i rzekł wesoło:

— Młodym godzi się trochę poszumieć, aż póki się nie wyszumią. I myśmy także szumieli za naszej młodości...

Krajczyna na to machnęła ręką z uśmiechem, jak gdyby chciała powiedzieć, że lepiej o tem nie wspominać, jakoz zmieniła przedmiot rozmowy, powtarzając raz jeszcze;

— Więc Borch kontent był z Łosia, to mnie bardzo cieszy. Bo prawdę mówiąc, sama nie wiem, co tam panowie sąsiedzi chcą od niego; słyszę tylko, że ten mu nie ufa, a ów o coś go podejrzywa, ale nigdy nie mogłam' się dowiedzieć dokładnie, co tam mu zarzucają. Ja jego z nim od lat blińko trzydziestu: i ja też nie miałam nigdy gorących sympatyj dla niego, bo raz zdawał mi się zanadto mądry, a drugi raz zanadto hulaka; ocierał Bie zawsze 0 wszystkich, ba I nawet często zjawiał się tam, gdzie go nie posiano; mimo to nikt jego właściwie nie znał, bo z nikim zażyłości nie szukał, a stąd niby jakąś tajemnicą był otoczony: ale ja byłam z nim zawsze w zgodzie i nie wiem prawdziwie, za cobym go mogła potępić. Baz tylko miałam z nim sprzeczkę, a to natenczas, kiedy mi się oświadczył o rękę Salusi. Bo ja znałam dziewczynę. Wychowali ją u Salezjanek, obyczaje tam bardzo surowe, ale temperamentu żaden klasztor nie zmieni. Salusia od śmierci ojca, bo matka ją odumarła jeszcze w kolebce, bywała u mnie co niedzielę i święto, poznałam ją z bliska I zawsze sobie mówiłam: Tej trzeba męża, coby go wszystkim innym można postawić za przykład. Aż tu zjawia się Łoś! Pomyślałam sobie zaraz: Ten jegomość oczywiście oszalał, jej lat siedmnaście, a jemu czterdzieści z okładem, do czegoby to było podobne? — Ale, jak asindzi mówisz, znów z drugiej Btrony... panna prawie bez posagu, nawet i bez przytułku, ja jedna miałam nad nią opiekę, a wtedy już na wsi mieszkalałam i tylko czasami dojeżdżałam do Wiednia, więc nie można było bardzo przebierać. A Łoś się uparł, jak kozioł i obiecywał jej znaczne zapisy. Jednak dopełniłam obowiązku sumienia i dałam mu delikatnie do zrozumienia, co o tem myślę, mówiąc: Mój mości hrabio, tak mi się zdaje, że to partja nie dla ciebie. Nim pójdziesz do spowiedzi do księdza, raczej byś się pierwwej wypowiedział przed samym sobą, a jeśli Biebie nie okłamiesz, to się jeszcze rozmyślisz. To dziewczyna jak iskro — a tobie już czupryna wylazła, a jeszcze podobno do tego i gościec cię łupi po kościach.

Więc rozważ to sobie, bo jeżeli ty z cukierkami wybierasz się w tę drogę, to ty się swoich uszu nie domagaśz pomiędzy rogami, które powyrastają na twojej głowie. Bo ja wierzę w cnotliwość kobiet, jako też i wielkie cnoty w kobietach widziałam, ale tego znów trudno od młodej mężatki wymagać, aby na cukierkach przestała. Ale on rzecze: Mam ja rozum, mościa dobrodziejko i bywałam już w różnych opałach, a zawsze z nich wychodziłam zwycięsko. Otóż-to racja! Toż właśnie dla tego, żeś już bywał w tylu opałach, że ci aż czupryna wylazła, powinienbyś się zastanowić, nim się rzucisz w te nowe opały, jakie taka siarczysta dziewczyna ci sprawi. Ale to już pierwszą miłość trudno wybić z głowy — a nie dopiero ostatnią. A co tam do tej Salusi przystąpiło, że poszła za niego, to już tam nie wiem, bom i jej także perswadowała: ale podobno duszno było pannie w klasztorze. Toż i mniszki tak mi radziły, żeby to wydać za męża, jak tylko jaki przyzwoity kawaler się trafi. Więc ja nic sobie nie mam do zarzucenia. No i jakoś dotychczas jest spokój. Łćś kontent, jeszcze sobie czasem ze mnie żartuje, że go ostrzegę — a i Salusia się nie skarży. Ale ja, kiedy ją widzę, jak się chichocze z chłopcami, że aż cały dom z nią chodzi, to nieraz po- cierpam i nie dowierzam i mówię sobie: Bodajbym się omyliła, ale czasem mi się tak zdaje, że ona jeszcze kiedyś tak tego Łosia rozniesie, jak u mnie niedawno młode konie lozniosły starą landarę, że i kół nie można było odszukać po polach...

Pułkownika bardzo te rzeczy bawiły, ale że już było z południa, a on chciał jeszcze panów Lipskich odwiedzić, więc spojrzął na zegarek i zaczął się żegnać.

— Jedźcież sobie zdrowi — rzekła krajczyna do niego i do Czubatego, który tymczasem ją w rękę całował — nie zitrzymuję was, bo to dzisiaj dzień krótki. Nie wyprowadzam was, bo od kilku dni nie wychodzę z pokoju, toż i wyjechać teraz nie mogę. Ale zamawiam sobie łaskę twoją dla mego Walka, który w tych dniach wraz z Dziaduskim wam się pokłoni w Wisłoku. Uściskaj swoją żonę odemnie

i powiedz jej, że niczego goręcej nie pragnę, jak zachowa\* jej przyjaźń, którą tak szczerze się cieszę.

Pułkownik uścisnął ręce Walka i Dziaduskiego, zaprosił ich do siebie i wyszedł razem z nimi; lecz, kiedy weszli do sieni, Czubaty przeprosił go, że skoczy jeszcze na chwilę do Dziaduskiego, który mu chce jakieś nowe pistolety pokazać, i zniknął z obydwooma młodymi ludźmi w b< cznym kurytarzu. Pułkownik tedy sam wyszedł na ganek i właśnie dał znak swemu stangretowi, który stał przed stajniami, aby zajeżdżał, kiedy wtem ojrzał zajeżdżającą w b amę dwoma anglezami zaprzęzoną karetę. Karetą za- jecliała przed ganek, a z niej wyskoczyła Salusia, uśmiechnięta, jak zawsze, ale jakby roztargniona cokolwiek, ścisnęła pułkownika za rękę i spytała go prędko:

— Jest tu ten szelma Dziaduski?

— Jest szelma Dziaduski — odpowiedział, śmiejąc się serdecznie, pułkownik — właśnie go widziałem, jak w kuchni całował popadję.

— Dam ja jemu popadję! — zawołała Salusia — a pułkownik już odjeżdża?

— Już — odpowiedział Wisłocki - - ciotka dziś w nienajlepszym humorze. Pułkownicy u niej już za nic, zdaje się, że już sama awansowała na generała. A cóż tam Łoś?

— Łosiowi się kurzy z łysiny, tak mu mózg rozpalily te wasze nowiny. Przez imaginację już jedzie na kcronację. Proponowałam mu, żeby się podał na referendarza, ale ani mu o tem wspominać. Co najmniej, chce zostać ministrem.

A wtem wszedł Czubaty z obydwooma młodymi ludźmi na ganek, Dziaduski przyskoczył do pani Łosiowej, ale ona go odsunęła od siebie i pobiegła do ciotki, a pułkownik z Czubatym wsiedli na wózek i odjechali.

Nasze dwory szlacheckie są w ogólności bardzo do siebie podobne, bo żyją w nich to same obyczaje i ten sam duch narodowy je ożywia od wieków; ale dwóch całkiem jednakowych podobno w całej Polsce nie znaleźć, bo również od wieków bardzo wyrobiona samoistność rodziny na-

1 12  
Wul Ojccwio  
EU0



dała każdemu dworowi odrębny i tylko jemu właściwy charakter. Wszelako dwór w Lipkach nie wiele się różnił od owych starożytnych rezydencyj szlachty pomiernej i skromnej, ale zamożnej, które od kilku wieków pozostawały w ręku jednej i tej samej rodziny, a w których można było znaleźć pierwszo wydanie Biblii Wujka, niejeden sprzęt z czasu Zygmunta i wypełniałe makaty z czasu wyprawy wiedeńskiej. Było to bardzo stare domostwo o kilkunastu komnatach i izbach, nakryte zczerniałą strzechą z okapem i szczytem z gontów, z wielkim gankiem o czterech słupach i ogrocinami drzwiami od wchodu, z wyrżniętym na belce poprzecznej napisem: *acidificata anno 1718*. Po prawej stronie, cokolwiek opodał, stał szpichlerz drewniany, piętrowy, jeszcze starszy od dworu, po lewej oficyna, a dalej po obudwóch stronach wozownie i stajnie, pomiędzy którymi rozścielał się bardzo obszerny dziedziniec, służący także za rajszulę.

Majątek Lipki, wieś duża i urodzajna, z jednym tylko folwarkiem, leżącym u brzegu rozległych lasów bukowych, znajdował się od niepamiętnych czasów w ręku rodziny Lipskich, pieczętujących się herbem Grabie, ale tylko o pięciu zębach, podczas gdy drudzy Lipscy, mający kardynałów w swym rodzie, mieli Grab'e o siedmiu zębach. Brak tych dwóch zębów noszący się wyżej od nich sąsiedzi im czasem wypominali, ale oni nie robili sobie nic z tego, owszem mawiali z dumą: „Zjedli my więcej Tatarów i Turków naszymi pięciu zębami, niżeli kardynałscy, chociaż mają o dwa kły więcej w swym herbie”. Jakoż istotnie ci Lipscy odznaczeni się po wszystkie czasy niezmiernie gorącym patriotyzmem, służyli we wszystkich wojnach, trzymali zawsze z narodem, nie gonili nigdy za zaszczytami, ani za majątkami, owszem przeciwnie, niejednokrotnie wiele cierpieli i liczyli niemało męczenników w swym rodzie, którzy poginęli za ojczyznę i wiarę na galarach tureckich, w niewoli szwedzkiej i w kopalniach syberyjskich. W tym starym dworze żył jeszcze w całej swej pełni ów duch stary i niespożyty, który z Polski zrobił przedmurze chrześcijaństwa i apostoła oświaty, ludzkości i wolności, a który jedynie jest mocen wskrzesić ją z grobu. Ojcem tej rodziny był dzisiaj pan Moatowniczy, człowiek sześćdziesięcio-letni, wysoki, barczysty, z głową podniesioną do góry, z siwym wąsem przyszyronym i nastroszonym z żołnierska, z okiem lewym przewiazanym czarną przepaską, z twarzą rumianą i czerstwą, w dre- liskowym żupanie, sięgającym tylko do kolan, z furażerką na głowie, na prawe ucho zwieszoną i z długim oztero- konnym batogiem w prawicy. Nazywano go Mostowniczym, bo straciwszy oko w legjonach, służył potem u saperów i wślawił się przy burzeniu i stawianiu mostów nadzwyczajną energją i zmyślnością. Tak teraz stał w ganku i komenderował swoim dwóm synom, którzy na koniach, w równej odległości od siebie, powtarzali całą szkołę jazdy, a od czasu do czasu przesadzali barjerę, która stała na środku gazonu. Za Mostowniczym stał chłopak służący, który wciąż pistolety nabijał i podawał mu, a on z nich palił na wiatr, ilekroć który z jego synów przejeżdżał przed gankiem. Po drugiej stronie stał drugi chłopak, tarabań- czyk stajenny, i walił na bębnie marsz jeneralny. Przy takiej zabawie rycerskiej zastali Lipskich pułkownik z Czubatym, kiedy zajeżdżali przed ganek.

— A ty, jak widzę, wstajesz raniej od wszystkich j— zawołał pułkownik, wyskakując z wózka i ściskając rękę Mostownicczemu, a ten na to głosem zadzierzystem :

— Lipscy nie zasypiają nigdy gruszek w popiele. Kto tam wie, kiedy zatrąbią pobudkę, wstydy nam było, gdybyśmy nie byli gotowi.

— Toż i my ich nie zasypiamy, — dodał Czubaty, całując się z Mostowniczym, — i właściwie przyjeżdżamy do ciebie, aby się z tobą namówić.

— No cóż tam? — zapytał Lipski, — czy macie jakie wiadomości z Warszawy?

— Dotąd nie jeszcze, — odpowiedział Wisłocki, — tylko nas rozmaite słuchy dochodzą, ie tam już ziemia się

trzęsie. Wytrzymają jeszcze zapewne do wiosny, ale czasem przypadek...

— A ja wam powiadam, Ż3 nie wytrzymają, — rzekł Lipski tonem stanowczym — jest tutaj u mnie kapucyn, który się wymknął z Warszawy, bo go tam chciano przy- cupió niby za jakieś spiski. Opowie on wam, czego tam już nie dokazuje ten Bryś przeklęty ze swoim Roźnieckim... A eą i inni, którzy im pomagają. Wrzucają teraz st.ideu- tów do więzień i kijami ich do wyznań zmuszają — a je- nerałowie polscy prowadzą sami te inkwizycje. Chybaby byli z kamienia, gdyby na to patrzali spokojnie do wiosny. Jeszcze tam i szubienice zaskrzypią, bo to jedyne lckar- two na zdrajców. Hsjl chłopcy! — zawołał swoim donośnym głosem — stępą przed ganek i z koni!

Poczem się zwrócił do gości i dodał:

— Przedstawię wam moich synów. Obydwa właśnie Terezianum skończyli i dopiero przed dwoma tygodniami wrócili z Wiednia. Kazałem ich uczyć prawa i administracji, bo z postępem czasu trudno bez nauk dobrze służyć ojczyźnie. Uczono ich i jeżdżenia na koniu, ale tam co innego ta jazda niemiecka; dobre to do Prateru, ale nie w polu. Więc ich ćwiczę cokolwiek, a przy tem i konie się służby przyuczają.

Tymczasem obydwaj młodzieńcy zajechali prz^d ganek, zsiadli z koni i przedstawili się gościom. Niezwyczajny, to był widok, bo obydwaj tak byli do siebie podobni, że nie można ich było rozróżnić. Obydwaj pięknego wzrostu, blondyni z niebieskimi oczyma i z wąsikami zakreconymi w górę, zbudowani bardzo foremnie, ale o bladych twarzach, świadczących o życiu, przepędzonym pomiędzy murami, a może i o smętnych uczuciach. Dopiero świeże górskie powietrze zaczęło lekko zarumieniać ich twarze, jeszcze młodzieńczym puchem okryte, a że jeden z nich się cokolwiek prędzej odżywił, więc przypatrzwszy się bliżej, można go było po mocniejszych rumieńcach od jego brata rozeznąć. Bardzo sympatyczni to byli młodzieńcy, jak krew z mlekiem pełni tej wesołości promiennej, którą tylko

93 -

młodość dać może; ale mimo to widać było, jakoby zamyślenie na ich twarzach, świadectwo uczuć głębszych, znamię tej generacji, która Bie wychowała w czasie zawiedzionych nadziei i szukania myśli zbawienia w nieznanym dotychczas głębiach ducha narodu.

Pułkownik tak się zajął ich widokiem, że się prawie rozczulił, co mu się rzadko zdarzało; powitał ich bardzo serdecznie, wypytał o terezjańskie nauki, chwalił ich pilność, a wreszcie dodał:

— Ale choć was tam po niemiecku strzeżono, jestem pewny, żeście sobie przekradli Woionioza i Mickiewicza i pilnie czytali...

— Umiemy obudwóch na pamięć — odpowiedzieli z naiwną uciechą młodzieńcy. Ale Mostowniczy im przerwał. mówiąc rubasznie, jak zwykle:

— Urodzili się na św. Piotra i Pawła, a więc jednemu Piotr, a drugiemu Paweł na imię. Dotychczas prowadzili się dobrze, lubią książki, ale i kenia dosiędą, zdrowi aą, jak orzechy — a tak mam w Bogu nadzieję, - że ojczyzna będzie z nich miała pociechę. Ale chdźcież do pokojów, bo już zaczyna zawiewać chłodek wrześnieowy, a może się też czem posilicie.

Kiedy pułkownik z Czubatym wjeżdżali w dziedziniec, widzieli przy stajniach dorożkę Milka, zaprzęzoną jego ka- rym rysakiem w kabłąku, którym latał jak ptak po są- siedztwach. Wisłocki rzekł zatem do MoBtowniczego:

— Podobno nasz Milek ieBt u ciebie 1

— Jest, — odpowiedział Lipski, — bawi się z dziewczętami. Miłc-to bardzo chłopczysko, nie wywalczy on szablą ojczyzny, ale umysł-to wzniosły i złote serce u niego; toż moje dzieci przepadają za nim, a dla mojej matki to święto prawdziwe, kiedy on nas odwiedzi.

Z tem przycisnął pułkownik klamkę i pierwszy wszedł do komnaty. Ale za ledwie stanął we drzwiach otwartych, usłyszał łoskot ogromny, dwie panny naprzód, za nimi Milek, wszystko to z hukiem i trzaskiem wyleciało do dalszych pokojów, powywracawszy krzesła za sobą. Pułko

wnik obejrzał się na Czubatego, który wchodził za nim i rzekł z uśmiechem:

— Kaśka za piec, Maciek za nią, wyrócili ocet z banią. Ale dla czego tak uciekają?

A w tem z odległego kąta już trochę zamierzchłej komnaty ozwał się głos kobiecy, ale chropawy i stary:

— A kto-ta-n wchodzi z takim harmiderem do komnaty ? przccie to jeszcze nie konfederacja!

Pułkownik spojrział w ten kąt, a tam siedziała w głębokim fotelu bardzo stara matrona, w czarnej duchence na głowie i w okrągłych okularach na nosie, niegdyś zapewne potężna wzrostem i budową, ale dzisiaj już bardzo zgarbiona i z twarzą wyschniętą i pooraną zmarszczkami.

Była-to pani chorążyna, matka Mostowniczego, żywy i wielce ciekawy zabytek jeszcze z czasów konfederacji barskiej. Miała ona i wzrok i słuch mocno już przytępiony, stąd jak się zdaje, nie bardzo była sposobną do nadzoru panienek; ale jej umysł był jeszcze czerstwy i świeży, pamięć jej służyła wybornie, zwłaszcza przy opowiadaniu czasów dawniejszych, miała serce nadzwyczaj tkliwe i sąd bardzo trafny o rzeczach, chociaż czasem go sobie tworzyła w sposób sobie właściwy.

Koło niej siedział kapucyn, człek jeszcze młody, ogromny wzrostem, lecz wyschły jak deska ; ale chociaż miał habit na Bobie i treпки klasztorne, a tonzurę na głowie, jednak jakoś nie bardzo na księdza wyglądał. Jakoż i to trochę w oko wpadało, że nosił krótko strzyżoną brodę, która nie mogła liczyć więcej, jak kilka tygodni, a wąs dużo starszy od brody. Czubaty, stary żołnierz, którego uwagi nie uszła żadna rzecz, grzesząca przeciw przepisom, choćby to był tylko guzik krzywo przszyty a łaknąć przy tem, jak kania deszczu, wiadomości z Warszawy, zaraz się przysiadł do tego kapucyna i zawiązał z nim tak żywą rozmowę, że niebawem zabrał go z sobą do przyległego pokoju.

Pułkownik przypomniał się chorążynie, którą znał (eszcjze za życia swojego ojca i zapewniał ją o swoim

uszanowaniu. Chorążyna mu dziękowała, przypomniwała, że znała jego ojca bardzo pięknym kawalerem, szkoda tylko, że z jego matką nie mogła się nigdy rozmówić, bo nie uuiła po polsku. Jednak zaraz poczęła od wypadków dzisiejszych i tak mówiła:

— Au nas hałas, tartas i wrzawa, bębnią, trąbią, strzelają, jakby w konfederackim obozie. Podobno znów będzie wojna. I waszmość pewnie także pociągniesz, boś jeszcze młody, a do tego i rangę masz w wojsku. Mój syn starszy od waszmości, ale także ztradna usiedzi w domu, bo zechce zapewne swoich synów umieścić. Ja mówię: Daj Beże szczęście! Tylko żebyście w dawno błędy nio popadli i nie dali się za nos wodzić arystokracji. Bo to ja bardzo dawne czasy pamiętam i wiem, co nas te błędy kosztują. Ci nasi panowie stracili zmysł, którym trzeba kierować sprawę publiczną. Jak to oni dali się omamić już za czasów konfederacji radomskiej ! Konfederacji barskiej tak nie pomogli, jak należało. Nuż potem zawiązali targowicką, panie Boże im odpuść! — a za Kościuszki już ich wcale nie\* było. Inżci bili się potem w legjonach, z moim synem służyło ioh wielu, nie żalowali krwi i majątków; ale kiedy mieli księstwo Warszawskie w Bwem ręku, to cóż zeń zrobili? Naprzód się zdali na łaskę Napoleona, a potem na łaskę cara: a przecież mieli kraj własny i własną armję i mogli głos zabrać w Swojej sprawie...

Pułkownik siedział jakby na szpilkach: szczęściem weszły panienki, które mu Mostowniczcy przedstawił. Córki Lipskiego były o wiele młodsze od swoich braci. Starsza Marynia, jasna blondynka z rozmarzonymi błękitnymi oczyma, zapowiadająca już teraz wzrost słuszny i formy okrągłe, miała zaledwie rok szesnasty; młodsza Gertruda, mocna kiunetka, blada, z piękną ale cokolwiek Bpaloną cerą na twarzy, z dużymi czarnymi oczyma, pełnemi ognia, z bardzo pięknie zakrojonemi, ale cokolwiek wąskimi ustami, była tylko o rok młodsza od swojej siostry. Oba- czywszy te piękne stworzenia pułkownik, kontent, że

mógt

przerwać rozmowę o arystokracji, zerwał się prędko z siedzenia i przystąpił do tych panienek, prawiać im komplimenty ze swoją zwykłą grzecznością. Panienki jednak, chociaż tak młode, odpowiadały śmiało, a osobliwie Gertruda dotknęła caraz rzeczy publicznych, mówiąc z zapalem:

— Ja już widzę pułkownika w mej wyobraźni, jak na czele pułku ułanów rozbija te obrzydliwe hoidy moskiewskie, które nam naszych braci mordują w Warszawie...

— A, to pani źle widzisz — rzekł na to Wisłocki — bo ja jestem pułkownikiem od piechoty, a więc chyba na czele pułku piechurów będę się tłumił z Moskałami, bijąc się z nimi kolbą i pięścią i kolanami, oto tak właśnie, jak nasze Maćki biją się w karczmie ze sobą. Nie bardzo-to poetycznie, nieprawda?

Na to Gertruda jakoś się zamyśliła, bo według jej wyobraźni, każdy rycerz musiał siedzieć na koniu i wyglądać, jak św. Jerzy, a piechota to ciury; ale i Marynia także zapewne takie same miała pojęcia o wojnie, bo spytała:

— Jak-to? to żchnierze is'olnie tak się biją ze sobą, jak w karczmie, kolbą i pięścią ?

— A tak — odpowiedział śmiejąc się pułkownik — a czasem nawet i zęby są w robocie. I ja właśnie do takich żołnierzy należę. Ale są inni, co siedzą na koniach. A dawniej miewaliśmy nawet bardzo świetną konnicę, jak na przykład hussarzy, których srebrne pancerze błyszcząły jak słońca, a skrzydła im odrastały od ramion. Jak Milek kiedy jenerałem zostanie, to może nam wysztyfcuje taką hussarską chorągiew.

— O! to się wujaszek bardzo omylił — rzekł na to Milek, który stał obok panny Gertrudy — bo ja potępiam z zasady pancerze. To średniowieczny zabytek, który już poszedł pomiędzy stare rupiecie. Jeżeli ja kiedy bić się będę z wrogami ojczyzny, to z nagą piersią, jak Grecy.

— To bardzo pięknie — powiedział Wisłocki z dobrocią ojca, bawiącego się z dziećmi — ale Grecy nie ucieka'!. A tyś drapnął, jak gdyby kto z rozpalonym różnem gonił za tobą, obaczywszy tylko dwóch piechurów i to jeszcze do tego bezbronych.

— Co też wujaszek nie zmyśla! — zawołał śmiejąc się Milek — kiedyż to było ?

— Dopiero-co, jakeśmy tutaj weszli z Czubatym.

— Ale cóż to! to przecież nie ze strachu.

— A więc dla czegożeście drapnęli ?

— Albo ja wiem? bo panny się przestraszyły. Właśnie graliśmy w ciuciubabkę...

— Panny, to dobrze. Obaczywszy obce twarze, uciekły. Ale dU czegoż i tyś także uciekał ?

— Albo ja wiem? — rzekł niecierpliwie Milek — cóż ja temu winien, że mam takie nerwy drażliwe?

— Mieć nerwy drażliwe — odpowiedział zawsze żartobliwie pułkownik — to nie jest zbrodnią Ale, kto ma takie nerwy, ten się nie bije z nagą piersią, jak Grecy.

— Otóż to obaczmy! — rzekł Michał \$ dziecinnym cporem i chciał dalej mówić, ale wtem przystąpił Mostowniczy do niego, położył rękę na jego ramieniu i rzekł z otwartością ojcowską:

— Już tam co do tego, to się chyba nie sprzeczasz. Jak ze moie biskup, tak z ciebie żołnierz nie będzie. Na koniu siedzisz po łacinie, kiedy się bijesz w pałasze, to się zacierzewisz, że nic przed sobą nie widzisz, a kiedy-by ci kto z pistoletu za uchem wystrzelił, to pewniebyś upadł plackiem na ziemię.

— Ale to nerwy! to nerwy! — wołał Milek, Biniejąc cały, jednak udając, że to za żarty przyjmuje.

Tymczasem Mostowniczy mówił dalej:

— Bywali i u nas tacy żołnierze po pułkach, aleśmy ich do kanoelarji dawali, jeżeli tak, jak ty, mieli głowę po temu

— Ale cóż tam do kancelarji 1 — wołał Milek, — cóż lam do kancelarji! no, obaczymy.  
Pannie Gertrudzie jakoś nie w smak była ta rozmowa, patrzyła ze zdziwieniem na Milka,  
a z niechęcią na pułkownika; ale pułkownik bardzo był kontent, wesoło żegnał s.ę  
Wul OJo >«i«.

z Mostowniczym, bardzo poważnie z Chorążyną, lecz za to chłopcom serdecznie ręce wyściskał, zapraszają? ich, aby przyjechali do Wisłoka, gdzie będą mile przyjęci. Milek także się żegnał — i tak wyszli przed ganek, gdzie właśnie zajeżdżały ich powozy. Ale ta Milek się zdradził, że go te przycinki zniecierpliwiły, bo pierwszy wskoczył do swojej małej dorożki, krzyknął na swego kozaka, który go woził, oficerskim głosem: Paszo! i zniknął w ola mgnieniu za bramą.

Wisłocki z Czubatym wsiadali do swego wózka pc- malu, jeszcze z siedzenia żegnali się z Mostowniczym i jego synami i wolnym kłusem wyjechali za bramę, ale jak tylko znaleźli się na gościńcu, pułkownik zawołał także na swego stangreta: Jasiak! puszczaj konie, gdzie równo, bo pani nas cz^ka z objadem, — i zawiąwszy się w płaszcz, zatonął w milczeniu. Widać było po nim, że był także w niedobrym humorze. Czubaty spojrzał parę razy na niego, lecz także milczał. Dopiero po chwili pułkownik zapytał go, raczej a>eby przerwać milczenie, niż z ciekawości:

— I cóż ci tam opowiadał ten kapucyn?

— To taki kapucyn, jak ja, — zawołał śmiejąc się głośno Czubaty, — to jest wachmistrz z drugiego pułku ułanów, nazywa się Walicki, w. książę go Bkazał na dwanaście lat do Zamościa, ale wymknął rię stamtąd i przy pomocy swojego brata, który jest gwardj-nem u kapucynów, di stał się tutaj w te góry.

Pułkownik zmarszczył brwi na to i spytał:

— Za cóż to go do Zamofcia skazano?

— Niełatwo to dowiedzieć się prawdy w takich wypadkach, — odpowiedział Czubaty — powiada, że się por- wał La swego kapitana, który go zelżył.

— Otóż to masz! — rzekł pułkownik pochmurnie — E niebawem całe te góry zapełnią się dezerterami. A już i o szubienicach zaczynają wspom'nać. I jeszcze kto? Mo- stowniozy, stary żołnierz, co całe życie przeżył w subordy- nacji. Mój Czubaty, to nie dla nas kompanja. Miałem ja g różne myśli, kiedyśmy dziś rano wyjeżdżali z Wisłoka, ja-

— 99 —

kieby tu siły można zgromadzić w naszym sąsiedztwie. Ma- lerjału nie braknie, młodzieży huk w każdym dworze, Babrałby się wcale porządny oddziałek, gdyby to poszło pod dobrą komendę. Ale ta każdy chce mieć swój rozum — i mają go także kobiety. Wiec narzucać się nie będziemy... Odtąd ich zostawimy w spokoju, niechaj każdy swego Boga chwał', jak mu się podoba.

Czubaty może innego był zdania, lecz milczał, bo z nawyknięcia nie lubiał sprzeciwiać się swemu mleczce nu bratu. I tak zajechali przed ganek, gdzie ich czekano z obiauem.



#### IV.

Mimo to, ie pułkownik stanowczo porzucił wszelkie projekty przygotowania jakichkolwiek posiłków dla powstania, dwór wisłocki znacznie od tego czasu się oiywił. Przyjeidźali bliisi i dalsi sąsiedzi, a czasem i ktoś taki zawadził, o którym, jak o owym kapucynie, trudno było się dowiedzieć na pewno, kim jest i skąd się zjawił w tych górach.

Najpierwszy przyjechał Łoś i przywiózł ionę ze sobą. Pułkownikowa właściwie bardzo lubiła swoją siostrę, bo ją cały świat lubił, ale nie wchodziła z nią w bardzo bliskie stosunki, bo najpierw obawiała się jej lekkiego temperamentu, a nie chciała względem niej przyjmować roli men- torki, czego by zresztą Saiusia nie dopuściła, a oprócz tego nie miała dla jej męża uczucia szacunku, tego głównego warunku prawdziwej przyjaźni, bo jej Bię zdawało, ie ma charakter płaski i egoistyczny. Były-to wszakie dni bardzo wesole, kiedy Łosiowie bawili w Wisłoku, bo Salusia rozweselała wszystkich, a jej mąż przedziwnie bawił się z Miłkiem, wystawiając jego idealny patijotyzm na ciężkie próby, a samego Milka na śmieszność. W tych farsach pułkownik najczęściej sekundował Łosiowi, ale niejednokrotnie takie brał młodzieńca w obronę, za co mu tenże w swem dobrem sercu nadzwyczajnie był wdzięcznym. Pułkownik grał tutaj grę jakąś, której ostatnie słowo było tylko jemu samemu wiadome.

W parę dni takie przyjechali Wałek z Dziaduskim i zjechali się z Borchem. Wszelako Borch jakoś dziwnymi oczyma patrzył na Walka: najprzód przykro mu było wi-

— 101 -

dzieć Polaka, który się łamał zi swoim językiem ojczystym, (coś podobnego trudno było znaleźć wówczas na Litwie a choćby nawet i w Petersburgu), a oprócz tego nie miał on wcale form salonowych, swojej towarzyskiej pozycji odpowiednich, nie umiał konwersacji utrzymać na równi, kłaniał się wszystkim zanadto nisko, śmiał się bez potrzeby i ręce zaiicrał z radości, kiedy kto do niego przemówił, jik gdyby jui to samo było szczęściem dla niego, lę go ktoś swoją przemową zaszczycił Mimo to wszakie ilekroć s<ę Borchowi udało, wciągnąć go w dłuższą rozmowę, to znowu musiał Bię dziwić, tak samo zacności jego uczuć obywatelskich, jak i gruntowności jego ukształcenia, mianowicie w rzeczach wojskowych. Dopiero pułkownik wyjaśnił Borchowi tę sprzeczność, opowiadając mu szczegółowo, do jakiego stopnia w owoczesnych instytucjach wiedeńskich sub- ordynacja była surową i zasadniczo obliczoną na to, ażeby młodzież ogłupić i przytłumić w niej jej włacną wolę. Co zaś do form towarzyskich, — dodawał Wisłocki — tych Wiedeńscy aie mają: gromers ou plats, innych form tam ni.i znajdziesz. Są zapewne wyjątki, lecz tylko w sferach najwyższych. Natomiast Borch bardzo łatwo się zaprzyjainił z Dziaduskim i był z nim od razu, jak gdyby się znali od wieków. Członkowie rodzin, połączonych ze Bobą wspólnością pewnych tradycyj, tworzą jakoby rodzaj masonów, którzy się między sobą poznają na pierwszy rzut oka. Toż i pułkownik bardzo Dziaduskiego polubił i zapomniał mu całkiem, iż w gruncie rzeczy był dezterem.

Jednego dnia przyjechał także Mostowniczy z By nami, ale pułkownik urządził dla nich polowanie na dziki, ugościł Buto, jednak żonie swjej ich nie pokazał — i na tem skończyły się wszelkie pomiędzy nimi relacje. Dopóki ludzie są ludźmi, zawsze będą wynajdywać pomiędzy sobą różnice: dopiero wielkie burze i wielkie nieszczęścia równają ich z sobą i uczą tej starej prawdy, że matki ich w jednakowych porodziły boleściach, a po tej garści prochu, która po nich zostanie, nikt poznać nie zdoła, jakim pieczętowali się herbem...

Borch byw.ł w Wisłoku z początku dość często, potem długo się nie pokazał, jeździł do Krakowa, czy nawet do Wiednia, czego ti? nie można było dowiedzieć na pewno — a później wcale już nie wiadano, czy bawi w Leśniowej, czy może wyjechał do ojca- Młodzieniec ten otoczył się jakąś tajemniczością, czego mu jednak Wisłoccy wcale za złe nie brali, wiedząc dobrze, w jak delikatnej sytuacji się jego ojciec znajduje, a domyślając się, że Bor- chom zapewne przedewszystkiem chodzi o to, aby sytuację zmienić, albo jakkolwiek uregulować. Jedna ich linja mieszkała w Austrii, przez którą mieli w Wiedniu bardzo wpływowe stosunki, a więc mogły się tam robić tego rodzaju usiłowania, o których nawet najbliższym krewnym się nie wspomina, dopóki pomyślny skutek ioh nie uwieńczy.

Wszelako Milek się ruszał za wszystkich. Latał po sąsiedztwach, deklamował, agitował i grał w ciuciubabkę, bratał się ze wszystkimi, emigrantów przewoził i przechowywał, albo wmawiał w siebie, że to są emigranci; zgola znajdował się w swoim żywiole. Tego młodzieńca wówczas właściwie nikt nie znał, były w nim bowiem takie sprzeczności, że nikt sobie o jego charakterze nie mógł zrobić jasnego pojęcia. Wrażliwy do najwyższego stopnia, czuł, jak mimosa pudica i tkliwy, jak piętnastoletnia dziewczyna, był często poetą, który się unosił nad wszystkim i rozpływał, jak mgła wiosenna w promieniach słońca: lecz czasem nagle wyskakiwał zeń człowiek półdziki — a wtedy patrzył n\* świat oczyma krwiożerczego potwora i tylko w świata zniszczeniu widział świata zbawienie Często upadał na duchu i w najczarniejszej się topił rozpacz; lecz jak wszyscy ludzie wrażliwi, znowu się prędko podnosił i tkał sobie ze złudzeń najświetniejsze nadzieje. Dobry, potulny, mięki jak powój i przymulający się wszystkim, płaczący szczeremi łzami nad nieszczęściem bliźniego i gotów zawsze dzielić się z nędzą ludzką ostatnim groszem, w danych wypadkach bywał bardzo stanowczym i nieubłaganym, a czasem składał zadziwiające dowody determinacji, i rozwijał energję, jaką tylko w bardzo sprężystych cha- rakterach widzimy. Było bardzo wielu lu<]zi, którzy go wcale nie rozumieli: jedni widzieli w nim anioła dobroci, drudzy apostoła braterstwa i równości pomiędzy społeczne- mi warstwami, a inni tylko wielce kapryśnego panicza, po którym było widać, że niedawno nosił pałasz przy boku Ale pułkownik tłumaczył jego charakter w sposób bardzo prosty, mówiąc: że to jeszcze jest dziecko, owoo niedojrzały, z którego dopiero kiedyś się coś stałego wyrobi — | pułkownikowa dodawała:

— Cierpiał bardzo wiele, cierpiał nad swoje siły i cierpień swych jeszcze nie przetrawił; trzeba go zostawić samemu sobie, a z czasem przywróci się w nim równowaga.

Przez całą resztę jesieni pułkownik już rzadko kiedy wspomniał o powstaniu. Nawet i w okolicy jakoś o tem ucichło. Nie pierwszy to raz w tych czasach rozeszły się takie wieści po kraju, obudziły śpiących na chwilę i znowu ogłuchły. Pułkownik nawet mawiał już wtenczas do Czubatego :

— Młodzież nasza, jak widzę, bez wyjątku, gorąco kapana. Ot, i Borch, chociaż zdaje się być bardzo rozsądny, narobił hałasu, a wcale bez potrzeby. A i mnie tak- żeby nie szkodziło, gdyby mnie czasem zimną wodą polano. Trzeba mi było zaraz ubrać się w karabiny, a jeszcze i w lederwerki do tego. Ustroimy się w nie obydwu i będziemy paradować przed pałacem w Narolu. Za te pieniądze możnaby było wioskę kupić w tych górach. Gdyby mi Herszko dał znać, że karabinów nie dostał, tobym go w bredę pocałował, a jego żonie dałbym bindę w prezencie. .

Ale tymczasem w połowie października Herszko dał znać, że karabiny już są w Jarosławiu, a najdalej za tydzień będą w Narolu. Pułkownik tedy chcąc nie chcąc, musiał posłać po Mrocza, który też nazajutrz w nocy przyjechał, a trzeciego dnia rankiem stawił się do apelu.

Mroczek był to jeden z tych typów swojego czasu, ja- kiemi Polska podów< zas była jeszcze dość gęsto zasiana, a które dzisiaj należ\* do starożytności kopalnych. Wysoki,

chudy, z twarzą wyiółkłą i zapadniętą, z Biwemi obwisłymi wąsami i krótko podgolonemi faworytami, w długi siwym surducie, wojskowym krojem ze s alowemi guzikami i z torbą skórzaną, przewieszoną przez plecy, wyglądał na mieszczanina, lecz na pierwszy rzut oka, można w nim było poznać starego żołnierza. Jakoł był w samej istocie jednym i drugim. Wzięty za młodu w rekruty w Brzozowie, gdzie jego rodzice mieli posiadłość, i posłany do Włoch, w pierw Bzej bitwie rzucił karabin i przeszedł do swoich. Robił całą kampanję włoską razem z Czubatym, a później był z Wisłockim w Hiazpanji i miał nieszczęście, czy szczęście dostać się z nim na angielskie pontony. Lecz raczej szczęście, bo pułkownik się bardzo prędko z tej niewoli uwolnił i zabrał go zo sobą. Odtąd Mroczek już zawsze był przy nim, dosłużył się rangi podoficera, bywfł w kompanji płatnikiem, a po bitwie pod Lipskiem, byłby był pewnie mianowany podporucznikiem, bo wszyscy oficerowie jego kompanji zginęli; lecz na nieszczęście dostał się do niewoli i musiał wrócić do demu. Pułkownik nadzwyczajnie go lubił, bo Mroczek należał do tych żołnierzy, którzy nigdy o tem nie myślą, że mogą być ranni lub zginąć: rzadko on się zapalał w bitwie, jak inni, ale stał w ogniu, jak mur i miał krew zimną i przytomność umysłu >v najwię- kszem niebezpieczeństwie, którą często podziwiali nawet najstarsi żołnierze. To też pułkownik mawiał o nim: kiedy ja biję, to mi nikogo nie trzeba, ale kiedyby mnie rozbito, to chciałbym mieć Mrocza przy sobie.

— Jak Bię masz, mój Mroczek, — zawołał, widząc go wchodzącego pułkownik — posłałem po ciebie, no chcę ci ważną sprawę powierzyć. Siadaj-no Bobie, bo trzeba będzie mądrze o tem pogadać. Nawet nie wiem joshcze, czy się sam tego podejmiesz.

Mroczek salutował naprzód po wojskowemu, a potem rzekł:

— Nie wiem, coby to było, czegobym ja dla m?go pułkownika nie zrobił. A skoro pułkownik uważa że mnie tu trzeba, to się też i wykona.

Czubaty ścisnął Mrocza za rękę i spytał go poufale:

— No. a jak tam, mój stary ? czy wzięłyś joshcze karabin do ręki, kiedyby się sposobność zdarzyła ?

Mroczek się na to uśmiechnął, odgarnął wąsy i odpowiedział :

— Żona mi niedomaga, chłopczyko mnie duto kosztuje, | odobnoby lepiej pilnować chałupy. Ale też nieraz myślę sobie, ie ohybaby Pan Bóg się na mnie pogniewał, gdyby mi nie pozwolił joshcze choć raz powąchać prochu, nim mi ręce zgrabieją...

— Siadaj no, pogadamy, — rzecze na to pułkownik, ozywając się lem wspomnieniem, — ale powiedz mi naj- pierwej, jak się ma twoja iona i co się dzieje z twoim chłopcem?

— Moja iora ma się teraz trochę lepiej, Bóg wie, na jak długo, ale już znowu pracuje i właśnie haftuje bardzo piękną poduszkę ca ofiarę dla księdza Anioła. A chłopiec mój jtst w gimnazjum w Tarnowie i dobrze mu się powódź', jeno się dużo męczy z książkami, dla tego też słabowity cokolwiek, a chociaż już piętnaście lat skończył, podobno joshcze karabinem nie potrafiłby narabiać.

— Ot. co tam! — zawołał ca to Czubaty, — jak się zacznie stize'anie, weźmiemy go ze sobą. a obaezytz, jak w naszych oczach urość ie. D'a młodych chłopców nie masz, jak słu'ba w polu. Byłem ja także charłskiem, kiedym się do legjoców zac'agnął, a może ty byleś herku- lesem ? Dobrze ciebie pamiętam, -kiedym cię pierwszy raz w Medjolanie obaczył. joshczem takiego szkieletu nigdy nie wi'z'ał. A w rek, we dwa lata, chociażśmy nieraz żyli piim swędem, co się to z nas zrobiło 1 Nuż tedy dziś, chociaż Mam już pięćdziesiątka minęła, mury nami-by łamać. Bi to tak jest: na wszystkie mdłości nie masz, j\*k karabin, a świeże powietrze, po którym kule latają, — a kiedy w powietrzu jest tyle saletry, że świata nie widać, to jest najlepize lekarstwo.

Tak zisiedli razem około stołu, a pułkownik znow spytał Mrocza:

Wari ojcowie.

\*\* ..

— Powiedz-że mi, co tam Jadzie po świecie gadają?

— Ot, jak to ładnie! - rzekł Mroczek, — raz tak, a potem znowu inaczej. Byłem tej wiosny w Sandomierzu, tam cicho; pojechałem w lecie do Łuhlina, a tam mi włoBy na głowie wstawały, kiedy mi opowiadano, jak tam katują naszych żołnierzy w Zamościu. A Karmelity pełne w Warszawie, nawet ludzi cywilnych. Pozamykali też i studentów i mordują ich do krwi, — a to przecież są dz'eci, co to tam mogło zawinić? Otóż tak mówią, że to nie jest rzecz, wytrzymać takie katostwa. Jednego dnia powstanie Warszawa, jak za Kilińskiego. A i wojsko się burzy, bo przecie ludu na rzeź wydać nie może. A to może się i jutro zdarzyć. Jeno jeżeliby wojsko miało zaczynać, to tak mi się widzi, ie zaczeka do wiosny, bo to niedobrze, wojnę zaczynać w zimie.

— A dlaczego niedobrze? — zauważał pułkownik — kiedy Moskale zechcą nos pobić, to muszą przyjść do nas, więc kiedy zacniemy w zimie, to dużo czasu zyskamy, nim oni się wydohedą z swych śniegów.

Mroczek się nad teni chwilę zamyślił, a potem rzekł:

— I to jest racja. Jeno w takim razie i namby nie czekać, tylko w lot obsadzić Litwę i zabrane kraje i tam na nich zasiąść, a tymczasem w Królestwie przysposobiłoby Bie chleba, broni i ludzi i mielibyśmy dobre plecy za sobą.

Tak wówczas myśl bezzwłocznego wkroczenia na Litwę krążyła niejako we krwi całego narodu: każdy prosta- czk znalazł ją w swojej głowie, tylko sfery rządzące nie- umiały jej pojąć.

Jednak pułkownik nie wdawał się w dalsze rozum-)- wania, bo pilno mu było. Opowiedział tedy Mroczkowi całą rzecz o karabinach, suknach i lederwerkach i spytał go, czy się podejmie do Narola pojechać, towary te odebrać i rozumnie umieścić, ażeby w danej chwili można je w okamgnieniu przez granicę przeprawić. Mroczek go słuchał i ręce zacierał z radości, a kiedy wysłuchał, zawołał wesoło:

— Bardzo to mądrze pułkownik wszystko obmyślił!

Tak przecież nie przyjdziemy do naszych braci z gołymi rękami. Nowy pułk uformuje się w lot, ludzi nam przecież nie braknie, a jeśli mi czasu wystarczy, to ja się zmówię ze starymi żołnierzami, co to ich jest niemało po naszych miasteczkach, aby na czas byli gotowi. A co do Narola, to ja tam znam granicę, jak moją kieszeń, tamtędy się wszystek towar do Lublina przemyca; znam też i Her- Bzkowego stryja, co tam siedzi na karczmie, to ataman tych przemytników. Wszystko się zrobi, jak trzeba. Ja dziś wrócę do domu, jutro o świecie kopnę się do Narola, a najdalej za dwa tygodnie powrócę i zdam raport pułkownikowi.

Więc tedy Wislocki bardzo był kontent, a Czubaty się tak uradował, że Mroczka wyściskał i sam go wyprowadził do oficyny, gdzie mu jeszcze dał niektóre instruk- cje, wybrał parę dobrych koji fornalskich dla niego i najsprytniejszego parobka i z pozdrowieniami dla brata Felicjana i jego żony, w tę niebezpieczną podróż wyprawił.

Ledwie Mroczek z Wisłoka wyjechał, zaczęły się słoty jesienne. Słotna jesień, to bardzo smutna pora roku pod Bieszczadami. Przeciągają tam wówczas mgły deszczowe, tak gęste, że o samym południu na paręset kroków świata nie widać; pędzone wiatrem, pomiędzy górami przeciągają jakby olbrzymie białawe kolumny jedna za drugą i tylko czasem szeregi ich się przerywają, aby otworzyć widok na czarne lasy, przygarbione ku ziemi i niepowstrzymanymi zalewające się łąkami, na grzbiety ich, dymiące się mgłami, i na wierzchołki połonin, białym śniegiem nakryte. Czasami rankiem ulewa ustaje, mgły podnoszą się w górę, powietrze się czyści i staje się tak przezroczystym, że najodleglejsze okolice widać, jakby na dłoni; lecz o południu znowu mgły opadają, gęsty deszcz się zaczyna, a jeszcze na czas przed zmrokiem obwija ziemię noc szara, ale tak ciemna, że o dwa kroki nie można lozróżnić przedmiotów. Natenczas ptactwo się kryje w gęstwinach lasów, zwierz dziki szuka schronienia pod wiszarami skał niedostępnych, bydła nie można

wyprowadzić z obory, psa niepodobna wypędzić w

dziedziniec — a człowiek się czuje szczęśliwym, że ma schronienie pod dachem i dobroczynny ogień w kominie.

Takie Błoty trwały wciąż aż do pierwszych dni listopada, ale deszcz coraz więcej się mięszal ze śniegiem, aż nareszcie deszcze całkiem ustały, a natomiast śnieg zaczął padać i padał wciąż przez dni kilkanaście, przeplatany tylko od czasu do czasu mrozami, które pojedyncze warstwy śniegu ustalały i przymrażały jedne do drugich. Kiedy takie śniegi spadną w górach, niektóre chaty wiejskie, zwłaszcza położone na przeciągach wiatru, trzeba co rana wykopywać ze śniegu — a dwory, otoczone zazwyczaj murami, Inb parkanami, wyglądają jak fortece, zabarykadowane zaspami, z poza których tylko wyższe budynki wyglądają swemi dachami. Naówczas przerywa się komunikacja pomiędzy wsiami, czasem na dni kilka, często na dłużej, przekopywanie dróg na nic się nie zda, bo śniegi przez noc je znowu zasypią, trzeba czekać pogody i ciszy, a dopiero wtedy gromady chłopów ubijają gościńce, k'óre już później można utrzymać przez całą zimę.

Takich śniegów, jakie w tym roku spadły w tych gó- Bkracb, od wielu lat nikt nie pamiętał. Dwór wisłocki przez całe trzy ostatnie tygodnie był prawie bez żadnej komunikacji ze światem i dwa razy tylko jakiś odważny parobek przekopał się jeduokonką do Sanoka i przywiózł gazety; i Mroczek także się dostał do Wisłoka, ale jeszcze w pierwszej połowie listopada i zapewnił pułkownika, że w Narolu jeBt wszystko w porządku. Prócz nich tylko Czuby, kopiąc się z kilkunasto chłopami przez zaopy, parę razy przyjechał, ale zawsze się spieszył z powrotem, obawiając Bie, żeby go śniegi nie zasypały.

Dopiero w pierwszych dniach grudnia nastąpiła piękna pogoda: mróz trwały kilkostopniowy i niebo czyste, jak kryształ. Wtedy też zaczęto porządne przekopywać gościńce, cały świat ożył i wesoło odetchnął, jak po potopie, pałkownik już zaczął wyjeżdżać z żoną codzien lic na sanę przejażdżki, ks. Anioł przyjechał, którego nie widziano od kilka tygodni, a Czuby dojeżdżał jaż prawie codziennie do Wisłoka. Lada dzień spodziewano się gości z dalszych okół o, lecz nikt nie przyjechał — i tak zeszedł czas aż do 8. grudnia.

Dzień to świąteczny, Czuby jeszcze przed zmrokiem odjechał, pułkownikowa wiočila z niesporów i przywiozła ze sobą jak zwykle, ks. Anioła; siedziano długo przy objedzie, rozmawiając o dawnych czasach — a po herbacie przeniesiono się do małego salonu, gdzie Milek na prośbę pułkownikowej czytał „Sonety krymskie”, deklamując wybornie, ale często unosząc się zanadto zapałem, a czasem zalewając się łzami. Po każdym sonecie robiono różne uwagi krytyczne, a pułkownik usiłował drażnić Milka, mówiąc:

— Nie jest to wiersz Ziembickiego ani Koż miana, ale ten młody człowiek nie jest bez taleotu.

Milek brał to na serjo, rzucał się, jak zwierz zraniony i wymyślał, co mógł, na literaturę klasyczną, wykładając z zapałem, że ona niczem innem nie jest, jnk reakcją i ob-skurantyzmem. Wtedy pułkownikowa mięszala się do rozmowy i opowiadała o piękności wybrzeży Czarnego morza, gdzie raz była z swym pierwszym mężem. Tak minęła godzina dziewiąta, a może i więcej, kiedy w tem usłyszano dzwonki z daleka.

Pałkownik tak łaknął widzieć nareszcie jakiego gościa, że się sam zerwał i wybiegł do sieni — a tam właśnie Herszko zajechał spienionemi końmi przed ganek, wyskoczył z sani, przybiegł do pułkownika i rzekł głosem stłumionym, a zarazem ochryplym:

— Jaśnie Panie, rewolucja w Warszawie, w. książę aciekl... Lad warszawski i cała armja pod bronią.

— Co? jak? kiedy? chcdz-no tu! — zawołał pułkownik niesłuchanie wzruszony i porwawszy Herszka za rękaw, pociągnął go zn sobą do swoich pokojów.

Tam Herszko, także do głębi wzruszony, chociaż zawsze był taki spokojny, opowiedział co wiedział.

Dziwnym i nigdy nieodgadnioym sposobem, o wybu- ohu powstania wiedziano już dnia 1. grudnia rano we Lwowie — a przecież za trzydzieścisześć godzin nie mo-

zna było wtenczas przyjechać z Warszawy do Lwowa, nawet choćby kto miał porozstawiane konie, czego wszakże nie było. Są to zdarzenia, których zjawiska nikt wytłumaczyć nie zdoła: zdaje się, jakoby we ki-wi ładzi, do jednego należących narodu i jedną myślą zajętych, krążyły prądy elektryczne, które się z sobą bezwiednie komanikają. Tegoż dnia wieczorem opowiadano sobie, że arsenał wzięty, że ład azbrojony, że w. książę umknął z Warszawy — a dnia 2. grudnia chodziły już wieści, że wszystkie pałki, rozpołożone po kraju, wyruszyły do Warszawy i że województwa powstają. Zaś we dwa dni po tem rozeszła się z gubernatorskiego pałacu pogłoska, że rząd narodowy wszedł z w. księciem w układy, co spowodowało niektórą młodzież, będącą już na wylocie, do zaczekania, póki dokładniejsze wiadomości nie przyjdą o tych układach. Ale Herszko o tych wszystkich pogłoskach nic nie wiedział; on nawet nie był we Lwowie. Przejeżdżał właśnie z wołami przez Sanok, kiedy się o wybuch powstania dowiedział i stamtąd ruszył na złamanie karku do pułkownika. Wisłocki, mając tylko to na uwadze, że Herszko dopiero dziś rano dowiedział się o wybuchu powstania, tak był pewnym, że on pierwszy w całej oko'icy tę wiadomość otrzymał, iż go do swojej piersi przycisnął i zawołał radośnie:

— Nigdy ci tego nie zapomnę, żeś mi taką wyrządził przysługę. Idź więc spać i proszę cię, nikomu o tem ani słowa...

Sam zaś poszedł zaraz do żony, wyprawił Milka pod jakimś pozorem do jego mieszkania i miał z pułkownikową i ks. Aniołem bardzo długą naradę, która trwała do czwartej godziny rano. Wróciwszy do siebie, nie rozbierał się wcale tej nocy, tylko przespał się z jakie dwie godziny w fotelu; poczem wstał, pisał rozmaite notatki, wyznaczył dla swojej wyprawy etapy, pchnął posłańca do Czubatego i napisał kartkę do Borchy w'tych słowach: „W Warszawie wybuchło powstanie. My dziś wyjeżdżamy na Brzozów, Dynów, Dubiecko, Jarosław, Lubaczów, Cieszanów, do Narola, etapami mniej więcej po sześć mil dziennie. Mijamy Sanok i Przemyśl dla ostrożności. Z Narola przeprawimy się pod Tomaszowem i pociągniemy do Zamościa. Może nas w Narolu dopędzisz — a jeśli nie, to do widzenia w Zamościu ". Kartkę tę posłał Wisłocki na los szczęścia, bo nawet nie wiedział, czy Borch jest w Leśniowej.

Pułkownik, mimo chwilowego zwątpienia o powstaniu przed wiosną, był do tej wyprawy tak przygotowany, że o godzinie dziesiątej rano już wszystko było gotowe. Wyjeżdżał on z wielkim taborem: najprzód czterokonne ogromne sanie dla niego i Czubatego, potem drugie czterokonne sanie z pakunkami, a nareszcie sześć koni wierzchowych, które prowadził Pliszka, lecz miał dla siebie także parokonne saneczki. Każdy jednak z tych Btatków miał iść co najmniej o jeden popas za drugim, a wszystkie miały się spotkać ze sobą w Narolu.

Pożegnanie pułkownika z żoną było żołnierskie. Pułkownikowa wyszła ku niemu z zaczerwienionymi oczyma, ale bez łez; widać że w samotności płakała, a teraz odzyskała zupełną władzę nad sobą; padli sobie w ramiona i uścisnęli się, nie myśląc wcale o tem, że może to był uścisk ostatni... Tak wszystkie Polki żegnają swych mężów, wychodzących na wojnę. Pułkownik tylko zadrżał cokolwiek, kiedy wziął dziecko Bwoje w ramiona: o mało że się ma łzy nie rzuciły do oczu, ale się przemógł i łez do swych oczu nie puścił.

Natomiast Czuby, choć bez wątpienia tak samo się żegnał ze swoją żoną i dzieckiem, tataj się trochę rozczulił, bo się rzucił do nóg pułkownikowej, prosząc ją na wypadek, jeśliby zginął, o opiekę nad żoną i dzieckiem. Pułkownikową ta prośba mocno wzruszył. — Kobiety są tak skłonne do wiary w złowrogie przeczucia... Pochyliła się nad nim, dwie łzy duże, jak perły, padły z jej oczu na jego głowę i byłaby się może rozplakała: ale w tej właśnie chwili wpadł Milek do tej wielkiej ogrzanej sieni, w której odbywało się to pożegnanie, a z której jedne drzwi szklane wychodziły na ganek, a drugie do drugiej sieni, prowadzącej w dziedziniec.



Pułkownik tak był sobą-i swoją wyprawą zajęty, że dotąd wcale o nim nie pomyślał. Jakżeż się zdziwił, kiedy go teraz obaczył, w czapce węgierskiej z piórem koguciem, w ogromnych butach myśliwskich, w kurcie, futerkiem podbitej, w pasie skórzanym, z pistoletami i ogromnym jataga- nem za pasem.

— A toż co znowu? — zapytał pułkownik, tak zdziwiony, jak gdyby spadł z nieba.

—• Jaktó co ? — zawołał Uilek na pół ze śmiechem, pod którym jednak także się ukrywało zdziwienie — a to w u- f jaszek może myśli mnie w demu zostawić ? Przecież nie będę skubał pierza za piecem, kiedy inni idą na wojnę!

Kiedy Milek to mówił, Czubyty zerwał się z kolan, a mimo rozczulenia, na widok Milka, tak srodze uzbrojonego, uśmiech przez twarz jego przeleciał; pułkownik zaś wymienił znaczące spojrzenie i żonę i rzekł do młodzieńca głosem stanowczym, ale przyjaznym:

— Mój Miłku, gdybym był uważał za rzecz stoso-<sup>1</sup>wną, wziąć ciebie z sobą, tobym cię był o lem już dawno uprzedził. Ale ta wojna, na którą idziemy, to nie dla ciebie. Tam tylko starzy żołnierze mogą służyć z pożytkiem.

— Jaktó 1 — krzyknął Milek, a jego twarz stała się nagle paśową. — Któż-to mnie może powstrzymać od spełnienia moich obowiązków względem ojczyzny? Ja się chcę bić z Moskałami i pójdę!

Natenczas pułkownik wyprężył się tak, że zdołało się, - jakoby głową pułapu dosięgał i krzyknął głosem komendanta na czele pn'ku:

— Nie 1 nigdzie nie pójdiesz! i będziesz siedział spokojnie, a jeśli nie, to ci nsłożę areszt domowy 1

Natenczas twarz Milka stała się prawie fioletową, oczy wystąpiły mn z powiek i temi strasznoemi oczyma spojrzał na swego wuja, jak gdyby jeszcze nie wierzył, że to być może — a wówczas łzy mu się zakręciły w tych strasznych oczach, zaniósł się płaczem i rzucił się do nóg pułkownikowi. Ale rozdzierająca ta scena tylko jeszcze starego żołnierza zniecierpliwiała, jakoż krzyknął jat wcale gwałtownie :

— Milek! w ten moment na Posadę i ani krokiem z Wisłoka bez pozwolenia ks. Anioła!

W tej chwili pułkownikowa i Czubyty rzucili Bię jednocześnie ku niemu, aby go utulić, ale on wyrwał Bię z pomiędzy nich, porwał się konwulsyjnie obydwoma rękami za włosy i wyleciał, jak szalony, w dziedziniec.

Wtedy pułkownik jeszcze raz żonę przycisnął do piersi i dziecko swe ucałował, ścisnął księdza za rękę i rzekł: Proszę cię, pilnuj mi Milka, — wskoczył z Czubytym prędko do sanek i kazał ruszać z kopyta. Wyjechawszy za bramę, jeszcze rac obydwu się oglądnęli i widzieli pułkownikową i ks. Anioła, jak oboje stali na ganku i powiewali do nich chustkami.

Starzy żołnierze, zwłaszcza jeżeli mają żony i dzieci, tak same się rozczulają nad niemi, jak wszyBoy inui, lecz kiedy jadą na wojnę, myśl ich nadzwyczaj prędko odrywa się od progów rodzinnych i leci na owe pola, gdzie się spodziewa usłyszeć huk armat, szcęk broni i wrzawę morderczych zapasów. Toż i pułkownik z Czubytym poddali się tylko na chwilę rozczulającym uczuciom rodzinnym i niedługo milczeli; jak tylko minęli kopce graniczne, Czubyty któremn w gruncie rzeczy przecież żał było Milka, odezwał się pierwszy, mówiąc niby z niechęcią:

— Ot, co tam! Nie koniecznie nam było rolę Opatrzności odgrywać. Niech by był poszedł. Jeśli-by zginął, Bzkoda chłopca, to prawda, ale jeszcze-to nie najgorsza śmierć dla człowieka.

— Ba, gdyby zginął — zawołał na to pułkownik, — żałował-bym go jak syna, ale-bym ten cios przyjął z rąk Opatrzności. A wszakżeż i my zginąć możemy i ani na myśl nim przyjdzie, dlatego nie iść na wojnę. Ale w nim niema żołnierza — a jest konspirator. Otóż ani dla unie, ani dla mojej żony, ani dla sprawy publicznej nie mogę tego dopuścić, ażeby szeregi

obrońców ojczyzny pomnażały się takimi żywiołami, które z natury swojej muszą  
koniecznie

Wwl ojwvi\*

rozchwiewać karność i nieporządki wprowadzać. Wiesz przecie, że służbę swoją w gwardji zaczął od tego, że się zabrał do propagandy rewolucyjnej pomiędzy żołnierzami, a nadto jeszcze przy pierwszej okazji się zburzył przeciwko swemu pułkownikowi, mimo to, że ten pułkownik, najlepszy człowiek pod słońcem, nie miał wcale innego zamiaru, jak ostrzedz go przed niebezpieczeństwem, jakie kaidemu żołnierzowi grozi za propagowanie zasad rewolucyjnych. Co-by tam był nabroił w armji rosyjskiej, to mogło mi być obojętnem, jak skoro mojej żonie udało się uwolnić go od kuli w łeb albo tei od katorgi; ale przyznasz mi przecie, że nie mogę pozwolić, aby się na takie same niebezpieczeństwo naraził w armji polskiej... Niech siedzi w domu. Jak nasza kampanja się uda, jak wszystko będzie iść gładko i wszyscy będą zadowoleni, a przeto i dla duchów rewolucyjnych pola nie będzie, to obaczmy; wtedy moje go sami powołamy do Warszawy i gdzieś umieścimy.

Czubaty zupełnie uznawał słusność tych uwag ze stanowiska honoru Milka i jego rodziny, ale przecie zdawało mu się to zanadto srogą boleścią dla młodzieńca, kochającego tak płomienną miłością swoją ojczyznę, siedzieć za piecem z babami, kiedy inni się biją.

— Więc dobrze — rzekł na to pułkownik — więc go wezmę do mego pułku i dam do furgonów, a pod taki dozór surowy, że się krokiem nie będzie mógł ruszyć od swojej komendy. Tam, przy jego zdrowiu ładajakiem, za parę tygodni szkielet zrobi się z niego i umrze na jaką słabość piersiową. Czy to lepiej będzie dla niego?

Ale Czubaty słuchał z niedowierzaniem, jakoś mu to nie przemawiało do przekonania i chciał jui powtórzyć to samo, co niedawno powiedział Mroczkowi z powodu słabo-witości jego syna, kiedy tymczasem pokazały się im czerwone dachy Urwiskiego pałacu; więc zapomniał o Milku i rzekł:

— Cóż? czy wstąpimy do Łosia? tegoby to dać do furgonów, chłop jeszcze zdrów, wesoły ma humor, a przytem zawołany gospodarz, więc by się nam zawsze o krupy wystarał i iotnierzy-by rozweselał.

Pułkownik śmiał się i zauważał:

— Gdybym wiedział na pewno, że Łoś zostanie ministrem, i weźmie Milka do kacerlarji, tobym wstąpił do niego. A miałby pociechę z Milka, bo pisze pięknie po francusku i po angielsku i mógłby noty dyplomatyczne pisać nawet wierszami.

— Dajmy mu pokój — rzecze Czubaty — gotów-by się nas na prawdę uczepić, a dopiero-byśmy nie wiedzieli, co począć z takim gagatkiem. Wstąpmy raczej do pani krajczyni, a potem do Lipskich i tam popasujemy.

— A do pani krajczyny musimy wstąpić koniecznie — cdp o wie dział pułkownik — bo jest-to obowiązek sumienia. Chciałbym ją namówić koniecznie, aby wyprawiła swojego syna. Będzie to z tem niemało trudności i zapewne nie wyprawi go z nami, bo to jednak — a krajczyna, mimo to, że z pewnością nie chce go przerobić na Niemca, podobno marzy dla niego jakąś wielką karierę za pomocą swoich rozległych stosunków w Wiedniu, które jej po mężu zostały. Ale choćbym miał u niej nocować, to ją przecie namówię, żeby go do nas przysłała, jak jej przyszły dobre wiadomości z Warszawy. Zaś Dziaduskiego koniecznie weźmiemy ze sobą, choćby się bronił. A tak mi się zdaje, że mu tem nawet podwójną wyrządzimy przysługę, bo najpierw podobno się tu w jakieś wplatał amory, dla młodego człowieka wcale niepotrzebne, a potem u djabłał przecie-to jedyny sposób dla niego, zmyć z siebie te awantury, które się skończyły dezercją. Prawda, że się bić będzie musiał choćby i z całą armją moskiewską! — zawołał pułkownik, śmiejąc się głośno — bo przecie nie moje się dać wziąć do niewoli, gdzie ci oficerowie, których bił w papę, pewnie posiekali\* by go na kiełbaski: ale ja wierzę, że biłby się i bez tego, bo mu proch pachnie, widać to po nim na pierwszy rzut oka.

— Dziaduskiego weźmiemy — rzekł na to Czubaty — ale co z tym panem Wálkiem, to podobno nam się nie mda.

Jego Niemcy jat całkiem przekabacili. Aby go na naszą wiarę nawrócić, jedna noc nie wystarczy. A szkoda, bo chłop kościsty i wytrzymały, a i służbę zna do podziwienia.

I z tem zajechali przed ganek dworzyska w Plennej.

Tam znowu zastali starego Cy bulkę w antykamerze, robiącego pończochę, który ich tak samo meldował, jak pierwej. I znowu tak samo witała ich pani krajczyna na środka swojej pochmurnej komnaty, tylko zdawało się tym razem, jakoby była czemsiś zafrasowana. Jakoż było widać w drugiej izbie jej kapelana, który siedział przy stole nad wielką księgą otwartą: były-to pewnie Żywoty Świętych, które jej czytał dla wypogodzenia jej umysłu i serca. Istotnie też rzekła ona do wchodzących:

— Dziękuję wum, żeście do mnie wstąpili, bo bardzo mi smutno. A jeśli do Warszawy jedziecie, jak się domyślam, to i to mnie pociesza, że was widzę wyjeżdżających.

— My do Warszawy, — odpowiedział pułkownik — a wstąpiliśmy do ciebie, moja pani siostrze, aby się z tobą pożegnać. A zarazem chcieliśmy się z Wąlką obaczyć, bo chociaż na tę wojnę, gdzie każdy z nas będzie musiał na trzech uderzać, a może i na czterech, trudno kogo namawiać, jednak twój Walek to żołnierz, a żołnierze się z liczbą nieprzyjaciela nie liczą, tylko z łaską Borską i szczęściem.

— A! jeśli z Wąlką chcieliście się widzieć — odpowiedziała krajczyna — toście przyjechali za późno, bo Walek już dnia 5. tego miesiąca wieczorem wyjechał z Dziaduskim, a jeśli im się co na drodze nie stało, to według mojej marszruty jut wczoraj przekroczyli granicę.

— Jaktó? — zawołał pułkownik, niezmiernie zdziwiony, a Czuby prawie wykrzyknął:

— Jaktó? ten Niemiec?...

A na to krajczyna, lecz raczej z dumą, niż z gniewem :

— Tak, ten Niemiec... tylko, że waści o całe trzy dni uprzedził.

Więc Czuby się Bkręcił i rzekł głosem otwartym i szczerym:

— Daruj-że mi moja jejmość kochana, tem głupstwo powiedział. Jakem żołnierz, tak po żołniersku przepraszam. A jeśli Walek gdzie spotkam, to mu pewnie oześć oddam, jaka mu przynalety.

— Ja waści przebaczam — rzekła na to łaskawie krajczyna — jeno żeby i Pan Bóg przebaczył, boś waść bluźnierstwo powiedział. Ot, wilzisz, tam siedzi ksiądz w drugim pokoju, idź, wypowiadaj się przed nim, a po spowiedzi znowu przyjaźń będzie pomiędzy nami.— Czuby spostrzegł się zaraz, o co chodziło i poszedł do księdza, a krajczyna zasiadła tymczasem z pułkownikiem do poufnej rozmowy.

— Powiedz te mi, panie bracie — rzekła ona do niego — bo motem ja głupstwo zrobiła, tem Walek wyprawiła z gołemi rękami. Wziął z sobą nominację na porucznika i kilkaset dukatów, a zresztą nie zgoła. Co do pieniędzy, to ja jemu kaie posłać przez mego bankiera z Wiednia kredyt na Warszawę i o to nie będzie kłopotu. Ale, jak on się pokate w Warszawie? gdzie się pomieści? bardzo o to głowa mnie boli, bo jeszcze do tego, jak wiesz, tylko po francusku będzie się mógł wyjezyczyć.

Ale pułkownik śniał się i mówił:

— Nie troszcz-te się o to, moja pani Biostro. Tam gdzie on się zamelduje, łatwiej się rozmówi po francusku, niteli po polsku. A jeko artylerzysta przyjmą go z otwartymi ramionami. Dziaduski mu da wszystkie wskazówki, a pewnie i sam z nim pójdzie, gdzie trzeba. Juźci zapewne, że byłoby może lepiej dla niego, gdyby był ze mną pojeohał...

— Myflałam o tem. Ale powiem ci prawdę, tem się obawiała, aby mnie kto nie wziął tego za mieszanie się w nieswoje rzeczy. Boś to jut przecie nie bardzo młody, masz tonę i dziecko, tot ci przynajmniej wolno było zaczekać na dokładniejsze wiadomości z Warszawy. A potem, śmiej-te się zo mnie, ale pilno mi było... Bo to wiesz, te mój mą, najpocziwszy człowiek na świecie, ale słutył Niemcom przez całe tycie, więc rzecz oczywista, że jego

synowi nie wolno było zwłaczać ani jednej godziny, kieciy się zdarzyła sposobność to jakoś naprawić. Bo to u nas tak

zawsze bywało — i z łaski Bożej tem Polska stoi — że ile razy zdarzył się ojciec, co o kraju zapomniał, to zawsze syn jego ze szczerego serca to swojej ojczyźnie odsłużył. A tak u nas i złe na dobre wychodzi — i tak zawsze będzie, aż póki się Panu Bogu nie podoba uwolnić nas od pokusy szukania szczęścia za granicami kraju.

Tutaj krajczyna westchnęła, a potem dodała wesoło trącając go tabakierką w rękę:

— A co powiesz na to? Kiedyśmy odebrali wiadomość

O rewolucji, obawiałam się bardzo o to, co powie Walek? bo jak to wiesz, tyle nieboraczysko wiedział o Polsce, co słyszał odemnie. Ale wyobraź Bobie, ledwie się o tem dowiedział, poleciał zaraz swoje tłómoki pakować. A mnie łzy w oczach stanęły... i powiem ci szczerze, że w całym życiu nie miała tak szczęśliwej godziny.

Pułkownik ją ścisnął za rękę, lecz nie mogąc tego strawić, że krajczyna nie oddała swojego syna pod jego protekcję, zrobił uwagę:

— Gdyby tylko twój Walek znalazł kogoś w Warszawie, coby go szczerze poforytował...

Ale ona mówiła dalej:

— Prawda, że Dziaduski nie mało się do tego przyczynił. Opowiadał mu ciągle o armii polskiej, jakoby

1 w niebie piękniejszej nie było, obznajomił go z jej organizacją, siedział z nim nad mapami — a jak przyszła wiadomość, że powstanie wybuchło, to jakby ich niedźwiadek ukąsił: chcieli jechać natychmiast i już kazali zaprzęgać. Przecież jakoś powstrzymałam, że tu przespali, jeszcze dzień zalawili, a dopiero pod noc wyjechali. Ale prawdę mówiąc, możeby było lepiej, gdyby byli wyjechali dniem przedtem...

— Na jednym dniu nie wiele zależy, — rzekł na to Wisłocki — jaszcz3 oni nie tak prędko obaczą Moskali. To tylko komendanci się spieszyć powinni, którzy muszą jaknajprędzej kompletować swe pułki, albo też nowe formować.

— Ale to nie dlatego, — przerwała mu krajczyna —

tylko, że mi tu Dziaduski tego dnia jeszcze scenę wyprawił. Nie wiem, jakim sposobem dowiedziała się o tem Salusia, być może, że i on sam pchnął do niej posłańca, dosyć, że przyjechała i tak się. tu z sobą spłakali, że i trudno było rozerwać to lichy. Wcalem się tego nie spodziewała, chociaż prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie miała oczy. Ten Dziaduski to taki poganin, że porwałby się i na obraz cudowny, — a o Salusi to już i nie ma co mówić. I w korcu maku by takich dwojga nie dobrał. Jeszcze i komedję odegrali przedemną: bo kiedym ich strofowała, to Dziaduski się zaklął na duszę i ciało, że Salusia mu jego siostrę przypomniała i to go tak rozczuliło. Jak gdybym też ja jego siostry nie znała, co jest czarna, jak kruk, a jeszcze do tego kulawa. A Salusia to także skórka na buty, powiada mi, że płacze nad polakiem rycerstwem, co go może Moskale wytluką. A jeżeli tak kocha rycerstwo, to dlaczegoż nie płakała nad Wąłkiem i wybrała sobio właśnie takiego hultaja? Ale też jej powiedziałam: jeszcze nie wiemy, jaki to rycerz, bo dotąd tylko się bił po teatrach z oficerami, teraz dałam mu pole, obaczymy, ile to on tam Moskali nabije. A tak em to wyprawiła — i dobrze, że się to rozerwało.

Pułkownik się uśmiechał przy tem opowiadaniu, ale siedział jakby na szpilkach i zawołał do drugiego pokoju:

— Czuby 1 a już się tam wyświadał? — i zaraz ścisnął krajczyńę za rękę i dodał:  
— Moja pani siostru, nam pilno. Bądź-że łaskawa czasem moją żonę nawiedzić i pocieszajcie się, jak możecie, a niechaj Bóg was nta w swojej opiece.

— U twojej żony będę jeszcze tego tygodnia — rzekła wstając krajczyzna — ale tak was nie puszcę. Właśnie nakryto do stołu, przekaście cokolwiek, a tymczasem i konie wasze popasą.

Tak przekaśli na prędcę, ale się zaraz żegnali i wyjechali.

Pułkownik był znowu w niedobrym humorze, zawinął

się w futro i milczał. Dopiero kiedy za wieś wyjechali, rzekł do Czubatego:

— A ty to pan Wałek mnie o trzy dni uprzedził! Życzę mu szczęścia, ale obaczmy, czy tei brzuszki go nie zaboli, kiedy zaczną z dział walić kulami, a strzępie ciał ludzkich będą latać około niego. Z każdego młodego cz'ło wieka można zrobić doskonałego żołnierza, ale trzeba, aby miał dobrego przewodźcę, bo na wojnie tak, jak w salonie: wszystko zależy od tego, kto nas zaprezentował. A i Her- puzko się także nie spisał. Przyleciał spienionymi końmi z wiadomością, kiedy już wróble o niej świstały na daohach. Czego mi żal, to Dziaduskiego, jestem pewny, że byłby się nam przydał.

Ale Czubaty, przyzwyczajony od dawna do drażliwości i rozmaitych fantazji swojego mlecznego brata, rzekł ca to:

— Ot, trzeba tam pułkownikowi protegować paniczów! Wiem ja, że każdy szlachcio polski choruje na to, żeby kogoś mógł protegować, inaczej by mu się zdawało, że nic nie znaczy na świecie. Ale ja mówię, że lepiej tam nie protegować nikogo, gdzie kule świstają. Nuż zginie protegowany, to jeszcze-by powiedzieli, że to my go na tamten świat wyprotegowali. A i Dziaduskiego mi nie żal. U mnie Mroczek wart więcej, nieli taki paniczek, co to może się zresztą dokumentnie wybije, ale po bitwie pacnącym mydłem się myje, a lewandą się zlewa, a żołnierze, zamiast odpocząć, muszą mu buty glancować, aby się miał w czym pokazać w obozie. A kiedy jeszcze i panny gdzie blisko, to trzeba za nim posyłać, a i znaleźć go ti udno.. No i cóż? a wstąpimy do Lipskich?

— Tam już nie ma po co wstępować - ać — odpowiedział pułkownik — ci pewnie już wylecieli przed Wąlką. Nie traćmy czasu a jedźmy.

Tak więc jechali spiesznie i już nazajutrz w południe zajechali do Mroczków. Ale ku swemu wielkiemu zdziwieniu, nie zastali iadnego i nich w domu. Jednak Mroczkowa uspokoiła ich wprędce, opowiadając im, że Felicjan w za- stępstwie brata do Narola pojechał, a Kleofas pospieszył do Tarnowa po syna, z którym pojedzie wprost do Narola.

Kleofas Mroczek, ów stary legionista, miał w Brzozowie pod samym pałacem biskupim piękny dworek z ganeczkiem, który w wielkim tonął ogrodzie, miał przytem grunta orne, tak, że jego własność była jakoby małym fol- warczkiem. Gospodarował on bardzo starannie, dziedziniec u niego był zawsze umięciony, jak izba, sam dworek białutki, jak śnieg, budyneczki w wielkim porządku, parkany w stanie wybornym, obrośnięte dzikiem winem i powojami, na których latem świeciły ogromne dynie swojemi iółtymi brzuchami, przy nich dwa rzędy słoneczników, a na oknach doniczki z geranium i jesiennymi rójami, które napęlniały powietrze wonią przyjemną i orzeźwiająją. Wewnątrz dworku czyściutko, jak w pudełku, a teraz ciepło, jak w bani; pod oknami malowane skrzynie, okute żelazem, pod ścianą ogromna szafa oszklona, napęlniona błyszczącym naczyniem, pomiędzy którem widać było kielichy mszalne, patyny a nawet i monstrancje, w kącie piec starożytny kaflowy z ławkami dokoła, a nad drzwiami obrazek Matki Boskiej z świę- conem zieleń i lampką, zawieszoną na drutach. W drugiej izbie dwa łóżka, białą nakryte pościelą, w trzeciej warstwy złotnicze i tkackie, a dalej lamus, napęlniony rozmaitego ro - dzaju rupieciami, pomiędzy którem widać było całe snopy ogromnych świec woskowych, wyszarzałe ornaty i przeróżne sztuki zardzewiałej broni palnej i siecznej.

Rodzina Mroczków trudniła się z dziada, pradziada handlem sprzętów kościelnych i stał w jej domu były takie zapasy rozmaitych starożytności. Starszy brat Mroczka, Felicjan, człowiek garbaty i z głową ogromną, osadzoną cokolwiek krzywo pomiędzy szerokimi ramionami, wyuczył się z młodu złotnictwa i rusznikarstwa, a jego żona Mroczką była bardzo zręczną hafciarką; toż nieraz bardzo nadwężone naczynia kościelne i ornaty, karabele i pasy, za których zakupem jeździli na Ruś, a czasem zapuszczali się i na Ukrainę, wychodząc z ich domu, jak gdyby



Wid ojcowie.

1®

nowe i sprzedawały się za cenę potrójną albo poczwórną tego, co kosztowały. Wszystko to sprawiał swoim wielkim rozumem Felicjan, ale prowadził swoje rzemiosło uczciwie, nigdy nie fałszował towarów, ani cen nie przesadzał: a tak Mroczkowie dorobili się powszechnego szacunku w sąsiedztwie i mieli bardzo rozległe Btosunki po dworach i po klasztorach, cieszyli się łaską obydwóch kapituł przemyskich, u Jezuitów w Starej Wsi byli jak w domu, I i ksiądz Anioł ich znał i często im kupców przesyłał. Tak i Kleofas przy swoim bracie przyuczył się tego rzemiosła, ale miło się nim zajmował, tylko czasami wyjeżdżał do fabryk niemieckich i włoskich dla zakupu towarów nowych, bo jako bywały po świecie, mógł się zobceni narodami rozmówić.

Mroczkowa była-to bard\*<sup>0</sup> zacna kobieta: wysoka, chuda, jak jej mąż, z wypieczonemi na twarzy rumieńcami, co wskazywało na słabość piersiową, lecz z pięknymi pi-wnymi oczyma, pełnemi ujmującej słodyczy. Córka mieszczańska z Dubiecka, wychowała się w dworze tamtejszym, który słynął po wszystkie czasy światłem, wzuio- słęmi obywatelskimi cnotami i gorącą miłością ojczyzny. Tam książe biskup warmiński napisał swój wiersz: „Święta miłości kochanej ojczyzny! Czują cię tylko umysły pocziwe"... ; tam późniejszymi czasami pan Ksawery Krasicki powiedział owe pamiętne słowa: „Co-to tam wasz patrio- tyzm dzisiejszy! My byśmy byli sobie dali żyłki pruć dla ojczyzny", — które też stały się hasłem dla całej okolicznej młodzieży. Tam ten duch wpajał się także i w dzie wczęta, służące w fraucymerze, a przez nie, kiedy powychodziły za mąż, roznosił się pomiędzy niższe warstwy społeczne.

Pułkownik znał Mroczkową od dawna, bardzo jej chwalił, że się zdecydowała na to, aby jej syn poszedł służyć ojczyźnie, lecz spytał:

— Powiedz że mi, moja kochana, czy nie bardzo ci żal twego chłopaka?

— Jaśnie Panie, — rzekła Mroczkowa, — jużci z początku jakoś ciężko mi było na to się zgodzić, bo to jeszcze młode chłopczysko, niewiele on tam Moskałom zaszkodzi, a może jeszcze gdzie przyzostanie na drodze... Ale na Matkę Najświętszą poszliśmy z moim mężem na mszę do kościoła, a tam nasz ksiądz wikary miał takie kazanie, (ho tu już wiedziano, że nasi wybili Moskali z Warszawy), jakoby właśnie do mnie miał mówić, bo powiadał wyraźnie, że choćby i baby szły z kociubami, aby wymieść Moskali, to i to Bogu będzie miłe i otworzy im kiólestwo niebieskie. Więc mnie tak natchnął Duch święty, że gdyby mój chłopiec iść nie chciał, tobym go sama do granicy odwiozła. Zresztą myślę sobie, że przecież ojciec będzie miał na niego uwagę, to z łaski Bożej nic ma się nie stanie.

Na to Czubyaty ścisnął Mroczkową za rękę, a pułkownik położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

— Bądź-że spokojna, moja kochana Mroczkowa. Będziemy i my mieli twego syna w naszej opiece. Nie damy mu się bez potrzeby narażać, niech tylko się trochę służy poduczy, to potem postaramy się o to, aby się dobrze umieścił.

A tak pożegnali tę pocziwą kobietę i odjechali.

Jadąc małemi etapami, popasali i nocowali po dworach. Już wtedy wszędzie wiedziano, że powstanie wybuchło i wielki ruch wszczął się pomiędzy szlachtą. Ale mało kto był przygotowany, a oprócz tego jeszcze bardzo chwiała się zdania. Starsi, a nie-wojskowi, wierzyli w możliwość układów, utrzymując, że powstanie tylko dlatego wybuchło, iż Moskale konstytucję złamali; jak się opatrzą, to będą woleli konstytucję przywrócić, niżeli wojnę prowadzić. Inni wierzyli święcie, że w. książe na wszystko się zgodzi i przyjmie nawet najtwardsze warunki, aby tylko mógł do Warszawy powrócić. Najpowszechniejszy głos był taki, że « trzeba było poczekać, póki Petersburg się nie odezwie, bo dopiero wtedy będzie można wiedzieć, czy układy, ozy wojna — wszyscy zaś oglądali się na komitet, który pod

przewodnictwem pana Ksawerego Krasickiego otworzył się w Liska i zabrał się do kierowania opinią publiczną, przede wszystkim w tym celu, aby zebrać fundusz<sup>3</sup>, konie, broń i inne wojenne przybory. Tylko młodzież się rwała i wymykała się z domów, nie zważając wcale na komitety — a gdzie był jakiś starszy wojskowy, ten już wcale nie słuchał, co tam mówiono na zjazdach po dworach szlacheckich, tylko siadał na szkapę, albo też włożył pałasz i pistolety do sanek i ruszał. Do pułkownika przyczepiało się po drodze wiele szlacheckiej młodzieży, najczęściej matki go prosiły ze łzami, aby brał ich synów pod swoją opiekę; on ich wszystkich przyjmował, wyznaczając im drogę — ale Czuby nie bardzo kontent był z tego i mówił:

— Na co nam tych paniczów? to wszystko kandydaci na oficerów, a nam potrzeba żołnierzy. Wolalbym, żeby się jakie paręset Maćków i Jaśków do nas zgarnęło, mielibyśmy z czego bataljony utworzyć — a oficerów w Polsce nigdy nie braknie.

Natomiast zaś, gdzie spotkał po drodze jakiego starego żołnierza, to zaraz go zwał, mówiąc do niego:

— Parol, Narol, liczę na ciebie, jak na cztery trzy.

Jakoż istotnie, stanąwszy ósmego dnia w Narolu, zastali tam kilkunastu starych żołnierzy, którzy się zar z poddali pod ich komendę. A byli oni im bardzo potrzebni bo przeprawa przez granicę i ludzi i broni okazała się daleko trudniejszą, niżeli sami myśleli. Wprawdzie już trzej Mroczkowie tam byli i mieli wszystkie towary w swym ręku, ale stryj Herszka, człek mądry, a przeto przezorny, rozlokował te paki po karczmach i wioskach sąsiednich; należało je zatem pozbierać i bardzo wiele furek najmować, aby je przez granicę przemycać, do czego też trzeba było niemało nadzorców. Prócz tego już cię zaczęły snuć popod granicą oddziały austriackiej kawalerji, a co parę dni przejeżdżał rządowy komisarz, który miał rozkaz pilnować granicy i bronić wszelkiej przeprawy. Szczęściem, oddziały kawalerzyckie składały się z węgierskich hu'la

rów, którzy, kochając swoją ojczyznę tak samo, jak Polacy, mieli dla nas współczucie, patrzali na te przeprawy przez szpary, a jeszcze tu i owdzie pomogli; toż i komisarz zdawał się tylko dbać o to, aby wiedziano, że tam był, a ani do wozów nie zaglądał, ani podróżnych o paszport nie pytał. Mimo to należało być bardzo ostrożnym, choćby tylko dlatego, aby austriackich żołnierzy i komisarza nie narażać na odpowiedzialność.

Przy tej przeprawie, jak i w całym pochodzie aż do Zamościa, Czuby miał wielką pociechę, a zarazem rozrywkę, bo młody Mroczek niezmiernie go zajmował i bawił. Był to wcale piękny chłopaczek, Jędrus mu było na imię, o czarnych włosach, rumianej twarzy i dużych oczach otwartych, z których tryskało życie, przyrodzona wesołość i owo szczęście nieopisane, że razem z ojcem i tak sławnymi rycerz-mi idzie się bić za wolność ojczyzny, o czem u nas dzieci już marzą w kolebkach. Czuby, który w ludziach i koniach nadewszystko kość cenił, obejrzawszy Jędiusia jesicze w Narolu, już na pierwszy rzut oka osądził, że chociaż jeszcze tak młody, będzie z niego żołnierz, jak trzeba: toż kiedy go poznał tak wesołym, a do tego niezmiernie ciekawym, już go wcale serdecznie polubił. Chłopak ten nudził go czasem do niewytrzymania, bo go wciąż wypytywał o musztrę, o służbę, o regulamin,

o subordynację, o organizację, wsiadał na konie wierzchowe

1 kazał się uczyć jazdy wojskowej, brał karabin do ręki i nim manewrował, ionym razem pałasz przypasywał do bioder, dobywał z pochwy i wywijał nim między furami, to wreszcie pistolety nabijał i strzelał prochem do żydów po karczmach — a wszystko chciał wiedzieć dokładnie, gruntownie i szczegółowo. Niektórym starym żołnierzom nieraz się wcale uprzykrzył, toż mówili do niego: poczekaj-no malcze, będziemy widzieć, czy tak będziesz dokazywał, jak obaczysz Moskali. Ale Czuby z nim się nigdy nie znudził: uczył go musztry, opowiadał regulamin, opisywał bitwy, wykladał historję wojen, które sam odbył i

jeszcze często brał go na ręce, całował i mówił:

— Za lat kilkanaście i ja będę miał takie chłop- czysko, ale go ni\* dam męczyć po szkołach, tylko sam wyuczę i wy musztruję. .

Wszakże pułkownik miał także swoją pociechę w tym pochodzie, bo sobie bardzo winszował, że wziął Pliszkę ze sobą. Młody ten chłop, nie mający ani książkowego ukształcenia, ani najmniejszego wyobrażenia o służbie wojskowej, składał ciągle zadziwiające dowody rozumu, energii i przezorności. Radził się on z początku starego Mrocza, który w urządzaniu transportów wieloletnie miał doświadczenie, ale już w parę dni tak się obznajomił z trudnym tem powołaniem, że sam wszystkim zarządzał: ' on fura najmował i zawsze umiał je znaleźć, on sam przeładowywał towary, on pamiętał o wszystkim, a mając swoje parokonne eaneczki, codziennie po południu pochód wyprzedzał, znajdował gospody i przygotowywał w niej leże i żywność dla koni i ludzi, tak, że nigdy niczego nie brakło aż do samego Zamościa. Kiedy nareszcie wyprawa na przedmieście przybyła, a przeto Pliszka już był niepotrzebny, pułkownikowi żal było żegnać się z nim i rzekł do niego głosem wzruszonym:

— Odcznij-że sobie, mój Pliszka, dzień albo dwa dni, przypatrz się miastu i twierdzy, a potem chyba już wracaj do domu, dam ci listy do pani; ale mi ciebie będzie brakować i nie prędko się oswoję z tą myślą, że nie mam ciebie przy sobie.

A Pliszka na to pokłonił mu się i rzekł z uśmiechem na twarzy, ale głosem nieśmiałym:

— Nie śmiem o to prosić Jaśnie pana, ale gdyby mi pan pozwolił, tobym tu jeszcze został czas jaki. Mam parobka przy małych saniach, można się spuścić na niego, tobym jego odesłał z listami — a sam chciałbym się wojnie przypatrzeć, bo mi wstyd będzie wrócić do domu, a nie wiedzieć, jak się żołnierze na prawdę biją ze sobą.

— Ba! — zauważył pułkownik — kiedy-bo to na wojnie to nie tak, jak w karczmie, gdzie jedni się biją, a drudzy się przypatrują. Tutaj i taki. co się przypatruje, dostanie po łbie; zre&ztą zdaleka nic nie obaczysz, a zbliżka kule świstają. Kto chce widzieć wojnę, musi sam wziąć karabin do ręki i bić się, inaczej nic nie obaczy.

— A choćby się trochę i pobić! — zawołał Pliszka — jużci ja bagnetem narabiać nie umiem, ale pan Czuby mi mówił, że tam i kolbą bić można. Więc jeśliby kolbą, to mi Bie widzi, żeby się i kilku żołnierzom obronił. Żeby jeno kolba nie pękła, bo mi się to zdaje jakiś Bprzet kruchy.

— To ci lufa zostanie w ręku, a lufa nie krucha.

— Ba i to prawda. A wedle tych kul, to i mówić nie warto. Jużci tam wróżka mojej matce wróżyła, że mam zginąć od kuli, ale ona myślała, że miue wezmą w rekruty, bo mój ojciec umarł, a ja się został przy gruncie. Więc to tam bajka te wróżby. A potem myślę ja sobie, że kiedy by kuli bać się potrzeba, toby żaden żołnierz nie szedł na wojnę: a przecie idą.

— No, to kiedy chcesz, to zostań — odpowiedział pułkownik bardzo uradowany, — może obaczysz bitwę i na kulę się nie narazisz. A tymczasem będziesz mi pożytecznym, b) my tu wiekować nie myślimy i dalej pójdziemy.

Tak tedy wyprawa ta przybyła w ostatnich dniach grudnia do Zamościa i rozłożyła się po gospodach przedmiejskich. Pomieszczenie było trudne, bo napływ wojskowych i chcących się zaciągnąć do wojska, był bardzo wielki. Ochotnicy przybywali ze wszystkich stron, z Czerwonej Rusi, z Wołynia, Podola, a nawet z Pińszczyzny — a wszyscy wołali o broń, nie dbając wcale o rsngi. Zgiełk w mieście, hałas, tartas i wrzawa, jak zwykle w początkach wojny. Radość na wszystkich twarzach, zapal porywający, grupy ludzi po wszystkich ulicach, najdziwaczniejsze ubrania, broń palna i sieczna najrozmaitszego gatunku, narodowe sztandary powywieszane z okien, muzyka po gospodach, a nad tem wszystkim górująca piosneczka Listopadowa :

Kostusiu kochany, z Warszawy wygnany, Daj folgę kłopotom, rom to tom, rom to tjm!

Po bruka huczałeś; marsowo patrzałeś, Uciekłeś bez huku, a kuku, a kuku! Tu ile ci z Polakiem, do Moskwy leć ptakiem, Tam twoja parada, oj dada, oj da da!

Wszyscy się rozpromienili — i pułkownik takie się rozweselił. Zatrzymawszy słuibę przy Bobie, wesołe listy pisał do.iony i do ks. Anioła i wyprawił z nimi parobka Pliszki, wyrachowawszy mu dzień i godzinę, w których miał stanąć w Wisłoku.

Tymczasem w Wisłoku zaszły wypadki, na które nikt nie był przygotowany. Kiedy pułkownik z Czubatym odjechali z Wisłoka, pułkownikowa i ks. Anioł stali jeszcze chwilę na ganku i z ciękiem sercem patrzali w to miejsce, gdzie sanie odjeidających zniknęły pomiędzy górami. Pułkownikowej teraz lży się rzuciły do oczu, które z tak wielkiem wysileniem w sobie tłumiła, a ks. Anioł właśnie otworzył usta, aby ją uspokoić, — kiedy w tem strzał dał się słyszeć.

Strzał pewnie, nawet dość głośny, tylko stłumiony, tak, ie nie moina było rozióinić, czy padł gdzieś daleko w dziedzińcu, a odgłos prtygłuchł pomiędzy śniegami, czy tei w którym z zabudowań zamkowych.

Ks. Anioł zatrzymał oddech i słuch wytężył, chcąc dojść rozumem, co-by to było; ale pułkownikowa zbladła i tym przedziwnym instynktem natchniona, który nigdy nie zawodzi kobiety, zawołała :

— To Milek !

W tej samej chwili rzuciła się ku drzwiom prowa dzącym do sieni, ks. Anioł za nią, i już byli na schodach, wiodących w dziedziniec, a stamtąd na Posai.1}, — kiedy wtem Gacek zabiegł im drogę, z rozczochranemi włosami, z wystraszonemu oczyma, z zaj artym w gardle oddechem, i zawołał:

— Jaśnie pani ! Panicz się zabił!

Natomiast ks. Anioł, człowiek przytomny i energiczny, wyprzedził pułkownikowę i pierwszy wbiegł na Posadę — a tam straszliwy widok uderzył ich oczy.

W komnacie półciemnej, bo okna były przysłoaiecie ciękimi kotarami, a przytem napelnionej dymem, na niskiej sofie leiał Milek bez ducha, cały prawy policzek miał krwią zalany, a w ręku trzymał wielki olstrowy pistolet, z którego lufy jeszcze się kurzyło.

Ks. Anioł porwał go zaraz w swoje ramiona, zaniósł ku oknu, obejrzał ranę, a spostrzegłszy natychmiast, ie nie jest śmiertelną, zawołał: Wody!

Pułkownikowa w pierwszej chwili zdrewniała, ale trwało to tylko jedno oka mgnienie, odzyskała natychmiast przytomność, zawołała na Gacka, aby drzwi zamknął wcho- dowe i nie wpuszczał nikogo, sama zaś księdzu podała d'zban wody. Ks. Anioł chlustnął wodą na zraniony policzek i Milek się zaraz oiywił. Wtedy go przeniósł na sofę, obmył mu ranę i przekonał się, że kula tylko przedarła mu skórę na twarzy poniżej oka na długość półtora cała i może nawet kości dotknęła, co sprowadziło upływ krwi tem silniejszy, ile ie te był młody człowiek i właśnie w tej chwili mocno wzburzony — ale rana nie była niebezpieczną. Zdaje się, ie pistolet był mocno przeładowany i zniósł kulę od gardła do twarzy. Być moie nawet, ie kuli woale nie było, bo nie znaleziono jej śladu w suficie, natomiast flejtuch ogromny leiał na sofie i dogorywał. Milek wprawdzie odetchnął i otworzył oczy, ale kiedy go posadzono w fotelu, patrzył przed siebie tak, jakby nic nie widział. Ks. Anioł trzymał ręcznik, zimną wodą zwilżony, przy twarzy, aby krew zatamować, pułkownikowa pobiegła do siebie po plaster, ks. Anioł ciągle odnawiał kompresy, a Milek nic nie mówił. Dopiero po chwili głębiej odetchnął i spytał: ?

— Gdzie jestem ?

— Juici nie w niebie ! — odpowiedział mu gniewnie ks. Anioł — tam nie masz miejsca dla samobójców.

Na to Milek się sardonicznie uśmiechnął — a wtem weszła pułkownikowa.

Ks. Anioł, który jak Bie zdaje i w chirurgji niejaki miał doświadczenie, przyłoił plaster, obwiązał głowę Mil- Wul Ojcowie.

kom i posadził go wygodnie w fotela, zaś do pułkownikowej powiedział:

— Najdalej za tydzień »ię to zagoi i tylko mała blizna zostanie.

^ Tak siedli oboje naprzeciw niego i milczeli. Milek patrzył w siemię i takie milczał, zdawało się, jakoby sobie zdawał sprawę z tego, co zaszło. Dopiero po długiej chwili jego lewy policzek zaczął się rumienić, ocsy się oiywiły i rzekł s głębokiem westchnieniem:

— Nie spodziewałem się, aby mój rodzony waj na taką skazał mnie hańbę 1 Wszyscy pójda, nikt nie zostanie w całym kraju, kto może broń dźwigać, tylko mnie tam nie będzie 1 mnie, który po winienem być pierwszy na placu bojo, aby pomścić te ciężkie krzywdy, które mi Moskwa zadała. Nie, ja tego nigdy nie zniosę...

Wtedy pułkownikowa przystąpiła do niego, położyła rękę na jego czole i zaczęła go uspokajać; ale ledwie parę słów wymówiła, jemu łzy z oczu wytrysły i zaczął płakać jak dsiecko. Na to ks. Anioł, który dotychczas ciągle był saohmursony, takie się trochę rozczulił i zaczął mówić o obowiązkach względem ojcsysny, dowodząc przykładami, ie nie wszyscy obywatele powinni jej służyć z bronią w ręką, bo w takim rasie cóiby się stało z resztą ludności, składającą się s kobiet, starców i dzieci? Któiby dobrego duoha utrzymywał pomiędzy niemi? Któiby uprawiał role, zawiadował przemysłem, kierował handlem i zaopatrywał armję w żywność, ubranie, konie, wozy i wszelkie inne przyrzady, bes których nikt wojny prowadzić nie moie? Opowiadał dalej o obywatelach, którzy nieocenione oddali narodowym powstaniom usługi i wiekopomną zdobyli sławę, chociaż nigdy w swem życiu broni nie wzięli do ręki — a aby tem łatwiej trafił do przekonania słuchacza, określił mu niektóre postacie s rewolucji francuskiej i s czasu narodowej wojny Hisspanów przeciwko wojskom napoleońskim.

Wśród tego wykładu, choć bes wątpienią bardzo był sajmującym, Milek, sapewne skutkiem gwałtownego wstrsa- śnienia nerwów i dość snacsnego opływa krwi, sasnął tak smacznie, że chociaż mu podłożono poduszkę pod głowę i stołeczek pod nogi, woale się nie obudził.

Natenczas pułkownikowa wyszła na chwilę, a frsy drzwiach rzekła do Gacka:

— Słuchaj Gacek! trzeba, żebyś wszystkim dworskim powiedział, że panicz, nabijając pistolet, zranił się przypadkiem, bo tak było. Jeżeliby się jaka plotka s tego zrobiła, to ty bodziesz za to karany, a jeżeli plotek nie będzie, to otrzymasz odemnie nagrodę. Ale ty kocbaas panicza, nieprawda? więc pewnie plotek nie będzie.

— Jaśnie pani 1 — zawołał Gacek, zalewając aię łzami i padając jej do nóg — jabym aię dał sabić za naszego panicza. I na spowiedzi bym nic nie powiedział na niego.

Pułkownikowa wyszła, aby obaesyć, esy Plissks s dr u giemi saniami i końmi już odjechał, aby też nie sawiósł tej wiadomości pułkownikowi, któraby go pewnie smar twiła: ale Pliszka s całym swoim taborem, jadao stępą, właśnie natenczas znikał w wąwosie pomiędzy górami. Uspokoiwszy się, poszła na pół godziny do Bwoioh pokojów — a kiedy na Posadę wróciła, ks. Anioł zawiadomił ją i\* Milek ciągle półspiaący, bo zapewne noo bezsensną prsepę- dsił, poswolił się bes opora rozebrać i położyć do łóżka. Wyssli tedy ob je, aby prsedewssystkiem zręcznie rozsiać, wieść międsy służbą o jego prsypadkowem zranieniu — a pi żytem naradzić się, esy mają posłać po lekarsa. Uradzono, aby lekarsa nie wzywać — i tak było dobrse, bo Milek miał wprawdzie w nocy lekką gorączkę, ale nasajutrs miał aię daleko lepiej i widocznie niebezpieczeństwa nie było.

Ks. Anioł jako chirurg się trochę pomjlił, bo rana ani za dwa tygodnie jeszcze aię nie zgoiła. Zapewne kula albo tei flejtuch dotknęły kości, wkrótce nawet prawe oko chorego zapu hło i gorącska co wieesór wracała, ale pułkownikowa nie skarżyła się na to, bo tym sposobem rosgo- rącskowane myśli młodsieñoa zwolna się uspokajały i miano esas prze<sup>1</sup> onywać go sręcsnie dobieranemi argumenta



mi, ie ma nikt wcale nie broni służyć ojczyźnie, ie swego czasn postąpi, jak zechce, ale ie nie potrzeba się spieszyć, bo ojczyzna wciąż będzie i zawsze będzie potrzebować usługi. Wykłady te zdawały się nie pozostawać bez wpływa na niego, bo się im nie sprzeciwiał, najczęściej milczał, a nieraz i prawdę przyznawał.

Ale ks. Anioł przeciei był niespokojny. Kiedy bowiem we trzy tygodnie rana się zagoiła i tylko czerwona, eokolwiek jeszcze zaogniona blizna została, a Milek jui wstawał, chocia i nie wychodził z pokoju, to czasem sam glos zabierał, a wtedy tak mówił, jak gdyby nigdy żadnych wykładów ks. Anioła nie słyszał. Wtedy wyraił się z pewną cierpkością o arystokracji cywilnej i wojsko- ? wej i mówił:

— Jcieli ster sprawy narodowej pozostanie w ręku ty i li «.'! aiyth ludzi, którzy otrzymali swoje urzędy i rangi ud c\* rów moskiewskich, to wszystko przepadnie i Polska zostanie znowu podbitą. Rewolucja, jeżeli ma zwyciężyć, powinna władzę z samej siebie wytworzyć i najpierw zacząć od uwłaszczenia wiejskiego ludu i zniesienia wszystkich tytułów i przywilejów, aieby w krają było tyle równych sobie obywateli, ilu jest ludzi iyjących; a potem nie powinna nikomu przyznawać ani cywilnego urzędu, ani raogi wojskowej, tylko tym, którzy wyszli z jej łona i wyznają Bzczerze jej zasady. Władza taka powinna być dyktatorska, ielazna i nieubłagana — a kto jej się sprzeciwi, tego w łeb,' bo ten rew.ilucji tylko moie zaszkodzić I

Tak mówił Milek, a stąd widać było, ie w zakresie spraw politycznych miał on swój system wyrobiony i wypełniony, z którym nie łatwo było wojować, bo z tym systemem wojowało jui wielu mędrców i mężów staną, a nie zawsze ze skutkiem, prawdę zaś mówiąc, tylko wtedy ze skutkiem, jeżeli mieli odpowiednią ilość bagnetów za sobą. Ks. Anioł to wiedział i mówił sobie: Jeżeli on te zasady odnosi tylko do narodowego powstania, a nie posuwa ich dalej i nie zastosowuje do urzędzeń społecznych, to dziś, kiedy cała Polska stoi w płomieniach, nie należy mu się sprzeciwiać, jest to bowiem tylko gorąca miłość ojczyzny, która się objawia w formach, odpowiednich skłonnościom jego temperamentu. Jakoż zasad tych mu wcale nie zbijał, owszem przyznawał im słuszność teoretyczną, zastrzegał sobie tylko nieodzowne w każdym kraju uwzględnienie miejscowych okoliczności.

Milek się na takie jego uwagi wcale nie gaiewał, ale jak swoje zasady wypowiadał zawsze z uderzającym naciskiem, a tonem takim, który zdawał się na iadną opozycję nie zważać, tak znowu ks. Aniołowi nie odpowiadał inaczej jak tylko żartem, mówiąc raz: że ks. definitor nie dość dokładnie defiuuje swe myśli, — a innym razem rozmowę przerywał i dodawał: że z duchownymi nie należy dysputować o rzeczach doczesnych.

Takie odpowiedzi czasem niecierpliwiły ks. definitora, bo sprawiały nań takie wrażenie, jakoby Milek, pomimo swoich przeróżnych słabości i niedostatków, miał ową świadomość swojej wyższości, której możnr nie uznawać, ale z którą trzeba się liczyć, bo ugruntowana czy urojona, jest zawsze pewną potęgą. Jakoż w takich chwilach niejednokrotnie\* zabierał się do gruntownej z nim dysertacji, ale pułkownikowa zawsze temu przeszkodziła, bo nie chciała dopuszczać, aby Milek się zirytował.

Tak we cztery tygodnie nareszcie zupełnie wyzdrowiał, rana całkiem się zagoiła i zostawiła tylko bliznę po sobie, jak gdyby, go kot kiedy podrapał. W owym czasie właśnie parobek Pliszki powrócił z Zamościa, przywiózł listy od pułkownika i opowiadał całą przeprawę i co tam widział. Wszyscy go pilnie cłachali i Milek takie, jednak nie z taką ciekawością, jakiej się po nim naleiało spodziewać. Wszelako być moie, że obojętność tylko udawał, bo przez dwa dni potem bardzo był zamyślony, mówił mało, — czasem długo patrzył przez okno z apartamentów macochy w tę stronę, gdzie teraz polska armja stała ped bronią, a kiedy Bię odwrócił, to miał łzy w oczach,— zaś wieczorem szedł wcześniej do swego mieszkania, skarżąc się na ból głowy.

Pułkownikowa już się wtedy całkiem uspokoiła i była pewną, że Milek zaczeka spokojnie, aż póki niebawem może oboje razem wybiorą się do Warszawy, — kiedy tymczasem dnia następnego rano Gacek znów wystraszony wpadł do jej pokojów i zawiadomił ją z płaczem: że panicz zniknął w nocy, bo nawet łóżko jego nietknięte.

Kto? gdzie? jak? kiedy i dokąd? pytała pułkownikowa; ale tylko tyle się dowiedziała, że Milek zapewne jaszcz przed północą wyjechał, bo wtedy jego kozak wyprowadził rysaka ze stajni i więcej iiiie wrócił. Gacek spał przy kominie przez całą noc, jak zabity i nic wcale nie słyszał. Pułkownikowa pOBzła do mieszkania swego pasierba, przejrzała wszystkie pokoje, ale znalazła wszystko nietknięte, brakowało tylko kilku sztuk broni i walizy podróźnej. Wszakże zatrzymawszy się na chwilę w salonie, uderzyła ją skórka zajęcza, leżąca na środku stołu. Widok tej skórki wywołał w jej sercu bardzo bolesne uczucie. Skórki zajęcze posyłano wówczas tym wszystkim, którzy do powstania nie poszli. Były-to sprawki młodych panienek, które niesione naprzód zapalem, ogarniającym wtedy kraj cały, pragnęły gorąco, aby wszyscy szli bić się z Moskałem. Pułkownikowa westchnęła żałośnie i powiedziała sobie: Opinja patijotyczna jest czasem nielitościwą I Ale wtem spostrzegła kartkę papieru, leżącą przy skórcie, porwała ją prędko i wyczytała na niej napisane ręką Milka te słowa: „Tej skórki mi nie przysłano, ale byliby mi ją pewnie przysłali, gdybym nie poszedł do powstania.”

Wtedy zamyśliła się nad tem i postawiła sobie pytanie : czy jej mąż nio popełnił wielkiego błędu, zmuszając Milka, aby w domu pozostał? Są przecież na tym świecie i uczucia ludzkie i prądy społeczne tak silne, że wola jednego człowieka napróźno im się sprzeciwia. Niezgodna w tej kwestji sama ze sobą, posłała coprędzej po ks. Anioła. Skutkiem śnieżnej zawiei, która się wtenczas znowu zerwała, albo może umyślnie, ks. Anioł dopiero nazajutrz przyjechał: ale przyjął tę wiadomość z-takim spokojem, że nawet pułkownikowę zadziwił. Wszelako po dłuższej rozmowie, objawił jej Bwoje zdanie otwarcie, które zdaje się nie dopiero teraz sobie wyrobił, bo rzekł do niej w te słowa:

— Gdyby pułkownik był mnie się poradził, tobym mu był powiedział, że daleko rozumniej było wziąć Milka ze sobą i umieścić go w adjutanturze, niżeli dopuścić, co- było do przewidzenia, aby sam poszedł i oddał się na los szczęścia tym wichrom, które wyją straszliwie w jego wła- snem sercu i głowie, a z których się może orkany utworzą w Warszawie. Ale pułkownik mnie o radę nie pytał. Dziś.. — dodał ks. Anioł w głębokiem zamyśleniu, ale głosem stanowczym — dziś rzeczy wzięły obrót niespodziewany... Dzisiaj z nas każdy tam bjó powinien, bo tam cała Polska bić się będzie o śmierć, albo życie narodu I

V.

Ks. Anioł miał jui zapewne podówczas dokładną wiadomość o tem, co tymczasem się stało we Lwowie.-

Pierwsze pogłoski o wybuchu powstania sprawiły tam dosyć chłodne wrażenie Zamożna szlachta, licznie już zgromadzona na zimę i stanowiąca opinię publiczną w tem mieście, gdzie inne warstwy społeczne nie miały wtenczas prawie żadnego znaczenia, — bardzo patryjotyczna bez wątpienia, ale zawsze zastanawiająca się w takich chwilach, które wymagają poświęcenia majątków i życia, — przyzwyczajona zresztą do ówczesnego porządku rzeczy, w którym pod łagodnem<sup>1</sup>, a całkiem arystokratycznemi rządami księcia Lobkowicsa, nie źle się jej powodziło, z początku tym pogłoskom nie dała wiary. Później uważała powstanie tylko jako bunt wojskowy, który łatwo przytłumionym być może; przypuszczenie to tem łatwiej się rozszerzyło, ile że powtarzały Bię wieści, że rozpoczęto układy. A kiedy nareszcie przysłała wiadomość o proklamacjach rządu i dyktaturze, zaczęto obliczać szanse udania się lub nieudania, a wprost przeciwne opinie bardzo ważyły się ze sobą.

Młodzież ucząca się i starsza, wyszedłszy ze szkół, z których język polski zupełnie był wykluczony, nie znająca polskiej literatury, nie wiedząca najczęściej, oo to była ta Polska, o której mówiono, że niegdyś istniała, zaczęła się niepokoić, lecz nieświadomie, nie umiejąc dokładnie określić, dlaczego właściwie się burzy i do czego ma zmierzać. Tak samo działo się po warstatach. Chłopcy ci zaczęli odbywać schadzki ze sobą, gromadzili się przed domami urzędników rządowych, którzy byli znani z niena wiści do Polaków, wybijali im szyby, a ich samych ploszyli kijami. Urzędnicy tacy musieli się kryć, a czasem nawet wyjeżdżać z miasta. Tak samo postępowano z rezydentem rosyjskim Breindlem, którego niejednokrotnie poturbowano — a łatwo go było wytropić, bo licząc na protekcję rządu, chodził w mundurze pułkownikowskim. Po każdej takiej scenie ulicznej lub kawiarnianej, pojawiały się kartki, przylepiane na rogach ulic, a nawet na drzwiach gubernatorskiego pałacu, a zawierające pogrózki wierszem i prozą, przeciwko znienawidzonym osobom, przeciwko Rcsji, ale także i przeciwko austriackiemu rządowi.

Wszelako kierunek ruchu barzącyoh się umysłów jeszcze był wtedy niejasny. Jakoż jednocześnie napadano<sup>1</sup> także na celników przy miejskich rogatkach, okładano ich sękatemi pałkami i burzono ich budy -- a proboszcz u św. Marcina powiedział ogniste kazanie, wzywając wprost naród do powstania przeciwko austriackiemu rządowi. Gubernator kazał natenczas chwytać burzycieli publicznego porządku i zamykać do kozy — a proboszczowi-kaznodziei ogolono głowę i zamknięto go w domu warjatów..

Jednak już w bardzo krótkim czasie prąd wzburzonej opinii publicznej zwrócił się stanowczo przeciwko Rosji. Kierunek ten nadal mu przedewszystkiem dawni wojskowi, legioniści i napoleończycy, którzy sami szli do królestwa i brali młodzież ze sobą. Niektórzy z nich wychodzili jawnie, maszerując zbrojno w biały dzień przez Żółkiewskie przedmieście. Hipolit Chołoniewski wymaszerował tak w kilkadziesiąt ludzi Jeszcze natenczas rząd sam nie wiedział, jak ma się zachować. Chołoniewski musiał na granicy walczyć z dwoma posterunkami austriackich żołnierzy, których jednakże potłukł i poszedł bez szkody. Wszelako od tej utarczki rząd zmienił swoje postępowanie. Gubernator rozrzucił swe karty wizytowe, drukowane po polsku: Angust Długosz ksiązę Lobkowitz i wylitografował swój portret w kontuszu — a nadgraniczne posterunki i komisarze rządowi otrzymali rozkazy nie narażać się na kule powstańców.

Wail Ojeowl.

Natenczas fale wzburzonych umysłów podniosły się, jak morskie bałwany i cały kraj sobą zalały. Ktokolwiek broń mógł udźwignąć, wyrwał się z objęć swojej rodziny i biegł do powstania. Wypróżniły się szkoły, stanęły pustką warstwy. Eto nie miał funduszków na drogę, otrzymywał je od komitetu, któremu przewodniczył Izydor Pietruski. Zaczęto broń zakupywać w Ołomuńcu i Wiedniu, a kupiec Glizeli wyprawiał ją do Królestwa. Kobiety skubały szarpie, szyły bieliznę, haftowały chorągwie i wyprawiały furami za kordon. Zapał taki niepowstrzymany ogarnął młodzież wszelkiego stanu, że nawet synowie Niemców, częstokroć osławionych z nienawiści ku narodowi polskiemu, uciekali z domów swoich rodziców, aby się zaciągnąć do polskich szeregów. Kiedy syn radcy sądowego Weebera wyszedł do powstania, radca gubernialny Reitzenheim sfukał go za to, że tak źle wychowuje swe dzieci; lecz kiedy wrócił do siebie, musiał się rozchorować ze wstydu, bo się dowiedział, że jego własny syn, Józef, później w emigracji tak powszechnie kochany, także poszedł do Kongresówki. Tak wyszli Kurzweil, Karol Titz i wielu innych; tak wyszedł także syn Ostermanna, sanockiego Btarosty, najzuchwalszego z owoczesnych naszych ciemiężców — a wzięwszy ze sobą przekleństwo swojego ojca: „Ażeby pierwsza kula go nie minęła i” zginął śmiercią chwalebna pod Międzyrzeczem...

Gorący ten płomień miłości ojczyzny i poświęcenia porwał zarówno ludzi zamożnych i ukształconych, dziedziców wielkich imion i znacznych majątków, w których rodakach chowały się od wieków duch rycerski i cnoty obywatelskie. Jak z rogu obfitości, wysypał się wtenczas kwiat tamtejszej młodzieży, z której prawie nikt w domu nie został. Tak wyszli z Czerwonej Rusi trzej Krasiccy, dwaj Fredrowie, trzech Jabłonowskich, Adam Lubomirski, Aleksander Cetner, trzech Dzieduszyckich, trzech Sierakowskich, dwóch Łosiów, dwóch Gołuchowskich, dwóch Komorowskich, dwóch Puzynów, dwóch Turkułłów, dwóch Kraińskich i dwóch Kozłowskich, czterech Skrzyńskich, pięciu Rozwadowskich, tuż z nimi Ożarowscy, Zamoyscy, Niezabitowscy, Podlewoy, Duninowie, Borkowscy, Tohorzniccy, Balowie, Chołoniewscy, Morawscy, Kęszyccy i tylu innych niepoliczonych — zaś z Małopolski Broniewscy, Bejowie, Stojowscy, Rogalińscy, Wodziccy, Konopkowie, Jędrzejewicze, Kochanowscy, Wielogłowsy, Stadniccy, zabierając ze sobą sługi dworskie, młodzież mieszczańską i wielką liczbę młodzieży wiejskiej. Te dwie dawne prowincje polskie dostarczyły powstaniu, — czego im jeszcze dotąd nie policzyła historia, chociaż świadczy o tem kontrola, — dwadzieścia cztery tysiące ludzi — a byłyby dostarczyły sto tysięcy i więcej, gdyby rząd narodowy był zaraz po wybuchu powstania postanowił formację nowych pułków, dopóki sił stanie. Z tem wszystkim Galicja wówczas znacznie się wyludniła, bo wyszedł z niej wybór młodzieży: w rodzinach znanych na wsi i w miastach zostali tylko starcy, kobiety i dzieci, z zwróconą twarzą ku Wiśle i z modlitwą na ustach, aby Bóg dał zwycięstwo.

Wisłocki, chociaż nie przybył z gołymi rękami, znalazł w Zamościu daleko więcej trudności, niżeli się w najgorszym razie spodziewał. Najpierwej bowiem wcale on innych nie wyprzedził, chociaż tak bardzo się spieszył: kiedy tam przybył, zastał już miasto i przedmieścia tak nabite wszelkiego kroju ochotnikami, że ledwie się mógł bezpiecznie pomieścić. A była to rzecz bardzo ważna, bo musiało mu chodzić o to, aby mu bronie nie rozerwano. W czasach rewolucyjnych płątają się rozmaite sztuczki z czystem sumieniem, zwłaszcza jeżeli się płątają pro pullico bono. Chodziło mu także o to, aby mu się jego ludzie, a zwłaszcza starzy żołnierze nie rozlecieli, a i to się stać mogło, bo było tam wówczas rozmaitych komendantów nie mało, którzy na zawieruchę od dawna czekali, a dziś werbowali sobie oddziały na własną rękę, nie pytając wcale o to, kogo zwerbują. Przecież jakoś szczęśliwie tym niebezpieczeństwem zapobiegł, bo znalazł wielką żydowską gospodę, którą najął dla siebie i w niej się z bronią, z końmi i ludźmi pomieścił: ale zaraz zaczęła się służba, bo musiał zewnątrz

i wewnątrz warty postawić i pilnować swych skarbów we dnie i w noey. Drugą zaś trudność znalazł w tem, ie chciał osobny regularny pułk uformować, a do tego potrzebował i urzędowego upoważnienia i urzędowej pomocy. Znając dobrze ambicje komendantów, które zresztą w takich wypadkach usprawiedliwiały, bo i sam nie był od nich zupełnie wolny, postanowił postępować ostrożnie — i dlatego sam pierwszego kroku nie zrobił, tylko posłał naprzód Czubatego do twierdzy na zwiady.

Wszelako Czubaty, przedstawivszy się komendantom i pomacawszy ich, czego się po nich może spodziewać, wcale nie dobrze został od nich przyjęty. Żołnierze w służbie nie zwykli obsypywać się grzecznościami, toi i jemu odpowiedziano:

— A po djabła nam tu pułkowników i kapitanów 1 Mamy ich dosyć, ie i nie wiemy, jak się od nich opędzi\*. Jeieli macie broń albo pieniądze, to pogadamy.

— Ba! juioi mamy i jedno i drugie, ale nie dla was — mruknał sobie Czubaty pod nosem i wyszedł bardzo zafrasowany.

Zaczem się błakał po twierdzy, chcąc się dokładnie zainformować o nowych formacjach, ale się nie wiele dowiedział, bo był tam wtenczas rwetes po wszystkich kątach, kaidy był jakby na węglach, więc mu odpowiadano ni to, ni owo i poleeano go Bogu. Jui tedy wychodził z zwieszoną głową i był właśnie na mościj, kiedy ktoś krzyknał do niego:

— Czy ciebie wszyscy djabli, Czubaty! Myślałem, ie cię jui dawno zjadły robaki I

A była-to wcale dziwna figura: człowiek miernie słusznego wzrostu, chudy jak szkielet, z ogromnym wąsem strzępiastym, ze świdrowatemi oczyma i z nosem przyprawionym woskowym, który mu ciągle się kiwał. Był ubrany w mundur gwardji napoleońskiej, cokolwiek jui wyte- rany, miał ogromne szablisko u boku, pistolet na temblaka i wielki harap w prawicy.

— Giedroję! niech ie cię Pan Bóg ma w swojej opie ce! — zawołał Czubaty i zaraz serdecznie go wycalaował, ale ostrożnie, aby mu nie utracił kiwającego się nosa,

Jakoi istotnie był to Józef Giedroję, ksiązę, podobno krewny jenerała tegoż samego nazwiska, któremu takie Józef było na imię. ale innego temperamentu i konduity. Zaeiagtoał on się także do armji napoleońskiej mało co później od WiBłockiego, ale nie służył statecznie, be zawsze mu się zdarzył jakiś przypadek, który go zniewolił albo do przejścia do innego gatunku broni, albo wcale do porzucenia służby. Czasem się pobił z oficerami, czasem wyzwał pułkownika, lub jenerała, raz całą wieś bez rozkazu splondrował, inny raz sobie pohulał po klasztorze panieńskim, dziś zabrał gwałtem furaz dla swego szwadronu, a jutro podał jakiś plan jenerałowi korpusu, a kiedy mu go odrzucono, dawał dymisję, ale zawsze, ażeby w parę miesięcy potem znowu wstąpić do służby. Hiszpanie go znali jak białego kruka, bo nielitościwie ich łupił, nie dla siebie, broń Boże I tylko dla swego szwadronu, bo mówił: Jakto! to żołnierz będzie się bił za obywateli, którzy spokojnie siedzą za piecem a obywatele go nie nakarmią i nie napoją ? cói-by to był za porządek ? a to chyba Bam djabeł móglby być wtenczas iołnierzem. — Jakoi żołnierze go niezmiernie lubili, bo pod jego komendą byli zawsze okryci i syci i nie znali pragnienia; toż był on takie bardzo cenionym w całym korpusie, bo kiedy o fu rat i żywność chodziło, to on wydobywał je choćby z pod ziemi. Był on przytem niezmiernie zręcznym w odcinaniu i uprowadzaniu nieprzyjacielskich transportów: umiał je wryszpie- gować jak jastrząb, a jak lew rzucał Bię na nie, wytłukł komendę albo asekurację, a wozy, ludzi i konie, uprowadzał ze sobą. Ale gerylasy hiszpańscy raz go złapali, a mszcząc się za psoty, które im tak często wyrządzał, nos mu ucię'i.

Giedroję miał jeszcze drugą namiętność wojskową, a to rekruto wanio ludzi, musztrowanie ich i formowanie oddziałów i mawiał słusznie:

— A co mnie tam po tyra bataljonie albo szwadronie,

który ktoś inny sformował i swoim duchem go natchnął? kapitan Hejtuch i żołnierze flejtuchy. Ale jak ja sobie ludzi dobiore i moim duchem ich natchnę, to już ci będą wiedzieć, jak trzeba manipulować, aby magazyny zabierać. — Jemu zawsze i wszędzie tylko o magazyny chodziło.

Tak dosłużył do Lipska, a stamtąd wyszedł z rangą majora. Za w. księcia koniecznie chciał przyjąć służbę i srodze o to się kłócił, ale mu się to nie udało (X pucło nosa. Z czego był bardzo nie kontent i mawiał:

— Chyba sam djabeł co poradzi z naszą arystokracją, kto nie ma węchu jak pies gończy, temu i kawałka chleba nie dadzą.

Zamieszkał więc na wsi, bo miał jakichś kilka folwarków, jeździł po sąsiadach, pił z nimi, grał w karty, pBy wieształ na wszystkich, którzy się ocierali o władzę i czekał cierpliwie, póki znów wojna nie będzie. Czekał długo, ale doczekał nareszcie I

Czubaty mu opowiedział w dwóch Błowach, poco się zatrzymał w Zamościu i że przyjechał z Wisłockim.

— Jakto ! i Wisłocki tu jest ? — zawołał Giedrojc — toż-to także kolega, a i sąsiad do tego, ho jego chłopci tek samo żaby łapią w Prypeci, jak moi. A nie myślałem, że i on także pójdzie się bić z Moskalami, bo mu przecież sprzątnęli męża jego dzisiejszej żony, więc powinienby ich respektować przez wdzięczność. Ale pewnie mu już baba sadła załala za skórę, więc się idzie mścić na nich. Chodź- myż do niego.

A więc szli razem, a Czubaty mu opowiadał przez drogę, jakie mają zamiary i jak jest tem sfrasowany, że go komendanci tak źle przyjęli.

— Jakto ! — zawołał znowu Giedrojc, wpatrując mu się w twarz swemi świdrowatemi oczyma — to wy macie tysiąc karabinów ? a po jakiegoż djabła wam komendantów potrzeba? Ty, widzę, już całkiem skapcaniał w tych swoich górach. Chodźmy do Wisłockiego.

Więc w Czubatego duch wstąpił i opowiadał mu da lej, że prócz karabinów mają i sukna cokolwiek i leder- werki, a nareszcie i pieniądze nie braknie.

— Pieniędzy? — krzyknął Giedrojc, — a to ty już chyba całkiem oszalał. To jak ja mam tysiąc bagnetów, to mnie potrzeba jeszcze pieniędzy ? Ej, czy ty nie zostałeś księdzem, Czubaty? Do karabinów, kul i prochu potrzeba, a tych nam musi twierdza dostarczyć — a jak nie, to się rozmówimy z panami komendantami. Jużemy brali inne twierdze, jak ta buda karciana, to i tę jeszcze wziąć potrafimy. Karabiny są, ludzi nie braknie, jest ich tu dosyć, amunicji nam komendanci dostarczą — a potem możesz twoje pieniądze odesłać do domu. Takiemu żołnierzowi, co się sam nie umie wyżywić,—drwa rąbać a w piecach palić, a nie iść na wojnę. Dziwiłoby mnie bardzo, gdyby i Wisłocki przeBzedł na taką flojtuchowską wiarę, jak ty. bo przecież nie mało się z nim nabuszowałem po świecie i znam jego katechizm: chyba, że się zestarzał..

Tak doszli do gospody i zastali Wisłockiego przy dobrem śniadaniu, ale przy nim Michał Borch siedział.

Podwójna więc radość z jednej strony i z drugiej. Pułkownik serdecznie się ucieszył, obaczywszy Giedrojcia, którego humor i temperament znał od lat tylu, i ścisnąwszy mu rękę po kilka razy, mówił do niego:

— Gdyby mnie kto na sto koni wsadził, to by mnie tak nie ucieszył — a gdybym sobie był Bam zapisał kolegę, to w tych okolicznościach byłbym nie znalazł lepszego.

Ale Giedrojc położył rękę na jego ramieniu, wpatrzył się ostro w twarz jego, jako miał zwyczaj, kiedy mu rzecz wydawała się ważną, i rzekł:

— Słuchaj Wisłocki! mam ciebie w podejrzeniu, żeś się zszafandulił cokolwiek, bo z tego, co mi powiedział Czubaty, muszę tak wnosić. Jak to? to ty masz karabiny i chcesz iść kłaniać

się komendantom, aby ci pozwolili pułk uformować ? Prawda, żeś ty się nieraz dyplomacją zabawiał po sztabach, ale przecieżbym się tego nie spodziewał po tobie.

Ale Wisłocki śmiał się i mówił:

— Jużci ja wiem, że mając broń, niekoniecznie potrzebuję patentu, aby się bić za ojczyznę, ale wiesz, choćby przyszło i partyzantkę prowadzić, do czego ja zresztą nie mam talentu, to zawsze lepiej mieć pułk regularny.

— Ot 1 coś wy tam zrobicie Moskałom z waszem wojskiem regularnem 1 — zawołał na to Oiedroję — będzie ich trzy razy, a moje i cztery razy tyle, nii wasza armja, a do tego jeszcze i armat naprowadzą, ie się ziemia od nich zaczerni. Jak zechcecie bić z nimi bitwy regularne, to moje tam, tu i ówdzie wygracie jaką batalje, ale w końcu przeoie was roztratują swojemi masami. Z nimi nie ma, jak rozprószyć sie na drobne a mocne komendy i rwać ich po bokach, magazyny zabierać, morzyć ich głodem, nie dać im zascać, nie dać im spocząć, a bić, gdzie się uda, a tak tu wygina, jak muchy. Przyszłą drugą armię, jeśli ich stać będzie na to, to i ta skapieje tym samym trybem. Jużci ja słyszę, jaki tam duch wziął górę w Warszawie : arystokracja chce się układać, aieby konstytucję ratować dla Kongresówki, a Litwę i zabrane kraje wydać na pastwę kałmukom, — gdyby mnie na to wszyscy djabli nie brali, tobym parsknął od śmiechu 1 — a Chłopicki chce stoczyć bitwę napoleońską i honor wojskowy ratować. A ja tobie powiadam, ie Mikołaj tym dyplomatom obcasami odpowie — a Chłopicki nakoniec przegra i honor tak wyratuje, że go Mikołaj poszle na dwadzieścia lat do Zamościa i przykuje do tacek. A potem co to? czy. to o honor waszej armji idzie? Tu idzie o Polskę. Jakiei wy macie prawo krwią polską honor waszej armji ratować? he? —

Ale pułkownik, chociai innego był zdania, nie gniewał się za to, owszem śmiał się i mówił:

— Znam ciebie od dawna i wiem, ie tobie bójka milsza, nii bitwa. To rzecz temperamentu. Jestem tei pewny, ie jeieli zechcecie partyzanckie oddziały formować, to wam nikt tego bronić nie będzie. I Chłopicki tem się nie zmartwi, jeżeli będziecie Moskali turbować po flankach i magazyny przejmować. Ale przeciei potrzeba, aby był jakiś gros armji, bo i najwaleczniejsza partyzantka niczego nie dokaie jeieli armja polska nie będzie trzymać w szachu armji moskiewskiej. Inaczej Moskale was partyzantów po jednym wyłapią i nie przykują do tacek, ale powywieszają na gałęziach, co i cywilnemu nie bardzo przyjemnie, a niedopieroi żołnierzowi. Otói ja, jako nie- partyzant, chciałbym mieć pułk regularny. Na partyzantkę jeszcze czas będzie. Formujmy tymczasem nasz pułk, dam ci w nim dowództwo bataljonu, to ci da stanowisko, tak ty mnie pomoiesz — a ja ci daję słowo, że jak ty zechcesz potem osobny oddział formować, to ja tobie pomogę.

— Dobrze! — rzecze Giedroić, u którego decyzja była jak piorun, — dobrze! daj rękę. A ja tobie w lot wymusztruję iolnierzy i takiego ducha w nich wleję, ie wsaystko będzie pryskać przed nimi. Czuby, utary żół nicrz, także się na tej sztuce rozumie. Ale jakby to zrobić? bo to ze sztabowcami jak z piskerzem, myślisz, że go już masz, a on się już wyślizgnął, nimeś go rłapał. Chociaż mnie respektują, nie lubię ja tego narodu. Byłem jt u nich wczoraj, a zem był w sukniach cywilnych, to i służba mnie wpuścić nie chciała, musiałem sobie drogę torować harapem; dla tego dzisiaj przywdziałem mundur, chociaż już dobrze przesiany. Przyjęli moje grzecznie, ale się sumitowali, że w tej chwili nie mają dla mnie komendy, ani broni, ani pieniędzy. A tymczasem dowiedziałem się, że Młokosiewicz jest w twierdzy i formuje dwa pułki piechoty. Więc myślę sobie...

— Jaktó? Młokosiewicz tu jest ?—zawołał Wisłocki,— siadaj do stołu, ziedz z nami śniadanie, a po śniadaniu pójdziemy obydwu do Młokosiewicza. Teraz jui jestem pewny, że się wszystko załatwi — tak, jak sami rechcemy.

— Cóż ty tam masz z tym Młokosiewiczem ? — rzekł Oiedroję, ale zamiast sięść zaraz do stołu, wskazał na Borchę i spytał — któż jest ten młody człowiek ?

— To j?st Michał Borch.— odpowiedział Wisłocki,— oficer od kawalergardów, od kilku miesięcy mój sąsiad, zdążył za mną i idzie z nami.



— A czy nie syn Aleksandra? — ssytał G!p.drojfe  
iu J',  
Wul ojcowie.

ściskając ma rękę, a kiedy ma powiedziano, że tak. pokiwał ma palcem, patrząc ma w oczy i dodał: — Spodziewam się, że będziesz dobrze smarował boki Moskałom, bo nie wiem, czy tobie się kiedy dali we znaki, ale za twego ojca sowite cięgi im się należa. A szkoda wielka... bo gdyby on mógł jsię był zerwać, toby z nim cała Litwa była powstała. A wtedy bylibyśmy tam otworzyli wał taki, że ani jeden Moskał byłby się tamtędy do Królestwa nie przemknął. Musieliby byli zachodzić od Buga. Wielka szkoda...

Tak siedli do śniadania i gwarzyli wesoło. Pałkownik był w złotym humorze, zdaje się, że go wiązały jakieś szczególne stosunki z pułkownikiem Młokosiewiczem; ale nikt się tak doskonale przy tem śniadania nie bawił, jak Borch, który jeszcze nigdy starych żołnierzy w przededniu wojny nie widział, a przez tyle lat o niczem innem nie marzył. Giedrojc zdawał mu się naówczas najdoskonalszym typem rewolucyjnego żołnierza — a nawet wierzył, że jego zdania, co do znużenia i wyniszczenia armji rosyjskiej za pomocą partyzantki, były bardzo rozumne i powinny być przez rząd narodowy przyjęte. Młodzi oficerowie, którzy jeszcze nie służyli w regularnej armji i nie robili kampanji, zawsze mają skłonność do formowania własnych oddziałów, na których czele mogliby się sami odznaczyć.

Po śniadaniu wszyscy czterej pošli do twierdzy. Młokosiewicz przyjął ich bardzo serdecznie i zaraz na samym wstępie Wisłockiego zapewnił, że mu we wszystkim pomoże. Uformował on rzeczywiście dwa nowe pułki piechoty, siedmnasty i ośmnasty i miał wszystko po temu, ażeby jeszcze dalsze formować. Miał też wiadomość o tem, co się działo po innych województwach. Jakoż dał radę Wisłockiemu, ażeby swojemu pułkowi dał numer dwudziesty czwarty, bo on już wiedział, że się formuje dwudziesty, ale zarazem, ażeby natychmiast wysłał kogo do Warszawy po uzędowe upoważnienie i nominacje. Zapewnił go przy tem, iż z twierdzy dadzą mu tyle patronów, ile będzie mógł zabrać ze sobą, a zarazem że mu i krawców dostarczy, bo ich ma kilkaset do dyspozycji w twierdzy i w mieście.

Tak tedy główna sprawa się załatwiła nad spodziewanie — a Giedrojc i Czuby zaczęli jeszcze tego wieczora szyc po wszystkich gospodach, aby jak najwięcej starych żołnierzy zwerbować. Wisłocki pozwolił im wydać na ten cel tyle pieniędzy, ile będzie potrzeba, bo była to według niego rzecz bardzo ważna. Jakoż znaleźli istotnie kilkunastu żołnierzy, trzech poruczników i dwóch kapitanów, którzy zaraz do nich przystali. Byli-to wszystko ludzie mniej albo więcej zagadkowej przeszłości, niektórzy z nich służyli za księstwa Warszawskiego, inni za w. księcia, ale dla czego służbę porzucili, czem się potem trudnili i skąd się wzięli w Zamościu, o tem trudno się było dowiedzieć, a zresztą i pytać nie było warto, bo pewnie-by prawdy nie powiedzieli. Ale w czasach rewolucyjnych nic na tem nie zależy, jeżeli który z nich miał jakie grzechy na swoim sumieniu i chciał je obmyć krwią swoją, wylewając ją za ojczyznę, to owszem było obowiązkiem, podać mu do tego sposobność. Tak zaraz nazajutrz otworzyli w gospodzie Wisłockiego werbunek — i szło im wszystko jak z płatka.

Za Btołem zasiedli Giedrojc z Czuby, stary Mroczek wprowadzał ochotników do izby, Jędrus, syn jego, który pisał angielskim sztychem, pod przewodnictwem jednego z kapitanów prowadził księgę — a pułkownik sam nadzorował, każdego ochotnika oglądał i wypytywał, każdemu jakieś dobre słowo powiedział, ubiór i buty obejrzał, a temu i owemu wetknął kilka złotych. Każdy ochotnik przyjęty przechodził do izby gospodniej na drugą stronę, gdzie na stołach leżały porozkładane rozmaite mięsiwa, sery i chleby, całe kosze z doskonałą kminkówką, beczka piwa jedna i draga i beczka miodu; tam Pliszka gospodarował, częstując wszystkich, jakby w dzień wielkanocny i namawiając do picia, bo pałkownik ma kazał nie żałować żydowskiej piwnicy.

Borch zaś wybrał się do Warszawy. Lecz przed wyjazdem miał długą z Wisłockim radę, bo chodziło o to,

ażeby nietylko spoważnienie do formowania pułku, ale także i pomoc otrzymać, jeżeli nie w pieniądzech, to przynajmniej w rozmaitych niezbędnych przyrządach, których im brakowało. Prócz tego i wydatki okazały się daleko znaczniejsze, niżeli zrazu myślano. Wisłocki dał ma tedy upoważnienie do ściągnięcia pownej sumy pieniężnej od swego wiedeńskiego bankiera przez bankierów warszawskich.

Wszelako Borch znalazł w Warszawie na każdej drodze takie trudności, że jako młody człowiek, nie znający jeszcze dokładnie tego świata, na którym ludziom tak byłoby dobrze, gdyby mieli tyle dobrej, ile mają złej woli, niejednokrotnie srodze się zniecierpliwił.

Tak najorzód do komisji wojny wcale nie mógł się dostać. Szczęściem, że miał protekcję ks. Henryka Lubomirskiego, z którym był spowinowacony, a który szczególnie się opiekował galicyjską młodzieżą, więc za jego pomocą dobił się do majora Ludwika Bystrzonowskiego, który podówczas w komisji wojny pióro prowadził. Ten przyjął go grzecznie, ale oblał go zimną wodą, mówiąc do niego te słowa; — Mój drogi panie, jeżeli chcesz otrzymać urzędowe upoważnienie do formowania pułku w Lubelskiem pod kemendą Wisłockiego, który nie jest tamtejszym, ani nawet tutejszym, bo go wcale nie mamy na naBzym etacie, to będziesz na nie czekał co najmniej kilka tygodni, a i tak nie wiem, czy ci się to uda. Ale ja WUłockiemu dam radę i niech swój pułk uformuje, a jak będzie gotów, niechaj Cię zamelduje naczelnemu wodzowi, wtedy bez żadnej trudności zostanie przyjętym. — Ja zaś tu zanotuję, że się pułk dwudziesty czwarty formuje, aby wam nie wzięto numeru.

Borch musiał tedy na tem poprzestać, bo przecież nie mógł kilka tygodni siedzieć w Warszawie. A na pieuiądze dla Wisłockiego także mu czekać kazano, dopóki nie przyjdzie odpowiedź z Wiednia; ale miał on swoich pięć tysięcy dukatów w Warszawie, te zatem zabrał i z niemi do Zamościa powrócił.

Wisłocki okrutnie się zgniewał na komisję wojny i już się chciał gniewać na Borchę za to, że przywiózł swoje pieniądze, ale nareszcie się udobruchał, mówiąc: — To dobrze. Mnie jeszcze pieniędzy me braknie, a jak zabraknie, to sobie od ciebie pożyczę.

Tymczasem werbunek szedł swoim trybem — 11 w przeciągu tygodnia miano już blisko tysiąca ludzi spisanych i zaprzysiężonych na słowo. Zadanie to było łatwe, bo do Zamościa zbiegało się wtedy tak wiele wiejskich parobków, którzy z własnej woli pragnęli iść na Moskala, że można ich było zebrać daleko więcej. Przybywali niejednokrotni i starzy włościanie, którzy za Kościusz i służyli i albo iam< chcieli chwytać za broń, albo przyprowadzali swych synów. Zapał pomiędzy ludem wiejskim był wielki, chociaż jeszcze wtenczas mowy o tem nie było, aby go od poddaństwa uwolnić. W biurze werbunkowem Wisłockiego także nikt o tem nie myślał. Borch, człowiek ukształcony i wolnomyślny, raz o tem wspomniał, ale Wisłocki zaraz zamknął mu usta, mówiąc głosem stanowczym: — To nie nasza rzecz; o tem Sejm będzie stanowił —■ po wojnie.

Natomiast zajęto się przedewszystkiem organizacją i musztrą. Owe tysiąt ludzi podzielono na dwa bataljony, a cztery kompanje — i jak tylko pierwsza kompanja została uzbrojona i zaopatrzoną w broń, tornistry i ładunki, chociaż jeszcze nie była umundurowaną, pułkownik wyprawił ją pod komendą Giedrojcia do starego Zamościa. W kilka dni druga kompanja pod komendą kapitana ruBzyła do starego Zamościa, a Giedrojjć posunął się dalej ku Lublinowi. W tydzień potem ruszyła trzecią kompanja pod komendą Czubatego. WszyBtko to było doskonale zorganizowano, Wisłocki miał wielki ład w głowie i doświadczenie; ale nie brakło także zawodów.

Zamiast tysiąca karabinów jednakowego kalibru, znaleziono w pakach tylko sześćset kilkadziesiąt jednakowych i dobrych, reszta były to braki z zardzewia- lami zamkami, a często nawet bez kurków, albo też sztańce strzeleckie z krótkimi bagnietami. Te braki trzeba było

przenosić do rnsznikarskich warsiatów i naprawiać, a do sztućców kazać robić osobne ładnki. Tak eamo i sukno na mundury, zamiast granatowa, było czarne, a na wyłogi, zamiast żółte — jak chciał pułkownik — było niebieskie. Toż i mundurów nie można było dostarczyć dla wszystkich ludzi, nie uspiano także sporządzić wszystkich kaszkietów, więc musiano poprzestać na tem, że w każdej kompanji było dwie trzecie kalibrowych karabinów i zupełnych mundurów, a jedna trzecia żołnierzy była uzbrojona w sztućce, lub piki, a ubrana w kubraki, baranami podbite, i czapki baranie.

Pierwszy bataljon pod komendą Giedrojcia był daleko liczniejszy, lepiej ubrany i uzbrojony, drugi, oddany Czubatemu, znacznie słabszy pod każdym względem. Ostatnia zaś kompanja, chociaż Wisłocki sam ją montował, wyglądała nawet raczej na pospolite ruszenie, niżeli na wojsko regularne. Ale duch wszędzie był doskonały, instruktorowie b) li wybom', parobcy nauczyli się prędko robienia bronią i wszystkich obrotów, chociaż musztrowano ich podczas marszu, bo ciągle się posuwali szosą ku Warszawie, a pułkownik po kilka razy wybiegał rączemi końmi i aż do pierwszej kompanji docierał, ażeby widzieć naocznie, czy wszystko się odbywa podług jego rozkazów. Jeżeli on nie mógł wy- biedz, to Borch go wyręczał — a obydwu brali zawsze sami karabin do ręki przy musztrach, jedli z żołnierzami z jednego kotła i nocowali z nimi pod gołym niebem, gdzie nie mogli się pomieścić pod dachem. Najlepiej ze wszystkich miała się pierwsza kompanja, żołnierze mieli w bród żywności i napitku i najczęściej kwaterowali się we wsiach; trzeszczały tam czasem dwory i karczmy a gdzieniegdzie dawały się słyszeć lamenty, ale Oiedrojć n'e miał na to żadnego względu i powiadał każdemu: kiedy chcecie, ażebyśmy z pomiędzy was wybili Moskali, to musicie nas przyzwoicie nakarmić. Jednak i innym nic brakło na niczem, bo pułkownik bardzo dbał o to, ażeby żołnierz był zadowolony i w dobrym humorze.

Formacja ta trwała cały miesiąc, Wisłocki nie bardzo 'naglił, bo na podstawie zasięganých wcią'- wiadomości obliczył, że Moskale nie zdołają wejść wcześniej w granice Królestwa, jak w pierwszej połowie lutego: ale w pierwszych dniach tego miesiąca marsze przyspieszył, bo doszły go wieści, że Oejsmar od Brześcia Litewskiego, a Kreutz od Uściługa ciągną przyspieszonemi marszami ku Wiśle. Jakoi w parę dni potem Oiedrojć już był pod Raszynem, jego druga kompanja pod Górą Kalwarją, Czubaty w Mni- szewie, a ostatnią kompanję pułkownik sam przeprowadził pod Puławami na lewy brzeg Wisły.

Marsz ten doznawał niemałych trudności z trgo powo du, że ten i ów z generałów, snujących się po tych okoli- caeh, chciał zabierać kompanję pod swoją komendę. Stary generał Klicki, komendant całego lewego brzegu Wisły, ciągle najgorzej informowany, dowiedziawszy się o obudwóch bataljonach, przysyłał im kilkakrotnie rozkazy do marBzów wstecznyh; z drugiej znów strony Dwernicki, ciągnący już wtenczas od Warszawy, chciał je zabierać ze sobą. Ale z rozkazu Wicłockie^o odpowiadano obudwom, że to jest pułk nowy, idący ca wezwanie naczelnego wodza do Warszawy, a tak unikniono zabrania. Wisłocki nie chciał narażać swojego pułku na małe utarczki, partyzanckiej sławy nie pragnął, podrzędnym generałom nie nfał, wiarę miał tylko w Chłopickiego i pod nim chciał wziąć udział w bitwie stanowczej.

Około ósmego lutego dotarł jeszcze raz »ż do Giedrojcia, poczem wróc ł do ostatniej kompanji, a dziesiątego przenocował się w Kozienicach. W tej chwili miał kilka dni wypoczynku przed sobą i tam dnia jedenastego rano rzekł do Borchy, który ciągnęło był przy nim:

— Wiesz co, mamy teraz kilka dni wolnych, nim nasz pułk pod Warszawę przyciągnie. Puławy stąd o dwa kroki. Miałbym sobie za grzech śmiertelny, gdybym z tego nie skorzystał i nie pokłonił się księżnie generałowej i córce jej, księżnie Wirtembrskiej. Damy te były na mnie zawsze bardzo łaskawe, a przy tem jrst to dom, pod którego opieką patryjotyzm polski

się niejednokrotnie odrodził, a i dziś

jeszcze jest głównym ośrodkiem uczuć najszlachetniejszych. Toż i my się tam ożywimy, a idąc na wojnę, będziemy z pewnością dobrze przyjęci. I tobie to także nie zaszkodzi, przedstawić się czcigodnej matce prezesa Rządu narodowego, może się to kiedyś zdać na coś.

Borch przyjął tę propozycję z radością — a tak zaraz wyjechali do Puław, prowadząc z sobą czterokonną brykę, w której mieli broń swoją i trzy konie wierzchowe.

W Puławach zostali jak najuprzejmiej przyjęci, a zarazem znaleźli rozrywkę, bo było tam obywateli okolicznych nie mało, a także i oficerów, którzy z rozmaitych stron ciągnęli na wojnę i tam wstępowali, jak do kościoła po błogosławieństwo. Tymczasem nazajutrz przysłała wieść, że Dwernicki przeszedł Wisłę pod Rembkowem — a dnia następnego, że pociągnął ku Żelechowu. Zarazem zaś przyszły listy, że Gejzmar jest w Seroczynie.

Pałkownik sprawdził te wiadomości na mapie, a porównawszy je z siłami, jakimi według jego mniemania mogli dysponować obydwaj komendanci wojsk obustronnych, zaczął się o Dwernickiego obawiać. Obawa ta była bardzo usprawiedliwiona, bo Gejzmar musiał mieć koniecznie przy sobie co najmniej pięć do sześciu tysięcy ludzi z działami. Dwernicki zaś był niewątpliwie o wiele słabszym liczebnie, a oprócz tego, jak to Wisłocki sam widział w swych przejażdżkach po lewym brzegu Wisły, miał w wielkiej części młodych żołnierzy, źle uzbrojonych, a kawalerję na lichych koniach, źle okutych i źle okrzepionych. Śniegu wówczas nie było, riany zaś mrozy trzymały, grunt był twardy, a w tych okolicach kamienisty, było to tedy bardzo niedogodne dla koni i ludzi. A zarazem i to wiedział pułkownik, że jeżeli Dwernicki się spotka z Gejzmarem, to musi przyjąć bitwę, bo z młodym żołnierzem w pierwszym polu nie będzie mógł o cofaniu się ani pomyśleć, nie chcąc narazić swojego korpusu na zupełne zniszczenie. Toż rzekł dnia trzynastego do Borchy:

— Bardzo się boję o Dwernickiego. Ale jedźmy tam>

może mu na coś się przydamy, a jeśli nie, to zawsze obaczmy piękną bitwę, bo Dwernicki się w łyżce kaszy zjeść nie da; tobie zaś zostanie wspomnienie, żeś słyszał pierwsze strzały, wymienione pomiędzy Polską a Moskwą w tej wojnie..

Jakoż zaraz wyjechali i przybyli do Żelechowa o zmroku. Ale zastali tam już maroderów.

Dwernicki wyszedł rankiem do Filipówki i jak powiadano, miał zamiar iść wprost na Syroczyń. Więc przenocowali wygodnie — a nazajutrz przededniem ruszyli do Filipówki. Ale wóz zostawili w Żelechowie, — a sami wsiedli na konie, włożywszy pistolety w olstry i przypasowali dragońskie pałasze do boku, które mieli ze sobą. Ubrani byli w suknie cywilne, w kurtki czarne szamerowane, podszyte barankiem, sukienne kaszkieci krojem francuskim i buty węgierskie. Konie mieli pod sobą wyborne, dobrze żywione i wyspoczywane: Wisłocki swoją ulubioną Wiktorję, klacz złotogniadą, bardzo wyniosłą, z prześlicznym łbem i ognistymi oczyma, a zbudowaną jak pień, — Borch zaś skarogniadego ogiera, półkrwi angielskiej, zwierzę siły olbrzymiej, które przyprowadził ze sobą do Leśniowej, a które Guła ujeździł i zalecił mu szczególnie, jako wytrwałe do pracy. Za nimi jechał na koniu gniadym Wisłockiego stajenny, parobek odważny i silny, któremu przypasano także pałasz do boku.

Tak jadąc wolno, już o świcie dowiedzieli się, że Dwernicki z Filipówki pociągnął z całym korpusem do Stoczka, bo droga krótsza z Filipówki do Syroczyńa nie była dla armat sposobna.

Zwrócili się więc ku Stoczkowi, mieli jeszcze z milę drogi przed sobą, była godzina dziewiąta, Wisłocki właśnie powiedział do Borchy:

, — Około południa stoczy się bitwa na nizinach pomiędzy Syroczyńem a Stoczkiem: — kiedy w tem usłyszeli strzały armatnie.

Borch zdrzął, zarumienił się, spiął konia i zawołał:



— Jui się biją, puszczajmy konie, bo przyjedziemy u póino 1

Ale Wisłocki się na to uśmiechnął, dał mu znak ręką, aby się uspokoił, lecz zarazem wyteńczył wzrok i głuch i stał tak przez chwilę.

Huk armat mocniej się oiywił.

Po chwili rzekł:

— Dwunasto-fantowe i trzy-fuutowe. Te ostatnie to pewnie nasze. Puszczajmy kłusem.

Puścili kłusem, po drogach wiejskich, nastroszonych grudą i kamieniami. Konie się im ślizgały i potykały, jednak w pół godziny przyjechali do Stoczka. Ale tylko przebiegli przez miasto: bitwa jui się toczyła na wzgórkowatych polach za miastem, otoczonych prawie ze wszystkich stron poprzecinanymi lasami, które leżały na wzgórzach.

Trafili właśnie w sam środek bitwy.

Jui major Russjan rozbił kargopolskich dragonów, inne szwadrony ruszyły za nim i zniknęły w lesie, — huk armat moskiewskich jui słabnął, bo jut ich kilka zabrano, — a Dwernicki właśnie co wysłał swego adjutanta Dunina do pierwszego dywizjonu strzelców konnych i czwartego ułanów, aieby uderzyli na drugą kolumnę Oejsmara, która dopiero co Bie rozwinęła pod laiem...

Dywizjony te uderzyły z gwałtownością piorunu. Dunin pozostał przy nich i sam cięciem pałasza na odlew zwałił pułkownika od dragonów z konia, który tet spadł jak kawałek drzewa na ziemię : zakipiało tam wtedy, jak w garnku — a wówczas Dwernicki spał swego potężnego bułana i sam na czele Krakusów w tę masę uderzył. Wszystko to, mimo odległości, widać było jakby na dłoni, bo bitwa się toczyła w dolinie, a obydwaj wojecka uderzały na siebie ze wzgórzów, nakrytych lasami.

W tej chwili Borch zadział jak liść osikowy, wstrzymywał się, ale nie mógł się opanować, ai nareszcie zawołał:

— loó —

— Idźmy I trudno ustać na miejscu, kiedy inni się biją!

— Więc idźmy! — zawołał Wisłocki i kopnęli się z kopyta w tę stronę, a za kwadrans wszyli się w masę, rąbiąc swemi dragońskimi pałaszami, gdzie który kogo mógł dopaść.

Ale kiedy przybyli, ta druga a i ostatnia kolumna Gejsmara była jut takie rozbitą i rozpoczęła się ubijatyka: jedni za uciekającymi Moskałami w las popędzili, drudzy tłukli się z pozostałymi, bądź kupą, bądź pojedynkiem, trzeci nareszcie zabrali jut jeńców i prowadzili ich pieszo i konno, śmiejąc się i gwarząc wesoło ze sobą. Wisłocki i Borch natłukli się Moskali do syta, tak, ie im ręce zdrewniały, a pot kroplisty ciekł po ich twarzach; nawet i konie ich, jeszcze nie bnrdo przyzwyczajone do trudów wojennych, tak były zjajane, ie Wiktorja wyglądała, jak gdyby ją kto z wody wyciągnął, a ogier Borch miał całe piersi i boki białą pianą okryte. Pierwszy Wisłocki zeskoczył na bok na wzgórze, a Borch, który go z oka nie spuszczał, stanął niebawem tui koło niego. Obydwa zajęli kaszkiety i obcierali chustkami twarze, a Wisłocki rzekł, śmiejąc się wesoło:

— Biłem się jak prosty żołnierz, ale to tak zawsze na wojnie: lichey-to kapitan, który się nie bije zarówno z żołnierzem. A jeszcze się przytem i uśmieł, bo jakim gruchnął jakiegoś oficera szablą w kark, to tak beknął baranim głosem, jak gdyby język z gardziela wyplunął. A jestem pewny, tem go nawet nie ranił, bo czułem to w ręku, te szabla się na ezemś twardem oparła. Mimo to spadł z kulbaki i został, bo koń jego się spał i przeleciał przedemną.

— Gdziei-to było? — rzekł Borch — żeby go tylko iołnierze nie dobili.

Na to pułkownik obejrzał się na prawo i wskazując ręką, zawołał:

— Ot, jeszcze lety.

W istocie, w odległości kilkudziesięciu kroków, na



brzegu małej pochyłości, która tworzyła bruzdę i zakrywała go od tej równiny, gdzie jeszcze żołnierze się uganiaли za sobą, leżał oficer twarzą obrócony do ziemi i wyglądał, jak gdyby był zabity. Borch skoczył zaraz ku niemu, zsiadł z konia i biorąc go za ramię, potrząsnął nim silnie. Oficer się zbudził i najpierw siadł na ziemi, oglądał się zdziwionymi oczyma około siebie, lecz spostrzegłszy żołnierza nie w rosyjskim mundurze, Btojącego nad sobą, zerwał się prędko i jedną ręką włożył kaszkiet na głowę, a drugą sięgnął za szpadę. Wtedy Borch poznał go i krzyknął z zadziwieniem:

— Szachowski!

Na to oficer spojrział na niego i zawołał w osłupieniu :

— Borch!

Lecz zaraz opuścił ręce i mówił jakby bez związku:

— Borch, gdzie ja jestem? co ty tu robisz?

A Borch mu na to odpowiedział z dobrocią:

— Ja jestem w wojsku polskim, a ty jesteś w niewoli. Ale uspokój się, nie takie-to wielkie nieszczęście, chodź ze mną.

Jednak Szachowski był jeszcze odurzony i wyglądał, jak gdyby był pijany. Nic w tem dziwnego. \* Był to bowiem jeszcze bardzo młody chłopaczek, ledwie dwadzieścia lat wieku, słuszny blondyn z smętnymi niebieskimi oczyma i różowymi policzkami, cery bardzo delikatnej i przezroczyściej, po której, jak też po całym jego wzięciu i ubraniu, widać było pieszczone dziecko bogatej tożziny. Tak szedł z Borchem chwiejącym się krokiem, a spojrzawszy nań jeszcze raz swymi smętnymi oczyma, rzekł prawie głosem błagalnym:

— Ja jestem adjutantem u Gejsmara. Gejsmar mnie posłał do tego pułku dragonów z rozkazem, zostałem przy nim, bo właśnie nań uderzyli Polacy... i takie mnie spotkało nieszczęście! Ale ja się oddaję pod twoją protekcję. Bo my się dzisiaj ze sobą bijemy, ale my ludzie hono-

rowi. My na jednej ławie siedzieli w szkole wojskowej, to, my zawsze koledzy.

— A dlaczego ty Bie poddajesz pod moją protekcję? — zapytał Borch ciekawie, — może tam u was gadają, że my z niewolników pasy drzemy i kiszki im wypruwamy?

— Tak, — odpowiedział na to Szachowski, — u nas tam różnie gadają...

Na to Borch mocno się zarumienił, bo był takie bardzo wrażliwy. A właśnie w tej chwili przybliżyli się do Wisłockiego, który z zajęciem się przypatrywał tej scenie. Wtedy Borch wyprężył się po wojskowemu i rzekł po francusku do niego:

— Panie pułkowniku, przyprowadzam panu pańskiego jeńca, którego zwałeś z konia, proszę z nim zrobić co się podoba.

Zaś zaraz się zwrócił do Szachowskiego i rzekł:

— Oto moja protekcja. Stanie się z tobą to, co ze wszystkimi jeńcami.

Szachowski zbladł, salutował po wojskowemu i oddał szpadę pułkownikowi. Ale pułkownik, którego w grzeczności jeezcze nikt nie uprzedził, rzekł do niego uprzejmie:

— Panie poruczniku, daj mi tylko słowo, że nie będziesz próbował ucieczki, a szpadę zatrzymaj.

Wtedy Szachowski jeszcze raz salutował i rzekł:

— Daję słowo.

Pułkownik rzucił okiem około siebie, a spostrzegłszy Krakusa, który prowadził dwa konie zdobyczne, zawołał do niego:

— Hej! kolego! daj-no nam tu jednego konia, oddamy ci go w obozie.

Krakus przyprowadził konia, Szachowski wsiadł na niego i stanął między pułkownikiem a Borchem, którzy konie swoje obrócili frontem ku Stoczkowi. Ale Borch nie patrzył wcale na niego, był on jeszcze do głębi wzburzony temi ohydными wieściami, rozsiewanemi po obozach moskiewskich, o których się właśnie od niego dowiedział.

Natomiast wszakże pułkownik zaczął z nim rozmowę, robiąc przedewszystkiem uwagę, że jeszcze się żołnierze uganiają po polach, strzelając tu i ówdzie choćby tylko na wiwat, lepiej zatem momencieczką zaczekać. Zwracał przytem jego uwagę na to, co się działo przed ich oczyma na polach i wzgórzach pod Stoczkiem, mówiąc w ten sens:

— Brałem ja udział w tak wielu bataljach, że nawet-bym ich nie potrafił policzyć i widziałem rzeczy tak niepodobne, że trudno im wierzyć. Na wojnie fortuna kołem się toczy: jutro wy nam moście taką samą sztuczkę wypłatać. Ale tymczasem Dwernicki tak tutaj pobił Gejzmarę, że się to widzi, a jeszcze wierzyć się nie obce. Bo uważaj pan, Gejzmar miał przeciek około pięciu tysięcy regularnego wojska z działami — a cały korpus Dwernickiego, jeżeli tę zbieraninę można nazwać korpusem, nie liczył nawet półtrzecia tysiąca ludzi. Do tego tylko sześć działek trzyfuntowych — a patrzaj pan, widzisz tam na prawo pod Stoczkiem trzy bataljony naszej piechoty, te nawet wcale w ogniu nie były, bo ich nie było gdzie ułożyć. Mimo to wszystko rozbił Gejzmarę na strzępie, zabrał armaty i jeńców — a kto wie jeszcze, czy jego samego nie weźmie, bo pogoń wysłana za nim jeszcze nie wróciła. Powinno-by to być dla was bardzo nauczajacem...

Na to Szachowski westchnął głęboko i rzekł:

— Ja dopiero pierwszą odbywam kampanję, nie znam się na tem, nie umiem sobie tego wytłumaczyć, — a czy to z przekonania, czy tylko z grzeczności, dodał: — ale zdaje mi się, że jest w tem pewna siła, że panowie się bijecie za wolność.

— A wy? — zapytał Borch, wypogodziwszy cokolwiek czoło na tę uwagę.

— A nam się bić kają — odpowiedział Szachowski, takie jui trochę weselej, ale przytem jeszcze raz westchnął.

Borch chciał coś jeszcze powiedzieć, bo zapewne nie obce mu były szkolno uczucia jego kolegi, ale wtem pułkownik, który pomimo zajmującej rozmowy, śledził wytejonym wzrokiem wszystkie ruchy wojsk polskich, rzekł do nich:

— Patrzcie, jui i armaty schodzą z pozycji. Widzę Puzynę na czele, a i asekurację zabiera ze sobą. Moiemy tedy stępą puścić się ku Stoczkowi.

Tak ujechali kilkanaście kroków w milczeniu, kiedy pułkownik znów konia zatrzymał i rzekł:

— Ale jedna armata została na samym grzbiecie pagórka. Niemasz wprawdzie niebezpieczeństwa. Ale kto tak zostawia armatę? chyba że się tam coś zepsuło!

Pułkownik wyteżył swoje oko sokoło w to miejsce, kiedy w tem biały kłęb dymu rozwinął się jak róś u paszczy armaty i strzał dał się słyszeć.

— Co to jest? — spytał Wisłocki i rozejrzył się na około.

Po lewej stronie, na mały strzał armatni od nich, a na Btrzał armatni od pozostałej armaty, stał kosmyk lasu, zajmujący kilka morgów przestrzeni, a od dalszego UBU odosobniony przegoliną. Kula armatnia padła w ten kosmyk lasu, potrzaskała drzew kilkanaście, ale zarazem ruch jakiś dał Bie dostrzedza w gęstwinie. Trudno było dojrzeć dokładnie, co tam się ruszyło, bo chociaż olchy i brzozy były bez liści, więcej tam było drzew szpilkowych, które gąszcz zaciemniały. Jednak wkrótce padł drugi strzał armatni w to samo miejsce, a wtedy pułkownik dostrzegł dokładnie, że w tym kosmyku lasu chowali się ludzie i konie, zapewne jakiś oddział odcięty od korpusu Gejzmarę. Stać na tem miejscu było niebezpiecznie, pułkownik zatem spiął konia i podsunął się z swymi towarzyszami o kilkaset kroków, a prawie o taką samą przestrzeń zbliżył się do osieroconej armaty. Ale tu stanął, bo nie mógł zrozumieć, co to wszystko miało znaczyć, a to tem mniej, że w tem miejscu, pod samem miasteczkiem, gdzie się ściągające z pola utarczek wojska zbierały i gdzie jui Puzyna przybył z armatami, nikt, jak się zdawało, nie zwracał na to uwagi. Wtenczas pułkownik wydobył z kieszeni lunetę, której bardzo rzadko używał, przyłożył do oka i wzrok

wyteżył w armatę; patrzył tak przez małą chwilę, a potem rzekł:

— Patrzaj no Borch, jeśli mnie oko nie myli, to tam Walek Laskowski stoi z luntem przy tej armacie. Zielony mundur, czarne aksamitne rabaty i kołnierz czerwony, oficer od artylerji, — ale to Walek!

Z tem oddał lunetę Borchowi, a sam spojrzął na kosmyk lasu. Wtedy padł strzał trzeci i czwarty i armata ucichła — ale natomiast z kosmyka lasu wysunęło się około sto dragonów rosyjskich i zaczęli się formować frontem do osieroconej armaty. Na czele ich stał oficer na karym koniu, zrazu się kręcił i rozglądał na wszystkie strony, ale wkrótce ruszył ze swoim oddziałem wprost ku armacie. Natenczas pułkownik rzekł:

— A! to sztuka zuchwała! — i posunął się jeszcze o kilkadziesiąt kroków dalej, mówiąc -- przypatrimy się tej zabawce.

Borch, gorącej krwi, a całkiem niedoświadczony w wojennem rzemiośle, zaczął Bie niecierpliwić i wołać:

— To Walek! i mnie się tak zdaje. Ci dragoni mu wezmą armatę. Trzeba go ratować. Skoczę do sztabu po pomoc.

Ale pułkownik, zmierzwszy okiem dystancje, odpowiedział spokojnie:

— Daj pokój. To warjat ten Moskal. Ta sztuka mu się nie uda. Widzisz przecie, że nasi jeszcze z koni nie zsiadli — a przecie strzały armatnie słyszeli.

Jakoż istotnie w tej chwili wskazał mu palcem, jak takie około sto jeźdźców, krakusy i ułani pomieszani ze sobą, wyskoczyli z obozu i puścili się pędem ku armacie. Borch tedy musiał stać spokojnie, lecz rzekł niecierpliwie:

— Chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy to Walek w istocie. '

Tymczasem był to Walek w istocie — i znalazł on się tu bardzo naturalnym BpoBobem. Przyjechawszy do Warszawy w pierwszej połowie grudnia, dostał się za pomocą Dziaduskiego, który znał wszystkich i miał wszędzie drzwi otwarte, już w parę dni do generała Rautenstraucha, który przydywał w komisji wojny. Rautenstrauch przyjął Dziaduskiego niegrzecznie, mówiąc do niego cierpkimi słowy: „ie plamy dezercji nikt tem nie smate ze siebie, jeżeli przystąpi do buntu." Dziaduski wiedział, jakby powinien mu być odpowiedzieć, gdyby nie to, io miał przed sobą generała w czynnej służbie, a do tego jeszcze w chwili urzędowania. Walka zaś przyjął generał mniej cierpko, bez takie dał mu naukę, mówiąc: „że nie bardso mu jest przyjemnie, widzieć oficera, który wyszedł z dystynkcją z akademji inżynierów w Wiedniu i służył jego apostolskiej mości, cesarzowi austriackiemu, wstępującego do armji, która złamała przysięgę i zabłąkała się na bezdroża"; jednak nie odmówił mu nominacji na porucznika artylerji. Wszelako nie dał mu pomieszczenia i z tem tych niemiłych gości pożegnał. W rękach takich ludzi znajdował się wówczas ster rewolucji.

Dziaduski odszedł zaraz do czwartego pułku linjowej piechoty, gdzie miał swoją rangę; ale Walek się został na bruku, pukał do drzwi wszystkich generałów i pułkowników, do których mógł dotrzeć, ale wszędzie kazano mu czekać. Usłyszał nareszcie o formacjach Dwernickiego i do niego się udał. Dwernicki dał mu kartkę do kapitana Puzyny, Puzyna przyjął go grzecznie, ale musząc z nim rozmawiać obcym językiem, niewiele miał zaufania do niego; wziął go wprawdzie do swojej baterji, ale go uważał za nadliczbowego, chociaż miał tylko dwóch oficerów artylerzystów, Lipskiego i Korzeniowskiego. Organizacja i wysztrowanie tej baterji odbywały się w Mniszewie: tam Walek złożył dowody swojej umiejętności i pracowitości, ucząc parobków służby artylerayckiej, bo było wszystkiego tylko kilku kanonierów. Kapitan i porucznicy ocenili Błusznie jego zasługi, nawet go polubili, ale zawsze był jakiś chłód między nimi z powodu jego niemczyzny; tylko żołnierze go pokochali, a chociaż pokątnie śmiali Bie z niego, kiedy wyrazi przekrecał, byliby się dali zabić za niego, bo dbał o nich jak o siebie samego i dzielił się z nimi jadłem

Wui ojcowie.

31

«

i napitkiem jak z braćmi. Tak przyszedł z tą baterją pod Stoczek.

Kiedy baterja została ustawioną na pozycji, pomimo swej rangi pełnił służbę fajerwerkera i zaraz wpadł w oko Puzynie swojemi celnymi strzałami. Puzyna nawet sam kilka razy zakomenderował: Niech Liskowski wymierzy, bo gdzie on palnie, tam mucha nie siądzie. Prócz tego zdarzył się wiadomy wypadek, ie pierwsza kula działowa moskiewska w naszą baterję trafiła, jednego kanoniera zabiła i strzaskała prawe koło u przodka jednej armaty. Była-to właśnie armata Walka, a zabity kanonier stał przy nim; kula go prawie na pół przerwała, a krew jego i kawałki wnętrzości obryzgały Walka po pas od dołu, tak, ie jak rzeźnik wyglądał. Ręce nawet miał zlane krwią tego nieboraka i plamy krwawe na twarzy. Ale mimo to ani drgnął, obtarł twarz chustką i zaczął nabijać armatę, a oficerowie zawołali: Brawo Laskowski I

Wkrótce jednak skończyło się pole dla armat, bo pułki konne zwały się z sobą i zwały się w masę. Laskowski pilnie patrzył do koła, jak gdzie spostrzegł jaki oddział Moskali, odcięty lub odrzucony na chwilę, to palnął do nich, ale ledwie parę razy mu się to wydarzyło. Nareszcie bitwa się przeważyla — a kiedy jui była pewność, ie baterja nie ma nic do czynienia, Dwernicki ją kazał odwołać z pozycji. Puzyna poszedł, ale tylko z pięcioma armatami, bo szóstej brakowało koła u przodka. Zostawił tedy z nią Laskowskiego, aieby zaczekał, póki mu przodka nie przysze, a że iadnego niebezpieczeństwa nie widział, zabrał z sobą dywizjon trzeciego pułku strzelców konnych, który stał w asekuracji. Walek został sam i miał przy sobie tylko kilkunastu artylerzystów i mały posterunek strzelców konnych, raczej dla parady, nii dla obrony, którzy tei z koni zsiadli i odpoczywali.

Walek zostawszy sam, rozejrzał się jeszcze raz po okolicy, a mając doskonałą wiedeńską lunetę przy sobie, dojrzał z łatwością, ie w owym kosmyku lasu coś się rusza, Nie mogli to być Polacy, bo po wygranej bitwie dla-ezegoiby się tam kryli. Natenczas porwała go chętka zrobienia czegoś na własną rękę, chętka, która zwykle porywa kaidego młodego oficera, kiedy otrzyma choćby tylko na chwilę jakąś komendę. Wymierzył więc w ten kosmyk lasu i palnął. Ale znając sluibę, posłał natychmiast jednego konnego strzelca do Puzyny z zawiadomieniem, ie dojrzał w kosmyku lasu Moskali i strzela do nich, aby ish „deloiować". Strzał jego nie sprawił iadnego wraienia w sztabie, bo właśnie na chwilę przedtem zdarzył się inny podobny wypadek: bataljon piechoty, wracając z pola, znudzony tem, ie nie wziął w bitwie żadnego udziału, spostrzegłszy zająca, co się wymknął z pod miedzy, dał ognia do niego rotami. Śmiano się z tego wypadku w sztabie, toi kiedy przyszła owa wiadomość od Walka, to Puzyna się rozśmiał i rzekł do strzelca: — „I ten takie obaczył zająca, ale niech pali; jeżeli tam są Moskale, to ich oba- czymy." Jednak niektórzy żołnierze byli ciekawi i nie zsiadając z koni, patrzyli, co z tego będzie. Pomiedzy nimi znajdowali sie także obydwaj Lipscy, Piotr i Pawełek, którzy jako prości żołnierze słuzyli w drugim pułku i wiedzieli, ie to Walek został się przy armacie; byli zatem ciekawsi od innych i wysunęli się naprzód, patrząc pilnie to na armatę, to na ów kosmyk lasu, w którym mieli się znajdować Moskale.

Tymczasem Walek „deloiował" istotnie Moskali, ale znalazł się między nimi kapitan awanturczego umysłu i szalonej odwagi, który obaczywsy, ie armata stoi odosobniona, wojsko od niej daleko i właśnie formowaniem się zaprzątnione, zląkomił się na tę armatę. Kiedy Walek obaczył, ie moskiewscy dragoni pod komendą tego kapitana wyszli z lasu i sformowali się frontem ku niemu, mrowie go przeszło od stóp do głowy, zbladł jak ściana i krzyknął do drugiego konnego strzelca: — Leć pędem do sztabu i proś jenerała o sto koni na ochotnika 1 — Tymczasem chciał jeszcze raz strzelić, teraz jui do sformowanych dragonów, ale klocek, który podstawiono pod przodek armaty na miejsce strzaskanego koła, usunął się i ar

mata się tak przychyliła, że już nie było można z niej strzelać. Natenczas Wałek porwał konia od jednego ze strzelców, wskoczył nań i czekał przybycia posiłków.

Wszystko to się działo daleko szybciej, niżeli można opowiedzieć. Za ledwie Wałek wskoczył na konia i dobył pałasza, już bracia Lipsy, widząc co się dzieje, krzyknęli do swoich kolegów: — Hej, kto w Boga wierzy, za nim na ochotnika, Moskale biorą armatę! — i ruszyli naprzód co k(ń wyskoczy wprost ku armacie. Za nimi skoczyło, około stu ludzi, nłanów i Krakusów, którzy Btali najbliżej. Tak przybiegli do armaty. Wałek ku nim poskoczył, a widząc, że nie masz oficera pomiędzy nimi, stanął na ich czele, sformował ich na p(ędcę jak Bóg dał i rzucił fię jak szatan wcielony na oddział dragonów. Wałek naów- czas, nie pięknie, lrcz strasznie wyglądał. Z odkrytą głową, z najeżoną jak szczotka czarną czupryną, z oczyma, pała- jącemi ogniem piekielnym a powiększonymi poczwórnje, z twarzą białą jak ściana, z otwartemi ustami, z szablą podniesioną jak miecz archanioła w prawicy, przytem cały krwią zlany na przodzie, tak rzucił się na Moskali, jak piorun, nie patrząc nawet, czy idzie kto za nim.

Dragoni w pierwszej chwili zgłupieli, bo ledwie doj- rzyć mogli, saąd się wziął ten oddział Polaków, który wyskoczył jakby z pod ziemi; ale się nie cofnęli i bitwę przyjęli. Lecz Wałek uderzył z takim impetem, że ich w samym środku przedarł na dwoje, kapitana zwałił z konia cięciem szabli na odlew i zaraz ruszył się zc swoimi pomiędzy jego dragonów. Poczem już bitwa nie trwała dziesięciu minut, kilkunastu dragonów ubito, a za innymi zaczęto aię uganiać po polu, kłując ich lancami, rąbiąc pałaszem i biorąc w niewolę. Była to bardzo mała utarczka, ale dawała dokładne wyobrażenie o gwałtowności, z jaką uderzają Polaoy.

Pułkownik, przypatrujący się temu uderzeniu ze wzgórza, już w owej chwili, kiedy Wałek uderzał, rzekł do Borchy:

— Niech-że go jasny piorun trzaśn'e, wyrządziłem mu niesprawiedliwość, kiedym go podejrywał, że go brzuszek zabołi. Ale jak widzę, niemasz Polaka, którego by brzuch zabołał, kiedy trzeba uderzać !...

Borch go nie zrozumiał, bo nie wiedział, do czego się to odnosi; był on zresztą tak tem zajęty, co widział, że mu się cała twarz rozpromieniła, kręcił się z niecierpliwości na siodle i nawet nie słyszał, co koło niego mówiono.

A kiedy bitwa się już przeważyla i dragoni byli w rozsypce, pułkownik obrócił się do Szachowskiego i rzekł:

— Cóż pan na to mówisz, panie poruczniku ? uważałem, żeś patrzył na tę bitwę z zajęciem.

Szachowski zaś, który patrzył nie z zajęciem, ale ze zdumieniem, drżał jeszcze cały i z trudnością zbeirając swe siły, odpowiedział mu nieśmiało:

— Nie wiem, co o tem mam myśleć. Ale mnie się zdaje, że to już nie waleczność, to farja. Ten oficer od artylerji, który uderzał na czele, tak był okropny, że mi przez całe życie nic wyjdzie z pamięci.

— Tak, to może furja — odpowiedział z uśmiechem pułkownik — ale my zawsze tak uderzamy, i jest w tem ta racja, iż wiemy, że zawsze jesteśmy liczebnie słabsi. Zresztą ten porucznik od artylerji miał wielką odpowiedzialność n v sobie, bo armatę na niebezpieczeństwo naraził, więc wiedział, że mu nic nie zostaje, jak zginać albo zwyciężyć. Ale zauważaj pan i spamiętaj to Bobie, że my wszyscy jesteśmy dzisiaj w takim samym położeniu...

Natenczas bitwa już była skończona. Wałek ciągnął na czele kilkudziesięciu jeidźców w tym kierunku, gdzie stali Wisłocki, Borch i Szachowski. Pułkownik spiął konia, przyskoczył do Walka i objąwszy go prawem ramieniem, pocałował go w czoło, mówiąc radośnie:

— Brawo Laskowski! widziałem wszystko i oddaję ci cześć moją w dwóch słowach: Dażo jest tobie równych, ale nikt lepszy!

Walek był uśmiechnięty i zatarł ręce po swojemu, ale jeszi-ze był ak mało przytomny, że się nawet nie Bpy- tał Wisłockiego i Borcha, skąd się wzięli ;>od Stoczkiem.

Pułkownik potem powitał Lipskich i chwalił ich męstwo — i tak jechali razem stępo do głównej kwatery.

Podówczas jui Dwernicki zabierał się włainie do objechania płaca boja i stał z wesołem, lecz pełnem skromności obliczem, w gronie kilka wyższych oficerów, kiedy Wisłocki, zsiadłszy z konia, przybliżył się do niego z Borchem, Laskowskim i Sjachowskim.

Dwernicki, człowieczek niskiego wzrosta, leez bardzo otyły, siwiejący już wówczas i troszeczkę pochylony, kiedy Wisłockiego obaczył, przeżę- gnał się i zawołał:

— Wisłocki pod Stoczkiem ? a ja myślałem, żeś ty już w Warszawie, bo takie miałem wieści o tobie, — ścisnąwszy go zaś za rękę, dodał wesoło — w innym razie gniewałbym się na ciebie, bo wiem, ie masz trochę ładzi na lewym brzegu Wisły, a nie połączyłeś się ze mną. Ale kiedy Pan Bóg dał zwycięstwo, to nie można się gniewać. Wisłocki usprawiedliwił się, mówiąc: — Ja mam tylko trochę piechoty, a u ciebie piechoty do zbytku. Zresztą, czegoż chcesz więcej ? Przyprowadziłem ci, co miałem najlepszego, bo siebie samego i mego przyjaciela, młodego Borchę, syna Aleksandra, którego ci prezentuję. Jakaśmy się tylko dowiedzieli, ie ciagniesz na Gejsmara, zaraześmy przybiegli. Przyjechaliśmy za późno, ale jeszcze nie całkiem, bośmy się bili jak prości i żołnierze i takżeśmy trochę dragonów natłukli. Więc Dwernicki się śmiał i dziękował, a dostrzegłszy Szachowskiego, zapytał:

— A cóż znaczy ten oficer z armji nieprzyjacielskiej ?

— Tego wzięliśmy jeńcem. Jest to porucznik, ksiąję Szachowski, oddajemy ci go i pytamy, co kaiesz z nim zrobić?

— Dajcież mi pokój z jeńcami, — odpowiedział jenerał — zróbcie z nim, co chcecie. Mam ja ioh dosyć, i tak nie będę wiedział, co z nimi począć.

Bo też i tak było w samej iitocie. Poczem się zaraz twrócił do Laskowskiego, który w tej chwili stał wyprę

żony przed kapitanem Puzyną i zdawał ma raport. Puzyna go słuchał z zadowoleniem, ale z pewną rezerwą, kiedy Dwernicki dał mu znak, aby do niego przystąpił, a potem rzekł:

— Powiadają mi, że się nazywasz Laskowski i wyszedłeś z akademji inżynierów we Wiednia. Jeieliś Kora- bita, toś mi pokrewny. (Dwernicki miał zwyczaj przyznawać się do pokrewieństwa z wszystkimi, na co się jednak żaden z żołnierzy nie skarżył). Spisałeś się dzielnie, — mówił jenerał, kładąc rękę na jego ramieniu, — co ci przy wszystkich przyznaje, aleś przeszkrobał, bo strzelać bez rozkazu nie wolno. Muszę ci to powiedzieć, ażebyś wiedział na przyszłość. Jednak żeś potłukł Moskali, nagany za to nie będzie, owszeiu, znajdzie się jakaś pochwała —

i będę o tobie pamiętał. Idź-że teraz i umyj się trochę, a wracaj prędko, bo mamy nowe armaty i będziemy zaraz montować, więc będzie dla ciebie robota.

Walek był taki rozpromieniony, jak gdyby go na sto koni kto wysadził, zaraz go też okrążyli oficerowie i żołnierze, ciesząc się po bratersku, że się tak pięknie odznaczył — a nawet sam Puzyna uścisnęła mu teraz rękę bez żadnej rezerwy, poklepał go po ramieniu i rzekł wesoło:

— Kiedy bijesz po polsku, to się też i niebawem nauczysz po polsku mówić.

Tymczasem pułkownik wziął Szachowskiego i Borchę ze sobą i szedł z nimi ku mia>tu, a idąc, rzekł do nich:

— Żałuję bardzo, ie nie mam tu mojej kuchni ze sobą, bo bym was na dobre śniadanie zaprosił. Głodni jesteśmy jak wilki, zdała-by nam się sowita przekąska. Alo musi tu być przecież jakaś gospoda, w której się znajdzie jakiś kawałek mięsa i jakakolwiek butelka wina, więc proszę na to, co tam znajdziemy.

Szachowski dziękował szczerze, lecz tem zaproszeniem tak się ośmielił, ie spytał pułkownika, bardzo ogłędnie i grzecznie, choć głosem drżącym, jakiego losu ma się spodziewać. Na to Wisłocki, także bardzo grzecznie, ale



podniósłszy cokolwiek głowę, odpowiedział ma po żołniersku :

— Właściwie powinien-bym pana do Warszawy odstawić, bo kiedyś zapewne stamtąd będziemy wymieniać jeńców. Za księcia SzachowBkiego moglibyśmy śmiało zażądać choćby i kilka oficerów sztabowych. Ale ponieważ, jak mi się zdaje, naszych sztabowców niewiele weźmiecie w niewolę, zaś z drugiej strony uważam, że tam ktoś jakieś przesady rozsiewa pomiędzy wami o traktowaniu niewolników w polskiej niewoli, chociażby jeszcze dotychczas żadnych niewolników nie mieli: więc po śniadania dam pana konwój i pojedziesz sobie, gdzie zechcesz.

Teraz znowu Szachowski był jakby go na sto koni kto wysadził, bardzo szczerze i ze łzami w oczach dziękował, ścisnął Borch'a za rękę i rzekł wzruszony:

— Nigdy w życia tego ci nie zapomnę!

Biedny chłopczysko tak był nabehtany owemi ohy- dnemi plotkami, które w obozach moskiewskich rozsiewano nmyślnie o barbarzyństwie Polaków, że dopiero teraz uwierzył, iż nic mu się złego nie stanie. Ale Borch to dostrzegł, jakoż mu odpowiedział cokolwiek szorstko:

— Ale nie mnie dziękuj, ani pułkownikowi, ani generałowi Dwernickiemu, tylko narodowi polskiemu, który z rycerskimi ludźmi zawsze obchodził się po rycerska.

Tak weszli do gospody i przy śniadania rozmawiali długo ze sobą, nie jak nieprzyjaciele, ale jak koledzy tego samego rycerskiego rzemiosła, chociaż z przeciwnych obozów. W tej rozmowie Szachowski dowiedział się, że pułkownik przez cztery lata służył w wojsku rosyjskiem, toż szczerze wzdychał nad tem, że dzisiaj się bijo przeciwko dawnym kolegom; ale wyrażał się pięknie i ubolewał bardzo wymownie nad srogością losu, który dwa bratnie narody, mogące żyć w miłości i zgodzie ze sobą i wzajemnie sobie pomagać, rzucił w bój taki zawzięty i krwawy przeciwko sobie. Pułkownikowi zaś zdawało się, że Szachowski jest liberalnemi ideami na wskrós przejęty i że gdyby

był o dziesięć lat starszy, to byłby pewnie należał do spiska Pestla i Murawiewa. Szachowski ani się do tego nie przyznawał, ani też przeczył, natomiast zaś. że ma pilno było wrócić jak najprędzej do swoich, bardzo prosił, ażeby ma pozwolono odjechać.

Jakoż zaraz po śniadania zajechała furka po niego, którą wprędce najęto i dodano ma podoficera, którego ma pozwolono zatrzymać aż do miejsca, gdzie się będzie czuł bezpiecznym. Pułkownik pożegnał go uprzejmie, lecz chłodno, ale Borch odprowadził do furki. Szachowski, że gnając się z nim, miał znowu łzy w oczach, ściskając Borch'a za rękę, długo jej nie wypuścił, chciał coś powiedzieć, a słowa marły mu w gardle, nareszcie powiedział z bardzo bolesnem uczuciem:

— Strzeż się, mój drogi, ażebyś się do niewoli nie dostał. Wy inni ładzie, a my barbarzyńcy...

— Wiem ja o' tem! — zawołał Borch, rozśmiałwszy się głośno — i wiemy wszyscy, to też nie łatwo nas brać będziecie w niewolę.

I z tem go pożegnał — ale stał jeszcze przed gospodą tak długo, dopóki furka nie zniknęła ma z oczu. Jakoż pomimo śmiecha smutne opanowały go myśli. Znał on młodzież rosyjską lepiej od wielu innych i wiedział dobrze, jaką koleją zmieniają się jej nczacia i postępowania. Toi mówił do siebie: Niezepsute serca poczciwych ludzi nie znają narodowości i chętnie się przywiązują do siebie... dopóki drapieźna ręka przewrotnych imperatorów, rządząc w imienia Boga, lecz urągając naukom ewanielicznym, nie wypali w ich mózgach tej ohydnej zasady: że miłość ludów jest zbrodnią stanu, i dopóki nie wpoi w nich przekonania: że tylko mordując się wzajem, mogą dopełnić swych obowiązków

obywatelskich i dostąpić szczęścia na ziemi. Niebawem i ty takim będziesz, mój poczciwy Szachowski 1

Ale wtem przyszli do tej gospody Wałek Laskowski i obydwaj Lipsy z swym ojcem, który także Bie zaciągnął

22

W«»1 OJcowlo.

'''

SSSB"

1

i

— 170 -

do służby pod Dwernickim, sformowawszy mały oddziałek saperów. Więc zaraz wszczęła się wrzawa i rozgwar wesoły, jak zwykle pomiędzy przyjaciółmi po bitwie zwycięskiej — i nikt już nie myślał ani o braterstwie ludów, aai też o tem, jaki kogo los spotka w tej wojnie...

VI.

Pułkownik bawił się z swymi gośómi wesoło: i wina nie szczędził i słuchał ich opowiadań z zajęciem; ale nie zapominając • niczem, jak na dowódcę przystało, jeszcze podczas śniadania wyprawił gońca do Żelechowa, ażeby jego wóz pospieszył natychmiast do Parysowa, zaś zaraz po śniadaniu wsiadł na koń z Borchem i sam tamże wyruszył. Przed wyjazdem nie widział się już woale z Dwernickim — i miał do tego swoje powody. Przedewszystkiem bowiem uważał Dwernickiego za partyzanta, a tego rodzaju wojna nie odpowiadała usposobieniu jego umysłu, — a potem był on starszym od niego latami służby, więc nie odpowiadało to jego uczuciom służyć pod jego komendą. Była-to ambicja, nie próżność, a od takiej ambicji starzy żołnierze nie umieją się nigdy uwolnić. Przyjechawszy do Parysowa, w nocy się swego wozu doczekał, a nazajutrz ruszył na Osieck ku Wiśle, przez którą się na łodziach przeprawił i koło wieczora dopędził nareszcie swoich żołnierzy, którzy się rozłożyli w ten sposób, że kiedy ostatnia kompanja była w Pasiecznej, pierwsza już stała pod Wołą.

Oiedroję i Czuby odpowiedzieli doskonale swojemu zadaniu, odznaczając się bezustannie, pierwszy niezmordowaną energją,<sup>a</sup> drugi ową pracowitością sumienną, do której są zdolni tylko starzy żołnierze, mający za sobą doświadczenie kilkunastu kampanij. Pułkownik zlustrował naprzód każdą kompanję z osobna, potem połączył je w bataljony, sam przeszedł z niemi wszelkie możliwe ćwiczenia, wszystko obejrzał i nie zapomniał o niczem — ale też za to dopiero

piątego dnia przed wieczorem stanął z całym pułkiem pod Ujazdowem.

Było to właśnie nazajutrz bitwy pod Wawrem, a w sam dzień pierwszej bitwy Grochowskiej. Pomimo wszelkich wysiłków i kosztów, jakie Wisłocki wyłożył na jego promocję, pułk jego w oczach znawcy był bardzo słaby, a nawet nie mógł nazywać się pułkiem. Liczył on bowiem tylko tysiąc ludzi, pierwszy batalion sześćset, a drugi czterysta, żołnierze zaledwie w dwóch trzecich częściach mieli mundury i karabiny jednakowego kalibru, ostatnie szeregi były ubrane w kubraki i czapki baranie, a uzbrojone albo w karabiny z dobrymi bagnetami, lecz niepewnymi zamkami, albo też w sztucce i kosy. Ale duch był w nich doskonały: kiedy usłyszeli huk armat pod Grochowem, drżeli wszyscy z niecierpliwości, aby jaknajprędzej się spotkać z nieprzyjacielem.

Nazajutrz rano pułkownik pojechał do Warszawy, aby się rozmówić z komisją wojny. Ale miał on tam prawie taką samą rozmowę, jak niegdyś Borch i Laskowski. Rautenstraucha wcale nie mógł odszukać. Bystrzonowski był w obozie. Chciał się obaczyć z Gustawem Małachowskim, ale ten, chociaż był wtenczas ministrem spraw zagranicznych, wciągnął mundur na siebie i poszedł pełnić służbę adjutanta u Chłopickiego. Kto broń mógł udźwignąć, poleciał na pole walki: wszyscy byli pod Grochowem! — Wisłocki nie bardzo był tem zadowolony, że nie mógł swojej formacji urzędnie uregulować: ale wśród takich okoliczności nie chciał na to się skarżyć, owszem bardzo to jego ducha podniosło, gdy się przekonał, że nawet ministrowie chwycili za broń i poszli bronić własnymi piersiami tych proklamacyj i aktów dyplomatycznych, które wyszły z ich kancelarji. Takimi ministrami przecież nie każdy kraj się może pochwalić! Wiadomość ta była tem więcej budującą dla niego, ile że się zarazem dowiedział, że członkowie Rządu narodowego, książę Adam Czartoryski i Barzykowski, byli także w obozie, a zachęcając innych do boju, dawali przykład ze siebie i stali tak samo w gradzie kul, jak wszyscy żołnierze. Znalazłszy nareszcie jakiegoś urzędnika w komisji wojny i zniewoliwszy go, aby do ksiąg zapisał, że pułk dwudziesty czwarty piechoty linjowej został uformowany, wczoraj do Warszawy przyciągnął, a dziś się oddaje pod rozkazy naczelnego wodza, na tem na teraz, poprzestał — i postanowił pojechać natychmiast do Chłopickiego.

Mając Giedrojcia, Czubatego i Borchę przy sobie, którzy o południu także przybyli do miasta, chciał ich wszystkich wziąć z sobą, bo chodziło o nominację. Ale Giedroję pierwszy odmówił, odpowiadając pochmurnie:

— Ja do Chłopickiego nie pojedę. To wielki generał: on się chce bić dla honoru — a ja się biję dlatego, że mi Moskale sadła zalali za skórę i chciałbym ich z Polski wykurzyć. Zresztą to tyran: miałem ja z nim w Hiszpanji rozprawę, chciał mi w łeb strzelić za to, że wybił Hiszpanów na miazgę i wioskę im spalił. Pogodziliśmy się potem, podał mi rękę i jesteśmy w przyjaźni; będę z nim w karty grał, jeśli zechce, ale po nominację nie pojedę do niego.

A Borchę się także wyprosił, mówiąc ze skromnością, łatwą do zrozumienia:

— Jakoś mi nie przystoi, nie powąchwawszy jeszcze prochu, prosić zaraz o rangę dlatego, że się nazywam Borch i że byłem oficerem w wojsku moskiewskim. Chciałbym być pierwej w jakiej porządnej bitwie — a potem już tam starsi osądzą, czy mi się ranga należy.

' — Róbcieź sobie, jak chcecie, — odpowiedział na to pułkownik, — rozejrzyjcie się po Warszawie i najmijcie mi jakie mieszkanie ze stajniami, bo to zawsze się przyda, a ja pojedę z Czubatym.

Ale Borch wziął go za rękę i rzekł:

— Mój ojciec ma tu kamienicę na Bednarskiej ulicy, jeszcze po marszałku koronnym. Wielka-to dziś rudera, bo od Stanisława Augusta nikt w niej nie mieszkał, ale jest tam kilkanaście pokoi jakokolwiek umeblowanych, są także wozownie i stajnio, ja się tam jakokolwiek mieściłem prze-

słęgó lata, będzie więc dosyć miejsca dla nas wszystkich, jeśli będziemy go potrzebować.

— Więc dobrze, więc przygotuj nam tam gospodę na każdy wypadek, — odpowiedział Wisłocki i wzięwszy Czubatego ze sobą, odjechał.

Zbliżając się do Grochowa, już koło żelaznego słupa uderzył ich widok, dla nich bez wątpienia nie nowy, ale zawsze bardzo smutny, a miejscami przerażający. Cała okolica była odziana w tę szatę ponurą, którą nazywamy czarną zimą: drzewa bez liści, łąki bez trawy, pola nagie i stratowane, dokoła pogorzelska, ruiny i zgliszcza, z których jeszcze wszędzie podnosiły się dymy, a między którymi widać było wystraszone postacie starców, kobiet i dzieci. Dzień był pogodny, lecz mroźny, wiatr zimny przenikał do kości, przynosząc ze sobą zapach saletry i swęd spaleniowy: po polach leżały trupy jeszcze niepo- grzebane, po wszystkich drogach wlokły się wozy z rannymi, gdzieś widać było księdza w komży i stule, który szukał umierających i dawał im rozgrzeszenie, zdała zaś dochodziły do szpiku kości przenikające jęki i wycia tych, którzy konali a skonać nie mogli. Zgoła było to pole bitwy w chwili rozejmu, z całą przerażającą swą zgrozą najwyższej nędzy ludzkiej na ziemi. Ale Wisłocki i Czubaty wcale na to nie zwracali uwagi, — ostrzelani żołnierze mają na takie widoki zmysł przytępiony, a raczej go wcale nie mają, — oni Bie rozglądali na wszystkie strony, ażeby widzieć, jak obydwie armje były rozpołożone i jak się to pole pod względem strategicznym przedstawia, na którym zapewne niebawem nowa bitwa się stoczy.

Tak zajęchali przed kwaterę Chłopickiego, którą im żołnierze wskazali. Był to mały dworek, leżący na parnym początku wsi Grochowa, w części rozebrany, bo dniem przedtem uderzyła weń kula działowa, lecz obejmujący jeszcze sień dosyć obszerną i cztery pokoje. Przed dworkiem był dosyć duży ogródek, a przed ogródkiem stało kilka koni osiodłanych i kilkunastu żołnierzy różnej broni. U wejścia stał oficer dyżurny, a w pierwszych dwóch pokojach

siedziało i stało kilkunastu oficerów, rozmawiając półgłosem ze sobą. Jeden z nich, obaczywszy dwóch ludzi obcych, ubranych po cywilnemu, lecz z zakrojem wojskowym i przy pałBzach, — Wisłocki nie chciał wciągać na siebie munduru swojego pu'ku, nie mając jeszcze nominacji formalnej — wstał i zbliżył się do nich, pytając ich, czy chcą się widzieć z generałem, Wisłocki kazał naprzód tylko siebie samego zameldować, jakoż niebawem usłyszał pizez drzwi otwarte głos Chłopickiego: — Wisłocki 1 — Zostawiając więc Czubatego między oficerami, wszedł sam do izby obszernej, w której na dużym stole były porozkładane mapy i książki, a przy stole stał sam Chłopicki.

Kto go nie widział własnymi oczyma, ten nie łatwo odtworzy sobie w swej wyobraźni zewnętrzną postać tego niezwyčajnego człowieka, który miał- w swoim ręku los Polski, a przez nią los całej Europy wschodnio-północnej, mógł zwyciężyć, lecz nie zwyciężył, bo nie miał wiary i nie imiał ocenić tych sił narodowych, którymi wszechwładnie mógł rozporządzać. Wysoki wzrostem, zbudowany barczysto i silnie, nie kolosalnych, lecz atletycznych rozmiarów, sprawiał on przedewszystkim wrażenie tej siły fizycznej, świadomej siebie i świadczącej o przekonaniu, że jego szerokiej piersi nic się oprzeć nie zdoła, a pod jego herkulesową pięścią wszystko się musi rozbryzgnąć. Głowę miał dużą, już mocno posiwiałym, lecz bardzo gęstym włosem nakrytą, który wysoko zjeżony, nie bez oporu się ścielił w tył głowy; czoło wysokie, twarz nadzwyczajnie wydatną, mużskularną i ogoloną starannie, nos duży, oczy jasne, błyszczące żywym, ale zmieniającym się blaskiem, a niezmiernie krzaczystymi brwiami nakryte, — a na tej twarzy taki wybitny wyraz świadomego siebie rozumu, silnie skoncentrowanej woli i nieustającej przytomności umysłu, iż ktokolwiek się zbliżył do niego, ten musiał koniecznie uczuć i uznać, że stoi przed człowiekiem wyższym od Biebie.

Z pod tego uczucia wobec niego nikt się nie potrafił wyłamać, choćby zajmował najwyższe stanowisko społeczne :

próbował tego wielki książę Konstanty, próbował sam car Aleksander, ale obydwaj się roztrącili o jego silną wolę, która przed nikim jeszcze się nie ngięła. Toż tak same na pierwszy rzut oka, jak po długoletniej z nim znajomości, każdy miał przy nim to wrażenie, jakgdyby się dotykał głęboko wpędzonej w ziemię i wysoko sterczącej skały, której siła żadnego człowieka nie potrafi poruszyć. Lscz dziwnem mi- strzowstwem natury ludzkiej, umiejacej najsprzeczniesze pierwiastki pogodzić ze sobą i w jedną zlać całość, na tej poważnej, surowej, skalistej twarzy, odbijał się także wyraz ludzkiej dobroci serca i naturalnego, często nawet żywo tryskającego humoru, który jej wyniosłą surowość łagodził — a tak zdarzało się często, że zbliżających się do niego jednocześnie przygniatał do ziemi, a zarazem do siebie ośmielał i magnetycznie przyciągał. W takich chwilach była-to skała, oświetlona promieniem słońca, po której pna się dzikie róże i kwitnące powoje.

Chłopicki, przy swoim demonicznym temperamentem, należał do tych zimnych, realnych a zarazem wyniosłych umysłów, które gardząc sympatją, żądają uznania i umieją do niego zniewolić. Był on naówczas najpopularniejszym z Polaków. Człowieka, któryby tak jednogłośnie miał całą Pokkę za sobą. nie mieliśmy nigdy po wszystkie wieki: nawet Kościuszko miał przeciwników. Jego wszyscy wielbili, nikt mu się nie śmiał sprzeciwić — a nawet oi, którzy się oburzali na niedostatki jego umysłu i wady jego humoru g korzyli się przed nim i przyznawali otwarcie i szczerze, że tylko on jeden może Moskwę zwyciężyć i Polskę wybawić z niewoli.

Chłopicki, ubrany w długi granatowy surdut bez żadnej ozdoby, przyjął Wisłockiego jaknajserdeczniej. Znał on go od lat trzydziestu, służył z nim razem, niejednokrotnie widział go w ogniu i zawsze cenil jego honorowe i koleżeńskie uczucia. Nadto jeszcze był on w tej chwili w doskonałym humorze — i miał do tego rozliczne powody. Najprzód bitwy dwóch dni poprzednich wpoily weń to przekonanie, jak sam wszystkim powtarzał: „że Dybioz nietaki-to wielki jenerał, jakim go głoszono,”- a więc nie- taka-to tradna z nim sprawa, — a potem widział naocznie, ie nowe polskie pułki, które dotychczas nazywał „rewolucyjną hołotą,” biją się tak samo, a ledwie nie lepiej, jak starzy konstantynowscy żołnierze.

Obydwa te doświadczenia napelniły go szczerą rado ścią i ożywiły w nim nadzieję, że może można będzie pobić Moskali. Prócz tego, właśnie go opuścili członkowie Rządu narodowego, książę Adam Czartoryski i Barzyko- waki i miał on z nimi po pierwszy raz zgodną i przyjacielski; rozmowę. Pobudzeni do tego kroku przez Skrzyneckiego, który im jasno wyłożył, że książę Radziwiłł jest wodzem naczelnym, a być nim nie umie, Chłopicki zaś mógłby być wodzem, a jest nim tylko częściowo i urywkowo, skutkiem czego armja, w istocie rzeczy bez wodza na nieochybną naraża się zgubę, przyszli do Chłopickiego i jeszcze raz mu ofiarowali naczelne dowództwo. Chłopicki, będący jeszcze zawsze pod wpływem swojego poziomego kaprysu, jakoby dlatego, że Ledóchowski w niepowściągliwym gniewie nazwał go tchórzem, był obowiazany złożyć naprzód dowody, że tchórzem nie jest; dowództwa nie przyjął, ale też nie odmówił przyjęcia go po wygranej walnej bitwie Grochowskiej — a wtedy „może nawet zażąda co więcej”. Wszystko tedy tak się złożyło, ażeby go rozpogodzić, jakoż był kontent i pragnął ze wszystkich względów, ażeby następna bitwa przyniosła nowe zwycięstwo. Stąd także każdy, kto mu przyniósł wiadomość, że nasze siły się pomnażają, był przez niego jsknajmilej widziany.

— Toś ty sztuki dokazał — rzekł on z uśmiechem do Wisłockiego — żeś się przemknął z tym pułkiem pomiędzy Gejsmarem a Kreutzem, a mogli ci go nareszcie zabrać Sierawsk', Klicki, albo Dwernicki, którym bardzo- byś się był przydał. Dobraeś zrobił, żeś tutaj przyciągnął, widać, żeś trafnie położenie ocenił, bo to tu musi dusza jęknąć i zginać z honorem; i tylko tu można zwyciężyć, jeżeli szczęście zabłyśnie. A wiele masz ludzi? — Wi.łooki opisał swój pułk jaknajdokładniej, a Chłopicki go spytał:

— A mitsz tam choć trochę starych żołnierzy ? jacy oficerowie ?

— Starych żołnierzy — odpowiedział pułkownik — jeżeli konstantynowskich tak można nazwać, mim jaką setkę, legionistów i napoleońskich ledwie kilkunastu, a ze starych oficerów jest u mnie Giedrojc...

— Który Giedrojc ? z woskowym nosem ? — przerwał generał, rozśmiewszy się głośno, a kiedy Wisłocki jego zapytanie potwierdził, dodał nauczająco: — Doskonały to żołnierz, ale nieposłuszny. Po bitwie pod Epita

0 małym go nie kazał rozstrzelać. Prowadził kompanję piechoty, kazałem mu stanąć w rezerwie, a w razie oporu ze strony Hiszpanów uderzyć z flanki — a on z kopyta ich obszedł i z tyłu uderzył; jeszcze do tego po bitwie, zamiast psłuchać, co mówią bęben i trąbka, poszedł wioski wymiatać i dopiero popołudniu się zjawił. Przez kilka godzin nie wiedzieliśmy wcale, co się z nim stało. Jesteś żołnierz, to wiesz, że za taką sprawkę kula w łeb, choćby bratu, Ale że dobrze uderzył, a oprócz tego przyprorowadził ze sobą kilka fur chleba, mi<s'wa i wina, więc się koledzy za nim wstawili. I ja też musiałem sobie powiedzieć, że głupstwo zrobił, znając człowieka, stawiać go w rezerwie: jego zawsze trzeba na pierwszy ogień. Doskonale uderzy, ale jeśli zwycięży, to potem się go nie doszukasz, bo pewnie pójdzie plądrować. Kogoż masz jeszcze ?

— Jest ze mną Czubyaty.

— Ten-to Czubyaty z legionów włoskich, co ptd Tieb- bią gołemi rękami ścigał huzarów z koni? co to Murzynka palnął po czuprynie przy kartach? czemużeś go nie przywiózł ze sobą?

— Jest w drugim pokoju.

— Czubyaty 1 — krzyknął swoim tubalnym głosem Chłopicki.

Na to Czubyaty przymaszerował wojskowym krokiem

I salutował po wojskowemu. Ale Chłopicki położył rękę na jego ramieniu i rzeił po koleżeńsku:

— Czubyaty! to ty jeszcze żyjesz na świecie? i je-

— 179 —

szerzi mnie kochasz, jak dawniej? Dobrześ zrobił, żeś pray- szedł. Starych żołnierzy nam trzeba. Ale to nie z Pala- foksem tu spraw\*. Tu nie ma zbuntowanych miasteczek do zdobywania, tu trzeba bić w czystym polu, na armję regularną a twardą, jeden na trzech, a może na czterech. Tu nasz grób pod Grochowem. A ty podobno żonaty, może masz dzieci...

— Jest u mnie chłopak, panie jenerale! — rzekł na to Czubyaty, bardzo zadowolony tak łaskawem przyjęciem — ale ja sobie tak mówię, że nie potrafię mu lepiej zostawić nauki, jak dając w otwartem polu życie za Polskę.

— Dobrześ powiedział... Ale jeszcześmy nie zginęli. Dy- bicz to duda i już wie o tem, że nie na Turków tu trafił. Więc cóż? więc do kogóż Bie chcecie przyczepić? mnie wszystko jedno, ale kiedy macie młodych ludzi, to wam będzie najlepiej pomiędzy starymi pułkami.

— I nam także jedno — odpowiedział Wisłocki — prosimy tylko jenerała, abyś nas dobrze pomieścił i zwracamy na to twoją łaskawą uwagę, że nominacji nie mamy.

— To ja wam każe dać nominacje — rzekł na to po przyjacielsku Chłopicki — zostaw mi tylko kilku twych oficerów. Ale tu bić się potrzeba... Więc idźcie do Skrzyneckiego. Jeśli się chcecie bić, to tam się fj wy kropicie " do syta — a który z was wyjdzie żywy, będzie miał tabie pociechę. Do Żymirskiego was nie dam, boście mi przyjaciele. Skrzynecki żołnierz waleczny i uparty, tego na ostatek zachowam. Jest tam przy nim Bogurławski z czwartym liojowym, wasz pułk jako rezerwa przy nim może się czegoś nauczyć. Połowę waszych ludzi djabli tam wezmą, ale ci, co zoBtanaę, zdadzą się potem, choćby nawet na kadry.

Skrzyneckiego jeszcze dziś o tem zawiadomię, jutro stańcie w szańcu przednio >towym na Pradze, połatajcie tam sobie, gdzie wam co jeszcze brakuje, możecie tam przez trzy dni

poleżeć, może ja do waB dojadę, ale 24. przed wieczorem musicie być przy Skrzyneckim, w rezerwie czwartego pułku. Więc tak. Jutro waa każę zapisać u Radziwiłła. A ty



Czubaty? Każę ci dać rangę majora, bo wiem, że będziesz walił naprzód, jak pod Saragossą..

Z tem Czubatego pożegnał, bo była to tylko jeneral- ska przyjaźń dla kapitana, a Wisłockiego wziął pod ramię i odprowadził ku oknu. Tam, jako przyjaciela z lat dawnych i oficera wyższych zdolności, zawiadomił go o położeniu armji rosyjskiej, mówiąc:

— Pozycję mają daleko lepszą od naszej, dwa razy tyle ludzi, co my, a armat ilość poczwórną. Ale ci ludzie wzięli już cięgi porządne, dzisiaj owsem się karmią i gotują sobie herbatę z kory brzozonej. Dybiczowi rura zmiękła fatalnie: jestem pewny, że gdyby nie miał Tolla przy sobie, toby nam nawet bitwy nie wydał.

— Jeżeli tak — mówił na to Wisłocki — to może- by lepiej jakieś słabsze miejsce upatrzeć i na nich uderzyć, bo za kilka dni znowu ochłoną.

— Na żaden sposób — odpowiedział ze stanowczością Chłopicki — nigdy na to nie pozwolę, abyśmy nadali naszej wojnie charakter zaczepny. Było- hy to bardzo niepolitycznie. W kraju zrobiła się burda z powodu gwałtów moskiewskich, oni na nas napadli, niczego tem nie przesadzimy, jeżeli się im obronimy. Tak trzeba rzeczy prowadzić. Ale jak Dy bicza pobiję, to wtedy wojna; wtedy mu wsiądę na kark i zapędzę do Wilna, albo i dalej i stamtąd będę traktował... Daj mi jeszcze dwadzieścia tysięcy piechoty, a zetrę go tutaj na proch i nawet mu niedobitki zabiorę!

Wisłocki nie odpowiedział mu na to, że te dwadzieścia tysięcy piechoty mogły stać dawno pod bronią, gdyby zaraz po wybuchu powstania, zamiast z Mikołajem traktować, był nowe formacje nakazał; ale westchnął głęboko — a natomiast mu wspomniał, że był pod Stoczkiem i widział na własne oczy, jak Dwernicki bardzo słabymi siłami, pomiędzy którymi było wiele zbieraniny, na lichych koniach i źle uzbrojonej, rozbił w puch Gejsmsra. Chłopicki go słuchał z natężoną uwagą, widocznie go to bardzo cieszyło, jakoż rzekł na te:

— Juźci się biją, trudno im to odebrać; ale nie można było tego się naprzód domyśleć... i na tem budować wojnę zaczepną.

Wtem wszedł oficer z jakimś doniesieniem, Chłopicki urwał rozmowę, ścisnął Wisłockiego za rękę i rzekł:

— Bądź tedy zdrów, obaczmy się w ogniu Tam będzie weselej.

Zaraz też włożył kaszkiet z czerwoną opaską na głowę, przypasał szablę do boku i wyszedł szybkim krokiem przed dworak. Tam wsiadł na konia i z kilkunastą oficerów i żołnierzy odjechał galopem w kierunku wschodnim, gdzie stały pułki grenadierów i Piętka ze swoją baterją.

Wisłocki z Czubatym wsiedli do fiakra, który na nich czekał opodal od dworku i także odjechali. Przez drogę opowiadali sobie, co od Chłopickiego słyszeli i czego się domyślali. Nareszcie pułkownik zapytał:

— A co to tam miałeś z Murzynkiem, boś mi nigdy tego nie opowiadał?

— Ot, głupstwo — odpowiedział śmiejąc się Czubaty — jednego dnia, już po skończonej kampanji włoskiej, Chłopioki zaprosił nas do siebie na karty. Graliśmy, on, ja, Jabłonowski, Murzynek i Karski, a inni oficerowie stali około stołu. Murzynek przegrywał i ciągle się rzucał, plotąc trzy po trzy, aż nareszcie Chłopiukicmu fatalne głupstwo powiedział w oczy. Ale jeszcze nie dopowiedział, a ja jego płaską ręką w łeb po czuprynie. Chłopicki na to tak parsknął od śmiechu, że aż od stołu odskoczył i za brzuch się trzymał. Inni także się śmieli. Murzynek do mnie, więc zaraz biliśmy się na szable. On mnie drapnął po twarzy, oi znowu się śmieją, więc ja już ohciałom bić na prawdę na niego, choćby i zabić; ale nas Chłopicki rozbroił, wzięwszy małego Murzynka z tyłu po pod ramiona i postawiwszy jak lalkę na stronie. Dziękował mi potem, że broniał jego honoru, wymawiając mi żartem, że jego gościa bił w papę: ale ja przecież nie mogłom ścierpieć, ażeby ktoś w mojej obecności szarpał honor mojego szefa. ' Jak widzę, dotąd

O tem pamięta, ale to taka a niego natura : nigdy nie zapomina, jeżeli mu kto kiedy zrobił co dobrego.

Tak dojechali do Bednarskiej ulicy, gdzie Borch czekał na nich przed swoim pa\*acem. Było to bardzo stare domostwo, zmrowane przez jakiegoś mieszczanina jeszcze za czasów kaźmierzowskich, kupione pózoiej przez Bor- chów; ale było tam na pierwszym piętrze kilkanaście wysokich komnat, zarzuconych starotytnemi sprzętami, bardzo obszerne wozownie i stajnie, a pomieszczenia dla sluiby więcej jak trzeba. Borch jui o wszystkim pomyślał. Sprowadził furgon pu\*kownikowski i jego konie wierzchowe, a zarazem konie Czubatego i jego tłómoki. Wszystko to przyprowadził Pliszka i rozgospodarował się w pałacu, jak we własnym domu. Pułkownik tei zaraz się przebrał i poszedł rozejrzeć się po warszawskich salonach, gdzie miał tyle znajomych i tak był od wszystkich kochany; Czubaty zaś rzekł do Borchu:

— Jeszcze dobra godzina do zmroku, do obozu czas jeszcze. Radbym się trochę po Warszawie rozpatrzył, jeno się hoję, abym się nie zabłąkał, bom rzadko tu bywał, a zawsze nie na długo. Nie wiedzieó, kędy się ten wichrowaty Gedrojó zaproszył ?

— To ja ciebie oprowadzę po mieście, — rzekł Borch

I wzięwszy go pod ramię, zaprowadził go naprzód na Krakowskie przedmieście, a później pomiędzy ulice Miodowy i Senatorską, gdzie się przypatrywać przechodniom.

Warszawa, podczas tych kilku dni pomiędzy pierwszą a drugą bitwą Grochowską, staciła zwykłą swą fizjo- gnomję, którą zachowywała ciągle od dnia wybuchu powstania, a której głównem znamieniem był ruch gwarliwy, wesoły, a przede wszystkim wojenny, w salonach i na ulicach. Dziś ruch ten ustał, bo nastąpiła chwila oczekiwania i niepewności, która na wszystkich wyraiała się twarzach. Kaidy czuł, te teraz losy Polski się ważą, a nikt nie wiedział, na którą stronę fatalna przowaty się szala. Ci, klór«y byli przepelnieni obawą, nie śmieli głośno jej wypowiedzieć — a ci którzy mieli nadzieję, wypowia dali ją tylko półgłosem. W salonach tylko eiche się odbywały rozmowy, na ulicach tworzyły się grupy, które takie tylko półgębkiem udzielały sobie wiadomości, przybiegających z obozu. Tylko kościoły były przepelnione: ludność wszelkich klas błagała Boga o zmiłowanie się nad narodem, który najukochańszych swych synów rzucił na ołtarz całopalenia, aby gniew Boiy przebłagał i wolność odzyskał. Wiele osób obojej płci letało krzyżem przed ołtarzami, wiele rodzin nakazało sobie post i ciągle modlitwy aż do stoczenia bitwy Grochowskiej. Księża nie schodzili prawie z ambony, każąc ludowi lub przewodnicząc jego modlitwom, a wieczorami obiegali domy obywatelskie, podnosząc wszędzie ducha ofiary i poświęcenia i ufność w łaskę Pana nad Pany, który nie opuszcza swych wiernych...

Około zamku i mostu było widać ruchu cokolwiek. Przeciągały tamtędy całe szeregi wozów tam i napowrót. Na tych, które wjeżdżały w miasto, zwożono jeszcze ostatnich rannych, których znaleziono na pobojowiskach. Jedni z nich, chociaż pokaleczeni, byli całkiem przytomni i rozmawiali ze spieszącą ku nim ludnością; inni, z podruzgo- tanemi członkami, kazali się zabrać tylko w tym celu, ażeby po raz ostatni odetchnąć świętem powietrzem Warszawy. Był to widok, pełen grozy przerażającej, ale zarazem rozczulający. Albowiem około tych rannych gromadziła się ludność, po największej części ludzie ubedzy, którzy, odejmując sobie samym od ust, pidawali im jadło i napój i wtykali w skostniałe ich ręce jałmulnę. Widziano tam bia- łowłoeego żebraka bez nogi, jak wytrzymał kilka greszy z kalety i podał je jednemu z rannych, mówiąc do niego, „Przyjmij to od kolegi; ja za Kościuszki, ty dziiaj za naszą wolność się bijesz." Starcy, kobiety, dzieci, otaczali przybywających, zabierając niektórych do siebie i ofiarując im w swoich ubogich chatach przytułek. Wozy, ciągnące ku obosowi, były napełnione bronią, amunicją i innymi wojennemi sprzętami, inne zaś, wyładowane mięsiwem, pieczy wami, konfiturami i napojami wszelkiego gatunku: co kto miał w domu, do obozu wysyłał; ofiarnym duchem na

tchnione, wypróżniły się wszystkie piwnice i sklepy, gar- kuchnio i cukiernie. Zgoła tak jednomyślnie owionął wszystkich dach poświęcenia, że cała Warszawa hyla myślą i sercem przy armji, a jej zapasy stały się magazynem obozu.

Czubaty miał łzy w oczach, Borch był tak rozczulony, że mu się oddech w piersi zapierał; odwrócili się od tego widoku, bo byliby się rozplakali. Tak zaszli na ulicę Miodową; tam Czubaty aię zatrzymał i rzekł do swego młodego kolegi:

— Powiadano mi jnż w Lublinie, a potem przez całą drogę, że Towarzystwo patryjotyczne pieprzy niezgorzej, aby kto żyw, brał karabin do ręki; a chociaż podobno poroz- pędzano te kluby — co, jak mi Bię zdaje, było czynem nie bardzo patijotycznym — to ci ludzie się zawsze jeszcze gromadzą w jakiejś kawiarni, która nazywa się Honoratką. Gdybym wiedział, gdzie to jest, tobym tam poszedł.

Na to Borch się uśmiechnął i odpowiedział:

— Ot, patrz, widzisz tam stary pałac Chodkiewiczów, tam jest Honoratka. Ale podobno nie wiele tam dziś obaczmy, bo — jak mi powiedziano — najznamienitsi mówcy tego klubu, na pierwszą wieść o zwycięstwie Dwernickiego pod Stoczkiem, którego aważają za swego, wszyscy za broń chwycili i poszli do niego. Bronikowski, ksiądz Puławski, Józef Dzierżkowski i inni wyjechali przed kilku dniami, a Maurycy Mechnacki, jak mi mówiono, wstąpił do strzelców pieszych i zapewne jest pod Grochowem. Mojem zdaniem, w niektórych punktach mieli oni słuszność zupełną ale srodze tem pobłądzili, że chcieli rządzić, a nie mieli ludzi po temu, a już wcale śmiertelnym grzechem obładowali swoje sumienie, burząc ludność jeszcze w tej chwili, kiedy jest rzeczą jaBną i niezaprzeczoną, że każdy, kto żyje, powinien ra'emii siłami popierać tę władzę wojskową i cywilną, która nami dziś rządzi, ho przecież innej nie mamy. Obalać to, co jest, wiedząc dobrze, że nie mamy czem innem tego zastąpić, to jest anarchja — a za to na

— 186 -

leży się stryczek. Ale, ponieważ wzięli za broń, więc im się te błędy przebaczy.

— Bardzoś to dobrze powiedział — rzekł na to Ozu- baty — ale przecie chodźmy tam, obaczmy przynajmniej to miejsce, gdzie to lichy szalało. — Tak weBzli do tej sławnej owego czasu kawiarni, po której dziś tylko imię zo- Btało. Ale Borch się omylił, przypuszczając, że tam pustki zastaną. Wszystkie izby były tam przepełnione ludźmi różnego stanu i wieku, pomiędzy którymi znajdowali się starzy i młodzi, niektórzy z nich uzbrojeni w pałasze i pistolety, inni nawet w mundurach pułków, które dopiero się formowały. Wśród dymu tytuniowego i pary gorących napojów, zresztą wśród zmroku, który już zaczął zapadać, w izbach tych, źle oświetlonych, nie można było dobrze twarzy rozeznąć, widać tylko było tu i ówdzie ruchy gwałtowne i namiętne, którym towarzyszył gwar tak pomieszany, że nie można było słowa dosłyszeć. Spostrzegli tylko Gie- drojcia, który stał w kącie, w lewej ręce trzymał piwia- rową fajeczkę na bukszpanowym cybuszku, podług mody wprowadzonej przez księcia Józefa, a prawą silnie gestykulował, wykładając kilkunastu około niego zgromadzonym cywilnym i wojskowym zapewne jakieś strategiczne teorje, które były jego własnością. Czubaty się rozśmiał, Borch stanął i chciał już nawracać, ale Czubaty go pociągnął za sobą do wielkiej sali sklepionej, gdzie znaleźli stoliczek w kącie, kazali Bobie dać ponczu i prawie niewidziani od innych gości, spokojnie usiedli.

Czubaty pociągnął haust jeden i drugi, rozejrzał Bię po sali, lecz nagle wzrok wlepił w jeden kąt, gdzie był gwar wielki j podniósł się z krzesła, przeżegnał się, ścisnął Borchę za rękę i znowu usiadł. Borch spojrział w tę stronę, a na-jego twarzy malowało się równie wielkie zdziwienie. Ale wcale niesłusznie, bo można się było tego spodziewać.

W tym kącie stał Milsk, ubrany w swoją czerwoną karmaniolę i białe-rabaty i jak się zdaje, wymawiał się od czegoś, o co go zgromadzeni około niego nsilnie prosili.

Grar tam był niesłychany, trudno było zrozumieć, o co  
94

Wut ojcowie.

chodziło. Jednak niebawem ladzie ci wzięli go na ręce i wysadzili na stół, Milek wesół i uśmiechnięty powiódł okiem po sali i zaczął mówić. Cisza się zrobiła jak mak siał, wszyscy go pilnie słuchali, bo mówił płynnie, stylem bardzo kwiecistym i z porywającym zapałem.

Szkoda, że wówczas jeszcze stenografów nie było, albowiem z ich braku przepadła na zawsze jedna z najpiękniejszych oracyj demagogicznych, jaką kiedykolwiek powiedziano w polskim języku, /al ten jednak zmniejsza się z tego powodu, ie Milek jej nie dopowiedział do końca. Kiedy bowiem właśnie w najwyiazy wpadł zapał, a słowa płynęły z ust jego, jak pieniące się fale wodospadów szwajcarskich ; kiedy dowiódł jui, jak na dłoni, ie Chłopickiego trzeba powiesić, i właśnie miał nagłym zwrotem w rozplomienione umysły słuchaczy uderzyć, aieby dowieść, ie powieszenie Chłopskiego stanie się najwyższym czynem f atrjotyzmu, bo będzie spełnieniem woli ludu: wtenczas zbladł nagle, język kolkiem stanął mu w gardle, plątał się jeszcze przez chwilę i skończył na tem, i9 utiilkł.

Cóto to było ? Oto spostrzegł on w owej chwili Borchę i Czubatę — a to niespodziewane zjawisko taki czarodziejski wpływ wywarło na niego, ie mu język zakółkowało. Był on — jak wiemy — nadzwyczajnie wrażliwym: gdyby był pułkownika obaczył. byłby pewnie runął ze s'olu w ramiora swoich słuchaczy. Wszelako wywinęło się stąd niebardzo przyjemne zajście dla niego Albowiem tłum gości, u których, o ile się zdaje, nie m<sup>r</sup>ał jrsseze cał kicm ugruntowanej popularności — choć bez wątpienia nie pisrwszą miał do nich orację — ścisnął się bliżsj około stołu i kiedy jedni pytali: „Coby mu byłoi” — drudzy głośno się śmiali, wołając: „Daj sobie pokój, panie oratorze 1 zaciąłeś niby do rzeczy, sio ci wątku nie stało”; a ktoś nawet był tak niegrzeczny, ie zuwołał: - „Ot, głupstwa plecie, dobrze zrobił, ie skończył.” Milek tymczasem się kręcił, chustkę do ust przyłożył i powiedział półgłosem : „Tak tu duBzno w tej izbie, słabo mi się zrobiło”. I z tem zsunął się powoli ze stoła.

Lecz, kiedy widział, że jeszcze ciągle się śmiano, oprzytomniał zupełnie, zaczerwienił się, zapłonął gniewem i zaczął łajać tych nieprzyzwoitych obywateli, którzy się śmiali. Natenczas ze wszystkich stron pięście się podniosły przeciwko niemu i wrzczał się gwar taki piekielny, jak gdyby go chciano rozerwać na sztuki. Milek był w tej chwili w wielkiem niebezpieczeństwie. Wtedy też, niech się stanie, co chce, Borch i Czubaty rzucili się ku niemu, aby go wyrwać z rąk tłamu; ale nie mogli się przedrzeć. Jednak w tej chw li Oiedrojć, który atał tui prty nim — bo słuchał takie jego perory z wielką awagą — położył rękę na jego ramieniu i rzekł głosem spokojnym, ale bardzo dobitnym:

— Waść młokos jesteś i zamknąby ciebie do czubków. Ja także Chłopickiego nie lubię: carski to jenerał, a nie narodowy. Ale kiedyby teraz, gdzie cała armja polska stoi pod bronią, a on na jej czele, ohciał go kto wieszać, to jabym jemu łeb na dwoje rozplatał. Przypasz waść szablę i idź do oboza, to będzie lepiej, nieli barzyć motłoch po kawiarniaeh.

Milek, nie znający niebezpieczeństwa, a przechodzący z największą łatwością od gniewu do śmiechu, bo taki miał temperament, obaczywszy kiwający się nos Oiedrojcia, parsknął w głos śmiechem i zawołał:

— A to co ta figura?

Ale tymczasem tłum kawiarniany rzucił się na Oiedrojcia z pięściami, wołając na niego, ie to szpieg dyktatorski i trzeba zaraz go wieszać. Niektórzy obywatele wyciągnęli nawet stryczki z za cholew i zaczęli niemi świstać w powietrzu. Borch i Czubaty skorzystali z tej chwili i wyprowadzili czempredzej Milka na ulicę. Ale Oiedrojć stanął frontem do tłumy, uderzył ręką w szablę, wyciągnął ją do połowy i zawołał:

— Sam tu, panie bracie, ze stryczkiem 1 a choćby was było i kilku 1

Na widok pałasza tłum cofnął się — a wtedy Oiedrojć rzekł do nich spokojnie:

— Nie ma was ? pocałujcież mnie w buzię !

Pocaom ścisnął palce a prawej ręki, przyłożył je do  
nst, posłał im serdecznego całusa i wyszedł wolnym krokiem z kawiarni.

Borch i Czubyty stali z Miłkiem na bruku pod samą latarnią i wszyscy trzej byli bardzo zakłopotani, bo żaden z nich nie wiedział, od czego zacząć. Nareszcie Czubyty zapytał Milka:

— Dlaczegoż nie skończyłeś twojej perory ?

A w tem nadszedł Giedrojc, zatrzymał się przy nich i spytał:

— A to wasz, ten kawaler?

— To jest ksiązę Abamsleoh, nasz krewny, — rzekł na to Borch, spuszczać oczy ku ziemi.

Wtedy Giedrojc przegiął się nad Miłkiem, bo o wiele prznosił go wzrostem, a nie zapomniawszy mu zapewne jego niewczesnego parsknięcia śmiechem na widok jego figury, powiedział mu dobitnie:

— I ja także mam mitrę, ale jej nie kładę na głowę, aby ją poniewierać pomiędzy kawiarnianym motłochem, tylko się biję, jak każdy chłop polski, kiedy Polska się bije. I tak tobie radzę, bo to tylko krwią można zmyć takie głupie perory. A tak tobie powiadam, że kiedy byś się dostał pod moją komendę, tobym cię w takim ogniu postawił, żebyś w nim zmył grzechy nawet tych twoich antenatów, którzy jeszcze na czterech łapach chodzili.

Na to Milek się naszczurzył ku niemu, ale Giedrojc położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Daj pokój, pomścij się na Moskalach, ft wierz mi, że z nimi daleko łatwiejsza sprawa, niż ze mną.

Wszakże w tej chwili stanął Czubyty pomiędzy nimi i uspokoił obojg.

Tak szli ku Bednarskiej ulicy.

Czubyty rzekł do Giedrojcia:

— Słuchaj Giedrojc, zrobiłbyś podobno nam wszystkim przysługę, gdybyś, nie czekając, do naszego obozu pojechał, bo tak mi się zdaje, że my się tu z pułkownikiem zaba wimy może jeszcze z jaką godzinę lub więcej. Dobrze by było, żebyś zaraz zebrał nasz pułk do marszu, bo może jeszcze dziś w nocy każą nam pociągnąć pod Grochów.

— Ja też wcale nie myślałem inaczej — odpowiedział Giedrojc — i właśnie się za fiakrem oglądam.

W parę minut potem Giedrojc wsiadł do fiakra i do pułku odjechał. Borch, Czubyty i Milek zatrzymali się pod kolumną Zygmunta, aby się z sobą naradzić, co powiedzieć pułkownikowi, który zapewne srodze się rozgniewa na Milka, jak go w Warszawie obaczy. Milek sam był także zakłopotany i mówił:

— Ja byłem pewny, że wy jesteście u Dwernickiego i że was nie zastanę w Warszawie...

— I dlatego tu siedzisz — odpowiedział mu Borch — a jeszcze do tego, zamiast pójść w pole, miewasz mowy u Honoratki.

— Ale ja idę w pole, to się samo przez się rozumie — rzekł prędko Milek — a co do Honoratki, to cóż ? wypowiadam moje przekonania, to przecież wolno. A zresztą ja wam to wytłumaczę.

— Nic nam nie wytłumaczysz — powiedział szorstko Czubyty — dlaczegoż ci język zakółkowało, kiedyś nas obaczył?

Milek chciał odpowiedzieć, ale Czubyty mu przerwał, mówiąc już trochę łagodniej :

— Słuchaj Milek I nie rób nigdy nic takiego, czego się musisz wstydzić i nie rób nic takiego, z czego się trzeba tłumaczyć, a wtedy będziemy w zgodzie. Inaczej nie. Ale teraz nie o to chodzi, tylko o to, jakby tu pułkownika ugłaskać i zniewolić go, aby cię przyjął do swego pułku.

Nad tem się naradzali przez chwilę i na tem skończyli, że Czubyty z Borchem wzięli wszystko na siebie. Milek się wtedy obwinał jak powój około Czubytego, mówiąc: •

- Tobie się całkiem oddaję, wiem, że jakoś to zrobisz.
- Ba I —■ rzekł na to Czuby — nie wiem ja, ja

kie ty masz wyobrażenie o bitwach, ale wiedz o tem, że jeżeli Dybicz na nas naderzy, to zębami się bronić będziemy i jeśli Fan Bóg nam nie da zwycięstwa, to się damy wybić do nogi.

— Ja z wami i — zawołał Milek -

Tak weszli do domu Borcha, Milka zostawili w pierwszych pokojach, a sami poszli do komnaty, którą pułkownik zajął na swoją sypialnię.

Ponura to była komnata, czerwonym adamaszkiem obita i zastawiona takimiż wyzłaczanymi sprzętami. Na stoliku, przed kanapą stojącym, paliła się lampa oliwna, wskazująca godziny. Pułkownik na wół rozebrany, leżał wyciągnięty w głębokim fotelu — a koło niego w drugim fotelu siedział ks. Anioł.

Pułkownik, obaczywszy ich wchodzących, zawołał do nich:

— Przecież nareszcie wracacie. A czyście tam nie spotkali gdzie Milka ?

Tak dowiedzieli się zaraz, że pułkownik już był zawiadomiony o wszystkim. Więc witali się z księdzem Aniołem, mówiąc:

— Nie spodziewaliśmy się widzieć tutaj księdza definitora. Ale cieszymy się, żeś przyjechał. Odprawisz mszę św. na naszą intencję, a jak Bóg da zwycięstwo, to za śpiewasz Te Deum.

— A między pierwszym a drugim -- odpowiedział na to ks. Anioł — będę z wami, nietylko dachem, ale i ciałem.

— Jakto ? — zawołał Czuby — ej ! czy naprawdę chciałbyś prochu powąchać ? Ale to tam dla osoby ducho wnej może będzie trochę za gorąco,

— Mój panie majorze — odpowiedział ks. Anioł, — bywałem ja w gorszych niebezpieczeństwach, niżeli wo;na. Bywałem ja między dzikimi ludy, które misjonarzy cza sem okrutnie męczą a potem żywcem zjadają. Żołnierz świecki, choćby najwaleczniejszy, możeby się niełatwo naraził na takie powolne męczeństwo.

Ale Czuby rozśmiał się na to i zawołał:

— Nie strasz no nas tak bardzo ludożercami ! I z Mo- .skalami może ei się zdarzyć to samo. Umieją oni tak samo pasy drzeć z jtnców, jak najdziksi Indjanie. A jak ci sypną tysiąc pałek, to ci to (tanie za skalpel. Dla tego my też sobie mówimy: dawajmy pardon, ale nie bierzmy, bo lepsza śmierć niż niewola..

— I ja przenoszę śmierć nad niewolę, — rzekł na to ks. Anioł, — ale jeżeli Bóg przeznaczył niewolę, to i tę mężnie zniesiemy. A jeślibyśmy się obadwa razem w ich łyka dostali, to licz na mnie!

Tymczasem Czuby, widząc, że pułkownik jakoś nie bardzo się sierdzi na Milka, zapytał go ze śmiejącymi oczyma:

— Cóż tedy z Milkiem? bo my może wiemy, gdzie go odszukać.

— To czemuż nie mówicie, jeżeli wiecie? — odpowiedział pułkownik, — cóż ? jeśli chce, aby go jaki gre- nadjer moskiewski rozdeptał butami, to ja nie mam nic przeciw temu. Ale kiedy tu jest, to musi się bić, bo u Honoratki kampanji odbywać mu nie pozwolę. Ks. Anioł od dwóch tygodni go ;zuka, a znaleźć nie może, ale o tem wie pewnie, że się księdzu Puławskiemu oddał w opiekę.

W tej chwili Czuby przyprowadził Milka. Pułkownik bardzo zimao go przyjął i ledwie dotknął się jego ręki, ale Milek powitał go dosyć swobodnie, mówiąc :

— Kochany wnjaszkn, niepodobna mi było dosiedzieć w domu. Przecież nie jestem kaleką.

— Dobrze już, dobrze, — przerwał mu prędko pułkownik, — będziesz się bił. Czuby cię weźmie do swego bataljonu, lepszego instruktora nie znajdziesz. Tylko każ sobie uszyć mundur, bo tu w Warszawie w czerwonej kurtce tylko kat chodzi. Masz dwa dni czasu, to możesz się umontować.



Na tem skończyła się ta konwersacja. Poczem zasiedli do herbaty i późno w noc rozmawiali o sprawach wojskowych i politycznych. Milek jaż trzymał się Czu

batego, jak dziecko się trzyma matczynej sukni; Czubyty zaś chętnie go tulił do siebie, bo rzeczywiście miał szczerą przyjaźń dla niego.

Nazajutrz o świcie pułk Wisłockiego przeniósł się do szańca przedmostowego na Pradze i tam stanął obozem. Oiedroję i Czubyty ciągle go musztrowali. Borch był im bardzo pomocnym, bo znał służbę ledwie nie lepiej, jak najstarsi żołnierze, a nadto jeszcze był bardzo cierpliwym i pilnym, zgoła jak gdyby był urodzony na instruktora.

Ale i Milek nie dał się nikomu prześcignąć. Widać było po nim, że w szkole chleba nie psował, bo znał regulamin piechoty na palcach, chociaż służył w konnicy, rebił sam karabinem wybornie i doskonale dowodził kompanią. WszyBcy go też zaraz polubili, bo był wciąż w doskonałym humorze i rozrzucał pieniądze pomiędzy żołnierzy. Bardzo też zaprzyjaźnił się z Jędrusiem Mroczkim, który ubrany w mundur obcisły i uzbrojony w Bztuciec z bagnetem, na kadeta wyglądał --a bawił wszystkich, bo w żartach i psotach Lył niewyczerpanym. Stary Mroczek był bardzo wdzięcznym Miłkowi za jego przyjaźń dla syna i ciągle im obudwom powtarzał: — Trzymajcie Bie mnie, panicze, bo stary żołnierz, to jak stary mur, o który zawsze można się oprzeć.

Pułkownik mieszkał u Borchy, ale dwa razy codziennie przyjeżdżał do obozu i za każdym razem kazał występować całemu pułkowi, robiąc z nim rozmaite obroty. Ks. Anioł zaś był ciągle w obozie, spowiadał żołnierzy, dawał im rozgrzeszenie i miewał gorące do nich przemowy, wykładając im: że Bóg wymaga od narodu najwyższej ofiary, że nie masz piękniejszej śmierci, jak na polu walki za ojczyznę i wiarę, że ci, którzy zginą, posiadą królestwo nieb eskie, a w niem ta wielka pociecha, że ich potomkowie chwalą Pana Boga w wolnej ojczyźnie.

Dnia 25. na godzinę przed świtem pułk ruszył z miejsca i pociągnął na pola Grochowskio. Siedł lekko, bo nie miał ze sobą prawie żadnego taboru: kilka wozów z amunicją, z mantelzakami oficerów i kilkunastą sztuk broni, które prowadził Pliszka, to był cały ich tabor. Oprócz tego tylko cztery konie wierzchowe, na których siedzieli pułkownik, Giedroję, Czubyty i ks. Anioł i trzy odwodowe, pomiędzy którymi znajdował się ogier Borchy. Borch, lubo miał pełnić służbę adjutanta, szedł pieszo, bo komenderował kompanją. Ks. Anioł, przypasawszy szablę do boku i trzymając niewielki czarny krzyż w prawej ręce, na którym był rozpięty Chrystus Pan ze słoniowej kości, jechał obok pułkownika i słuchał pilnie jego opowiadania o roz- położeniu obudwóch armij.

Pola Grochowskie stanowią rozległą, nisko położoną, miejscami pagórkowatą, a miejscami bardzo błotnistą równinę, poprzerzynaną rowami, na której wówczas były rozsiane rozmaitej wielkości kolonje, folwarki i wioski. Tu i ówdzie widać było osamotnione domki, w wielkiej części wtenczas już zrujnowane i rozmaite zarośla, pomiędzy którymi najwidoczniejszy był lasek olchowy, po lewej stronie szosy leżący, która prowadziła do Miłosny. Po prawej stronie nad GosławBkiami błotami zieleniał cokolwiek większy lasek sosnowy. Długość tej całej doliny, ciągnącej się wzdłuż prawego brzegu Wisły, od Białołęki aż do Gosławka, wynosiła blisko dwie mile. Naprzeciw niej wznosiły się wzgórza, w znacznej części gęstymi okryte lasami, a gło- wnemi pomiędzy niemi punktami był Kawęczyn i Góra- Dąbrowa.

Pozycja naszej armji była bardzo niekorzystna. Stała ona nisko i była rozciągnięta na dwumilowej przestrzeni. Krukowiecki z kilkunastu tysięcy ludzi i dwudziestuczte- rema działami st.ł po lewej w okolicach Białołęki, Szem- bek zaś ze swoją dywizją po prawej, pomiędzy Saską kępą a laskiem sosnowym. Tak pierwszy z nich stanowił lewe, a drugi prawe akrzydło armji. W środku, około Olszyny, stały tylko trzy dywizje, poprzednieini bitwami mocno już przetrzebione: Zymirskiego z brygadą Rolanda, na przodzie, Skrzyneckiego z pułkami linjowej piechoty czwartym i ósmym cokolwiek niżej, i grenadjerów z artylerją Piątki na prawo, nad którą później wziął komendę Chłopicki.



Umiński z dwiema dywizjami jazdy i dwiema bateriami artylerji konnej stał na lewym skrzydle, łącząc główną armję z korpusem Krnkowieckiego; reszta jazdy pod rozkazami Łubieńskiego i Chłapowskiego stanowiły rezerwę; pierwszy dla Skrzyneckiego, a drugi, wysunięty więcej na prawo, dla generała Szembeka. Armja nasza była zatem zanadto rozwleczone, pomiędzy jej korpusami były szerokie luki, a całą jej korzyścią było to, że trzymała w swym ręku punkt środkowy, którym była Olszyna. Wszelako ku obronie tego punktu mieliśmy tylko trzy dywizje: połotenie nasze było zatem niezmiernie krytyczne, bo o te trzy dywizje miała się rozbić cała potężna armja Dybic-a.

Przeciwnie Moskale stali na wzgórzach i całą swą armję, z wyjątkiem korpusu Szachowskiego, — który atamtł pod Białoleką, aby itamtąd, rozbiwszy Krukowieckiego, uderzyć za naszymi tyłami na Pragę, — skoncentrowali u linii, która miała całej długości ćwierć mili. Prócz tego Dybic miał trzy razy więcej żołnierzy i cztery razy tyle dział wielkiego kalibru — a nadto jeszcze ciętką kawalerię w żelaznych kirasach i na ogromnych koniach, której, myśmy wcale nie mieli. Historia wszystkich narodów nie wiele umie stanowczych wykazać bitew, gdzieby z tak nierównymi siłami walczone.

Dopiero dzień zaczął się robić, kiedy Wisłocki przyciągnął do dywizji Skrzyneckiego, ale mimo to armja już stała pod bronią. Jego mały pułk wydawał się przy niej jak mała muszka pomiędzy pancernymi chrząszczami. Wisłocki spał konia i pobiegł zamówić się Skrzyneckiemu i wziąć od niego rozkazy. Późem zaraz stanął z swym pułkiem po lewej stronie za czwartym linjowym, tworząc tym sposobem wedle rozkazu Chłopickiego jego rezerwę.

Lecz, rozpatrzywszy się w położeniu, cokolwiek inaczej się rozporządził: tylko sam z pierwszym bataljonem, którym Giedroń dowodził, stanął o jakie dwieście kroków przy czwartakach, bo — według niego — rezerwa ta była dostateczną; Czubatego zaś z drugim bataljonem pchnął o kilkaset kroków dalej na Iowo, dając mu rozkaz, ażeby miał oczy otwarte ku Kawęczynowi, albowiem, ponieważ Umiński stał bardzo daleko, już zaraz przy pierwszym ataku mogła się jaka kolumna moskiewska z tej strony wysunąć i uderzyć zniemacka i z boku. Sam poszedł z Czubatym i ustawił go tak, że jego bataljon [był] plecyma niejako oparty o kolumnę Maziasa, a mógł dobrze widzieć, co się dzieć będzie i około Olszyny i od strony Kawęczyna. Tym sposobem pułk czwarty dwie rezerwy uzyskał, co nawet dla walecznych czwartaków nie było do pogardzenia.

Ale o bitwie na dzisiaj jeszcze wcale nie było mowy. Skrzynecki miał wieści, zapewne od Chłopickiego, który sam całą noc na czatach przeczuwał i podsuwał się nawet pod placówki Moakttli, że Dybic dopiero nazajutrz zamierza uderzyć. Wojska tedy, choć stały pod bronią, miały czas posilić się — a dowódcy nie potrzebowali się spieszyć, ażeby się obaczyć ze sobą i udzielić sobie wzajemnych uczuć i myśli. Toż i Wisłocki stał spokojnie na koniu przy Czubatym, a przekonawszy się, że w okolicach Kawęczyna nie widać żadnego ruchu, patrzył na Pliszkę, który opodal wozy szykował i karabin sobie dobierał, uderzając kolbą o koło wozu, aby spróbować, czy się nie skruszy.

Już się wtedy dzień żrebił, dzień chłodny, ale pogodny i jasny, słońce spokojnie się podnosiło na czystym niebie bez chmurki. Była godzina ósma. A w tem huk dział dał się słyszeć pod Białoleką. Stał się tam nieprzewidziany wypadek, bo Krukowiecki nie miał rozkazu na Szachowskiego uderzać. Oto Szachowski, chcąc wiedzieć, co się dzieje pod Grochowem, wylazł ze swymi cztabowcami na dach młyna; złe galony tych oficerów zabłyszczały od słońca, kapitan Masłowski ich dostrzegł, nie mógł się wstrzymać i dał do nich ognia całą bategiją. Krukowiecki, gorączka, a przytem wrzący zazdrością, ażeby inni nie odznaczyli się więcej od niego, chwycił w lot za tę sposobność i uderzył całymi siłami na Szachowskiego. Był to pomimowolny sygnał dla bitwy Grochowskiej

Dybicz miał główną kwaterę w Miłosny, ale tego dnia zerwał się rano i przybiegł ze swoim sztabem do Góry-Dąbrowy. Tam mszę kazał odprawiać, aby od Boga carów oprosić zwycięstwo; ale ma strzały pod Białoleką nabożeństwo przerwały. Wsiadł zaraz na koń i ku największej swojej rozpaczy obaczył, że Krukowiecki uderzył na Szachowskiego. On już od kilka dni o Szachowskiego, który się do Białolek zaangażował i musiałby być trzy mile kołować, aby się z jego armją połączyć, w śmiertelnej był trwodze — i tak mu o uratowanie tego księcia i jego grenadierów chodziło, aby byłby wołał woale bitwy nie staczać, aby tylko jego na szwank nie narazić. Teraz, kiedy Szachowski jui był zaatakowany, a o posłaniu ma sukursu z powodu odległości nie mogło być mowy, nie miał innego ratunku dla niego, jak w sam środek armji polskiej uderzyć. Rozumiał on i słusznie, że w takim razie Polacy nie będą mogli wzmocnić korpusu Krukowieckiego i Szachowski sam się przeciwko niemu obroni. Niespodziewane uderzenie naszego lewego skrzydła na korpus Szachowskiego i konieczność ratowania tego korpusu, to są strategiczne znamiona wielkiej bitwy Grochowskiej, a zarazem powody, dla których ta bitwa odbyła się o dzień wcześniej, niżeli Dybicz ją stoczyć zamierzył.

Wkrótce po strzałach armatnich pod Białoleką, Dybicz Btanawszy sam na wzgórzach Dąbrowy-Góry, zaczął ciężkie swoje kolumny ku Olszynie wysuwać. Jednocześnie rozpoczął morderczy ogień działowy z wszystkich podsuniętych baterij. Przeszło sto armat zagrzmiało od razu, niebo się zachmurzyło od dymu, ziemia, ryta kulami we wszystkich kierunkach, zadriała, a powietrze napełniło się świstem i jękiem, jakgdyby przepaście piekielne się pod niem rozwarły Śmierć jui wrywa swoje ofiary z naszych szeregów, ale nasza artylerja raz za razem odpowiada armatom Moskali i posuwające się naprzód moskiewskie kolumny miejscami na szmaty rozdziera. Jenerał Chłopicki, dowodzący sam pierwszą linją bojową, stoi jak posąg w najgęstszym ogniu koło baterji Piętki i stamtąd rozkazy wydaje.

Korpus Rosena uderzył pierwszy na Zymirskiego. Choć kartaczami serdecznie zwitany, uderza silnie, jenerał Roland go przyjmuje, wołając na swoich: „Dziatwa 1 ani kroku im dalej! za broń, pa', a potem na bagnety!” Zwarły się z sobą obydwie kolumny: Polacy górą, Moskwa pierzchnęła.

Dybicz widząc klęskę swoich, rusza drugą dywizję grenadierów, brygadę strzelców i oddział gwardji w. księcia, i tej masie ogromnej kaze na Zymirskiego uderzyć. Chłopicki posyła rozkaz Zymirskiemu: „aby wszelkimi siłami mi trzymał Olszynę, choćby się miał w niej zagrzebać!” Znowu zwierają się masy, Zymirski, uderzony kulą armatnią w ramię, spada z konia i ginie. Chłopicki, dowiedziawszy się o tem, woła przed siebie: „szkoda, że nie wcześniej!” i wydaje rozkaz Skrzyneckiemu, aby się naprzód posunął ku wsparciu Rolanda.

Roland broni się mężnie i zawzięcie, ale nie może przemocy podołać. Moskale się biją jak lwy, jest trzech na jednego, czują swoją przewagę — a u nas śmierć Zymirskiego zachwiała ducha w szeregach. Osierocona przezeń dywizja zaczęła się łamać i rozpraszać: Moskale zaczęli się wdzierać do Olszyny.

Natenczas Skrzynecki, Biedzący na wielkim kasztanowatym ogierze, wyniosły wzrostem, lecz jeszcze wynioślejszy awem męstwem, a twardy jak skała uporem, stanął w strzemiionach, podniósł szpadę do góry i potężnym głosem zawołał :

— Czwartą pałk naprzód! ósmy pułk za nim! — Bogusławski, najwaleczniejszy z walecznych, choć rewolucję potępiał, mąż ogromnego wzrostu i tuszy, na białym koniu jak mleko, skoczył na czoło swoich czwartaków.

Wisłocki, stojący już wtedy tak blisko po lewej za czwartym pułkiem, że go prawie ramieniem dotykał, spiął konia, przybiegł pędem do Bogusławskiego i zawołał:

— Bogusławski 1 jak będzie ciasno, bierz wagę na prawo, ja cię poprę z lewego.

Bogusławski na to tylko lewe oko przymrużył w znak zrozumienia — znał - on  
Wisłockiego od dawna i wiedział,

że może liczyć na niego — i zaraz na prawe skrzydło swojego pułku odskoczył.

Wisłocki wrócił pędem do swego bataljonu, zeskoczył z konia, wziął karabin do ręki i stanął na czele bataljonu. Stanęli przy nim, również z karabinami w rękach, Giedroń i ks. Anioł. Borch także z karabinem, stał na skrzydle prawym. Pułkownik wyteńczył oczy w pałk czwarty i stał nieruchomy...

W tym Bogusławski, postąpiwszy kilka kroków przed front swego pułku, zawołał swoim nosowym, ale donośnym głosem:

— Do oficerów strzelaj 1 z wolna mierz, a pał w sam łeb! Chciałeś rewolucji, to ją masz; teraz się bij, bo jak nie zwyciężysz, to zgnijesz w kopalniach!

Właśnie wtedy kolumna moskiewska zaczęła się wysuwać z pod Olszyny. Jeszcze chwila. Nareszcie Bogusławski krzyknął:

— Za broń! cel, pał 1 — i na bagnety!

Błysnął ogień jak łańcuch płomienny, dym zaćmił powietrze, widać było tylko jedną masę, kipiącą w sobie jak morze wzburzone i słychać było szczęk broni i jęki upadających, nad którymi górowały od chwili do chwili odzywające się jak pioruny komendy dowódców. Wisłocki dobrze przewidział, że ciasno tam będzie. Toż Bogusławski poszedł za jego radą i wziął wagę na prawo. Jakoż istotnie niebawem na jego lewej, masa Moskali zaczęła się przewalać i zgęszczać i już się zdawało, że go z tej strony okrąży.

Wtedy Giedroń odskoczył i stanął na lewym skrzydle, ksiądz Anioł koło niego. Wisłocki sam został na czele. Młodzi żołnierze zaczęli się niecierpliwić, niektórzy z nich drżeli jak w febrze, tu i ówdzie dały się słyszeć wołania :

— Pułkowniku! już czas! naprzód 1 Moskale ich okrążają!

Wisłocki odpowiadał:

— Stać! milczeć! i słuchać komendy!

On czekał, aby Moskale, waląc się ku tej stronie, do brzo mu flankę podali. Ale czekał niedługo. Albowiem nagle odwrócił się twarzą do bataljonu, podniósł karabin do góry i krzyknął:

— Za broń! nie strzelać! za mną! na bagnety!

I wtedy, biegnąc kłusem sam naprzód, jak piorun nderzył.

Wisłocki był dziwnie pięknym w tej chwili. Ubrany w mundur obcisły, stosowany kapeluszy i buty myśliwskie, z oczyma rozpromienionymi zapalem, z twarzą uśmiechniętą, jak gdyby na balu, rzucił się tak na Moskale, jakgdyby chciał pierwszą parę odbijać w tańcu. Giedroń z twarzą okrutnie surową, Borch z wyrazem poważnego natchnienia, dzielnie porwali za sobą ściśnięte szeregi. Bataljon ich z taką gwałtownością we flankę moskiewskiej piechoty nderzył, że ją zgiał, jakby masę woskową. Wisłocki pierwszy w jej środku wybił wyłom ogromny, Giedroń i Borch zagarnęli jej boki i wszystko to się przewaliło w Olszynę i utonęło, jak gdyby w morzu, pomiędzy szalejącymi bałwanami.

Za małą chwilę już nie było widać Moskali z tej strony, Polacy ich sobą nakryli: ale wtedy zaczęła się walka wewnątrz Olszyny, walka okrutna i straszna, na bagnety, na kolby i pięście; druzgotano łby jak czerepy, przebijano się bagnetem na wylot, boniono się zębami i pazurami. Krew lała się strumieniami, ziemia zamieniła się w błoto czerwone, miejscami trupy całkiem ją zakrywały : Olszyna stała się piekłem, w którym męczony naród bronił Bwojej wolności, a z którego wylatywały tylko łomot drzew potrzaskanych, nieustający chrzęst broni i przeraźliwe wycia umierających.

Kiedy Wisłocki na flankę moskiewskiej piechoty uderzył, drugi jego bataljon stał nieruchomy o kilkaset kroków. Czuby siedział na koniu i patrzył na to uderzenie przez swoją lunetę. Milek, stojący na prawym skrzydle, widział także ten atak i rzekł niecierpliwie do niego:

— Teraz by nam się trzeba bliżej do nich przysunąć i także uderzyć

Ale Czuby, znajdujcy się lepiej na bitwach, rozsmiał się na to i rzekł:

— Właśnie tam na nas czekają! Widzisz przecie, że Bogusławski wziął górę, a jeszcze Andryohowicz stoi w odwodzie prawie z całą biygadą, nie wspominając o dalszych rezerwach. Olszyna dla Moskali stracona, nie będzie tam dla nas roboty.

Ledwie tych słów domówił, kiedy padł granat, uderzył w lewe skrzydło jego bataljona i pękł z strasliwym łoskotem. Tłasty kapitan został rozdarty na sztuki; z jego rozszarpanego brzucha wypłynęły wnętrzności i rozlały się we krwi po ziemi; porucznik ud rżony czerepem w głowę, padł obok niego i przewróciło się kilkunastn ludzi z po- trzaskanemi członkami. Jęk s°ę rozległ strasliwy, jedni odskoczyli, potracając swoich kolegów, 'drudzy żegnali się krzyżem świętym, jak się to zwykle zdarza młodym żołnierzom. Nieład się zrobił w piewszej kompanji. Czuby skoczył na koniu w to miejsce, Milek przybiegł w trop za nim i szeroko rozwartemi oczyma wpatrywał się w trupy zabityoh. Stary Mroczek, który stał obok kapitana, chciał ścisnąć szeregi, ale trzeba było zabitych i rannych uprzątnąć. Na to nadbiegł Pliszka, który stał w ostatnim szeregu, spojrział z ciekawością na poszarpane ciała zabitych — i śmiał się. Widać, że śmierć i krew nie sprawiły na niego żadnego żadnego wrażenia, jak gdyby był starym żołnierzem. Są ludzie, co się rodzą żołnierzami. Stary Mroczek zawołał na niego:

— Kiedy ci tak wesoło, to wcz kilku parobków i uprzątnij zabitych i rannych.

Ale Czuby zakomenderował w tej chwili:

— Ścisnąć szeregi! Marsz, naprzód!

Bataljon posunął się o jakie sto kroków naprzód — w tem padł granat drugi i trzeci i czwarty, ale z tyłu za bataljonem. To obudziło ufność młodych żołnierzy ku niemu, a Pliszka rzekł:

— Czuby dobrze gospodaruje na wojnie. Wie naprzód, gdzie kule padają.

—

Odtąd granaty ustały, szeregi się ścisnęły, Czuby znów się rozejrzał przed sobą na wszystkie strony i zmienił front bataljonu, obracając go ku Kawęczynowi.

Stał on natenczas na wysokości Olszyny.

W tem jeszcze raz przyłożył lunetę do oka, wpa- traył się silnie w punkt jakiś na lewo i zaraz zawołał:

— Milek! siadaj na odwodowego konia, leć pędem do Skrzyneckiego, powiedz mu, że ciągnie na nas pułk huzarów grodzieńskich i proś o rozkazy...

Milek skoczył na konia i ruszył z kopyta, — ale zaledwie kilkadziesiąt kroków ujechał, koń związał się pod nim i tak nieszczęśliwie grzmotnął sobą o ziemię, że błysnął w powietrzu wszystkimi czterema podkowami i Milka zagrzebał pod sobą. Pola ta były w rozmaitych kierunkach poprzerzynane rowuni, a rowy te, podcza3 ostatnich bitew zryte kulami i roztratowane końskimi kopytami, rozlały się i w skutek odwilży rządkiem napelniły się bło ■ tem: niedoświadczony, a zaślepiony zapałem młodzieniec rowu nie dojrzał i runął weń z takim impetem, że ani dojrzeć nie można było, co się z nim stało.

Jednak Czuby, baczny na wszystko, dojrzał ten wypadek, wysłał natychmiast innego porucznika na drugim koniu podwodnym, a patrząc w tę stronę, gdzie Milek borykał Bię z koniem, mruknął sobie pod nosem:

— Mam tedy uczonego panicza! Pułkownik miał ra.>ję: ani za adjutanta go użyć nie można. I wieszac to chce Chłopickiego I

W tem Milek pociągnął pieszo, prowadząc konia za sobą : ale wyglądał tak, że i sam diabeł-by go nie poznał. Był bowiem oały w czarnem błocie skapany, ani znać było barwy munduru, do tego jeszcze i kaszkiet uronił i całą czuprynę i twarz miał błotem zalaną. Cały bataljon głośnym powitał go śmiechem i sam Czuby nie mógł się powstrzymać od śmiechu i zapytał go i

— Cóż ci odpowiedział Skrzynecki ?



Milek chciał Cię usprawiedliwić, ale Czuby mu przerwał:  
W Mł Ojcowie.

26

— Ta nie mass ́sasTi. do konwersacji! Bierz knra- bin i stawaj w szeregu. Moze bazyry uciekną, jak takiego djabła obaezą.

W t j cbwili porucznik powró:ił i zdał raport Cju bitemu. Skrzynecki tik s: ma z n ra sobie postąpił, jak Chłopicki z Żymirskim.

— Niech major Cznbaty trzyma huzarów na sobie,— a jak go przewrócą, to my ich tutaj przyjmujemy.

Taka była jego odpowiedź. Czubyty znów mrukcał coś pod nosem i przyłożył lunetę do oka. Teraz iuż nie było żadnej wątpliwości, że huzarzy ciągną na niego. Był to pułk cały, na skarogniadych koniach, doskonale jemu znajomy. W tej cbwili był w odległości około ośmiuset kroków i posuwał się stępą, a jego pułkownik, jadący na cele, pilnie się na około rozglądał. Widocznie chodziło mu oto, r.by w danym wypadku ten mały bataljon uprzątnąć, a potem na Skrzyneckiego uderzyć.

C-ubaty to z&raz zrozumiał i domyślał się zarazem, że za tym pałkkm ciągną zapewne inne w odwodzie i tylko na to się oglądają, aby Moskale przeważyli w 01- "zyci\*", poczem jedeu za drugim rzucą się z flanki na tyły Skrzyneckiego dywizji. Zdawało mu aię wprawdzie, że Umińiki musi być gdzieś niedaleko, powinien on być istotnie znajdować się natenczas cokolwiek wyżej na lewo od łolonji Elznera: w takim razie ta azarza mogła się ttać dla Moskali niebezpieczną; ale było to tylko przypuszczenie, które go trochę nspokajafo. Bądź co bądź jednak, chociaż rozkaz był twardy, trzeba go było wrkonać. Czubyty zeskoczył z konia, wziął swój sztuciec sztofem nabity do ręki, z którego nigdy nie cliybi^ł, stanął przed frontem i zawołał:

— Baczność! Mocao ścisnąć szeregi l Ramię do ramienia! Na komendę: Cel! spokojnie mierzyć; na komendę: pal! walić w konie. Jak który konia chybi, to trafi żołnierza.

Czubyty wiedział, bo jut to wypróbował przy mu sztrach, ie ładunki były 'olcełwiek za ostre i ksrhbiny tylko znosić mogą.

Huzarzy ciągle posuwali się stejjKg pułkownik zdawał się być bardzo ostrożnym, bo się ciągle oglądał. Nareszcie joż się zbliżyli na sto pięćdziesiąt kroków. Czubyty mruknał do siebie:

— Tutaj dasz ducha Bogn, ranie Czubyty! ale tego pułkownika weźniesz ze sobą.

Pułkownik podniósł szablę do góry i właśnie miał zakomenderować: klusem albo ga'opcml kierty Czubyty krzyknał na swoich w małych odstępach:

— Za broń I — cel! — pal l — i sam ze swego sztucca wystrzelił.

Żołnierze, w odległości\*stu kroków, doskonale strzelili. Pułkownik, trafiony w sam łeb tula Czubatego, spadł z konia, cały pierwszy, a mo/e i część drugiego szeregu, zwały się z koni, wewnątrz szwadronu pierwszego zaki- pialo jak w garnka, przed nim utworzył się wał z zabitych koni i ładzi, który się w sobie bałwanił, szwadron cię zatrzymał na chwilę, ranione konie zaczęły aię rozbiegać po polach. Czabaty spojrział przed siebie i rzekł głosem niskim, ale dobitnym:

— A wara!

W tem ok-i mgnieniu żołnierze broń nibili, ale już strzelić nie mieli cza^u. Albowiem w tej samej chwili jakiś oficer tychże huzazów, zapewne major, człowiek barczysty, z twarzą czerwoną i okrągło wytrzęszczonemi oczyira, z szablą wysoko podniesioną w prawicy, na koniu ogromnym, z rozwianą grzywą i szeroko rozwartemi chrapami, wyskoczył ze środka szwadronu, | rzeeadził wał koni i ludzi takim skokiem dj-ibelskim, że cały brzuch podżary było widać konhwi i rzucił się pędem na nasz bataljon piechoty. Hazarzy za nim, z piekielnym okrzyk em: Hura! zrazu kilku, potem coraz więcej, tak, że m'mo woli utworzyli jakby klin, na którego czele sadził ów major, a który s'ę coraz więcej rozszerzał — a ten klin z taką gwałtownością w nasze prawe skrzydło uderzył, 4? roz

szczepił bataljon na dwoje i cały jego środek prawie roztratował...

Huzarzy przelecieli jak wichry na nasze tyły, bataljon się rozdarł na szmaty i rozsypał po polu. — ale huzary, uderzywszy w nieładzie, takie się rozsypali. Tylko jedna ich część, najwięcej spojona, poleciała za majorem i ale majora koń, zapewne skłuty ostrogami do wściekłości, uñiósł się w pole półkolem na lewo. Zaledwie o kilkadziesiąt kroków potrafił on go powstrzymać, zaczem nawrócił i pędem znowa na nasza przewrócone prawe ekrzydło najechał, pędzący za nim huzarzy je okrążyli — i sam Pan Bóg wie tylko, co Bie tam stało.

Środek bataljonu i skrzydło lewe, rozdarte i rozprószone, zaczęły się bronić przeciwko również rozprószonym huzarom, bijąc się bądź pojedynkiem, bądź małemi kupkami. Była to ubijatyka tego rodzaju, jak gdyby obydwie strony walczące z rozkazu rozsypały Bie w tyraliery. Ta i ówdzie padały strzały, gdzieindziej broniono się bagnetem i kolbą przeciwko nacierającym huzarom. Stary Mroczek był pierwszy, który ze trzydziestu ludzi około siebie zgromadził i jakkolwiek sformował; kilkunastu huzarów uderzyło na niego, ale on im się oparł walecznie, kilku z nich trupem położył, dwóch wziął w niewolę, inni pierzchnęli. Jakiś młody porucznik także do siebie ze trzydziestu ludzi nawołał i kapą się bronił.

Pliszka zaś bił się na własny rachunek i bardzo go to bawiło. Dwóch huzarów najechało na niego, on jednemu z nich konia nadział na bagnety, chwycił prędko karabin za lufę i grzmotnął drogiego kolbą w łeb tak potężnie, że mu czaszkę roztrzaskał, jak jajko, poczem znów się odwrócił i leżącego na ziemi pierwszego huzara bagnetem przybił do ziemi. Na to rzuciło się na niego dwóch diugioh huzarów, ale jeden z nich, trafiony kulą, nim jeszcze do niego dojechał, spadł z konia o parę kroków od niego; drugiemu znów Pliszka przebił konia, a jeźdźca ściągnął prawą ręką z knlbaki i wziął w niewolę. Obejrzał się, kto mu tamtego huzara obił — i ujrział Jędrusia

Mroczka, który o jakie pięćdziesiąt kroków oparty o resztkę starego płota, wciąż Bztuciec nabijał i strzelał huzary, jak ptaki. Słaby jeszcze chłopczyna nie czuł w sobie dość uity do walki bagnetem i służył, czem mógł, swoim braciom.

Jednak ta walka nie trwała długo. Huzary, choć nie pobici, zaczęli coraz więcej uchodzić z pola, majora ze swoim oddziałem jui ani śladu nie było, już tylko tu i ówdzie w oddali widać było pojeJyńczych huzarów, galopujących w tę samą stronę, skąd przyszli: ale w tej stronie już i ich szwadronów nie było. Walka zupełnie ustała.

Zdziwiony tem Pliszka, skoczył do starego Mroczka i spytał: dlaczego huzary uciekli, chociaż ich tylko kilkunasto ubito? — ale Mroczek odpowiedział mu niecierpliwie:

— Słyszałeś przecie, że im zatrąbiono do odwrotu prawie w tej samej chwili, kiedy nas rozbili, a i teraz jeszcze trąby ich grają ua odwrot.

Ażeby wśród zgiewku i szczęku oręza trąbkę usłyszeć, na to trzeba być starym żołnierzem. Ale tak było w istocie: ledwie pierwszy szwadron huzarów na nas uderzył, zatrąbiono na odwrot.

Bogusławski wyparł Moakali z Olszyny, Andrychowicz za nim uderzył i Umiński pokazał się przy kolonji Elznera. Moskale musieli cofnąć swoją kawaleię inaczej byłaby przepadła pomiędzy Umińskim a Skrzyneckiego rezerwą.

Mroczek więc kazał uderzyć w bębny, ażeby swoich nawołać. Wtedy Milek przypadł do niego. Trzymał oo w rękę karabin, ale był jak pijany. Konie go stratowały, omdlał na chwilę i jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie; jednak na odgłos bębna przybiegł do Mroczka.

— Odzie Czuraty V — zapytał go Mroczek.

— Ja nie wiem — odpowiedział Milek — w chwili ataku widziałem go między końmi, ale w ten moment upadłem na ziemię i nie wiem, co Bie z nim stało.

— Chodźmy go szukać pfrzekł Mroczek i poszedł z Miłkiem i Pliszką, aby całą P<sup>o</sup>e obsjrzyć

Widzieli wielu zabitych i przeszli koło nici), znajdowali rannych, których kazali pozbierać, ale Czubatego nie znaleźli.

— Czubaty przecie nie uszedł z pola — rzekł Mroczek — bo to nie jego robota. Zresztą, gdyby został odrzucony gdzie na bok, to byłby jut dotąd powrócił. Jego uprowadzili huzary. Czy panicz nie widziałeś, kiedy go wzięli ?

-- Nic nie widziałem — powiedział Milek — słyszałem tylko, jak huzary przelecieli przez nas i zdaje mi się, że słyszałem, jako znowu koło nas wracali, ale nic nie widziałem. Mroczek się bardzo zasmucił, spojrzął na Milka, któremu rzesiste łzy się rzuciły do oczu za biednym <'zu batym: ais wśrół bitwy nie masz czasu na żale Sformował zatem resztę bataljonn. jak mógł, rannych odesłał do kohnji Maziasa, jeńców oddał Pliszce pod dozór i rzekł do Milka:

— No, bierz panicz komendę, boi tu teraz rargą najstarszy i prowadź nas prosto w Olszynę. Gdzież tam pułkownika się doszukamy.

Natenczas Milek bardzo pięknie się sprawił ubrał się w kaszkiet po jednym z zabitych, wsiadł na pozostałego po Czubatym Wisuia, przetrzebiony bataljon na dwie kompanje podzielił i na ezila trzysta ladsi pociągnął wprjat do Olszynki.

VII.

Kiedy Milek na czele resztek dragego bataljonn przyciągnął pod Olszynę. Polacy byli górą na wszystkich punktach. Byli oni wszyscy jak jeden przejęci tem przekonaniem, że jest to bitwa stanowcza, w której jeżeli nie wywalczą wolności dla swojej ojczyzny, to przynajmniej zostawią swoim potomkom świetne imię w historii, które im zapewni miłość i szacunek u wszystkich narodów. Bili się zatem walecznie i z niewidzianym dotąd uporem.

Bogusławski bagnetem, kolbą i pięścią, wyparł Moskali z Olszyny za nim uderzył Andrychowicz z pułkiem trzecim i ósmym, rozszerzając linię bojową i ścieląc bataljony moskiewskie, jak snopy zboża, przed sobą; nawet Skrzynecki z rezerwami był wtedy jnz za Olszyną.

Natenczas Chłopicki, który dotychczas w najgęstszym ogniu przelatywał szeregi i miś już dwa konie zabite pod sobą, stanął sam na czele grenadjerów, którzy dotąd prawie bezczynni z baterją Piętki stali po prawej. Przewodnia myśl Chłopickiego tak się ziściła w czynie, jak ją był pojął w swej głowio. Żymirskiego poświęcił, ale jego dywizją znużył i zmęczył Moskali i na niej pierwszy ich zapal ochłodził, bkrzynrcki z najwaleczniejszym Bogusławskim na czele wyparł ich z Olszyny i jut jechał na nich, mając resztki Żymirskiego dywizji, sformowane na nowo, jako rezerwę za sobą. Teraz był moment na nich świeżemi siłami uderzyć i dobić. Chłopicki, przejęty rozpalającym widokiem przeważonego na naszą stronę zwycięstwa, natchniony porywającą nadzieją zadania śmiertelnego ciosu armji moskiewskiej, z oczyma rozskrzonemi świętym zapalem,

z półotwartymi a<g>tami od najwyższego zachwytu — a przecież przytomny sobie jak dzień i spokojny jak posąg, był wzniośle pięknym w tej chwili i jak zjawisko półboga wyższym nad wszystkich. Orenadjery, gdy stanął przed ich frontem na kcnin, powitali go jednogłośnie okrzykiem, który jak grzmot gwałtowny się wyrwał z ich piersi: Niech żyje Chłopicki I - - Chłopicki spłonął natenczas i zaklął- wszy sposobem żołnierskim, krzyknął głosem potężnym:

— Naprzód grenadjery I przy was zwycięstwo I

Orenadjery uderzyli jak wybuch pękającego wulkanu, złamali i rozdarli na szmaty resztki trzymających się jeszcze kolumn moskiewskich, zwycięstwo zaczęło się na całej linii stanowczo i ostatecznie przeważać na naszą stronę.

Chłopicki odskoczył pędem na tyły na-zej armji wysyłając adjutantów jednego po drugim z rozkazem:

— Rezerwy naprzód! i w ogień I

Ale rezerwy s'ę nie spieszyły. Krakowiecki i Łubieński mieli każdy swoje powody nie ruszyć się z miejsca.

Chłopicki popędził sam do Radziwiłła, który Btał przy słupie żelaznym z swym sztabem — i je zcze stamtąd nowych adjutantów posłano, ażeby rezerwy ruszały.

Chłopicki nazad popędził do swoich. A wtedy padł granat pod brzuch jego konia, zakręcił się, prysknął i pękł, konia rozdarł na sztuki, a Chłopickiego rannego w obydwie nogi, powalił na ziemię.

Ten granat nieszczęsny rozdarł los Polski swojemi czerepy I

W tej chwili duch naszej armji został porażony, jak gdyby zakłętego wiatru powiewem Moskale pobici: ale nad nami wodza nie było. Zwycięskie dywizje na'ze zwolniły kroku, zapal zaczął ostygać, powstało zamieszanie, widaA było nawet zdaleka, że ruchy Polaków już nie są tak energiczne i strojne, jak dotąd były. Dybicz dostrzegł tej zmiany i domyślił się, że coś się tam stało. Spostrzeżenie to ożywiło w nim ducha, spał konia i sko-.iywszy pomiędzy swoje jeszcze n'c j ulkiem złamane kolumny, zawołał:

— Rabiata. pozorl posramimsia je li nie preodolejem etoj niestożnej knezi Polakow.

Nazno nam budiet otdat' naszi gołowy na pła<sup>n</sup>hu I Oospoda oficerzy w pierod I

I zabrał ostatnie swoje rezerwy, sam stanął na czele, rozkazał oficerom iść naprzód i z ożywioną energią uderzył.

Skrzynecki miał upór, miał i świetną odwagę, ale nie znalazł w sobie w tej chwili t"go natchnienia, którego mu było potrzeba, aby Chłopickiego zastąpił i objął naczelną komendę. Widząc, że prawy bok naszej armji nie był dostatecznie pokryty, odebrawszy wiadomość, że Umiński, na skrzydle lewym, party przez Szachowskiego, sam jest w niebezpieczeństwie, nie mogąc się wreszcie doczekać Łubieńskiego i Krukowieckiego, powziął obawę, że mógłby być od nieb odcięty i zaczął się cofać.

Cofanie się jego, chociaż w zupełnym porządku, Moskale wzięli za ucieczkę i z podwojonym zapalem natarli. Skrzynecki opuścił Olszynę, opuścił przed nią rozlegające się smugi — i zajął nową pozycję na błoniach.

Ale i Moskale nie mieli także odpowiedniej komendy. Dybicz, przerażony niespodziewanem przezeń męstwem Polaków, zachwiany na duchu ponieBionemi klęskami, stracił ufność w swą armję i teraz, chociaż szala szczęścia przechyliła się na jego stronę, nie śmiał dalej nacierać. Jego rada wojenna nie była Silniejszą na duchu od niego — a nadto, niemało jego generałów i pułkowników poległo, inni zaś ranni musieli zejść z placu boju. Po I wodzem naczelnym, którego przytomość umysłu omdlewała, biorą łÓrę j»,oe-ałjwie, którzy jej jeszcze nie stracili. Takich generałów w armji rosyjskiej dwóch było w tej chwili: Neuhardt i Toll. Ci, rozumiejąc, że armja polska jest jui zupełnie pobita, postanowili dopełnić zwycięstwa i uderzyć na Pragę. Ośmnaście pułków kawalerji rzucili w tę stronę popierając ją kolumnami zebranej na pn;dce piechoty. Ziemia zagrzmiała pod ich kopytami, kirl-s'3ry,



pijani do bezprzytomności, lecieli naprzód na oślep, jak chmura gradowa; zdawał się, że żadna siła im się oprzeć nie zdoła, ta szanica na Pradze same się rozstąpią przed nimi, że jakby pod uderzeniem orkanu, w gruzy się rozsypie sama Warszawa.

Ale znów męstwo Polaków przeraziło ich niespodziewanie. Artylerja nasza pierwsza stawiła im opór, prażąc ich granatami i tłukąc ich szwadrony na czerepy, jak kruche naczynia. Skrzynecki ze swich armat jeszcze poprawił i stanął fiontem ku Pradze. A wtedy nasi ułani wykonali tę sławną szarżę szaloną, której pamięć na wieki pozostanie w historii, bo o jej lance rozbiły się, jak bańka mydlana, najcięższe pułki pancерnej kawalerji rosyjskiej. Krzyżackiej postaci, w białe płaszcze ubrani, kirasjery Albrechta, którzy z dzikim uśmiechem na swoich pijanych twarzach rozpuścili zagony, aby taj nocy pohulać w polskiej stolicy, przeciągali istotnie wieczorem przez ulice Warszawy, lecz jako jeńcy, p. owadzeni przez polskich żołnierzy.

Po tej haaiebnej klęsce kawalerji moskiewskiej już &ię zmierzchać zaczęło. Pogodne niebo zaciągnęło się śnieżni mi chmarami, puściła się zimnym wia'rem pędzona szaruga. Armja rosyjska zahgła polo walki i rozłożyła się na polach Grochowskich; Dybicz ze sztabem stanął w tym samym dwerku na pół rozebrany gdzie jeszcze dziś rano miał swoją kwaterę Chłopicki. Nic ciemna zapadła, żadna ze stron wojujących nie miała zamiaru chwycić za broń jeczczte tej nocy. I z tej i z owej strony znaleźli się ladzie niezłamanej energii i szalonej odwagi, którzy doradzali nocny napad na przeciwnika: ale obustronne rady wojenne odrzuciły te plany ze względu na wycieńczone do najwyższego stopnia siły fizyczne żołnierzy. Armja polska otrzymała rozkaz cofnięcia się do Warszawy.

Śród ciemnej nocy ciągnęły nasze pułki jeden za drugim w mury stolicy. Radziwiłł zo swoim sztabem stanął przy szanou przedmostowym na Pradze, postanowiwszy tam wytrwać, aż póki ostatni żołnierz nie przejdzie.

Osiwiały ten żołnierz nie miał zdolności na wodza, ale w poświęceniu siebie samego nikt go nie zdołał prześcignąć. Przy nim po jednej stronie i drugiej stali rak'etnicy z fakłami, inni powyłazili na parkany i b amy i stamtąd przyświecali sztabowi. Około niego gromadzili aię niektórzy jenerałowie i pułkownicy, oddawszy komendę swoim podwładnym : bo chcieli widzieć własnymi oczyma, co się jeszcze po tej morderczej bitnie z naszej walecznej armji zostało. Tak stanęli także opodal od niego przy trakcie Borch i Wisłocki.

Obydwa siedzieli na koniach, ale obydwu byli prawie niepodobni do siebie.

Wisłocki był ranny w lewe udo i lewe raare: udo przeszył mu Moskał bagnetem powyżej kolana, ramię prze- ażyła mu kula, wydarłszy kawał ciała i szmat z jego munduru. Zawiązał je jakkol wek kawałkiem swej chustki; chwilami ból go porywał tak dojmujący, że zęby musiał zaciskać, ale mimo to trzymał się silnie na koniu.

Borch miał na sobie ran ilość niepoliconą: pozawią- zywał co większe szmatami podszewki, oddartej od swego munduru, inne zostawił ich własnemu losowi. Zdaje się, że rany także mu dokuczały, bo był blady jak śeiana, oczy miał mocno podbite i chwilami ciężko oddychał; ale wszystkie swe siły wyteżył, aby się bolowi nie poddać i tak aiedsiał na koniu jak gdyby stał w pierwszym szeregu szwadronu.

Obydwa przypatrywali się przeciągającym butaljo- nom, z których te i owe były niezmiernie przetrzebione, inne zaś prawie w zupełnym komplecU. Chcieli widzieć naooźnie, co aię z ich pułku zostało, którego komendę Wisłocki, kiedy już sam nie mógł się utrzymać na nogach, oddał Giedrojciowi.

Nareszcie nadciągał pułk czwarty. Na jego ozele Bogusławski na białym koniu, może także trochę zmęczony, ale zdrów i nie pokazywał po sobie zmęczenia. Owszem, miał twarz rozpromienioną, jak gdyby z sutej powracał biesiady. Kiedy Wisłockiego obaczył, znów lewe oko przy

mrużył. jak gdyby ma chciał powiedzieć: Otośmy aię „wy- kropili!” Wisłooki zawołał do niego:

— B gusławski! wci tam resztki mojego palka w twoją opiekę I  
Bogusławski zaów mrugnął okiem i dalej pociągnął.

Ale pułk jego straoił w tej bitwie do siedmiolet ladzii a przeto zmalął do niepoznania. Pierwszy bataljoo jeszcze j akokolwiek wyglądał, drugi jut znacznie był słabszy, trzeci jeszcze słabszy, a czwarty liczył zaledwie sto ludzi. Ten zap" wne pierwszy uuerzał, a ostatni schodził z pola.

Na czele tego bataljonu, z karabinem na ramieniu szedł oficer: młody blondyn z niebieskimi oczyma, słusznego wzrostu, z szeroką piersią — cle strach było spojrzeć ca niego. Albowiem obcisły mundur cały na nim potrzaskał, tak, te szmaty około nkgó wisiały; było mu widać pierś nagą bez halsztuka na sljytłokcie nagie, kolana nagie, nawet buty miał popękane i palce z nich wyłaziły. Zgoła wyglądał tak, jak gdyby nie wyszedł z bitwy, lecz z bójkii zaciekłej i krwawej, gdzie się bito pięściami i pazurami. Był on zapewne także zmęczony, może nawet więcej, jtk inni, ale jak pułkownika i Borchba obaczył, uśmiechnął się wesoło zawołał mocnym głosem na swoich żołnierzy : Prezentuj broń! — i sam prezentując swym karabinem, a pat ząc ostro na pułkownika, przemaszerował przed nim krokiem wojskowym i pewnym, jak gdyby na Siakim placu, te ziemia trzęsła się pod ntc.

Był to Dziaduski.

Pułkownik, obaczywszy go ziała, w głos się roześmiał i krzyknął:

— Brawo Dziaduski I

Borch takte krzyknął: brawo I i nie spuścił go z oka. pułkownik zaś rzekł:

— Niechte go piorun trzaśnie I oto się „wyczerkiesił !| Gdybym mógł, to-bym go pocałował. Niech tam kto mówi co chce, krew wszędzie ma swoje prawa — a ja dodam: przywileje, których jej nikt nie odbierze.

Zaraz za Dzinduskim - nadciągnął Giedrojć na czele re ztek pułku dwudziestego czwartego. Pułkownik mocno oko wyteżył. Giedrojć, jak się zdawało, całkiem nietknięty, szedł napród z kiwającym się nosem i pałaszem w prawicy, a za nim wszystkiego około czterechset ludzi. Pułkownik swoim okiem sokołem dostrzegł zaraz obydwóch Mroczków, także nietkniętych, ale nie mógł dopatrzeć ani Milka, ani księdza Anioła. Bardzo żywo go to dotknęło; aie Borch prawie był przerażony i żalonym głosem zawołał :

— Nie ma ich 1 obydwu zginęli I

O Czubatym pałkownik i Borch jnz się dowiedzieli w Olszynie, te się gdzieś zawierusz) ł. Pułkownik krzyknął na Giedrojcia:

— A Milek i ksiądz ? czy zginęli ?

— A kto ich tam moie wiedzieć I — odpowiedział Giedrojć — do bębna się nie stawili, trudno mi było szu- kać ich między trupami. Jeieli ranni, to ich ambulanse przywiozą.

— Bądi te łaskaw, mój Gidrojć, odprowadź, albo zresztą odeszlij naszych ludzi do Sapietyńskich koszar, gdzie stoi pułk czwarty, tam Bogusławski ich ze swoimi pomieści, bo ja się ruszyć nio m g . Moie jutro się oba- czymy.

Giedrojć odszedł — a Borch rzekł do pułkownika:

— Łzy stają mi w oczach, bardzo bolesną ponieśliśmy stratę!

— Milek koniecznie chciał zginąć — odpowiedział pułkownik — trndnoi co na to poradzić. A księdza Anioła obligowałem po kilka razy, ateby nie szedł, bo wojna to nie księia rt bota, ale się uparł, mówiąc, ie ten obowiązek wkłada nań naBza fundacja. Zał mi go. JeBtem pewny, ie zginął, bo jako na katolickiego księdza, pewnie się kilku od razu na niego rzuciło. Ale i na to nic masz ratunku...



Tymczasem ich pułk jeszcze wciąż przeciągał przed nimi; musiał iść bardzo pomału, bo powyżej zrobił się ścisk od wozów z rannymi, które prawą stroną uli<sup>^</sup>y naprzód się

pchały. Nareszcie przeszedł, lecz Da jego końcu jeszcze jednego znajomego spostrzegli. Był to Pliszka.

Prowadził on trzy wozy i dwóch jeńców huzarów. Pułkownik zawołał na niego, Pliszka wcale nie gorzej wy. glądał od Dziaduskiego I na nim tak.e kubrak potrzaskał, twarz miał podrapaną i na jedną nogą utykał, ale był uśmiechnięty i rozradowany, jak gdyby powracał z wesela. Pałkownik go wilział po kilka razy śród bitwy w przelocie, jsk się za Moskalami uwijał na tyłach oddziału i tłukł icb, gdzie którego mógł dopaść. Bardzo był uradowany, ie go zdrowego obaczył i rzekł do niego:

— Cóż Pliszka? — teraz jui będziesz wiedział, co wojna. A duioś tam natłukł Moskali?

— Oh 1 Jaśnie Panie 1 — zawołał śmiejąc się Pliszka— nieraz jui i ręce mi omdlewały. Alem nie ustał, bo to nie zaraz aię zdarzy sposobność, tak ludzi mordować, a nie pójść za to do kryminału.

Pułkownik na to się rozśmiał i rzekł:

— Idźcie, mój Pliszka, z naszymi do koszar, a jutro prryjdi do mnie, bo podobno jui dosyć wojny dla ciebie.

Pliszka, pokłoniwszy się, odszedł, a Borch rzekł w zamyśleniu:

— I ta krew takie ma swoje prawa, chnciai nigdy przywilejów nie miała..

Wisłocki spojrział znaczącym wzrokiem na niego, ale nic mu nie odpowiedział, tylko rzekł:

— Jedźmy, już tu nie mamy co robić.

To mówiąc, ruszył natychmiast i pociągnął Borchą za sobą.

Za małą chwilę zajechali przed pałac pa Bednarskiej ulicy i stanęli przed bramą. Ale pułkownik nie mógł zsiąść z konia. Borch się przestraszył, zawołał ludzi, za ich pomocą zsadził go wolno z kulbaki, posadził w fotel i kazał go wynieść na pierwsze piętro.

Pałkownik kilkakroć stę- knął, widocznie ból jego teras się znacznie powi k-zył. Dlatego Borch odprowadził go tylko do pierwszego ustępu schodów i saras nasad wrócił do sieni, ażeby posłać po lekarsy.

Lecs, zaledwie odźwiernego wyprawił, nakazując mu, aby się spieszył, kiedy Guła mu stanął na drodze i ścisnął go za kolana.

Borcb, obaczywszy Gułę przed sobą, sbladł jak trup i serce mu mocno zakołatało, jak gdyby nim wstrząsło jakieś złowrogie przecucie. On Gałę jeszcze z początkiem października odesłał do ojca, bo go nie potrzebował w Leśniowej; wybierając się do powrtania, wyprawił gońca do ojca, donosząc mu, w jaki sposób\_ wszystkie interesa załatwił w Leśniowej, w Krakowie i w Wiedniu: wszystko więc było w jaknajwiększym porządku; МОСÓŽ Gała tutaj przyjechał ?

— Gułał co ty tu robisz? — zawołał pod naciskiem tego wrażenia — ty m" jakieś złe wiadomości przywosias?

— Jaśnie Fanie Ini.idobre nowiny... — odpowiedział Gałł głosem, zdławionym łzami, jaki może jeszcze dotychczas nigdy nie wyszedł z jego wesołej gardzieli.

— Cóż się t'm stało? mów prędko — zawołał Borch — może mój ojciec nie żyje ?

— Żyje, Jaśnie Panie, i zdrów jest — odpowiedział Gała z pospiechem, lecz dodał zaraz: — ale Moskale go na Sybir wygnali.

— Jakto I mojego ojca! za cóż?— zawołał Borch, opierając się o ścianę, bo się nogi pod nim zachwiały — mów, jak się to stało!

Natenczas Guła z gł;bi piersi oietehnął i tak opowiadał :

— Jeszcze to nie sam Sybir, ale jaż nie daleko. Jak tylko ludzie zaczęli powiadać, że Polszczą powstała, przyjechał do nas feldjegier, zajechał przed pałac, poszedł sam do pokojów i położył gratowi papier na stole. Zabawił nie dłażej, jak dwa pacierze i bez popcsa odjechał. Myśmy sobie zaraz mówili, że gafowi coś yłego się stało, bo feld- jegry nie jeżd'ą

z dobrymi wieściami. Za drugie dwa pacierze graf kazał mnie zawołać do siebie, zaprowadził

mnie do ostatniego pokoja, położył mi rękę na ranienia i powiedział te słowa: — Car każe mi jechać do Moskwy i tam czas jaki zamieszkać. Ale car mnie nie wierzy, to i ja jemu nie wierzę. Tam mi się może stać jeszcze co gorszego — a mój syn tface się o tem nie dowie. Ty, Gała, pojedziesz ze mną. a łodzi z rzeczami za nami wyprawisz. Wyjedziemy jeszcze dziś perekładną, bo taki jest ukaz. — I zaraześmy wyjechali i tylko dwa razy nocowali na drodze, nimeśmy d (jechali do Moskwy, bo tak car kazał". W Moskwie jenerałowie grafa debrze przyjęli, bawiliśmy tam jaki tydzień, kozacy przyjechali z rzeczami — i priiri już myślał, ie na tem się skt ńozy. Ale jednego dnia gubernator sam przyszedł do niego, bardzo się n id nim żałował, ie aż się popłakali, -ale dał nam ukaz, abyśmy do Eostromy jechali. Tak musieliśmy jechać. W Eostromie graf kazał mi zoitać dni kilka, bo musiałem mu nająć dworek i służbę urządzić, a dobrze się ludziom przypa trzyć, czy można im nfać. Pan a'ę tam dobrze umieść I i ma wszystko, co trzeba, bo Eostroma to miasto, za pieniądze wszystkiego dostanie. Etn inny możeby się tam przyzwyczał, chociaż zimno tam wielkie, ale graf bardzo był smutny i kilka razy mi mó 'ił: — Ja jui przepadłem, mnie o sobie nie myśleć, jeno o syna mi chodzi. Gdybym choć wiedział, eo się z nim stanie I

Tu Borchowi łzy puściły się z oczu i Guła takie się spłakał. Po chwili zaś tak mówł dalej:

— Aż jednego dnia graf położył mi zno vu rękę na ramieniu i powiedz'al te słowa: — Słuchaj Guła, spać nie mogę po nocach, wciąż mojego syna mam przed oczyma. Jedi ty chyba do domu, a jedź ns dzień i n:c. A jak przyjedziesz, dzień sobie odpoernij i jedź do Warszawy. Jeśli tam mego syna nie zastaniesz, to tam się o niego dopytasz. Dotrzyj do niego koniecznie, jui to w tem twoja głowa, jak to potrafisz — a jak go obaczysz, opowiedz jemn, coś widział i oddaj ma ten list, który ci daję. A potem wracaj do doma i pilnaj mi gospodarstwa Jakbyś sobie w czem nie dał rady, to się poradź Netreby. A dalej co rok do mnie przyjeżdżaj i przywoź mi, co tam z gospodarstwa uzbierasz. A kiedyby mnie jeszcze dalej wygnali, to przyjeżdżaj choć raz na dwa lata...

Więc ja się panu rzuoilem do nóg i przysiągłem ma, te się na mnie moje Bpuścić, jak na siebie samego — a choćby go na kraj świata zawieźli, to przyjadę do niego co roku.

To rzekłszy, oddał list młodemu Borchowi. Boroh, z twarzą łzami zalaną, był prawie bezprzy- tomnym w tej chwili. Widok lista go zbudził. Wziął go machinalnie do ręki, ścisnął pięść i rzekł do siebie : — Daj Panie Boże im to odplacić I I z tem Gułę odprawił, aby się w pałacu pomieścił i po podróży wypoczął.

W tej chwili lekarz pokazał się w bramie. Borch zaprowadził go do Wisłockiego, ażeby jego pierwej opatrzył i prosił go, aby potem przyszedł d o niego. Opatrywanie Wisłockiego trwało całą godzinę, poczem lekarz poszedł do Borchy, ale zastał go jai w silnej gorączce. Z jednej strony nieopatrzone rany się zajątrzyły, a z drugiej żal i rozpacz za ojcem zakrwawiły mu serce. Lskarz zabawił u niego przeszło dwie godziny, bo ohociai jego rany były lekkie, jednak było ich kilkanaście. Ułożywszy go w łóżku, wyszedł dopiero około północy.

O północy jaż cała armja polska, z wyjątkiem załogi w szańcach i placówek przed szańcami, przyciągnęła de miasta. Warszawa w jednej części się zamieniła na gospodę, a w drogiej na szpital. Wszyscy mieszkańcy otworzyli Bwe domy dla zmęczonych, zgłodniałych i rannych. Jeszcze do drugiej godziny rano widać było rach na ulicach; odbywała się rada wojenna, rząd narodowy odprawiał sesje, apteki były otwarte i rozmaite postacie snały się jeszcze po mieście. Dopiero po drogiej cisza zapełna zaległa wszystkie ulice.

Okolo trzeciej godziny nad ranem, śród nocy ciemnej, choć oko wykol, przy słabym blaska bardzo jai rzadkich, a dogasających latarni, zbliżył się jakiś ozło- Wul ojcowi\*. 28

wiek, niewielki wzrostem, a do tego jeszcze moono zgarbiony i kulejący na obydwie nogi, do Borchowskiego pałacu na Bednarskiej ulicy.

Była to postać niewątpliwie ludzka, ale ani jaj twarzy, ani ubrania nie można było rozeznąć: był on bowiem wytarzanemi w zakrwawionem błocie łachmanami okryty, a twarz i głową miał opuchnięte i obwiązane szmatami.

Obejrzawszy się raz jeszcze na pałac, aby się przekonać, że drogi nie zmylił, zapukał mocno do bramy. Zapukał raz, drugi i trzeci, a dopiero za czwartym odźwierny z latarnią w rękę, otworzył bramę; lecz kiedy ujrzał takie straszdyło, cofnął się z przerażeniem i chciał już bramę zatrzasać. Ale człowiek ten oparł się o otwarte skrzydło bramy i rzekł do odźwiernego głosem ochrypłym:

— Ja jestem brat cioteczny hrabiego Bsrcha, wracam z pola bitwy, proszę mi dać schronienie.

Zaspany odźwierny nie wiedział zrazu, co robić, albowiem nie znał tego człowieka i nie mógł sobie przypomnieć, ażeby kiedykolwiek go widział. Ale zważywszy, że ten człowiek jest tak podruzgotany, iż nie może być niebezpiecznym, zaprowadził go do jednej z dużych komnat w przysieniah, w której było łóżko jeszcze nie za\* jęte, i tu go zostawił. Za chwilę wrócił, przyniósł ze sobą dzban wody i świecę woskową i chciał się spytać, czem jeszcze może mu służyć: ale przychodzić już leżał nieroz- zebiany na łóżku i spał, jak zabity.

Tym niepoznanym przychodniem był Milek.

Obaczmy, co się z nim działo od owej chwili, kiedy jego bataljon został przez huzarów rozbity.

W bitwie około Olszyny doznał on bardzo srogiego losu. Przyprowdziwszy odziedziczony po Czubatym bataljon pod Olszynę, musiał natychmiast iść w ogień. Pułkownik sam zjawił się przed jego frontem i kazał mu na oderwanych parę kompanij moskiewskiej piechoty z bagnetem w rękę uderzyć. Milek ślicznie uderzył. Stary Mroczek w pierwszym, a Pliszka w ostatnim szeregu utrzymali doskonale spójność żołnierzy i rozbili Moskali. Ale

natenczas zaczęta się bójka w rozsypce — a wtedy Milek nie miał tej przytomności umysłu, której do takiej bójki koniecznie potrzeba i otrzymał kilka uderzeń w głowę, w ramiona i w nogi. Później po kilka razy zbierał swoich żołnierzy i na nowo uderzał, ale za każdym razem po uderzeniu nie umiał sam ani atakować, ani bronić. Szczęściem, że i Mroczek i Pliszka mieli go ciągle na oku i zawsze go bronili, inaczej byłby był siedm razy zabity: tak się skończyło tylko na guzach. Ale te guzy były fatalne. Kiedy po bitwie nakazano odwrót, Milek już się tylko swą silną wolą, a raczej może tylko swem wielkiem sercem trzymał na nogach. A kiedy po szarzy kawalerji rosyjskiej jeden z kirysjerskich szwadronów rozbił jego bataljon i aż pod Targówek odrzucił, Milek upadł pod końskie kopyta, stracił przytomność i już się z miejsca nie ruszył.

Upadł na sam brzeg rowu, gdzie leżał wóz roztrzaskany, uderzył głową o spryehy, stoczył się na wiązki słomy, które z woza wypadły i tam leżał, jak martwy. Niebawem zaciął deszcz padać ze śniegiem, przeraźliwe zimno rozniosło się po powietrzu, ale on się nie zbudził. Dopiero około północy wicher się zerwał silniejszy, uderzył weń kilka razy szarugą i to mu zmysły wróciło. Ale prayto- mność wracała pomała.

Milek otworzył oczy, rozejrzał się koło siebie i najprzód obaczył trupa z wyszczerzonymi zębami, z jednym okiem otwartem, a z zakrwawioną jamą na miejscu drugiego. Trup ten leżał tak blisko niego, że swoim otwartem okiem patrzył w twarz jego.

Milek cofnął się z przerażeniem i o coś potracił: były to nogi człowieka, którego kula armatnia przerwała i tułów gdzieś odniosła daleko. Milek zdrewniał od stóp do głowy.

A w tej chwili jakieś zwierzę ogromne, stęając przeraźliwie, przegalopowało wolno około niego: był to koń kary kirysjerski, jeszcze osiodłany, ale bez jeźdźca, któremu kartacz jedną nogę oderwał i który na trzech nogach się błąkał po polach, błagając jękiem, aby go kto dobił z lito-

śoi. Miłkowi włosy stanęły na głowie, a zarazem serce ma się ścisnęło na widok niewinnego zwierzęcia, które takie piekielne męki cierpi za ładzi.

O kilkanaście kroków dalej leżało kilka trapów, nastroszonych jak snopy jedni na drogich, a przedstawiających tylko masę bezkształtną, której widok był przerażającym. Albowiem ani jeden trop nie był cały: ta leżał tołów rozdarty bez głowy, tam głowa oderwana z kawałkiem ramienia, gdzieindziej noga lub ręka oddarta od ciała— a wszystko to obryzgane czerwonym błotem, które gdzieindziej pod deszczem z nagiego ciała spływało. Totaj zapewne wśród bitwy padł granat i kilkunastu ludzi swojemi czerepami rostargał. Nad tą zaś masą jakieś czarne cienie się poruszały, sprawiając szelest i odzywając się ochryple- mi głosami: były to kroki, które odprowadzały nocną biesiadę, goszcząo aię kawałami lodzkiego mięsa i pijąc krew jeszoze ciepłą, za zdrowie rycerzy...

Milek całkiem otrzeźwiał.

Lecz chociaż to był widok okropny, zaciął się z nim pomało oswajając. Umarli nie wstają z martwych i nie zrobią mu przecież nic złego. Siedząc na snopie, naprzód siebie obmacał i spostrzegł, że nie miał na sobie" żadnej rany otwartej, tylko niektóre członki spochnięte, które go bardzo bolały. Ale nie wiedział, gdzie jest, zaczął się więc pomało rozglądać około siebie.

Noc była czarna jak otchłań i na dal nic nie można było obaozyć. Zdawało mu się, że na zachodnim kresie widokrego niebo było cokolwiek jaśniejsze i jakoby tam jakieś zamglone światełka migaly: zaczął przypuszczać, że może tam leży Warszawa, może to światła uliczne się odbijają na chmurach... lecz mogą to być także światła jakiegoś obozu. Sam nie wiedział, co ma o tem rozumieć. Wtedy przyszło mu na myśl pytanie: jakim sposobem się dzieje, że on wśród nocy tak czarnej przecież tak dobrze rozróżnia bliższe przedmioty ? Natenczas stanął na nogach i obejrzał się w stronę przeciwną: lecz wtedy skamieniał cały, a mróz lodowaty, jak kola ołowiana, przebiegł ma przez cały krzyż pacierzowy.

O dziesięć kroków od niego, zaraz na drogim brzego stratowanego rowo, w którym leżał wóz przewrócony, stało kilka drzew wśród krzewin bezlistnych, a więc przezroczystych, był to zapewne kłęb jakiegoś ogrodo; za temi drzewami dogorywało nałożone ognisko, które jeszcze dość żywe światło rozrzocało dokoła — a około tego ogniska leżało i siedziało kilkanasto żołnierzy. Milek wyteżył wzrok przerażony i poznał: była to moskiewska placówka — żołnierze gwardji wołyńskiej, może tego samego pułku, w którym niedawno sam służył.

Natenczas oddech mu się zapał w piersi i nogi zaczęły drzeć pod nim; chciał patrzeć, lecz nic już nie widział, w oczach mu się zaćmiło: kiedy wtem coś silną ręką, jak gdyby łapa lwa, lub tygrysa, chwyciło go za lewe ramię. W tej chwili Milek byłby pewnie się zsunął na ziemię — bo przytomność znowu go opuściła — ale wtem druga łapa chwyciła go za drugie ramię, czuł się, jak gdyby niesionym w powietrzu — a za okamgnienie stanął znowu na nogach, otworzył oczy i znalazł się pośród placówki, otoczony żołnierzami dokoła.

Jeden z żołnierzy rzucił garść słomy i kilka polan na ognisko, płomień buchnął na nowo, olśnił go zrazu, ale mu wrócił przytomność.

Trzymający go za ramiona żołnierze odskoczyli od niego, a jeden z nich kreyknął:  
— Co to za cudo?!

Wtedy inni także się odsunęli, niektórzy z nich żegnając się krzyżem i mrując sobie coś pod nosem, bo zapewne myśleli, że to sam nieczysty, który chodzi po poboj jowisku, aby grzeszne dusze pozbierać.

Ale na kłodzie siedział podoficer, człek wysoki i chudy, z kłęczystemi wąsami, lecz twarzą łagodną; ten nie bał się djabłów, wstał, stanął przed Miłkiem i zapytał go:

— Kto wy?

Milek nieszczęśliwie miał nerwy, ale duch w nim był

silny, a w danych chwilach i głowa obrotna; spostrzegł więc zaraz, że wszystko tutaj zależy od przytomności umysłu i od znalezienia w ten moment tego słowa, które-by go choć na chwilę zdołało obronić. Otóż wiedząc o sobie, iż mówił tak doskonale po rosyjsku, że żaden Moskal nie może go wziąć za cudzoziemca, uciekł się do kłamstwa i rzekł:

— Ja orjynans pułkownika gwardji litewskiej, pułkownik mnie posłał do Warszawy, bo tam zostawił żonę i dzieci, ja chciałem się przekraść, ale mnie szwadron kirysjerów przejechał i otl jak mnie roztratował.

Żołnierze patrzali na niego przez chwilę, przypatrując się mundurowi, ale jego mundur już dawno nie miał żadnej barwy na sobie. Na szczęście nie miał żółtych rabatów, któreby przecież można było rozpoznać — i to go wyratowało. Jeden z żołnierzy zapytał go: jak się nazywa pułkownik? — ale podoficer, który stał przed nim i dobrze mu się przypatrywał, poderwał prędko i zawołał:

— Dajcie mu wódki, niech się trochę ożywi

Milek pociągnął z manierki i głęboko odetchnął, gorzałka rzeczywiście go ożywiła, chciał dziękować, ale podoficer wziął go za ramię i rzekł:

— No, to kiedy ty ordynanB pułkownika, to ja ciebie sam odprowadzę do drugiej placówki, tamta cię poszle do trzeciej i tak dojdiesz do pułkownika.

I zaraz z nim odszedł. Milek już teraz był pewnym, że się dostanie do niewoli i co najmniej pójdzie na Sybir. Ale kiedy uszli z jakie trzydzieści kroków, podoficer się zatrzymał i rzekł do niego głosem żałośnym:

— Ej kniaziu! kniaziu! na próżno wy się zadajecie przedemną, jabym was poznał i w piekle...

Milka znów mrowie przeszło od stóp do głowy: ale pomyślał sobie w ten moment, że na tem już nic nie zależy, bo Moskale na koniec go zawsze poznają. Chodziło mu tylko o to, aby go nie turbowano i sięgając do kieszonki, w której miał kilkanaście dukatów, rzekł do podofioera:

— Ot, taki ja kniaź, jak wy. Nie mam ja skarbów przy sobie, ale dałbym wam kilka czerwi eńców, żebyście mi dobrze drogę wskazali, a potem już ja sam trafię.

Ale podoficer znowu powtórzył:

— Ej, kniaziu! kniaziu I to wy mnie nie poznajecie. Bóg-by mnie skarał, gdybym ja dzieńgi brał od was. Wy mnie z wielkiego wyratowali nieszczęścia, ale wy już zapomnieli.

Milek spojrział na niego, a podoficer tak mówił dalej:

— Jak wy przyszli do „diepo" do Dubna. na oficera do gwardji, to wy mnie znali, bo ja wam konie kupował. Tak ja zawarował kapitanowi sto rubli, bo żona mi umierała, a ja nie miał jej za co kupić lekarstwa i chleba dla dzieci. To jabym był dostał tysiąc pałek i poszedł na całe życie do rot aresztanckich. Tak ja się przed wami rozplakał, a wy mnie dali sto rubli. Wy poszli prosić za mną do kapitana — i dali jemu drugie sto rubli. Tak ja wam tego nigdy nie zapomniał — a teraz wam to nagrodzę. Gdybyście wy się w plon do nas dostali, to byłaby wam wielka bieda. Bo ja wiem, że wy Polak i pewnie teraz z Polakami trzymacie. Ale ja was przeprowadzę aż po za ostatnie placówki — a wy już stamtąd traficie do swoich.

Ludzie wrażliwi łatwo upadają na duchu, ale jeszcze prędzej Bie podnoBzą. Milek jnz całkiem swobodnie ode- ■ tchnął. Nie mógł on sobie wcale przypomnieć, że temu podoficerowi dał kiedy sto rubli, ale nie było w tem nic dziwnego, on bowiem tak często rozrzucał pieniądze pomiędzy nieszczęśliwych, a byli pomiędzy nimi i ludzie, wyżsi rangą od kapitanów, że trudno mu było ieh wszystkich spamiętać. Cóżkolwiekbaż, jeden z jego dobrych uczynków przyniósł mu teraz pożyteczne owoce. To jego ducha jeszcze wyżej podniosło — a wtenczas przyszła mu myśl, szczęśliwa, albo może nieszczęśliwa, ale bardzo uczeiwa. Przypomniał sobie Czubatego. Ten był z pewnością w niewoli. Eto wie? Ten poczciwy podoficer może go potrafi uwolnić, dopomagając mu do ucieczki, albo może jakim



innym sposobem. Gwar dja wołyńska jest dziś na placówkach, .ale jutro będzie

niewątpliwie przy w. księciu, bo to jego gwardja. Wielki książę bardzo żywo się zajmuje jeńcami, o tem jät wiadano w Warszawie, bo kilka z nich kazał wypuścić, którzy się dostali w niewolę pod Wawrem. Milek tedy opisał jaknajdokładniej Czubatego podoficerowi, a chcąc go tem- bardziej do tego przedsięwzięcia zachęcić, dodał, kładąc rękę na jego ramienia:

— Słuchaj, panie podoficer! Ty powinién je go koniecznie uwolnić. On wasz, on ruski, on prawosławny, on służył w wojsku rosyjskiem — a ma żonę i dzieci. Ty je go łatwo odszaksz pomiędzy jeńcami, bo ich tam pewnie macie niewielu. Pozdrów je go odemnie — a potem patrz, jakbyś je go uwolnił. Ty mądry człowiek. Może potrafisz tak pokierować, ażeby tobie oddano straż nad jeńcami, bo ty już stary i nie bardzo zdatny do wojny. Jeszcze będzie dużo bitew pomiędzy nami, jeszcze wy nieraz takie ciężki weźmiecie, że nie będziecie wiedzieć, jaka was matka rodziła — a nie dopiero o więźniach pamiętać. Jak taki popłoch się zrobi, to ty je go uwolnisz. A tutaj masz, smaruj dobrze, gdzie trzeba, może ci i inni pomogą.

To mówiąc, wysypał mu wszystkie dukaty na rękę, jakie miał w kieszonce przy sobie. Podoficer mocno się zasmował, myślał długo, dukaty echował, a potem rzekł:

— Jak on prawosławny, to może ja jemu pomogę.

Poczem szli dalej. Niebawem wyszli w czyste pole, placówek jui tam nie było, podoficer tedy Milka pożegnał, pocałował go w rękę i dodał uwagę, ażeby się dobrze oglądał, bo może się jeszcze dalej snują jakie patrole. Milek szedł po omacku, dążąc prosto ku szancom, gdzie było widać światła. Było to jeszcze daleko, a droga fatalna. Co chwila grzązł w bocie powyżej kolan, gdzieindziej utykał na trupach ludzkich i końskich, a często musiał przysiąść i oddech zamykać w piersi, jak tylko szelest jaki usłyszał. Szedł prawie dwie godziny, nim się dobił do mostu. Niejednokrotnie opuszczały go siły — ale się dobił nareszcie i padł jak nieżywy na łóżko w Borchowskim pałacu.

Nazajutrz rano pułkownik się zbudził dopiero około godziny dziesiątej. W nocy miał trochę gorączki, ale ta nad ranem minęła. Lekarz mu rany opatrzył i to mu wielką ulgę przyniosło. Jeszcze i w łóżku nie mógł się ruszać bez bólu, ale głowę miał całkiem swobodną i rozmowa wcale go nie męczyła.

Okolo godziny drugiej z południa już o wszystkim wiedział, co go mogło zajmować. Wiedział już, że Borch leżał w silnej gorączce i mówi czasem od rzeczy. Lekarz zapewniał go, że jest to gorączka nerwowa, która może potrwać parę tygodni, — ale nie umiał sobie wytłumaczyć jej przyczyny, bo z ran z pewnością nie pochodziła. Wszakże pułkownik już odgadł tę przyczynę, bo widział Gułę, który mu opowiedział, jak i kiedy starego Borchę wygnano do Kostromy.

Wiedział także, że Milek się znalazł, ale Milek spał wciąż jak zabity i nie zbudził się aż dnia następnego.

Widział nareszcie Pliszkę, który mu opowiadał szczegółowo, jak się bił z Moskalami.

Był on w złotym humorze, ale się niebawem mocno zasmucił, bo pułkownik mu zapowiedział, że go za parę dni wyprawi do Wisłoka z listami.

Stary Mroczek przyszedł także i opowiedział pułkownikowi jak najdokładniej, jak się to stało, że Czuby zniknął z placu boju pomiędzy Olszyną a kolonją Maziasa. Pułkownik się tem bardzo zasmucił i rzekł do Mrocza:

— Zaraz jutro napiszę do Skrzyneckiego, aby go przy wymianie jeńców nie zapomniano. Na teraz jest to jedyny ratunek dla niego.

Potem go pytał, ilu ludzi z je go pułku zostało i w jakim są stanie? Mroczek pokiwał głową i rzekł:

— Ludzi jest pięćset, jeszcze się coś między rannymi edszuka; bili się dobrze, jak na młodego żołnierza; możnaby z tego coś zrobić: ale pułk trzebaby teraz na nowo formować, bo już ci to ledwo bataljon. Do tego i oficerów nie mamy: prócz księcia Giedrojcia i pana Milka, tylko się jeden został. Reszta wszyscy zginęli, bo to młodzi panice,



to się to naprzód pchało na oślepa, a rzadko który z nich miał karabinem narabiać, jak trzeba. Jaśnie pan chory i bez mała moie na kilka tygodni; nie wiem ja, coby tu począć z tymi ludźmi. Pułkownik Bogusławski ich widział i młaskał ustami, a potem podobno powiedział księciu: — Tych ludzi trzeba wcielić do mego pułku, Wisłocki ranny, nowego pułku nie uformuje — a tak ci ludzie dostaną ię do jakiej rezerwy, gdzie się niczego nie będą mogli nauczyć. U mnie służba ciężka, bo tam chcą w sztabie/ abym ja sam wybił Pelskę z niewoli; ale też za to u mnie jest dobra szkoła. • ' V

— A ty co na to? — zapytał pułkownik.

— Ja? — rzecze Mroozek, — ja sobie mówię: Jeślibym nie miał służyć pod pułkownikiem, to jużbym najlepiej wołał pod Bogusławskim.

— Przyjdź-że jutro do mnie, — odpowiedział mu Wisłocki, — coś my tu uradzimy.

Około godziny czwartej przyszedł Oiedroję, zdrów jak ryba,\* ale w nieszczęśliwym humorze. Przedewszystkiem obejrzał rany Wisłockiego, bj znał się na tem lepiej, jak felczer i rzekł:

— Ta, co na ramieniu, to furda, ale na tę drugą zesześ tygodni poleżysz, bo choć się zagoi, to nie będziesz mógł dobrze stąpać na tę nogę. Miałem ja taką samą, do trzech miesięcy kuUłeni i dla tego o 1 piechoty przeszedłem do kawalerji.

Poczem rozmawiali o bitwie wczorajszej, Oiedroję sljj rozgadał i tak mówił:

— Nie jestem ja kontent z tej bitwy. Taka to i ta służba w piechocie! Człowiek się bije cały dzień, jak gdyby drwa rąbał; choćby chciał, trudno mu się odznaczyć, bo ginie w masie i nikt go nie widzi; a jak zwycięży, to potem się za to pokłonią pułkownikowi. Odybym miał jaki konny oddziałek i poszedł na własną rękę, tobym całkiem inne oddał usługi i znanoby mnie .v całej armji, a przedewszystkiem znalazłoby mnie Moskale. Znalazłem jit tu kilka przyjaciół, którzy poszliby ze mną, o ochotników dzisiaj nie trudno, jeno-by koni trzeba nazbierać... A potem, nie

bardzo mi się to podoba, co się tu dzieje w Warszawie... Obrali Skrzyneckiego naczelnym wodzem: nie będzie z tej mąki chleba. Bije się dobrze, ale nie ma głowy, nie ma i serca na wodza. Kiedy Chłopicki zszedł z pola, on nie objął komendy pierwszej linji bojowej, a prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, co się działo po innych dywizjach. Opuścił Olszynę, kiedy kawalerja się puściła na Pragę, to było mądrze; ale kiedy kawalerję rozbito, powinien był zebrać wszystkie swe siły i na nowo uderzyć — a bylibyśmy w puch rozbili Moskali. Każdy żołnierz to wiedział\* a wszystkie pułki same się rwały. Nigdyby był takiego błędu nie popełnił Chłopicki. Teraz go za to wod-sem obrano. A od czegoż-to zaczął swoje dowództwo? Imię walecznego Ludwika Mycielskiego, co zginął, podał rozkazem dziennym do potomności; Zwolińskiego zdrajcą ogłosił: to bardzo dobrze, każdy mu to pochwali. Ale dlaczego nie dał w łeb Krukowieckiemu i Łubieńskiemu, że z rezerwami nie przyszli? Sam Krukowiecki miał dwanaście tysięcy bitnego żołnierza: gdyby był przyszedł, toby było więcej, jak trzeba, ażeby Moskali zetrzeć na miazgę. Ja u Hono- ratki oracji nie miewam; tym, którzy stamtąd obcą wieszają żołnierzy, sam bym łby porozbijał: ale w wojsku ma być karność i równe prawo dla wszystkich. Jeżeliby dano kulą w łeb takiemu panu generałowi, co rozkazów nie słucha, jużby potem drugiego nie było, coby sobie uszy zatykał przed trąbką. Ale to tam już protekcja się zaczyna rozsiadać w sztabie. Ba, jeszcze daleko gorzej. Bo już wieść poszła po całej Warszawie, że Skrzynecki rozpoczyna układy i do Dybicza rękę wyoiąga. Jeno mi się tak zdaje, że Dybicz ręki Skrzyneckiego nie przyjmie, bo by go car za to (osłał na Sybir — a tak rozumiem, że pan Skrzynecki, ozy ohce, czy nie chce, będzie się musiał bić do ostatniego oddechu. Jeno to zawsze jest rzecz karygodna, takie zamiary rozsiewać, bo to osłabia ducha w żołnierzach, którzy nie znają innego parolu: jeno zwyciężyć lub zginąć 1

Tem, co tu Giedrojc powiedział, określił dokładnie duoha, jaki po bitwie Grochowskiej .panował w armji.

Było wielu generałów, którzy dalsze prowadzenia wojny uważali za rzecz niemożliwą. Skrzynecki do nieb w pierwszym rzędzie należał i rzeczywiście zaproponował Dybi- czowi układy. Ale kiedy jeszcze tego samego dnia Henryk Dembiński wszedł do Warszawy na czele dwóch nowych pułków, formowanych w Krakowskiem, a liczących siedm tysięcy ludzi, to i zachwiani generałowie zmienili zdanie, zaczęli uważać dalszy bój, jako możliwy — a układy prowadzono jeszcze przez parę dni tylko dla tego, że niektórzy z nieb widzieli w tem pewną korzyść dyplomatyczną, jeżeli armja złoży dowody, że zawsze skłonna jest do układów.

Wisłocki, który cesarza Mikołaja i dwór petersburski znał lepiej od wielu innych, był zdania, że po więcej heroicznym, niżeli roztroptym akcie detronizacji wszelka myśl o układach była czytem złudzeniem; ale się nie dziwił temu, że ci, którzy sami tego aktu nie wotowali, usiłowali ciągle furtkę otwierać układom. I rządy także, zwłaszcza despotyczne, kierowane kaprysem jednego człowieka, popełniają czasami uczynki, których rozum ludzki nie mógł przewidzieć. Jednak nie mówił o tem, bo wiedział, że Giedrojc nie miał ucha dla tego rodzaju refleksyj. Natomiast zaś pragnął jego rady zasięgnąć, co począć z resztkami pułku. Wszakże Giedrojc i w tym wypadku powiedział mu swoje zdanie bez ogródki, jak zawsze.

— Co począć? - rzekł on cokolwiek zakłopotany, ale głosem stanowczym, — jużci, jeżeli tak chcesz, to ja twoich ludzi nie opuszczę. Ale jak ciebie znam, tak rozumiem, że tobie ani o ciebie, ani o mnie nie chodzi, tylko o sprawę publiczną. Trzeba więc sobie prawdę powiedzieć. To, co się z twego pułku zostało, to jest bataljon — a bataljon nie może chodzić samopas. Trzeba go wcielić do jakiego pułku — a jeżeli go wcielii', to chyba tylko do Bogusławskiego. Ale wcielić go jako bataljon, chociaż Bogusławski i na to aię zgodzi, to także niedobrze. Bo to żołnierze młodzi, muszą się jeszcze uczyć; jako osobny bataljon mogą się łatwo poszkapić — a na co ci tego? Przeciwnie zaś, rozrzucony pomiędzy starych czwarta ków, Bogusławskiemu się lepiej przydadzą i dobrze zaBłu+ą ojczyźnie.

Wisłocki na to westchnął głęboko, ale nie mógł nic przeciw temu powiedzieć. On sam przykuty do łóżka może na parę miesięcy, Borch chory, Czubaty prawdopodobnie w niewoli, trudno mu było jakiegokolwiek inne rozwiązanie tej sprawy wymyślić. Już więc tylko Giedrojcia zapytał:

— A cóż ty zrobisz z sobą w tym razie?

— Ja? — rzekł na to Giedrojc, odetchnąwszy także głęboko, bo mu wielki ciężar spadł z serca — ja sobie pójdę samopas. Znajdę ja starych generałów, którzy mnie znają od dawna i wiedzą, że moje rzemiosło to liwerunki dla armji, albo też niszczenie zapasów moskiewskich. Spodziewam się przecież, że mnie w komisji wojny wyświadczą. I co ja tam będę od tej prześwietnej komisji wymagać? Oto sto koni z ryszunkiem, nic więcej. Ani pieniędzy, ani też rangi od nich żądać nie będę. Jak mi komisja da sto koni: upadam do nóg. Listów do niej pisać nie będę: ale rozumiem, że za parę tygodni usłyszysz o mnie bez listów. Cóż sądzisz, W isłocki, czy da mi komisja sto koni?

— Bez komplementu — rzekł na to pułkownik — ale zdaje mi się, że ci je da, choćby tylko dlatego, abyś cię od niej odczepił.

— To mi tam wszystko jedno 1 — zawołał na to Gie- drojc — tylko Bóg jeden ma prawo sądzić ludzkie pobudki, ja przyjmę z wdzięcznością, co dadzą.

I zaraz wstał i dodał:

— Bądź-że zdrów I idę zaraz do komisji, bo inaczej inni konie rozdrapią. — I ścisnąwszy go za rękę, wyszedł prędkim krokiem do miasta.

Pułkownik przespał noc całą spokojnie, a następnego dnia zbudził się tak rzeźwy i wesół, iż sam sobie nie wierzył, iż jego rany go przykuwają do łóżka. Dopiero przy opatrzeniu przez lekarza przekonał się, że ani lewem ramieniem, ani lewą nogą ruszyć nie może bez bólu.

Jednak

dobry hamor go nie opuścił i jui od godziny dziesiątej przyjmował gości.

Jednym z pierwszych zjawił się Bogusławski, stary przyjaciel, aby mu podziękować za ludzi, których Wisłocki pozwolił wcielić do jego pułku. Bogusławski był-to wielki gaduła, ale nie fanfaron, tylko czasem jowialny. Dziś był kontent ze siebie, bo mu zapowiedziano, ie czeka go awans na jenerała brygady — a oprócz tego pułk jego się rzeczywiście nad wszystkie inne odznaczył, trzy razy brał bagnetem Olszynę i był zawsze na przedzie i otwierało się przed nim jeszcze daleko świetniejsze pole do zwycięstw i sławy.

— Dziękuję ci tedy raz jeszcze za twoich ludzi — rzekł on do Wisłockiego — i daję ci słowo, ie jak wyzdrowiejesz, to ci ich oddam.

— Ce gui en resłera — zawołał, śmiejąc się głośno pułkownik — ale tak mi się zdaje, ie nim wyzdrowieję, nie wielu z nich zostanie. Ale nie frasuj się o to. Ja jui drugiego pułku formować nie będę. Jui i ta formacja, choć licha, była pienięinie nad moje siły. Dość dla mnie zasługi, iem dostarczył czwartemu pułkowi pięćset ludzi i przyprowadziłem mu ich przez Olszynę. Było to jednak moim obowiązkiem, bo nie będąc na waszym etacie i mając tylko rangę francuską, nie wypadało mi przyjść do Warszawy z gołemi rękami i zabierać pułk komu innemu. Teraz, zrobiwszy, co mogłem, spodziewam się, ie jak wyzdrowieję, będę miał niejakię prawo prosić o gotową komendę.

— Proszę cię, jak przyjdzie ta chwila, nie zapomnij s o tem, ie jestem na twoje usługi — odpowiedział mu Bogusławski, lecz zaraz go ścisnął za rękę i wyszedł, bo pilno mu było jeszcze tego dnia przetrzebiony swój pułk skompletować i znowu postawić na nogi.

Ludzie Wisłockiego zostali jeszcze tego samego dn'a do czwartego pułku wcieleni, a tak się to stało, ie z dwudziestego czwartego pułku piechoty tylko numer pozostał w historii tej wojny i nie masz o nim iadnego dalszego śladu w księgach kontroli

Po Bogusławskim przyszło jeszcze kilku innych jenerałów i pułkowników do Wisłockiego, aby go odwiedzić. Skrzynecki przysłał adjutanta, zapytując o jego zdrowie i przepaszając, ie dla nawału zatrudnień sam nie mógł przyjechać. I ksiąię prezes przysłał takie urzędnika ze swego biura z kartą wizytową, na której własnoręcznie napisał te słowa: „Jesteśmy w uwielbieniu dla ciebie, żeś spadł jak orzeł z twej górskiej siedziby na nasze równiny, aby bronić ojczyzny. Dziękuję ci za odwiedziny mojej matki w Puławach. Jak zdrowie? Małachowski cię jak najprędzej odwiedzi.”

Wisłocki był nadzwyczaj uszczęśliwiony terni oznakami przyjaźni. Nasz wielki świat wówczas był bardzo czuły dla kaidej zasługi i nie zaniedbywał nigdy zachęcać swoim uznaniem tych wszystkich, którzy się odznacжали miłością ojczyzny. Te oznaki były bodźcem do dalszych poświęceń w dniach pracy, a w chwilach cierpienia osłodą.

Około południa zjawił się Milek nareszcie. Był on jui umyty, uczesany i bardzo pięknie ubrany w suknie cywilne. Był nawet w bardzo dobrym humorze, ale mimo to wcale nie osobliwie wyglądał. Jedno oko podbite na czarno, tył głowy cbrzękły, a nogi miał tak zmęczone, ie z trudnością się mógł na nich utrzymać. Przystąpił dr. wszakie do łóika chorego z uśmiechem na ustach i rzekł:

— Wybiliśmy się do syta, ale nie bardzo nam się ta pierwsza bitwa ndała. Wuj ranny, Borch leiy bez duszy, Czubyaty w niewoli, a ks. Anioł zabity. Tylko Oiedrojć i obydwaj Mroczkowie wyszli nietknięci — i przyznam się wujowi, ie nie pojmuję, jak oni to robią, żeby z takiej gęstwiny kul, pchnięć i uderzeń, wyjść cało.

— I ty się tego nauczysz — odpowiedział mu na to pułkownik, a kładąc rękę na jego głowie, dodał głosem, pełnym dobroci: — zrobiłeś, coś mógł, i mozesz być kontent ze siebie. Przeszedłeś przez pierwszy ogień i to ogień nielada, bo i ja niewiele takich zawziętych bitew pamięę



tam; teraz reszta się znajdzie. Ale dlaczego mówisz, że ks. Anioł zabity?

— Bo sam widziałem, jak npadł na ziemię i Moskale go na Bztnki rozdarli.

Pułkownik zastanowił się nad tem na chwilę, a potem rzekł:

— Wątpię ja bardzo, abyś ty co był widział w tej bitwie. Jeszcze w trzeciej i w czwartej nie będziesz wi- dział, co się dzieje około ciebie. Wszyscyśmy przez to przechodzili za młoda. Mnie się zdaje, że ty nawet nie wiesz, co z tobą samym się działo; ale powiedz, co wiesz.

Ta Milek zaczął opowiadać swoją epopeję, jak każdy młody żołnierz, z wielkim zapalem. Pułkownika to bardzo bawiło i śmiał się co chwila, bo widział, że Miłkowi wiele rzeczy się tylko zdawało, a jego bujna wyobraźnia odgrywała niemałą rolę w opowiadaniu. Z tych to powodów relacje świadków naocznych niezawsze zasługują na wiarę, a historia już nieraz przez nich została w błąd wprowadzona. Pułkownik wiedział o tem ze swoich wieloletnich doświadczeń i słuchał go tylko półuchem. W tem wszy- stkiem zresztą tylko jedna rzecz go zajmowała, o której Milek mógł istotnie coś wiedzieć, to los Czubatego. Ale na- próżno o to go rozpytywał, bo Milek padł, stratowany końmi huzarskiego szwadronu i stracił przytomność — a kiedy wstał, bataljon już był sformowany i zaraz pod Olszynę pospieszył i n kt tam nie miał czasu szukać zabitych po polu. To też powiedział do Milka:

— Czubaty zginął, albo się znajdzie między rannymi, ale się nie dostał w niewolę. To moje zdanie. Ale za parę dni się przecież coś o nim dowiemy. Powiedz-że mi, widziałeś Borcha?

— Widziałem. Leży bez duszy. I to nie z ran, tylko wiadomość o wygnaniu jego ojca tak go po babska dotknęła.

To mówiąc, uśmiechał się, a pułkownik go spytał:

— Dlaczego po babsku ?

A Milek odpowiedział z przekąsem:

— Napoleon podczas wojny nigdy nie chorował.

Pułkownik na to parsknął od śmiechu i zawołał:

— Masz tedy I Niebawem już nas wszystkich przepiszesz w rycerstwie.

Ale zaraz rozmowę odwrócił do innego przedmiotu, mówiąc:

— Słuchaj no Miłek! ponieważ jesteś najzdrowszym z nas wszystkich, dam ci robotę. Ja Pliszka jutro do dnia wyprawiam do Wisłoka. Siądź, napisz list do ciotki, opisz jej jaknajdokładniej, co się z nami stało, ale zapewnij ją, że moje rany i Boroha nie są niebezpieczne, że niebawem się wyliżemy, że nasza , sprawa dobrze stoi, a co do Czubatego i księdza Anioła, powiedz tylko tyle, że się gdzieś zawieruszyli po bitwie, ale lada chwila się odszukają. Dodaj także, coś słyszał o Wałku, bo to pani krajczynie sprawi przyjemność; napisz wreszcie słów kilka o Lipskich, bo tam Wiadomości z pola bitew pewnie łakną wszyscy, jak kania deszczu, a nie łatwo je otrzymują.

Milek poszedł do dalszych pokoi, aby się do pisania

— a w tem wszedł Małachowski.

Gustaw Małachowski był jedną z najznakomitszych postaci tej wielkiej epoki naszych dziejów porobiorowych,

— postacią tem więcej zajmującą, ile, że jego współcześni nie oddali mu tego uznania, na jakie rzetelnie zaufażył, posądzając go jedni o arystokratyczne przesady, drudzy o absolutyzm, a trzeci widząc w nim tylko salonowego dyplomate, który był mniej więcej zręcznym narzędziem w rękach księcia Czartoryskiego. Nie maBz wątpienia, że Małachowski, wiedziony wrodzoną delikatnością uczucia, a nie pragnąc dla siebie ani sławy, ani nagrody, tylko rzeczywistego z swych prac i poświęceń dla ojczyzny pożytku, tak samo, jak późniejszymi czasy Władysław Zamoyski, przyjmował chętnie rolę współpracownika pod przewodem księcia prezesa, jako starszego męża stanu i doświadczonego na polu spraw

zagranicznych; zaparcie się siebie samego i wielkie imię prezesa rządu, stawiały go w cieniu:  
lecz niemniej przeto był to umysł wynioBły i samoistny, charakter

Wasi Ojoowlo.

30

czysty i silny, rozum potężny i twórczy, który swem światłem daleko więcej zawiłych kwestyj dyplomatycznych rozświecił, niżeli się tego domyślali jego współcześni.

Małachowski był potomkiem rodziny, która po wszystkie czasy świetnie się odznaczała gorącą miłością ojczyzny i poświęceniem bez granic. Jego przodkowie, z wyjątkiem jednego, któremu w chwili największych nieszczęść krajowych nie było dane przewyciężyć w sobie szeroko wówczas rozpostartego zwątpienia, składali zawsze wszystko, co mieli, na ołtarza ojczyzny. Ojciec Gustawa, dowódca puka kirysjerów w brygadzie saskiej, odznaczył się jak najświetniejszą szarżą pod Mołajskim; brat jego JuljoBz uformował swym kosztem oddział strzelców celnych, który pod Paławami tak głośną okrył się sławą; dragi brat Henryk służył w jeździe sandomierskiej i właśnie był pod Grochowem. Gustaw sam cddął się służbie dyplomatycznej i przez kilka lat w Petersburgu pracował, gdzie dla swoich niezwykajnych zdolności i wykwinnych form towarzyskich, był nawet w aferach najwyższych bardzo wysoko cenionym. Jednak poznawszy przed wszystkimi innymi tego nienawistnego dla Polski dacha, który od czasu wstąpienia na tron Mikołaja rżadem rosyjskim zawładnął, nie potrafił, jak inni, obowiązków służbowych ze swoją obywatelską godnością Polaka pogodzić i przeniósł się do Warszawy. Ta, jeden z pierwszych, jeszcze razem ze starym Sołtykiem, przystąpił do BprzyBiżenia i stał się zarazem jego dachem ożywczym i jego trzeźwym rozumem. Dziwnym zaprawdę i bardzo rzadkim u ludzi wypadkiem szły obok siebie w jego potężnym umyśle wrzący patryjotyzm z zimną rachubą i roztropnością. Gotów każdej chwili oddać siebie samego na całopalenie, przekonany najgłębiej, że z ówczesnego położenia nie było innego wyjścia, jak wojna z Rosją o śmierć lub życie, wyteżał wszystkie swe Biły, bez względu na to, co o nim w obydwóch obozach mówiono, ażeby powstanie wybuchło nie wcześniej, jak w najazczęś'iwszych możliwych warunkach. Stąd wynikało, że kiedy Bprzysiężeni mieli go często za nieznośną zawadę, zwolennicy utrzymania obecnego stanu rzeczy uważali go za najczerwieńszego z rewolucjonistów. W. książę, lubo miał respekt, a nawet może cokolwiek sympatji dla niego, nie spuszczał go z oka i gdyby był mógł jaki pozór wynaleźć, byłby go mimo sympatji usunął na zawsze z Warszawy. Małachowski znajdował się wówczas w położeniu niezmiernie trudneoi: mimo to wszakże wytrwał na atanowiaku i swego spoaobu myślenia ani na chwilę nie zmienił. Rozumiał on zaś natenczas, że kiedy powstanie musi wybuchnąć koniecznie, to trzeba, ażeby jego ater w silne dostał się ręce, — a jeśli powstanie zwycięży, to trzeba będzie znova zaprowadzić rżąd silny, chociażby z ograniczeniem niektórych wolności konstytucyjnych, ażeby naród ustalił się w karchach naturalnego rozwoju.

Zostawszy ministrem Bpraw zagranicznych, w tym duchu swój urząd sprawował, na drodze dyplomatycznej z ob- cemi dworami ciągle był czynnym i ledwie nie codaie&nowe myśli tworzył i wykonywał. Jego mowy, miewane w Sejmie, są wzorem dyplomacji otwartej i szczerzej, a na wskrós przejęte duchem narodowej godności. Ze zaś zbawienia ojczyzny od samej dyplomacji się nie spodziewał, niezaprzeczone złożył dowody, popierając Chłopickiego wszelkimi siłami, przyjmując służbę adjatanta u niego i rozwożąc rozkazy wśród najgęstszego ognia, sypanego z armat moskiewskich. Starzy żołnierze, widząc go niejednokrotnie, a nieraz bez potrzeby narażającego się na śmierć oczywistą, powiadali 0 nim: „ie tak jest żarliwym, ii chciałby swoją osobą wydarte luki zapełniać”.

Był on wtenczas jeszcze bardzo młodym, miał trzydzieści cztery lat wieku, twarz rysów szlachetnych i pięknych, lecz bardzo bladą i bez iadnego zarosta, włos czarny, ale jui przerzedzony, tak, ie jego łysina niezwykłą sprzecznąość stanowiła z młodym wyrazem gwarzy.

Wszedłszy dzisiaj do Wisłockiego, serdecznie go zwi- tał: znali się od dawna, kochali i szacowali się wzajemnie

1 nie mało przyjemnych chwil spędzili ze sobą na salonach warszawskich i petersburskich.  
Rozpytawszy się o jego

rany i udzieliwszy mu niektórych wiadomości bieżących, rzekł nareszcie do niego:

— Chciałbym się do końca utrzymać w tej roli, że tylko dlatego przyszedłem do ciebie, aby cię odwiedzić, ale nie mogę. Książę prezes dał mi polecenie do ciebie. Książę już przed niejakim czasem pisał do księcia Lobkowicza, prosząc go o protekcję dla nas wobec rządu austriackiego. Otrzymał odpowiedź bardzo grzeczną, ale wymijającą — a tymczasem my wiemy skąd inną, że Lobkowicz jest nam przychylny i niczego goręcej nie pragnie, jak nam usłużyć w Wiedniu; czeka tylko na to, abyśmy mu dostarczyli pewnej podstawy do tego przez odniesione nad Moskalami korzyści. Otóż my wprowadziliśmy pod Grochowem jeszcześmy nie pobili Moskali, ale i oni nas nie pobili; rozkładają się po okolicach, ale na Warszawę nie śmiały uderzyć: w tej sytuacji każdy nam musi przyznać, że mała Polska odniosła nad rosyjskim kolosem bardzo znaczne korzyści. Tę chwilę pomyślną chcemy w lot schwycić i powtórnie się zgłosić do Łobkowicza. Depesze już są gotowe i listy do Pietruskiego, ale nie mamy odpowiedniego kurjera. Bo najprzód trzeba, aby to był człek pewny i nie dał się tu albo tam pochwycić — a potem prócz depesz i listów, musimy mu dać ustne instrukcje, a na to przecież potrzeba człowieka, który ma jakąkolwiek głowę na karku. Do tych ludzi, którzy sami się nastęrczają, nie mamy zaufania, a ci, którymbyśmy chętnie dali tę misję, wymawiają się swoim powołaniem wojskowym. Ty znasz i kraj i ludzi: czy nie mógłbyś nam kogo nastęrczyć?

— Jaka szkoda, że Borch leży chory! — zawołał na to Wisłocki — to byłby kurjer wyborczy.

Potem chwilę się zastanowił. Pomyślał o Miłku, ale tę myśl zaraz porzucił. Nareszcie spytał:

— A ozy wam pilno?

— Bardzo, — odpowiedział Małachowski — bo chodzi nam o to, aby książę Lobkowicz pierwsze wrażenie o bitwie grochowskiej od nas odebrał, a nie od Moskali. Gdybyśmy zresztą wiedzieli z pewnością, że nam całkiem odpowiedniego kurjera wynajdziesz, to dzień, albo dwa dni moglibyśmy poczekać, bo znów z drugiej strony także nie mało nam na tem zależy, ażeby ustne komunikacje zostały tam powtórzone dokładnie.

— Dajże mi dzień czasu, — rzekł na to Wisłocki — wiem o kilkunastu obywatelach z Galicji, że tutaj są, idzie tylko o to, aby ich odszukać. Pomiędzy nimi jest takich wielu, którym możecie zaufać. Do jutra wam kilku kandydatów doatarczę.

Otrzymawszy to zapewnienie, Małachowski opowiedział pułkownikowi otwarcie, jak się zapatruje na sytuację obecnej chwili. Nie był on wcale przystępny zwątpieniu, ale sądził bardzo trzeźwo o rzeczach. To, co mówił, nie było wcale usiłowaniem przeczcucia sercem. \*\$rzyszło!ci, — jego umysł zanadto wiele miał rzeczywistej wyniosłości i męskiej potęgi; aby mógł uleść pokusie proroczego wieszczcienia, — co mówił, było tylko logicznem i opartem na faktach przewidywaniem jasno widzącego rozumu.

— Chociaż nie jesteśmy przesądni — rzekł on do Wisłockiego — musimy przecież przyznać, że przypadek wielką odgrywa rolę w dziejach narodów, a zwłaszcza wśród wojny. Takie dziejowe przypadki przynoszą szczęście, albo nieszczęście. Otóż obawiam się, że nie będziemy mieć szczęścia w tej wojnie... Mieliliśmy dotąd tylko jednego człowieka: tym był Chłopicki. Rozumieliśmy wszyscy, że obok wielkiego ducha także wielkie ma serce, ale przekonaliśmy się niestety, że jego serce już nadpruchniało i nie umiało w sobie obudzić wiary w siły narodu. Byliśmy przekonani, że jego wielki duch zawsze i wszędzie okaże się wielkim, tymczasem okazało się, że ten wielki duch potykał się na osobistych drobnostkach i ubezwładniał całego człowieka. Trzeba było nareszcie, ażeby i ten człowiek, jaki był, padł od karłacza i musiał zejść z pola właśnie w tej chwili, kiedyśmy mieli w ręku zwycięstwo. Gdyby Chłopicki był do końca dowodził w bitwie Grochowskiej, to z armji

Dybicza byłyby pozostały tylko niedobitki: a armja Dybioza zniesiona, to już co najmniej królestwo polskie, zdobyte na wieki

i znacznie rozszerzone, bo Rosja drugiej takiej armji nie wystawiłaby ani za Bześć miesięcy, a tymczasem cała Europa stałaby po naszej stronie. Dziś obraliśmy Skrzyneckiego... bo nie mamy innego. Ale wiemy wszyscy, że on całą armją dowodzić niezdolny. Dodamy mu Prądyńskiego i Chrzanowskiego: będzie to trójca, złożona z bardzo cennych jednostek, „ale ta trójca nie będzie stanowić jedności”. Być może, że jeśli wojna potrwa czas dłuższy, jakiś talent na wierzch wypłynie: może Chłapowski, może Ludwik Kicki, może Władysław Zamoyski... ale dziś jeszcze go nie ma. Dziś mamy tylko tę szansę, że jakąś większą bitwę wygramy — a wtedy, zyskawszy możność przedłużenia wojny, będziemy z konieczności mieli takie wielkie mocarstwa za sobą. Dlatego wszystkie siły powinniśmy wyteńczyć ku ternu, abyśmy choć jedną bitwę wygrali, a zarazem jest naszym obowiązkiem, na ten wypadek naprzód usposobić dla nas europejskie mocarstwa.

— Jakże żałuję, że nie mogę się podnieść, choćby na kuli — rzekł na to Wisłocki — w takim razie sam bym pobiegł do Lwowa.

A wtem wszedł Dziaduski.

Wisłocki zawołał:

— Ot, masz zaraz jednego kandydata na kurjera. Ręczę ci za to, że lepszego nie znajdziesz.

Dziaduski, zdawało się, że jeszcze się rozrósł i wyrósł cokolwiek od września. Ubrany w strojny mundur kapitana czwartego pułku, z rozłożonymi złotymi rabatami na szerokiej piersi, z błyszczącym pałaszem u boku, z gładko uczesaną czupryną, z świetnymi rumieńcami na twarzy, z okiem pogodnym, w którym się przebijało uczucie zadowolenia, był dzisiaj rzeczywiście tak pięknym, że można się w nim było zakochać, daleko jeszcze piękniejszym dla tych, którzy go widzieli przedwczoraj z karabinem w ręku, w potarganym na szmaty mundurze i z nagimi łokciami.

— Prezentuję ci młodzieńca — izekł ściskając go serdecznie za rękę pułkownik — który pod Grochowem wszystkich nas zakasował. Gdybyś go był widział, w jakich łachmanach powracał z bitwy i jak mimo to broń prezentował, to byłbyś sobie ze mną powiedział: Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy ma takich żołnierzy!

Ale Małachowski znał Dziaduskiego, więc go witał jak przyjaciela i mówił:

— Daj ci Boże szczęście! Jestem pewny, że wkrótce Bogusławskiego zastąpisz. A ja ci tyczę, abyś się jeszcze wyżej posunął, bo według mnie, cała nasza nadzieja w młodzieży.

Dziaduski przyjmował powinszowania, ale z skromnością, jak katdy człowiek, który wie o tem, że na nie rzetelnie zasłużył i odpowiedział:

— Nie nasza to zasługa. I Bogusławski niczego by nie dokazał, gdyby nie to, że nasi żołnierze tak po djabeł- sku się biją. Mogę panów zapewnić, że to jui czwarta bitwa, którą pomiędzy nimi stoczyłem, że nie widział ani jednego, któryby się poszkapiał. Ja jeitsm pewny, że Moskale zetrzemy na miazgę. Ale eó się dzieje z Borchem i Miłkiem?

Jednak pułkownik nie odpowiedział mu na to pytanie, tylko kwestję kurjerską zagaił, mówił bardzo ciepło i skończył temi słowami:

— Jedź, jak mnie kochasz, a bądź pewnym, że o siebie to wynagrodzi. Odprawiłem ja w moim życiu takich misyj dyplomatycznych nie mało, kaida z nich mi wyszła na dobre, a wszystkie razem sprawiły to, że wyrobiłem sobie bardzo liczne stosunki, które póniej i mnie i innym niejednokrotnie przyniosły potytek. Wiedz zresztą o tem, że Napoleon i Chłopickiego często uiywał do misyj, które niemało się przyczyniły do rozniesienia jego imienia po świecie, a w dodatku przyniosły mu cały tuzin orderów.

Ale Dziaduskiemu jakoś nie bardzo ta misja się uśmiechała. Wymawiał się, jak umiał: że jest tylko żołnierzem i niczem innym być nie ehee, że jest jeszcze za młodym do misyj i że nie czuje w sobie zdolności do spraw tak delikatnych. Wtedy pułkownik w inną stronę uderzył, mówiąc jak wąż w raju do Ewy:

— Jesteśmy ta między sobą, to możemy sobie wszystko powiedzieć. Mów ty sobie, co chcesz, ale w twoim wieku, w randze kapitana, po czterech bitwach w czwartym pałku liniowym, pokazać się we Lwowie, to także nie każdemu się uda. Znajdzie się tam niejedna piękna rączka, co ci przypnie kokardę do piersi. Ot, wszyscyśmy ludziami dla ojczyzny, dla sławy," ale gdyby przy- tem nie było innej nagrody...

Dziaduski zaczął się chwiać — kiedy w tem weszli do komnaty Łoś i Salusia.

Pułkownik przeciwko swemu zwyczajowi szeroko oczy otworzył, bo był przekonany, że Łoś jest we Lwowie. Dziaduski się zarumienił i oczy spuścił ku ziemi.

Łoś był uśmiechnięty i wesół jak zawsze. W granatowym fraku ze świecącymi guzikami, w białej chustce na szyi, w pięknych spodniach grisek, ile możliwości obcisłych, a przy kostce zapiętych na trzy guziki z perłowej macicy, w kolorowych pończochach w kwiatki i gładkich trzewikach ze sprzączkami, był tak lekkim i zwinnym, że się ledwie ziemi dotykał i woale na dyplomatę wyglądał.

Salusia była prześliczna. Weszła rozpromieniona jak gwiazda poranna, za którą w różowych blaskach roztacza się po lazurowym niebie wschód słońca i biegła z lekkością motyla ku pułkownikowi, aby mu rękę uściśnąć; tylko jak Dziaduskiego spostrzegła, troszeczkę się jej w oczach zaćmiło i w tem okamgnieniu zdawało się, jakoby niepewnym krokiem stanęła na miękkim dywanie.

Lecz mimo to razem z mężem z wielkim hałasem rzuciła się na pułkownika, ciesząc się, że go widzi, wieszając mu nowo nabytej sławy i pytając o zdrowie. Potem oboje Dziaduskiego witali; lecz wtedy Salusia już odzyskała zupełną przytomność i uściśnęła mu rękę, jak każdemu innemu. Łoś kłaniał się nisko i nie szczędził grzeczności.

Małachowski, niezmordowany wielbiel płci pięknej, oddał mężowi dobre za nadobne, obsypując jego żonę iskrzącym fajerwerkiem komplementów, jak to było w modzie naówczas.

Tymczasem, jak tylko ta urywana konwersacja ażeby cokolwiek uspokoiła, Dziaduski, skórką na buty, czwartak trzynastej próby, rzekł do Wisłockiego jakby z niechęcią, wskazując na Łosia:

— Ot, macie ambasadora do Lwowa, gdzież mnie się z nim równać!

Na to Wisłocki uderzył się ręką po czole i zaraz zaczął Łosiu wyklądać ważność tej misji dyplomatycznej i ogromne zasługi, jakie około ojczyzny położy, jeżeli jej się podejmie.

Łoś przybrał w tej chwili minę kota, który się do smacznego mleka zakrada. Oczy jego błyszczały, jak węgle jarzące, otwierał usta, jak gdyby połykał te słowa, które tak dźwięcznie brzmiały mu w uszach, czasem się oblizywał, a od chwili do chwili zaczerpywał oddechu, przytem zaś ciągle rzucał nieśmiało okiem na Małachowskiego, patrzył trwożliwie, co też on na to powie i kłaniał mu się pomimowoli. Nareszcie Małachowski zlitował się nad nim i rzekł z ministerjalnym spokojem:

— Jeżeli pan hrabia zechcesz się podjąć tej misji, to będziemy mu wdzięczni. Ale to rzecz bardzo pilna, możemy zaraz o tem pomówić.

Na te słowa Łoś podniósł głowę i rzucił ażeby właśnie jak kot na Małachowskiego; mówił po francusku, rzucił kilka frazesów niemieckich i włoskich, opowiedział z pospiechem, że kilkanaście lat mieszkał w Wiedniu, że pracował razem z Ossolińskim, że ma tam nadzwyczajne stosunki, że na najlepszej stopie jest z Lobkowitzem i że jest gotów, jeżeliby tego była potrzeba, że Lwowa prosto pojechać do Wiednia.

— Bo to trzeba tam znać stosunki — mówił Łoś ze znajomością rzeczy, która istotnie nie była do pogardzenia — we Wiedniu etykieta bardzo ścisła, hiszpańska, drzwi ściśle zamknięte, a posadzki bardzo ścisłe, ostrożność, przechodząca wszelkie pojęcie, nieufność względem obcych

W»l Ojowicie.



niesłychana, ci panowie tylko tych przypuszczają do siebie, których, jak mnie, znają od lat kilkanaście. I cóż tam Jelski! między nami mówiąc, nikt go tam nie zna. A książę Konstanty Czartoryski, nie ma co mówić, ma pozyję, ma wielkie relacje, ale właśnie ta jego pozycja... nakazuje ma z konieczności jaknajwiększą rezerwę.

Małachowski był zachwycony tą gorączkową gorliwością Łosia. Spojrzał na Wisłockiego, a otrzymawszy zachęcającą odpowiedź mrugnieniem oka, podał mu rękę i rzekł:

— Więc zgoda. Dziękujemy pana hrabiemu za jego ofiarność. A kiedyż możesz wyjechać ?

— Choćby i dziś. Wezmę mój powóz, a koni pocztowych przecież wszędzie dostanę.

— Więc dobrze. To, jeśli łaska, chodźmy zaraz do księcia prezesa, on sam da pana ustne instrukcje.

Od stworzenia świata jeszcze żaden człowiek nie był tak uszczęśliwiony, jak Łoś w owej chwili. On wbrew opinii, jaką niechętni mu utworzyli, a może właśnie dlatego, ażeby zadać kłam tej opinii, pragnął gorąco oddać usługi krajowi. Żołnierzem nie był, mógł tylko pracować w biurach. On już od dwóch tygodni bawił w Warszawie, pukał bezuatannie do wszystkich dykasteryj, używał rozmaitych protekcji, chciałby być zostać choć jakim referendarzem, ale nikt nie raczył go nawet spokojnie wysłuchać. Teraz nagle dostaje misję dyplomatyczną, depesze od ministra, ustne instrukcje od księcia prezesa, wskakuje od razu obydwoma nogami w samą dyplomację — będzie konferował z księciem Lobkowiczem, stamtąd znajdzie sposobność dać się wyprawić do Wiednia, tam będzie znów konferował z Kolowratem i Metternichem, może nawet będzie miał audiencję u samego cesarza — nie I jeżeli kiedy marzył, że w jakiejś radzie zasiądzie, to o takim szczęściu nigdy ma się nawet nie śniło.

Łoś porwał za kapelusz i zawołał na żonę:

— Salusiu! jedź zaraz do domu, każ moje walizy pakować, niech kamerdyner zamówi cztery konie pocztowe do mego powozu, ja jadę z panem ministrem do księcia za godzinę powracam i zaraz ruszam do Lwowa. Proszę cię, aby wszystko było gotowe!

To rzekłszy, ścisnął z pośpiechem rękę swojego szwagra, Dziaduskiemu posłał protekcyjnego całusa i zaraz wszyscy troje opuścili komnatę.

Wisłocki i Dziaduski patrzali na tę scenę, jak na komedję, pierwszy tylko ze zwykłym sobie humorem, lecz drugi, bardzo być może, że z jakimiś rozbójniczymi myślami.

Ale patrzył na nią także i Milek, który nie widziany stał przy kotarze we drzwiach przyległego pokoju. Kiedy tamci wyszli, on się przybliżył i rzekł:

— Otóż-to masz! taki stary i niby to mądry, bo drwi sobie ze wszystkich, a jaki głupi! Już mu się zdaje, że w jego rękach spoczywa IOB Polski. A jeśli to robi z próżności, to jest to rzecz karygodna, bo Polska nie jest na to, aby dogadzała ludzkim próżnościom.

Ale pułkownik zaraz jego nierozważne zdanie sprostował, mówiąc:

— Proszę cię, Milek, nie sądz tak ludzi. Nikt z nas nie ma prawa, pytać o to, dla czego kto służy ojczyźnie. Ojczyzna jest rozumniejszą od ciebie, bo nikogo o to nie pyta, tylko usługi od wszystkich wdzięcznie przyjmuje. Zapewniam cię zresztą po raz setny, że Łoś jest człowiekiem poczciwym, a nawet poczciwszym od wielu innych. Ci i owi nie mają sympatji dla niego, bo krytykuje i demokrację i arystokrację, a u nas krytyki nikt zrobić nie umie. Ale on sobie drwi z tego i ma rację, bo u nas krytyka jest potrzebniejsza, niżeli u innych narodów. On zaś sam zawsze poatepuje po obywatelaku. Zresztą i ta jego misja nie jest wcale tak całkiem bezpieczną, jak obie się zdaje. Gdziekolwiekbyś mogą go schwycić Moskale — nie mają rzeczą było go o tem uprzedzać — a wtedy ma jego losa pewnie zazdrościć nie będziesz.

Tymczasem Dziaduski trzymał Milka za rękę i przypatrywał mu się bardzo ciekawie — a kiedy pułkownik skończył, przycisnął go do swej piersi i zaczął sobie po

przyjacielska z jego gazów żartować, które otrzymał pod Grochowem. Milek także się śmiał i rozmawiał z Dziada, skim jaką chwilę, aż póki nowi goście nie przyszli. Dziaduski z tej sposobności skorzystał i wyszedł, ażeby jeszcze Borchę odwiedzić, — pułkownik zaś przyjmował swoich gości aż do późnego wieczora.

Łoś, przyjechawszy w pierwszej połowie latęgo do Warszawy, najął wielkie i bardzo ładnie urządzone mieszkanie na Nowym Świecie. Przyprowadził ze sobą powozy i konie, przywiózł kucharza i służbę, bo chciał przyjmować. Nie bardzo mu się to udało, bo nie wielu zastał znajomych, a i ci byli przedewszystkiem wojną zajęci. Nawet Salusia tylko kilka znajomości zrobiła, czem się wszakże nie bardzo Bmuciła, bo jej myśli były innemi widokami zajęte...

Dzisiaj widoki te się ziściły, ale zamiast ją uszczęśliwić, prawie napelniły ją niepokojem. Leży to w naturze charakterów swawolnych, a w granie uczciwych, że kiedy sobie marzą tylko troszeczkę niepozwolonej uciechy, a los im nagle wrota do szczęścia na ścieżaj otworzy, czują się zaniepokojone, wołałyby były trafić na przeszkody i nie wiedzą, co począć. Ale Salusia nie miała czasu nad tem się zastanowić. Mąż wrócił późno od księcia prezesa, widać, że bardzo ważne mu dano instrukcje; walizy jeszcze nie były gotowe, na poczcie co do koni robiono trudności, a jemu paliła się ziemia pod nogami. Przecież nareszcie zajechał powóz wypakowany, Salusia odprowadziła go do rogatki i bardzo późno wróciła do domu.

Potem noc ciemna zapadła: tylko duchy nocne mogą wiedzieć, co się natenczas dzieje po ludzkich mieszkaniach a duchy nigdy nie zdradzają tajemnie.

Nazajutrz około południa Salusia przyszła odwiedzić swojego szwagra. Była tak lekka, taka wesoła, taka rozpromieniona, że zdawała nie dotykać się ziemi. Pułkownik, człowiek bardzo złośliwy, przyjął ją także z uśmiechem, ale powitał wierszem z „Marji”, którą wówczas jeszcze tylko wyższe umysły umiały oceniać:

Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba, Jakbym w jego objęciu leciała do nieba. Salusia się uśmiechnęła, a on dodał jeszcze złośliwej: ....i czoła sija szczęśliwą Szczęściem niewiast, dla których słodkie w życia chwile Są jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle.

— Jaki piorun? — zawołała z pustym śmiechem Salusia — czy może się eo stało mojemu mężowi?

— Jeżeli mu aię tej nocy nic nie atalo — rzekł na to pułkownik — to zapewne więcej nic mu się nie stanie.

— A wy żołnierze, jak widzę, już nigdy nie przestaniecie tyck żartów — zawołała wesoło Salusia — gdybyście przynajmniej coś wiedzieli!

— Wiedzieć... ja nio nie wiem, tylko mi się coś śniło. Ja zaraz ci sen mój opowiem.

Tu jednak Salusia przyskoczyła czempredzej do niego i położywszy obydwie ręce na jego twarzy, mówiła śmiejąc się głośno:

— Nieprawda, nieprawda, nic Bie pułkownikowi nie śniło.

Wszakże w tej chwili wszedł Małachowski.

— Patrzaj no, panie Gustawie — rzekł do niego pułkownik — na eo mnie ta swawolna żona twojego kurjera naraża. Będą z tego plotki niechybnie... i jeszcze gotowe skompromitować i mnie i całą armję i ministerstwo spraw zagranicznych.

— O plotki w Warszawie nie trudno — odpowiedział na to Małachowski z uśmiechem — ale w tym razie z pewnością im nikt nie uwierzy.

Salusia podziękowała mu za tę uwagę wdzięcznem skinieniem głowy, zaczem zasiedli do konwersacji o rzeczy publicznej i o wypadkach codziennych.

vm.

Borch, chociaż młody i silny, musiał kilka tygodni przeleżeć w łóżku, nim zdołał znowu powstać na nogi. Po jego ranach fizycznych zostały tylko blizny, jeszcze przez jakiś czas bolejące, ale jego rana moralna, którą mu zadał Mikołaj, kazawszy jego ejca wypędzić na granice Sybiru, została na wieczne czasy otwarta.

Patryjotyzm Polaków składa się z dwóch prądów, z których jeden jest dodatnim, a drugi ujemnym, a które przeto stanowią na pozór sprzeczność ze sobą, mimo to wszakże biegną one równym krokiem do tego samego celu i stanowią jednolitą całość ze sobą. Prądem dodatnim jest właściwa wszystkim narodom miłość ich ziemi, mieszkających na niej współziomków i ich dziejowej przeszłości, ożywiona pragnieniem szczęśliwego bytu na teraz i jaknaj-świetniejszego istnienia w przyszłości; prądem ujemnym jest nienawiść do wrogów. Pierwszy z tych prądów jest przyrodzony i taksamo niepodobny do wytepienia, jak każdy inny przymiot natury ludzkiej; drugi zaszczerpili w nas sztucznie nasi wrogowie i oni sami starają się o to jaknaj- usilniej, ażeby w naszych sercach nie wygasł.

Gdyby Rosja, opanowawszy największą część naszej ziemi, była nas po podbiciu zostawiła w spokoju i dozwoliła nam rozwijać nasze siły społeczne i narodowe w naszej wierze, języku i obyczaju, to sam zmysł zachowawczy, który, zwłaszcza w narodach rolniczych, tworzy dla ogromnej większości kardynalną podstawę wszystkich dążeń społecznych i politycznych, byłby wystarczający, aby wynaleźć środki porozumienia pomiędzy zwycięzcami i zwyciężonymi i wyrobić warunki wspólnego istnienia z równą dla obydwóch narodów korzyścią. W takim porządku rzeczy, mimo gorącej miłości Polaków dla swojej ziemi, nigdyby w Polsce zbrojnych powstań nie było, bo sama miłość, czy to ojczyzny, czy nawet wolności, miłość, będąca z natury swojej zawsze cierpliwą, nie byłaby w stanie natchnąć całego narodu uczuciem zemsty i jego rękę uzbroić mordczym narzędziem. A gdyby nawet w danych chwilach lotniejsze żywioły się niecierpliwiły, to ogromna większość, pragnąca zachować to, co posiada, przygniotłaby swoim piramidalnym ciężarem każdy taki ruch w samym zarodku i nie dopuściłaby do wybuchu.

Ale Rosja nie miała nigdy nawet zamiaru utworzenia warunków spokojnego istnienia obok siebie dla obydwóch narodów. Już od pierwszego rozbioru celem jej było tylko pożarcie polskiego narodu i ostateczna zagłada jego istnienia — a jeśli były kiedy chwile, w których przyznała nam pewne swobody, to czyniła to, tylko nieodbitą koniecznością do tego zmuszona, i zawsze ze skrytym zamiarem jaknajprędzszego swobód tych ukrócenia. W środkach zaś ukrócenia nigdy nie przebierała, bo jeśli skutkiem gwałtowności takowych Polacy się przeciw niej z bronią w rękę, zburzyli, to odpowiadało to właśnie jej zamiarom, albowiem każde powstanie dostarczało jej nowych pozorów do tem raźniejszego posuwania dzieła zagłady. Ta polityka bezwzględna, barbarzyńska i ludożercza, musiała u nas koniecznie wywoływać nienawiść, a za jej pomocą miłość ojczyzny zamieniała się w fanatyzm, z fanatyzmu zaś musiały się z konieczności wyradzać rozpaczliwe usiłowania obronienia się gwałtownymi środkami od gwałtowego ucisku ciemnych. Nielitościwą drapieżnością nacechowane postępowanie Rosji, obezwładniało zupełnie zmysł zachowawczy ogromnej większości narodu: nikt nie mógł się przywiązać do takiego stanu rzeczy, nikt go nie pragnął utrzymać; niecierpliwsze żywioły musiały zawsze wziąć górę — a ilekroć wybuch nastąpił, zawsze znalazł wszystkie warstwy społeczne gotowe do rozpaczliwej walki o śmierć lub życie

Po otworzeniu kongresowego Królestwa zdawało się ca\* łem narodowi we wszystkich jego odłamach, iż nareszcie zostały stworzone warunki spokojnego przy Rosji istnienia i droga otwarta do dalszego porozumienia. Potężny zastęp patriotów najlepszej wiary utworzył się w kraju ; ścisnął mocno swoje szeregi w Warszawie i wszystkie swe siły wyteżył ku temu, ażeby utrzymać spokój i zgodę z caratem rosyjskim. Jego postanowienie utrzymania owocnego stanu rzeczy, chociażby przyszło znosić przemijające niesprawiedliwości i wykroczenia przeciwko zaprzysiężonym prawom ze strony Moskali, było tak silne, iż wytrwał w niem lat kilkanaście i nie dał się zniecierpliwic nawet oczywistemi gwałtami, przeciwko którym oburzali się starzy i do subordynacji nawykli żołnierze, jak Chłopicki, Sułkowski, Małachowscy, Łubieński, Umiński, Tyszkiewicz, Szymanowski, Bolesta, Wielhorski, nie mogący znieść dzikich w. księcia wybuchów i rzucający mu swoje szpady pod nogi. Zastęp ten zachowawczy nie dał się zachwiać w swojej ufności w rzetelne chęci cara Aleksandra nawet tą uwagą, iż car oddał Królestwo na pastwę zwierzęcym namiętnościom swojego brata — a jego bezrozumnej wściekłości nigdy nawet nie usiłował łagodzić. Na krwawe prześladowania uczącej się młodzieży na Litwie, którą na śmierć sieczono różgami i z ogolonemi głowami wysyłano do bataljonów karnych na Kaukaz,—tylko za to, że pielegnowała pomiędzy sobą surowe cnoty i narodowe tradycje, — zachowawczy ten zastęp zamykał oczy i na jęki zapęlniających więzienia w Warszawie i Zamościa i katowanych na śmierć a rozkazu w. księcia, zatykał uszy.. Znając tych ludzi, z których się składał ten zastęp i wiedząc, że z małemi wyjątkami kochali oni ojczyznę tak samo, jak wszyscy inni, trzeba im przyznać, iż zachowawczość swoją posunęli do heroizmu, do którego nie wszystkie społeczeństwa są zdolne. Ale i oż żelazni rycerze cierpliwości i zaparcia się siebie samych, musieli ażeby ugiąć nareszcie: barbarzyńskie zachowanie się carskiego brata przód sądem sejmowym, nawet ich krew, sztucznie zamroiona w ich iylach, puściło w obieg i przerzuciło ich na stronę oburzonych i niecierpliwych. Już wtedy i między nimi nie było prawie nikogo, któryby gwałtów w. księcia nie doświadczył na sobie samym, na swoim krewnym lub przyjacielu. A kiedy młodzież wojskowa wybuchła w Warszawie i armja ażeby z nią połączyła, ów bohaterski zastęp zachowawczych rycerzy rozplynął się, jak bryła lodu pod gorącym promieniem słońca: tych, którzy jeszcze wtedy się chwiali, można na palcach jednej ręki policzyć, bo cały naród stanął pod sztandarami powstania...

Kto tam błąd jaki popełnił: z niecierpliwości? z mylnej rachuby? albo też z osobistej rachuby?

Jeżeli pomiędzy bogatą młodzieżą przed listopadowem powstaniem byli tacy — a było ich bardzo wielu, — którzy potępiali wszelką myśl stawiania losu ojczyzny na ryzykowną kartę zbrojnego powstania, natomiast zaś byli gotowi, nawet wbrew najnieznośniejszym dolegliwościom, z cierpliwością i poświęceniem pracować w celu pomnożenia i wzmocnienia moralnych i materialnych sił polskiego narodu,—to Borch stał w pierwszym rzędzie pomiędzy nimi. Wszystkie okoliczności, wśród których miał zawód życia rozpocząć: wielkie imię, ogromny a rozrzucony po oalej Polsce majątek, jego rodzinne tradycje, poważne stanowisko jego ojca, nareszcie jego umysł patrzący z wysoka na zadania narodów i ludzi i jego temperament spokojny, wszystko to razem składało się ku temu, ażeby zeń utworzyć ozłowieka, jaknajmniej skłonnego do gwałtownych porywów, a pojmującego poważnie i głęboko obowiązki patriotyczne i uzdolnionego do wytrwałej pracy obywatelskiej przez całe życie. Ta miłość ojczyzny, którą wyniósł z domu rodzicielskiego, a wzmocnił w szkołach wileńskich, była tylko miłością — i nie było w niej ani nienawiści, ani niecierpliwości. Ale nim jeszcze wyszedł z akademji wojskowej, już jego ojciec uległ prześladowaniom; prześladowania te nie ustawały, a teraz jui doszły do tego stopnia zawziętości, że go wygnano i osadzono u pierwszej bramy Sybiru.

Borch kochał swojego ojca gerącą miłością synowską,  
W Mi Ojcowie.

"2

lecz nadto jeszcze wysoce go cenił, bo widział w nim wzniosły a nieskazitelny charakter. Nie pochwalał on w zupełności jego idealnego pojmowania uczucia honoru. Jako wychowaniec późniejszych czasów, rozróżniał on całkiem inaczej obowiązki względem ojczyzny od obowiązków względem wojskowego boarou: on, w miejscu swojego ojca, byłby się nie wahał obudzić Litwę do polatania i stanąć na jej czele i nie byłaby go od tego wstrzymała złożona całowi wojskowa przysięga. Lecz musiał przyznać, że takie idealne pojmowanie honoru, jest godne poszanowania. I tego człowieka, który cześć dla godności polskiego imienia podniósł do ideału, prześladowają tak po barbarzyńsku carowie? I za co? Za to, że jednemu z nich dał do zrozumienia: iż nie będzie się bił przeciwko swoim własnym rodakom — a drugiemu oświadczył: że jest Polakiem i nim być nie przestanie? I za to, bez oskarżenia, bez sądu, bez wyroku, traktują go dziś jak zbrodniarza? I to właśnie w tej chwili, kiedy on, uniesiony idealnym uczuciem honoru, utłumił w sobie gorącą miłość ojczyzny i skazał się na bezczynność, dla tego tylko, że kiedyś, w słabej chwili, chcąc dogodzić kapryswi cara, złożył wojskową przysięgę? Nie! — rzekł sobie syn jego — to już jest nad aili człowieka... I kochając dotąd ojczyznę tylko miłością dodatnią, odtąd do swojej miłości dołączył nie-nawiść.

Borch, jak tylko o tyle wyzdrowiał, że mógł się po pokojach przechodzić, bardzo wiele o tem z pułkownikiem rozmawiał. Pułkownik sam oburzony do najwyższego stopnia gwałtem, popełnionym na jego ojcu, zupełną słuszość jego uczuciom przyznawał, ale zawsze dodawał:

— Znajdujemy się wśród rewolucji, możemy się nabić Moskali do ayta, bylebyśmy tylko jaknajprędzej do zdrowia wrócili.

Jednak wyzdrowienie ich obudwóch postępowało bardzo powolnie. Pod koniec marca Wisłocki już także wstawał, ale mógł chodzić tylko na kub". Borch już opuściła go- rączka i rany się zablizniły, ale jeszcze go mocno bolały.

Wisłocki potrzebował przynajmniej jeszcze sześciu tygodni do odzyskania w nodze zupełnej władzy; Borch dui kilkunastu, aby mógł trudy wojenne wytrzymać. Ale obydwaj się rwali i niecierpliwi, bo marzec był miesiącem niecierpliwości dla wszystkich.

Skrz/neoiki, choć sam się ubijał o buławę hetmańską, nie rozumiał zupełnie ani znaczenia, ani zadania tej rewolucji. Chrzanowski i Prądyński, jeden kwatermistrz, a drugi szef sztabu, ludzie zdolni, pełni myśli twórczych i często bardzo szczęśliwych, pomimo największych wysiłen, nie potrafili wpoić w tego człowieka ani jasnego pojęcia sytuacji chwilowej, ani przejęcia się tą prawdą, przez nikogo niezaprzeczoną, że tylko stanowcze zwycięstwa mogą zbawić powstanie.

Prawda ta była tem więcej uderzającą, ile ie Dybicz, niezgodny ze samym sobą i z swoim sztabem, takie nie wiedział, co począc. Zostawiwszy dwadzieścia dwa tysiące żołnierzy w okolicach Miłosny dla strzeienia Warszawy, sam pociągnął ku Siedlcom i zrobiwszy z tego miasta klucz swojej pozycji, tamtędy się błąkał, zmieniając co- dzień swe plany, a w gruncie rzeczy oczekując na gwardje. Szczęście nam wtedy się uśmiechało, jak słońce wiosenne: mogliśmy łatwo znieść te korpusy, które około Miłosny stały, szybkim zwrotem napaść Dybicza, pobić go, zabrać mu Siedlce, przejść Bug za nim w pogoni i zanieść powstanie na Ruś i na Litwę, nimby jeszcze gwardje nadeszły. Armja nasza roBła swą własną Biła: pod koniec marca mieliśmy jui do aiedmdziesięciu tysięcy iolnierza i taki zapał objął kraj cały, ie moina było te siły jeszcze podwoić.

Ale Skrzynecki rozpoczął swoje rządy hetmańskie od układów z Dybiczem i rozpisania listów dyplomatycznych do europejskich monarchów. A chociai Dybicz wymówił się od układów, bo nie był do nich upowainiony — a monarchowie oczywiście czekali na zwycięstwa powstania na polu bitew i nawet mu wcale nie odpowiadali: on jeszcze nie mógł zrozumieć, ie naród nie na to go obrał hetmanem,

aby się układał, tylko aby go do orężnych zwycięstw prowadził. Wszakże pod koniec marca przecież się ugiął pod naciskiem zniecierpliwionej opinii publicznej i przeprowadził część armji na pola Groohowskie.

Nazajutrz Warszawą się rozszalała z radości: Polacy w puch rozbili Moskali pod Wawrem.

Niebawem druga radosna wieść rozległa się po ulicach: drugie zwycięstwo pod Wielkiem Dębem. Korpus Rosena zniesiony, Moskale stracili piętnaście tysięcy ludzi. Bogusławski, Skarżyński i Kicki wiekopomną okryli się sławą!

Były to właśnie OBTatnie dni wielkiego tygodnia. Od czasu Kilińskiego nigdy Warszawa nie miała tak radosnego święta Zmartwychwstania. Całą ludność ogarnął zapał szalony. ściskano się na ulicach, zalewano się łzami radości, we wszystkich domach zastawiono stoły obfitem święconem, przyjmowano każdego gościa otwartymi ramionami, wszystkie warstwy społeczne ze sobą się pomieszały, bo wszystkie twarze wspólnym szczęściem jaśniały. W owej pamiętnej chwili nikt już nie wątpił, że pobijemy Moskali; nawet Skrzyneckiego zdolności nikt już nie rozbierał, wszyscy mu zaufali — a Goszczyński wypowiedział uczucia całego narodu w swoim wierszu natchnionym: Za Bug! Za Bug! Wodza nasz Panie! białe orły zebrzą, Ogniem Grochowa i Wawro napadem. Kiach się co prędzej brzegi Bugu srebrzą, l'ryumfującym ich stadem. Niech postrzelony ten potwór dwugłowy Po naszej ziemi dłużej się nie stania. Wypuść ostatni pocisk piorunowy I skróć ma męki Lonania! Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi,

Za Bugi za Bug! za Bug! Niech lotne sorce nie wyprzedza nogi, Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi, Dla naszych serc, dla naszych nóg! Za Bug! za Bug!

Widząc taki porywający zapał całego narodu, Borch nie mógł się opanować. Przystosował natychmiast konie i broń, kazał sobie niedogojone rany jakkolwiek zakleić i wyprawił gońca do Ludwika Kickiego, u którego miał zachowanie, ofiarując mu swoje służby.

Milek, który już także wyzdrowiał i zaczął być już ukradkiem u Honoratki się pokazywać, dał się jeszcze daleko silniej porwać ogólnym zapałem i był jeszcze gorętszym od niego.

We wtorek po Wielkiejnocy wsiedli obydwaj na koń i zaciągnęli się do drugiego pułku ułanów.

Kiedy się przed wyjazdem żegnali, Wisłockiemu stały się łzy w oczach, łzy, których nikt nigdy nie widział na jego twarzy; był cały przejęty płomieniem świętej niecierpliwości i drżącym głosem do nich zawołał:

' — Kiedyśmy się bili tylko, ażeby honor polski ratować. musiałem się z moskiewskimi muzykami jak prosty żołnierz mordować — a dziś, kiedy Polska zaczyna tryumfy odnosić, ja jestem przykuty do łoża! Idźcie, niech was Bóg błogosławi! niebawem i ja was dogonię, choćbym się misł kazać przywiązać do konia...

Milek i Borch stanęli pod chorągwią najpiękniejszego konnego pułku, jakimś mieli, który natenczas jui bardzo rozgłosną okrył się sławą; ale dlatego właśnie wstąpili obydwaj jako prości żołnierze, bo nie chcieli się okrywać zasługami, do których się jeszcze nie przyczynili. Zastali tam obndwóoh Lipskich, których szwadron nowej formacji już od dawna połączył się z pułkiem, Zastali także i Walka, który już wtedy, ozdobiony złotym krzyżem, służył pod Bemem. W kilka dni po swoim przybyciu, bo już dnia dziesiątego kwietnia, mieli szczęście wziąć udział w bitwie pod Iganiami.

Drugi pułk ułanów bardzo świetną odegrał tam rolę. Pod dowództwem samego Prądyńskiego, już w Domanicach uderzył na moskiewskich huzarów. Uderzenie to było tem piękniejsze, ile ie musiało się odbyć przez wąski mostek, na którym ledwie cztery konie mogły się obok Biebie pomieścić, było jednakie niemniej przeto błyskawicowe:



dwieście moskiewskich huzarów padło pod lancami naszych ułanów, dwieście pięćdziesiąt złożyło broń, reszta uciekła w lasy.

Milek, zaślepiony jak zawsze, puścił się z kilkunastą kolegów w pogoń za uciekającymi i mógł być odcięty, ale Borch miał go na oku, skoczył za nim na czele trzydziestu ułanów i wczas go zawrócił. Wycieczka ta jednak doskonale się Miłkowi udała, bo złowił trzech jeńców, przyprowadził ich z sobą i trzy pałasze, im odebrane, sam pod pacbą przywiózł.

Prądyński go za to poklepał po ramieniu i spytał  
O nazwisko jego, dodając te słowa:

— Gdyby nasz wódz naczelny tak zawsze Biedział Moskałom na karku, to byśmy ich za parę tygodni wypędzili z Królestwa.

Milek urósł ogromnie, inaczej głowę nosił, inaczej chodził i mówił:

— Niech-no ja się rozmachem, to ja im jeszcze nie takiego dam łupnia.

Żołnierze się śmiali, ale go polubili, bo już wszyscy wiedzieli, że jest paniczem wielkiego rodu, a bije się w szeregu i jada z jednego kotła razem z Maćkiem i Jaśkiem.

Pod Iganiami pułk białych ułanów znowu był pierwszym w ataku. Z nim razem szarżowała artylerja Bema, w której Walek się przedewszystkiem odznaczył nadzwyczajną szybkością "ruohów. Za nimi waliły z piorunowym impetem piąty pułk ułanów, którego sława była wtedy cokolwiek zaohwiana i pułk ósmy liniowej piechoty, który się już pod Grochowem odznaczył, a pod Wielkim Dem- bem prawie dorównał czwartakom.

Zaraz z początku tej bitwy Borch stracił konia, lecz porwał karabin i bił się do końca w bataljonie piechoty pod komendą Karskiego.

Milek wziął oficera od huzarów w niewolę, bardzo go grzecznie traktował i obiecał mu, że wyprosi wolność dla niego. Ale oficer go zaklął, aby tego nie robił i wyraził mu swoje ukontentowanie, że przecież choć raz w życiu obaczy Warszawę.' To Milka tak oburzyło, że go sam pchnął między jeńców i z i wołał:

— Gdybym był komendantem, to-bym kazał temu bydłeciu w łeb strzelić.

Milek już teraz zupełnie oswoił się z wojną i w waleczności wszystkim wyrównywał; może tem tylko różnił się od innych, że dosyć dobrze o sobie rozumiał. Ale u żołnierza jest to raczej zaletą niż wadą, bo tych, którzy w siebie samych nie wierzą, rzadko biedy widać na przedzie.

Obydwa LipBcy bardzo pięknie się bili, szli kilka razy pierwsi na ochotnika, zawsze jeden obok drugiego, jak dwa palce u ręki i wiele niewolnika nabrali. Prądyński obiecał ich przedstawić do krzyżów, a Milek dał im do zrozumienia, że ich wyproteguje na oficerów. Ich ojciec był przy furgonach, zawsze w jednej dywizji z synami.

Zwycięstwo nasze pod Iganiami, było zupełne i świetne. Ale mogłoby być daleko większe przynieść korzyści, gdyby Skrzynecki na umówioną salwę armatnią był przyszedł w pomoc Prądyńskiemu, bo wtedy nasza armja mogła była wsiąść na kark Dybiczowi i nie dopuścić mu połączenia swoich korpusów. Skrzynecki na salwę nie przyszedł; nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego. Dybicz tymczasem wydobył się z matni, skoncentrował Bie w okolicy Siedlec i mógł stamtąd na nowo stawić czoło naszej armji, rozłożonej pomiędzy Siedlcami a Warszawą.

Z tego powodu zwycięstwo pod Iganiami nie sprawiło w Warszawie tak radosnego wrażenia, jak stosunkowo mniej ważne zwycięstwo pod Wawrem i Wielkim Dem- bem. Przedstawiło się ono, a raczej umyślnie przedstawi- nem zostało jako świetna brawuia Prądyńskiego, ale nic więcej, czemu jednak osoby, znajdujące się na rzemiośle wojennem, nie chciały uwierzyć. Oddając sprawiedliwość Prądyńskiemu, poeunięta nawet do unieaienia, zaczęto rozbierać zachowanie się Skrzyneckiego i krytykować surowo. Z dniem każdym padały na niego coraz chmurniejsze

cienie najrozmaitszych podejrzeń. Wiedziano już teraz, że i zwycięstwa pod Wawrem i Wielkim Dembem zostały odniesione bez niego, a nawet do pewnego stopnia wbrew jego rozkazom. Odniosły je: prawie awanturzysta determinacja Bogusławskiego i szalona waleczność Skarżyńskiego. Kiedy z najwyższym wysileniem się bito pod Dembem, on do objadu zasiadał — a o odniesionem zwycięstwie dowiedział się przy czarnej kawie. Pod Iganiami Prądyńskiego na pomoc nie przyszedł — a po bitwie cierpkie mu robił wymówki za nierostropne zaatakowanie Moskali. Raport jego, do Warszawy przysłany, był napisany chłodno, znamienitych Prądyńskiego zasług nie podniesiono według ich rzetelnej wartości — a imię Kiokiego z jego rozkazu nawet całkiem wykreślone z raportu, z tego, jak sobie opowiadano, powodu: „że o Kickim już i tak zanadto wiele mówią w Warszawie.”

Wszystkie te wiadomości i plotki ze sztabu i z pola bitew zbiegały się u Wisłockiego, bo miał bardzo wiele znajomych i wszyscy go odwiedzali. Tam przez cały dzień leżały karty rozłożone na stole, na których pozycje obu- dwóch armij były oznaczone szpilkami; tam ruch każdego korpusu gruntownie śledzono i rozważano; tam także nie brakowało bardzo ważnych objaśnień, które przynosili wyżsi oficerowie, także dla ran niezgojonych bawiący w Warszawie, posłowie sejmowi i ministrowie.

Wisłocki, znający Skrzyneckiego od dawna, — był on o siedm lat starszy służbą od niego, a aż do powstania starszy także i rangą, — nie przyznawał mu zdolności dowodzenia całą armją, ale dla tego jeszcze go nie potępiał. Skrzynecki miał niedostatki na wodza wszystkim wiadome. Lubił on przedewszystkiem wygodę dla ciała i nie łatwo ich umiał sobie odmówić. Dalej, jak na żołnierza, zanadto wiele zajmował się polityką zagraniczną i zwykł był trawić całe godziny nad dziennikami; już w książkę powiedział był o nim: „że wie daleko lepiej, co piszą gazety angielskie, niżeli co się dzieje w jego pułku”. „L. Nakoniec był on z przekonania monarchistą i absolutystą, a śmiertelnym nieprzyjacielem wszystkiego, co miało choćby tylko pozór rewolucyjny. Kiedy rewolucja lipcowa wybuchła we Francji, powiedział wszystkim, co go słuchać chcieli: „że gdyby on stał na ozele armji francuskiej, to-by tak strzaskał kartaczami cały lud paryski, żeby do trzeciego pokolenia nie mógł o rewolucji pomyśleć”. Z takimi przymiotami mógł on być wybornym marszałkiem armji absolutnego monarchy, ale rzecz oczywista, że nie mógł obudzić w sobie zapału dla idei oswobodzenia narodu od despotyzmu zaborczych monarchów. Co więcej, naturalnym wynikiem jego politycznych przekonań musiało być koniecznie pewne użeczenie poszanowania dla tych zastępów, które w tej wojnie broniły absolutnej monarchji, — a to uczucie, wspólnie z brakiem ambicji stania się zbawcą zrewolucjonizowanego narodu, tłumaczy jego wszystkie postęпки. Wszakże obok tego był on niewątpliwie najwaleczniejszym z walecznych i był na wskiós przejęty wysokiem uczuciem honoru. Waleczność jego nie mogła się w żadnym razie unieść zapałem, do jakiego był zdolny Chłopicki, ale odznaczała się ona uporem żelaznym i zawziętością, tuczem nieprzełamaną, osiągnięcia zamierzonego celu. Owoż ten upor i to uczucie honoru, przy takiej heroicznej waleczności naszej armji, która jednym naszym żołnierzem przeważała trzech żołdatów moskiewskich, mogły przy szczęściu zastąpić niedostatek zapału i determinacji w naczelnym wodzu i dać nam zwycięstwo — i dla tego Wisłocki go nie potępiał, owszem zachęcał wszystkich, aby mieli ufność do niego, bo bez ufności najznamienitszy dowódca nie potrafi odnieść zwycięstwa.

W tym tonie toczyły się wtenczas wszystkie u niego rozmowy, którym on przewodniczył; ale nie zawsze miał humor po temu, bo obok tej głównej sprawy, miał inne roztargnienia. Miał przecież tyle osób, które go obchodziły tak blisko, a o których losie nie mógł się nio pewnego dowiedzieć.

!\\*

Od żony i od krajczyny otrzymał listy i był o nie spokojny. Ale ks. Anioła i Czubatego nie mógł odpytać, mimo niestrudzonych z swej strony wysiłków. Ciało ich nie znaleziono pomiędzy zabitymi, co jednak wcale nie dowodziło, że nie zginęli, bo po bitwie grochowskiej grzebano trupów setkami i nie było podobieństwa dochodzić ich nazwisk. Wymiany jeńców po tej bitwie prawie nie było, a to z tego powodu, że Moskale jeńców prawie całkiem nie mieli. Nie wielka liczba tych, którzy się wyjątkowo dostali w niewolę, przeszła przez ręce w. księcia, który miał swoją kwaterę w Miłosny i kazał ich przyprowadzać do siebie. Ale dziwny ten człowiek postępował i w tym razie według swego kaprysu: rospytawszy każdego jeńcę o jego nazwisko i służbę, kazał każdemu dać po dukacie i puścił ich wolno. O jednym tylko, jakimś oficerze sztabowym, którego wszakże nie znano nazwiska, doszła wieść do Warszawy, że sam własnoręcznie obdarł mu szlify, wyrucił za drzwi i kazał go wysłać na Sybir. Czy ten tym oficerem nie był Czubaty? — Bardzo to pułkownika niepokoiło. Próbował on rozmaitych środków, udawał się o protekcję do komisji wojny, do ministra broni, do gubernatora miasta Warszawy, wysyłał szpiegów na własną rękę i suto ich płacił, ale się nic nie dowiedział: granica pomiędzy Pragą a korpusami Gejsmara i Rosena była wtedy tak szczelnie zamknięta, że mucha nie mogłaby była przelecieć niepostrzeżona. O księdzu Aniele ani nawet iadnej głuchej wieści nie było.

W tym samym czasie doszła pułkownika wiadomość, która na razie niepomagała go zaniepokoiła. Oto kiedy Borch jeszcze leżał w gorączce, Guła na parę dni zniknął — a kiedy wrócił, opowiadał słuchającym, że był w moskiewskim obozie. Służący mówili także, że po powrocie miał s Miłkiem w osobnym pokoju bardzo długą i tak ożywioną rozmowę, iż się zdawało, że się kłócili. Ale po tej rozmowie wyszli s pokojn w dobrej zgodzie ze sobą. Potem Guła snou wyjechał i cały tydzień go nie było — a po tym drugim powrocie już nie można się było od

W

-Jh

■ jH

niego dowiedzieć, gdzie był. Uważano takie, ale trudno było temu uwierzyć, że był kilkanaście razy w komisji wojny i w pałacu gubernatora.

Kiedy się pułkownik o tem dowiedział, bardzo go to dsiwiło, ale nie kazał Guły zawołać do siebie, bo nie chciał wybadywać cudzego sługi bez uwiadomienia o tem jego pana; cesał zatem, póki Borch nie powróci do sdrzewia. Jednakże pułkownik wtenczas przeszedł delikatność jui i Borchu o to nie pytał, bo powiedział sobie: Juici niepodobna przypuścić, aieby stary Borch, człowiek taki rosmny i doświadczony, omylił się na tym człowieku; jeieli zaś Guła nam służył na szpiega, to moje nam bard zo cenne oddał usługi, ale była to rzecz bardzo nierostropna s jego strony, narażać się na strycsek moskiewski, kiedy ma całą fortunę swoich panów w swym ręku. Ale Wisłocki nie potrafił się całej prawdy domyśleć, bo nie wiedział, do jakiego stopnia Rusini trzymają se sobą i do jakich poświęceń są s dolni jeden dla drugiego.

Przez ten czas Salusia odwiedzała pułkownika prawie codziennie. Przez cały marzec była w doskonałym humorze, ale pod koniec tego miesiąca jej humor się zmienił: czwartaki wyszli s Warszawy i bili się pod Wawrem i Wielkiem Dembem. Salusia czytała u pułkownika pilnie wszystkie gasety i bardzo uważnie słuchoła, co u niego o bitwach mówiono. Obyczaje w Warszawie były podówczas cokolwiek lekkie; podczas wojny jeszcze więcej się rozwinęły; nie brano za złe kobietom, jeieli w uwielbieniu dla walecznych rycersy nie ustępywały mężczyznom; jeieli ktoś dla misji dyplomatycznej zostawił ionę na opiece rycerstwa, to powiadano o nim, że przecie wiedział, co robił...

Pułkownik cię droczył awawolnie z Salusią i zawsze ją najprzód jakąś złą wiadomością o czwartakach prsera- iał, a potem snów uspokajał. Ale jednego dnia, a było to już w kwietniu, Salusia przysysła ze łzami w oczach, siadła przy łóżku swojego szwagra i nie była w stanie konwersacji utrzymać.

— Cóż się tam stało? — zapytał pułkownik — pewnie jakiego czwartaka raniono w jakieś miejsce bolesne.

Ale Salusia, zamiast odpowiedzi, podała mu kartkę do przeczytania.

Pułkownik wziął kartkę do ręki i wyczytał na niej te słowa:

— „Wpadłem w drapieżne ręce Moskali, gotowi mnie wywieść na Sybir. Kamerdyner ci wszystko opowie. Każ sobie przysłać pieniędzy z Wiednia od Gaymiillera i rób, co możesz, aby mnie z tej matni wydobyć. Poradz się naprzód Wisłockiego, a potem księcia i pana Małachowskiego. Na każdy wypadek niechaj mnie zaraz rząd wiedeński zareklamuje. Ufam twojej zrzeczności. Twój mąż.”

Przeczytawszy tę kartkę, pułkownik miał wielką ochotę parsknąć od śmiechu, ale się wstrzymał i rzekł:

— Ale to Łoś oszliw3zej sztuki dokazał, że wpadł w ręce Moskali. Chyba że ich sam szukał umyślnie. Bo przecież na całym lewym brzegu Wisły nie masz ani jednego Moskala. Jakże to było?

Salusia opowiedziała, co się dowiedziała od kamerdynera: Pan hrabia między Zamościem a Lublinem, wpadł w ręce Moskali.

— Cóż teraz zrobić? — zapytał pułkownik.

— Ja nie wiem — zawołała Salusia, łamiąc ręce i zalewając się łzami — ale ja wszystko zrobię i nawet siebie samą poświęcę, ażeby tylko jego wydobyć.

— To bardzo pięknie — rzekł na to żartobliwie pułkownik — ale jeżeli serce..

— Tem bardziej — zawołała na to z energią Salusia, a wstawszy i przybliżywszy się do niego, dodała z niecierpliwością : — Powiedz że mi pułkownik, co robić. Jestem na wszystko gotowa.

— Kiedy tak, to posłuchaj-że mojej rady — odpowiedział jej na to pułkownik — co tutaj można zrobić, to ja zrobię za ciebie. Poszemy parlamentarza do Kreutzta, a jeśli twego męża tam nie md, to do Zolla, bo jużci tylko do jednego z tych dwóch musiał się dostać i poprosimy o od

danie nam go' jako obywatela z Galicji, który jechał do Warszawy do swojej żony. Ale ponieważ to z Moskalami sprawa, którzy nie uznają buntowniczych urzędów, więc jedź ty sama do Wiednia, weź tego samego kamerdynera ze sobą, aby ci w danym razie posłużył za świadka, z Krakowa napisz list do księcia Lobkowicza, aby za nim zaraz napisał do Metterniclia i wyrób to w Wiedniu, ażeby oi dar o Ust do tutejszego konsula z rozkazem, aby go bez zwłoki zareklamował. Ale tu nie ma czasu do stracenia, bo za kilka tygodni może będziemy musieli go szukać na drodze do Tobolska, albo do Orenburga.

Bada była dobra: Salusia jeszcze tego wieczora wyjechała pooztdą do Wiednia.

Łoś doskonale odprawił swoją misję we Lwowie. Oddał liBty Izydorowi Pietruskiemu i powtórzył dosłownie ustne instrukcje; doręczył list księciu Lobkowiczowi, a potem umiał go tak zająć swoim opowiadaniem, ie książę go parę razy na obiad zaprosił i wypytywał o wszystkie szczegóły z natężoną uwagą.

Łoś, jako dyplomata, nie spuszczał ani na chwilę z oka swojego celu, odmalował sumiennie cały stan rzeczy w Królestwie. Według jego opowiadania, armja polska ma dzisiaj sto tysięcy ostrzelanego żołnierza, a drugie sto tysięcy jui się formuje. Żołnierz tam rzeczywiście, jak mawiał król Saski, z pod ziemi wyrasta : do formacji trzecich stu tysięcy już się robią przygotowania. A jaka-to armja! Jeden żołnierz polski przewraca za jednym zamachem dziesięciu Moskali jak kręgle — a jak palnie jeszcze na odlew, to wali drugich dziesięciu. Strzelcy polscy tak celnie strzelają, że ile razy na nich szarżował jaki pułk moskiewski, to jui na sto kroków go zdmuchnęli kulami, jak gdyby świecę kto zgasił, chyba, że tam w ostatnich szeregach jakich kilku się ostało na nogach, ale i ei, naturalnie, uciekli. Kawalerj i moskiewska ? śmiech mówić. Jeden szwadron polskich ułanów stał na tabakę

cały pułk ki- rysjerów Albrechta, a niedobitków zabrał w niewolę. Gdyby Chłopicki nie został raniony pod Grochowem,

z armji Dybicza nie byłoby dziś ani śladu, a armja polska stałaby teraz nad Diwiną. Lada dzień i Skrzynecki tego dokaże. Ale my jesteśmy umiarkowani, nie pragniemy cudzego i powiadamy sobie: I Moskale są ludzie. Niech będzie państwo polskie, ale niech będzie także państwo moskiewskie. My sobie obierzemy króla, którego, jak się spodziewamy, Austrja nam nie odmówi; ale trzeba także utrzymać cara na tronie, bp inaczej rewolncja w Moskwie wybuchnie i dekrabryści owładną krajem — a wtedy, i my i Austrja, dziękujemy za takie sąsiedztwo. Otóż, ażeby się to nie stało, potrzeba interwencji koniecznie — i trzeba, ażeby Austrja interwenjowała bez zwłoki, bo za jakie parę miesięcy, mozesz księżę tego być pewnym, nie będzie z kim pertraktować, bo Moskala nie znajdziesz ze świecą.

Tak mówił Łoś. Księżę Lobkowicz czasem się na te opowiadania uśmiechał, ale go słuchał. A wysłuchawszy, sam go zachęcił, aby pojechał do Wiednia, dał mu nawet bilet do któregoś ze swoich przyjaciół, tylko oddając list, powiedział te słowa:

— Bardzo się będę cieszył, jeżeli pan hrabia za pomocą tego biletu dotrzesz do księcia Metternicha, ale na ten wypadek zrobię ci jedną uwagę. Cała sztuka dyplomacji na tem polega, ażeby nigdy całej prawdy nie mówić. Jeżeli księciu Metternichowi powiesz tylko połowę tego, ceś mnie tu powiedział, to to aż nadto wystarczy. Jedź-ie zdrów, a wracaj czempredzej; opowiesz nam, coś tam usłyszał.

Pomyślne wiadomości o postęпах powstania, donoszone na wszelkich możliwych drogaoh.do Wiednia, były Lobko- wiczowi wcale na rękę, chodziło mu tylko o to, aby im uwierzono.

Łoś kop.iał się kurjerskimi końmi na dzień i noc do Wiednia, wpadł tam jak bomba, narobił ogromnego hałasu, dotarł do Metternicha, arcyksiążąt, do wszystkich ministrów, opowiadał wszędzie jako świadek naoczny, wszystkim głowy pozawracał i za kilkanaście dni do Lwowa powrócił. Przy wiozł kilka listów do księcia, z których księżę, jak się zdawało, nie bardzo był kontent, bo powiedział mu po ich przeczytaniu:

— A ja panu hrabiemu mówiłem, że połowa prawdy wystarczy...

Ale nieukontentowanie to było tylko przelotne, bo już się zaczęły potwierdzać wiadomości o polskich zwycięstwach pod Wawrem i Wielkim Dembem — a niebawem przyszła rozgłośna wieść o wielkiej klęsce Moskali pod Iga- niami.

Łoś wtedy był górą — i jeszcze sobie z Lobkowicza dworował. Jakoż za parę dni Lobkowicz dał mu ustną odpowiedź na propozycję księcia prezesa w ten sens: że jeżeli Polacy tylko jeszcze jedno znaczne zwycięstwo odniosą, to on gotów będzie postarać się o upoważnienie od swego rządu do przyjęcia roli pośrednika pomiędzy Polakami a Rosją i wtedy zaraz sam do Warszawy przyjedzie.

Przed Łosiom teraz siódme niebo się otworzyło I cóż to za porównanie pomiędzy tem szczęściem, które go wtedy spotkało, kiedy mu tę misję powierzono, a tem, którego teraz doznaje, kiedy mu się ta misja tak precudownie udała! Austrja stanęła po stronie powstania, interwencja jej zapewniona, sam Lobkowicz się jej podejmuje: a kto to wszystko zrobił? On, on sam jeden, j»k palec. Zjakiem- że politowaniem spoglądał teraz na wszystkich Pietruskich i Czartoryskich! Jakich tryumfów sobie nie obiecywał w Warszawie!

Zastanowiwszy się cokolwiek nad tem, z czem wraca do Warszawy, znalazł jednakże maleńką chmurkę na firmamencie tego siódmego nieba. Pietruski dał mu wprawdzie cały pakiet listów i depesz, odnoszących się do za- kupna broni i amunicji, ale Lobkowicz nie mu nie dał na piśmie. Udał się tedy jeszcze i o to do niego.

Ale spokojny, chociaż o wiele młodszy od niego gubernator, odpowiedział mu na to :

— Temperament Polaków jest taki ognisty, że ich dyplomaci mają daleko więcej zapału, niżeli gdzieindziej żoł

nierze. To, co ja panom powiadam ustnie, ma daleko wiq. cej wartości, nizeli to, co w mojem położeniu mógłbym wam dać na piśmie. A co do wiarogodności, to b<sup>^</sup>di pan hrabia spokojny: za parę dni przyjedzie tam do Warszawy ktoś drugi, który księciu prezesowi relację pańską potwierdzi. Panu nic nie zostaje innego, jak tylko nie tracić czasu we Lwowie.

To oświadczenie księcia dopiero całkiem otworzyło oczy Łosiowi i zamieniło ową chmurkę w nowe światło promienne. Bo prawda: z listami posyła się jakiegokolwiek posłańca, ale polecenia ustne daje się tylko komuś takiemu, który ma zaufanie i głowę po temu. O to tylko idzie, ażeby czasu nie tracić.

Łoś, jadąc do Lwowa, doznał niemało zawodów z po cztowemi końmi w Królestwie. Czasem ich wcale nie było na stacji, gdzieindziej dawano mu takie szkapy zmęczone, że byłby prędzej poszedł piechotą, a kilka razy poeztmi- strze nawet odmówili mu koni, mówiąc mu w oczy niegrzecznie: — A co waćpan za jeden? my dla cywilnych, co uciekają z Warszawy, koni nie mamy. — Łoś, jako człowiek przezorny, pomyślał jui o tem przed wyjazdem do Wiednia i kazał swojemu stangretowi, którego zostawił we Lwowie, kupić cztery tabuny. Koni takich można było naówczas dostać łatwo we Lwowie, bo ich właściciele w południowych gubernjach rosyjskich, obawiając się, aby im ich nie zabrano za darmo, przemycali je do Galicji i sprzedawali za bezcen. Łoś zaprzął w poręcz do swego powozu cztery takie tabuny i mógł robić dziennie mil dwanaście. a choćby nawet piętnaście, i nie dbać wcale o łaskę pocztmistrzów.

Jakoż pierwszego dnia dojechał lekko na noc do Tomaszowa. Gdyby był wojskowym, to nawet nie pytawszy, jakie wojska gdzie stoją, byłby zaraz z Tomaszowa skręcił na lewo, na Janów do ZawichoBta, ażeby się jak najprędzej dostać na lewy brzeg Wisły, choćby i drogi nałożyć; ale jemu to ani na myśl nie przyszło, zwłaszcza, ie roskał była po drogach, a nawet i szosy były od ciągłych prze marszów wojsk niepomału rozbite. Puścił się tedy na Zamość i Lublin i drugiego dnia Btaął na noc w starym Zamościu.

Trzeciego dnia rano, kiedy już powóz jego zajechał, łyd karczmarz spojrział jakimiś dziwnymi oczyma na niego i rzekł:

— Pan Polak ? zapewne spieszy się do Warszawy ? A którądy pan myśli jechać?

— Jakto którądy ? — zawołał Łoś niecierpliwie — za gościńcem, na Krasnystaw do Lublina.

— A to nie dobrze — zawołał żyd — bo w Kra- snymsławie stoją Moskale. I pełno tu ich jest po całym kraju, bo Dwernickiego szukają.

Łoś w pierwszej chwili powiedział sobie: — Cóż mnie mogą zrobić Moskale? — Ale przypomniał sobie, ie miał w kieszeni depesze. Więc spytał iyda:

— A czy jeBt stąd jaka inna droga do Warszawy ?

— Gościńca nie ma — odpowiedział karczmarz — ale są drogi wiejskie. Jeieli pan chce, to ja panu dam iydka, który pana przeprowadzi bocznemi drogami na Kraśnik ai do Bachowa, albo do Solca, a tam pan się przeprawi przez Wisłę.

— Zgoda — rzekł Łoś — ja twego iydka sowioie zapłacę; ale jeżeli mnie zdradzi, to z twojej karczmy zostanie się tylko garstka popiołu, a dopiero wtenczas się dowiesz, z kim masz do czynienia...

W pół godziny potem Łoś posadził awego kamerdynera obok siebie, a iydka obok stangreta i pojechali.

Drogi były fatalne, dzień chmurny, deszcz prószył ze śniegiem, około drugiej godziny przyjechali do jakiejś karczmy na popas. Wyjechawszy z popasu, dostali się w czyste pola, otoczone lasami. Jechali tak z jaką godzinę, kiedy Łoś się obejrzał na prawo i obaczył o kilkaset kroków pod lasem kupkę jeidiców na koniach. Zerwał się na równe nogi, wytycił



wzrok i mrowie go przoazło: byli to kozacy. Obaczywszy powóz, pušeili Bię małym klusem  
ku niemu. Kozakom tym moia się było kilkunastoma du-  
Wsal Ojoowlf. "

katami okupić; ale w Łosiu krew polska się odezwała, więc najprzód żyda w kark raz i drugi: — A tak-to mnie drabie prowadzisz! — a potem za kark i z kozła. Jednocześnie zaś krzyknął na stangreta: — Maciek! puszczaj, co konie wyskoczą!

Droga była jakakolwiek w tem miejscu, choć kamienista, Maciek puścił konie w cwał, tabuny sadyły naprzód, jak gdyby je kto ogniem był smagał, powóz odskakiwał na pół łokcia od ziemi, Łosiowi zęby dzwoniły, z oczu Się iskry sypały, ale stał w powozie, trzymając się pudła obydwoma rękami i patrząc po za siebie, czy kozacy go gonią. Kozacy gonili, ale widać, że konie mieli zmęczone, bo chociaż siekli je nahajkami, coraz dalej przyzostawali za powozem. Łoś cokolwiek odetchnął, lecz kazał pędzić tem bardziej, ażeby zniknąć z oczu kozakom. Maciek pędził jak orkan i wszystko się przed nim rozstępowało. Rozstąpiła się przed nim jedna placówka, a potem mignęła się druga, Maciek obaczył jakiś tłum czarny przed sobą, śmignął jeszcze raz batem po koniach i wjechał — w sam środek moskiewskiego obozu.

Tam szczęśliwie uderzył kołem o słupek kamienny, który stał przy gościńcu na rynku, powóz aię przewrócił, Maciek i kamerdyner zostali wyrzuceni na lewo, Łoś upadł na prawo i potoczył się pod nogi kilkunastu oficerom, którzy (właśni) stali na kilkanaście kroków przed wjazdem do murowanej gospody. Kilkuset żołnierzy, którzy stali na rynku, nie mogli się wczas rozstać przed rozhukanemi tabunami, które leciały na oślep z przewróconym powozem i kilkunastu z nich zostało roztratowanych, ale natomiast inni zatrzymali konie i powóz.

Kiedy Łoś zebrał się z ziemi, szczęściem nie uszkodzony, bo miał wielkie futro niedźwiedzie na sobie, znalazł się w obec kilkunastu oficerów moskiewskich, z których jedni się śmiali, a drudzy tylko ciekawie patrzyli na niego.

Łoś zdjął czapkę futrzaną przed nimi, otworzył usta, chciał się jak najnprzejmiej uśmiechnąć, chciał coś prze mówić, ale djabeł sam wie, co w takim wypadku można powiedzieć. Nareszcie jakiś starszy oficer przystąpił do niego, zapewne Gewaltiger obozu i rzekł:

— Co wy ' za jeden ? i dla czego z takim impetem najeżdżacie na obóz?

Łoś się uśmiechnął, oblizał się parę razy, zaczerpnął powietrza i byłby bardzo pięknie się wytłumaczył, ale te przekłete depesze w kieszeni całkiem mu odebrały wymowę. Zaczął się jękać i płatać i nareszcie nio nie powiedział. Natenczas Gewaltiger rzekł: ' — Chodźcie do generała.

Jenerał mieszkał w murowanej gospodzie, nazywał się Braker, był jenerałem artylerji, z temperamentu był chłodny, ale będąc bardzo uczonym, był ugrzeczniejszy. Dzisiaj był w nie najlepszym humorze, bo go wysłano wraz z brygadą grenadierów litewskich, aby Dwernickiego podchwycić, który miał iść na Wołyń, ale się posunął ku Wiśle; tymczasem Dwernicki zrobił tylko manewr fałszywy ku Wiśle, aby Moskali pociągnąć za sobą w tę stronę, zaś jak się to stało, odwrócił się i pociągnął nad Bug. Jenerał dopiero dziś otrzymał pierwszą o tem wiadomość, jeszcze nie był jej pewnym, posłał adjutantów do Tolla. i Kreutza po dalsze rozkazy, ale ten marsz bezpo- trzebny nabawił go pochmurnego humoru.

Kiedy Łoś stanął przed nim, już znacznie oohłonał. Jakoż woale dobrze się wytłumaczył, mówiąc: że jest austriackim hrabią i mieszka w Galicji, jego żona jeszcze przed powstaniem pojechała na zimę do Warszawy, gdzie ma krewnych, teraz boi się sama powracać i on jedzie po nią.

Jenerał tłumaczenie to dość dobrze przyjął, ale dodał:

— Pan hrabia, jako obcy, musisz mieć przecież przy sobie jakieś papiery?

Na te słowa Łoś zamarzył cały, jak gdyby go kto lodem obłożył. •

— Papiery? jakie papiery? co teł panu jenerałowi?., ja papiery? jakie papiery?

— Ale przeciei musisz mieć paszport.

Łoś odetchnął.

— Paszport? ach! naturalnie. Jakie-był ja bez paszportu... paszport... naturalnie, w ten moment...

I zaczął z pospiechem szukać po kieszeniach. Ale na nieszczęście był on tak nieostrożnym, ie włożył paszport razem z depeszami do jednej kieszeni. Wydobyć wszystkich papierów nie moina: byłby-to oczywiście paszport na Sybir; poznać zaś paszport pomiędzy niemi po omacku, to niepodobna. Jednak szczęściem jai zaczynało się zmiernić, postąpił tedy parę kroków ku oknu, a wyciągnąwszy zręcznie tylko roiek papierów z kieszeni, paszport rozpoznał — i z tryumfującym uśmiechem oddał go jenerałowi.

Jenerał go przejrzał przy oknie, ale jakoi zanadto długo w nim czytał; potem znowu się coś dłago namyślał — nareszcie rzekł:

— Paszport pana hrabiego zdaje mi się być w porządku .. Ale ja pana przeciez puścić nie mogę, musisz się z tem odnieść do jenerała Kreutzta. Przy nim jest cała policja i tylko on moie wiedzieć, czy pan nie otrzymałeś jakiej misji dyplomatycznej we Lwowie...

Łoia znów przeszło mrowie i łydki się pod nim za trzęsły. Tymczasem jenerał mówił dalej:

— Ale to długo nie potrwa, bo jeszcze dziś wieczór odjedzie drugi kurjer do niego. A pan i tak odjechać nie moieaz, bo powóz jest uszkodzony. Stań pan zatem w tej gospodzie, każę panu dać izbę osobną — a tymczasem proszę do siebie na objad, bo tu kuchnia fatalna.

Łoś znowu odetchnął i mruknął sobie pod nosem:

— Kiedy tak, to moie jakoś się wykręcimy. — A ie był zmyślny nad podziw, prosił zaraz jenerała, aby mu pozwolił dać kilkanaście dukatów żołnierzom, którzy jego konie zatrzymali i zostali przez nie poturbowani.

Z tem też wyszedł do szynkowni, tam napisał ołówkiem na prędce ową kartkę do iony i pchnął z nią ka

merdynera do Warszawy, rozkazując mu lecieć pocztą na dzień i noc.

Kiedy powrócił, jenerał go przeprowadził do drugiego pokoju, gdzie obiad był przygotowany i kilkunastu oficerów czekało. Moskale iyli dobrze w swoich obozach, wina mieli wyborne, znalazło się i niezbędne szampańskie. Łoś nabrał fantazji, mówił po francusku i po niemiecku, żałował bardzo, ie po rosyjsku nie umie: taki piękny to język i taki arystokratyczny i taki prawdziwie pański i tak bogaty w wyraiienia wykwiłne! — Opowiadał bardzo dowcipne anegoty o Wiedniu i drwił z Austrjaków: wszyscy go z upodobaniem słuchali — i wszystko mu szło wybornie... żeby tylko nie te nieszczęsne depesze w kieszeni I Nuż strzęsą? Na tę myśl oddech mu się zapierał w piersi — i jui widział kibitkę przed sobą, pędząo w cwał do Irkucka, a moie nawet do Kamczatki. A wtedy wzdychał i w myśli podnosił ręce do góry: — Oh i co to za mądry dyplomata ten ksiąię Lobkowicz! ten mu nio nie dał na piśmie. A ci dyplomaci polscy, jaka to jeszcze dzika ioh dyplomacja! Obładować kogoś pismami, wiedząc dobrze, ie przeciei Moskale włóczą się we wszystkich kierunkach po kraju...

Ale tymczasem obiad się skończył, podano kawę, rum i likiery — a jenerał go apytał: czy grywa w karty? — Łoś byłby aię przyznał, ie umie tańczyć na linie, byle aię tylko przypodobać Moakalom, a odwrócić ich uwagę od de- peaz: więc oczywiście gra wszystkie gry, jakie są tylko na świecie. Jakoi zaraz zasiedli do faraona; Łoś grał i przegrywał. Ale jak przegrał, powiedział, ie musi pójść po pieniądze — a jak wyszedł, widząc, ie noc była ciemna, choć oko wykoł, skoczył do ogrodu, wydobył depesze i nui drzeć je w jaknajdrobniejsze kawałki i rozrzucić po całym ogrodzie. Za kilka minut nie miał jui ani światka przy sobie: natenczas z całej piersi odetchnął i w głos aię roześmiał. Teraz moiecie

mnie trząść, panowie Moskale! a tobie, dobrze oi tak, panie Pietrnski! bo czy słyszał kto kiedy, ażeby w czasach wejennych depesze posełać na pi

śmie? — Tak wrócił wesół, grał z Moskalami do białego dnia, przegrał sto kilkadziesiąt dukatów, ale się śmiał z tej przegranej, bo wygrał przeciwko nim całkiem inną batalję.

Na drugi dzień spał do południa, lecz wstawszy, na robił ogromnego hałas za swoim kamerdynerem, każąc go szukać po całym obozie i narzekając, że go pewnie zabito. Dał nawet generałowi jego rysopis i prosił, aby kazał go szukać po innych komendach. Rysopis był oczywiście fałszywy. Tak, panowie Moskale! nie z dudkiem to sprawa. Popołudnia doglądał naprawy powoza i nakazał Maókowi, aby na każdy wypadek miał konie nbrane, bo kto wie, co tam może się zdarzyć. Wieczorem obiad, a po obiedzie gra w karty.

Łoś dzisiaj już nie chciał przegrywać, bo na co? Ale jakoś ma nie szło. Jego dakaty lecały jeden za drugim jak w otchłań Tema nieszczęścia oczywiście winna Salasia: tak go kocha szalenie, tęskni za nim i płacze, trudno w Ukiem położenia wygrywać w karty. Widząc, jak jego rolony znikają w kieszeniach Moskali, gniewał się na Salosię i myślał sobie: — Do czego-to takie gorące kochanie? Jaż blisko półtora roku jest zameżna, mogła-by się przecie amitygować. — Ale grał dalej, znów do białego dnia, i znów przegrał ze dwieście dukatów. Idąc spać, powiedział sobie: — Pał was djabli! tylko jak mi przyjdzie grać jeszcze z tydzień, a Salasia nie nabierze rozumu i nie przestanie tego niepotrzebnego wzdychania, to i dukatów mi nie wystarczy. A potem co?

Zasnął snem twardym, ale spał niespokojnie. A kiedy wstał, zaczęły mu się snuć po głowie rozmaite koncepty. Gdyby naprzykład udał, że już nie ma pieniędzy? i gdyby powiedział, że stąd o małą milkę ma krewnego, pojedzie do niego, wróci na obiad i przywiezie cały worek dukatów? Myśl niezła. Tylko trzeba wiedzieć, jak się ten krewny nazywa i gdzie leżą jego dobra. Przez całe popołudnie zatem kręcił się ciągle około karczmarza i wypytywał go o wszystkich okolicznych szlachciców i ich majątkowe stosunki.

Na pół godziny przed zmrokiem jaż miał kilku kandydatów na krewnych i właśnie się nad tem namyślał, którego ma wybiąć: kiedy wtem odezwały się trąby i bębny i ruch ogromny się zrobił w obozie. Co to takiego. — Generał się zbliżył do niego i powiedział mu tonem grzesnym, ale prawie rozkazującym:

— Każ pan sobie zaprzęgać. Brygada insza w marsz, weźmiemy pana ze sobą.

.. — Masz tedy I—zawołał Łoś do siebie, — wloką mnie z sobą, a i trudno wiedzieć, dokąd pan Bóg prowadzi. Generał zniknął; chciał pytać innych oficerów, ale ma żaden nie odpowiedział. Tymczasem rynek napełnił się wojskiem. Oficerowie już siedzieli ca koniach, kompanje się uszykowały do marszu i zaraz ruszyły. Jego powóz jaż był zaprzężony. Jakiś oficer krzyknął na niego: Siadaj do powoza! — Łoś wsiadł, i powóz jego ruszył na rynek.

Wojsko już odeszło, na rynku stało długim szeregiem kilkanaście furgonów i kilkanaście powózek. Oficer kazał wjechać jego powozowi w sam środek tych wozów, wozy ruszyły, a on z niemi, zabarykadowany z przodu i z tyłu wozami i nie mając ani pojęcia, dokąd go prowadzi.

Oglądał się po okolicy, ale już się wtedy zmierzchnęło, a do tego jeszcze mgła gęsta zaczęła osiadać na polach. Łoś był jak w garnku. Uważał tylko, że od czasu do czasu przejeżdżał koło jego powozu podoficer na koniu, doglądający zapewne powózek. Łoś nabrał odwagi i spróbował zawiązać z nim rozmowę. Podoficer był gadatliwy, Łoś jemu jeszcze lepiej język rozwiązał, ofiarując mu dukata: ale cóż z tego? Rozmowa była bardzo trudna, bo podoficer mówił tylko po rosyjsku. Łoś jednak wyrozumiał przynajmniej tyle, że brygada ani nikogo nie goni, ani przed nikim nie ucieka, tylko ciągnie do starego Zamościa. Dwernicki Moskali oszukał, wyprawił ku Wiśle tylko oderwane oddziały, a sam jest w marszu na Wołyń. Odtąd aż do samej Wisły nie masz ani Polaków, ani Moskali —

a brygada tylko dlatego idzie marszem pospiesznym, żeby się a kawalerją połączyć, która pociągnęła ku Bogowi.

To tedy byłoby nie źle, bo batalji nie będzie, która- by Łosiowi wcale nic była przyjemna. Spytał więc jeszcze, czy jest jaki konwój przy wózkach? I dowiedział się, że jest tylko jeden pluton, ale i ten naprzód pociągnął, bo nie masz żadnego niebezpieczeństwa. W tej chwili podoficer dał koniowi ostrogę i odjechał.

Łeś tedy w swoim umyśle, nadzwyczajnie ruchliwym, zaczął rozważać, czy nie możnaby drapnąć jakim sposobem. Konwoju konnego nie ma, noc ciemna, że na pięć kroków nie widać, tabunom moimaby śmiało zaufać, gdyby tylko

jaka droga Bie pokazała, a zwłaszcza na prawo        Tak

jechał z godzinę, jui powziął determinację, już miał się ze swoim Maćkiem o tem rozmówić: kiedy wtem tętent i szum taki gwałtowny, jak gdyby burza jaka las obalała, dał się słyszeć na prawo i lewo, z przodu i z tyłu. Krzyki, jęki, hałasy rozległy się w koło — i zaczęła się rąbanina. Ani jeden strzał nie padł, tylko szable błyszczały, uderzając głównie w kołnierzy przy furgonach. Oczywiście ktoś napadł na konwój — i oczywiście Polacy.

Wszystko to wszakże ani jednego pacierza nie trwało: część napadniętych żołnierzy pozeskakiwała z koni, a po- WBkakiwała na fu'gony i wozy, cały konwój się odwrócił, jak gdyby go wichur zmiotł z gościńca i otoczony jeźdźcami, co konie wyskoczą, inną drogą i w całkiem inną stronę popędził. Powóz Łosia, porwany pędem ogólnym, leciał razem z wszystkimi wozami .....

I znowu koła odskakiwały na pół łokcia od ziemi, znowu mu Btił się trzymać budy obydwoma rękami: Łoi był odurzony, ale niech się jui dzieje, co chce, byle tylko się oś nie złamała i powóz się nie przewrócił. Przecie to nikt nie może być inny, jak tylko Polacy: tylko to jakoś było mu dziwne, że jeidzoy, którzy obok konwoju pędzili na koniach i siekli nahajkami furmanów i konie zaprzężone, nie mieli na sobie polskich mundurów, tylko brunatne kubraki czapki, baranie, lederwerki czarne, gwintówki, przewieszone przez plecy i pistolety za pasem. O takiej polskiej kawalerji Łoś nigdy nie słyszał.,...

Pędzili tak jednak nie długo, małe pół godzinki, nie więcej, przejechali las długi i gęsty i stanęli za lasem.

Tam ci kawalerzyści zaświecili latarnie i zapalili łuczywa — a komendant z kilkoma starszymi zaczął wozy obchodzić i patrzeć, co się znajduje w furgonach i na wozach. Od czasu do czasu słyhać było śmiechy rozgłośnie i moimaby wyrozumieć z okrzyków, że znaleziono jeden wóz, napełniony konfiturami, inny winem szampańskim, kilka wozów wędliny, a jeden z książkami.

Nareszcie komenda się przybliżyła do Łosia. Oświetlono jego powóz latarniami i przyświecano mu w oczy łuczywem, — a komendant zawołał:

— A to co za szczupak ? doktor, czy kucharz ? kto waćpan jesteś?

Natenczas Łoś otworzył usta na ścień, a oczy mu się zaokrągliły, jak dwa talary. Komendant swoją postacią tak go przestraszył. Był to człowiek chudy, jak szkielec, z ogromnym wąsem strzępiastym, ze świdrowatemi oczyma i z nosem przyprawionym woskowym, który mu się ciągle kiwał. Łoś zapomniał języka w gębie i jui mu się przywidywało, czy nie z samym djablem to sprawa.

— Kto waćpan jesteś? — krzyknął raz jeszcze komendant, — przecieieś nie oniemiał!

— Panie komendancie! — rzekł Łoś, dzwoniąc zębami, — ja jestem Polak.

— Polak? w moskiewskim obozie! — huknął na to komendant, — hej! a jest tam który ze stryczkiem ?

W tej chwili Łosiowi już się całkiem w oczach zaćmiło, zdawało mu się, że ziemia się usuwa pod jego nogami; moment-to był w samej istocie bardzo krytyczny. Ale się wstrząsł, zebrał wszystkie swe myśli i zaczął jąkać: ".■"•■ '

— Ale panie komendancie... mnie Moskale wzięli w niewolę. Ja miałem mając dyplomatyczną do Lwowa ..

Wasi ojcowi\*.

wracałem stamtąd do Warszawy .. i właśnie tak chciało nieszczęście, że wpadł Moskalom w pazury;

— Jeżeli ty bawisz się dyplomacją, — rzekł na to komendant, — to i takby cię trzeba powiesić. Ale kiedy ty wracasz z misją, to pokaż papiery.

— Papiery! jakie papiery? — zawołał Łoś przerażony, — ale zarazem bardzo gniewna myśl przeleciała mu przez głowę: — Czy djabli nadali z temi papierami! tam mnie Moskale byliby powiesili, gdybym był miał papiery, — a ten mnie znowu chce wieszać, że nie mam papierów! Bodaj was wszyscy djabli wzięli z waszemi dy- plomatycznymi misjami!

— Ale panie komendacie! ja nie mam papierów- Miałem, dając słowo honoru ale jik mnie Moskale wzięli, podarłem i porozrzuciłem...

— To ty taki dyplomata? - na to rzekł komendant, — tobie dają misję, przez ciębie posyłają ważne papiery, a ty mazgaju dajeBz się łapać Moskalom i drzesz ze strachu papiery ? Zleż-no, panie bracie, z twego dyplomatycznego powozu. Przetrzęsiemy cię trochę, a jak będzie potrzeba, to i przypieczemy łuczywem, a tak się dowiemy, co to za zdrady ta dyplomacja tam knuje.

Łoś miał wtedy, panie Boże mu odpuść i takie uczucie, że bodaj czy nic lepiej dostać się w ręce Moskali. Przecież uszanowali ród i nazwisko i nawet go nie strzęśli, — a ten jeszcze go chce przypiekać łuczywem. Zebrał tedy jeszcze raz wszystkie swe siły i nabrawszy odwagi, wydobył paszport z kieszeni, oddał go komendantowi i rzekł dumnie:

— Jestem hrabia Łoś, — a to jest mój paszport!

Ale komendant się uśmiechnął ' swemi świdrowatemi oczyma ku niemu i rzekł:

— Jeśli-byś ty był takim łosiem, co jest sierścią pokryty, a ma rogi na głowie, to może-byś mógł się ze mną mierzyć rodem. Ale inaczej nie. Bo ja jestem Giedroją. księżę i mam sobie wszystkich hrabiów za hetkę-pętelkę.

To rzekłszy, kazał Bobie przyświecić i wziął się do czytania paszportu. Ale przypatrzwszy mu się dobrze, oddał mu go napowrót, mówiąc z pogardą:

— Djabeł tam umie czytać wasze niemieckie paszporty i

Przez ten czas Łoś już całkiem przyszedł do siebie i zaczął mówić po francusku do niego, poczynając w te słowa:

— Mości księżę! spodziewam się, że jako kawaler, zechcesz się ze mną obejść po kawalersko. Daję ci słowo honoru, że mię księżę prezes i pan Małachowski, nasi minister spraw zagranicznych, wyprawili z misją dyplomatyczną do Lwowa. Powiem ci pod słowem, o co chodziło, jak mi się misja udała i z czem do Warszawy powracam..

— Djable ei się twoja misja udała! — zawołał Giedroją, śmiejąc się głośno, — wpadłeś w ręce Moskali, a teraz w moje — i jeszcze do tego zaprzepaściłeś papiery i Na co mi się tam dowiadywać, z czem ty wracasz do Warszawy ? przecie to widzę. Wracasz z gębą. Ani się nawet nie będziesz śmiał pokazać twoim ministrom, boby cię jak dudka wyśmiali. A jeszcze nawet nie wiem, czy wrócisz...

Tymczasem żołnierze nałożyli wielki ogień pod laBem, porozścielali wojłoki i derki, a na nich porozkładali konfitury, owoce suszone, chleby, wędliny i mnogo butelek wina.

— Ja mam szczura w brzuchu, — rzekł Giedroją — a jak tam u ciebie? Bo dyplomaci podobno także nie żyją słowem Bożem. Nim cię powieszę, jeszcze cię nakarmię i napoję, bo na tamtym świecie będziesz się z aniołami światłem niebieskiem radował, jeżeli djabli nie będą sma- rzyć cię w piekle, ale konfitur i szampańskiego tam nie zażyjesz.

To mówiąco, Giedroją siadł na kulbace, postawionej na aiemi, a Łosia zaprosił na dragą. Oficerowie zasiedli dokoła i zabrali się do jediaenia i picia. Łoś jadł i pił z nimi i już całkiem się uspokoił. Patrząc ciągle na Giedrojcia z pod oka, uśmiechał się w duchu i myślał sobie: —



Wprowadziem

ja jeszcze takiego księcia nie widział, co sobie oddziały formuje z oczywistych opryszków i na furgony napada. Juici bywali w średnich wiekach rycerze, co w wolnych chwilach także się rabunkiem bawili, — dzisiaj ich potomko wie dumni są z tego — ale to od dawna nie jest jut w modzie. Ten, musi to być zuchwalec nielada, kiedy tak zdmuchnął taki znaczny konwój Moskalom. Zdaje się takte, te lubi często nos wścibiać, gdzie go nie trzeba, bo jut mu go gdzieś przyskrzynili. Ale nie sędzę, teby to był bardzo zły człowiek. Jakoś ja Bię tu od niego wykręcę...

Giedrojc, podjadłszy i ugasiwszy winem moskiewskiem pragnienie, tak się odezwał do niego:

— Powiadasz się hrabią i podobno tak stoi w twoim paszporcie, jeśliś go sam nie podrobił. Powiadasz Bię dyplomata — i to takte być mote, bo wcale na matacza wyglą- dasz i uśmiechasz się jak kot, kiedy chce miskę wylizać. Mógłbym ja ei nie wierzyć, bo bardzo niedobrze z oczu ci patrzy, ale mote ja tobie uwierzę. Powiadaj te mi, z jaką to misją Skrzynecki ciebie wyprawił do Lwowa?

Po tych słowach zapalił swoją fajeczkę i słuchał. Łoś zabrał głos, a te mu wymowy nigdy nie brakło, opo- • wiadał szeroko i długo o swojej misji. A widząc, jui dobrze, z kim ma do czynienia, opowiadał mądrze, nie wspominał ani słowa o Lobkowiczu i ministrach wiedeńskich, tylko wyszczególniając znamienite Izidora Pietruskiego zasługi, jako wielkie zgromadził fundusze i ciągle zakupuje broń' i amunicję i przemyca je do Królestwa.

Ale Giedrojc takte znał Bię na ludziach i takie jui wiedział, z kim ma do czynienia. Jakoi na to tylko głową pokiwał i tak mówił:

— Kręc ty twoim dyplomatycznym językiem, jak chcesz, ale ty mnie nie oszukasz. Nie takie-to figury, jak ty, posyłają za bronią i amunicją. Ty jesteś jakiś kancela- rzyata, co moje j pistoletu nabić-by nie potrafił. Ciebie tam - posyłano, aiebyś z Austrią knował jakieś konszachty. Ja wiem, co wam się roi po głowaoh, ale to takie głupie, to w innym narodzie i stare baby by was wyśmiały. Wam

się śni interwencja Europy za nami: a ia wam powiadam, ie jeśli monarchowie interweniować będą, to nie za nami, tylko za carem, jeśli go potłuczemy, abyśmy go nie zgubili do szczętu- A to jest rzecz bardzo głupia: bo jeśli my wygramy, to Europie powiemy: Jeieli i ty nie chcesz dostać po skórze, to siediie cicho — a daj nam się z naszym carem pobawić, tak, jak my rozumiemy. Nie powiadam ja, ie ten moment nie przyjdzie, kiedy trzeba sę będzie z Austrią rozmówić, bo przecie musimy jej zabrać Galicję. Sprawa to nie tak trudna, bo jest to państwo mądre i szczęśliwe. Ile razy wojnę wygrało, to wzięło jedną prowincję, a jak zostało pobite, "to wzięło dwie. Na Galicji mu nic nie zalety, a my mu jej nawet darmo nie weźmiemy: dany Multany i Wołoszczyznę i Besarabję, a choćby jeszcze co więcej. Ale ' jeszcze — to nie pora po temu: a jak pora przyjdzie, to z tem nia kancelarzystę Bię poszle do Wiednia, jeno iołnierza...

Giedrojc chwilę pomyślał, a potem tak dalej mówił: I — Jestem pewny, ie Pan Bóg by mi wiele grzechów za to odpuścił, gdybym ciebie powiesił. Ale puszcę cię wolno, bo mnie złość nie bierze na ciebie. Zdaje mi się zresztą, ie i tak cię stryczek nie minie. Bo kiedy w Warszawie zaczną stawiać szubienice, a oiebie obaczą...

— Jaktó szubienice ? - — rzekł Łoś, którego ta uwaga mocno zajęła — przeciet tam nikt nie myśli o szubienicach.

— Nie myśli? — rzekł Giedrojc — a przeciet jui mnie samego wieBzać chcieli i jui stryczki z cholew wydobywali.

lj — Ale znów je schowali do cholew? — zauwiał Łoś z złośliwym uśmiechem.

— Schowali, bo jeszcze pora nie była po temu. I teraz jeszcze nie pora, bo Skrzynecki zwycięża. Ale jak mu się noga powinie... Ot, cót ci tam będę te rzeczy wykladał! Powiadam ei tyle, ie jak nas kędy Moakale pobiją, nie pokazuj się na ulicy, bo taką masz fizjogumję, ie

jabym sam oiebie pierwszego powiesił.

Dziwna rzecz! myślał Łoś, uśmiechając się w duchu, jemu się zdaje, że ja mam fisjognomję szubieniozłą, a ja znów jestem pewny, że nikomu by nie było tak do twarzy na szubienicy, jak jemu. Jednak jui tej myśli o szubienicy nie mógł Bie pozbyć. Tymczasem Giedrojc tak rzecz swoją zakończył:

— Jeieli chcesz, to się prześpij, ale lepiej zrobisz, jeieli zaraz odjedziesz, bo ja tu długo popasać nie będę, a nie chcę, abyś tu był, kiedy będę wyruszał. Szanuję twój honor, ale widzę, że jesteś łobuz: mógłbyś się znowu dostać w ręce Moskali, a wtedy byś im wyśpiewał, w którą ruszyłem stronę. Pomiedzy moimi ludźmi znajdziesz łatwo człowieka, który ci wskaie najlepszą drogę ku Wiśle. Jedi bez zatrzymania, bo dopiero na lewym brzegu możesz być całkiem bezpieczny. A jak będziesz w Warszawie, pokłoń się panom ministrom odemnie i opowiedz im, coś widział. Ja mam wszystkiego sto ludzi, a jui cztery konwoje zabrałem Moskałom, nabiwszy ich przytem niemało. To już jest piąty, dwadzieścia siedm furgonów i powózek, jedzenia, picia, broni, amunicji, koni, a nawet książek bez liku, tak, że i nie wiem, co z tem robić. Moi ludzie służą bez żołdu — a widziałeś sam, że u mnie iolnierz ma się lepiej, nieli u Skrzyneckiego pułkownicy i jenerałowie. Gdybyśmy mieli takich sto oddziałów, to dwóch miesięcy z armji moskiewskiej tylko by strzępki zostały, a armja nasza opierała by się o Diwinę. Bądź zdrow! zapewne już nigdy Bie nie zobaczymy. A jak się dowiesz, iem zginął, każ mszę odprawić za moją duszę i przypomnij sobie, że gdyby nie ja, to byłbyś skończył dni swoje pomiedzy lodami Sybiru...

Łoś był rozczulony, bo było coś dziwnie smętnego w głosie tego starego iolnierza. Zapomniał o wszystkim, śoisnął mu rękę serdecznie, wsiadł do powozu, znalazł człowieka, który się podjął przeprowadzić go do gościńca — i wyjechał ku Wiśle

Trzeciego dnia wieczorem stanął nareszcie w Warszawie. Zajechawszy przed swoje mieszkanie, jakie Bie eie-  
szył, że przybił do portu, że swoją ionę obaczy i spokoj. nie wypocznie po tyłu tarapatach. Ale prześladowający go os i tego mu zawidził. Zony nie zastał — a natomiast znalazł swoje mieszkanie zapełnione oficerami. Był to sztab jakiegoś pułku, który został rozbity, i teraz się reorganizował z jaknajwiększym pospiechem.

Łoś chciał się gniewać, ale przypomniał sobie, że to rewolucja... i zapewnił oficerów z jaknajprzyjemniejszym uśmiechem, że niemasz większego szczęścia dla niego, jak zachować na cała życie wspomnienie, iż w jego mieszkania pułk się organizował. Jednak rznał przytem niespo- kojncmi oczyma po wszystkich kątach, a nie śmiał zapytać: czy jego żona ma także jaką funkcję przy tej organizacji. — Dowiedział się nareszcie, że Salusia wyjechała do Wiednia. Nie mógł sobie tych wszystkich rzeczy uporządkować w głowie; przespał się w jakiejś komórce na strychu — i nazajutrz rano poszedł do pułkownika.

Wszelako tutaj spotkało go nowe rozczarowanie. Wisłocki dziś, wyjątkowo, był w najgorszym humorze i powitał go z kwaśno-gorzkiem uśmiechem.

Łoś, po tyłu awanturach, a zwłaszcza po swojej rozmowie z Giedrojciem o sprawach dyplomatycznych, miał sam to nczucie, że nie wypada mu bardzo wysoko podnosić rezultatów swej misji, mimo to jednak opowiedział z pewnym tryumfem, jakie wiadomości przywozi od Lobkowicza.

— Ale to strasznie stare są rzeczy I — zawołał na to pałkownik, — książę Henryk Lubomirski już przed trzema tygodniami miał te wiadomości ze Lwowa. Tutaj już wróble o tem na dachach śpiewają, że jeśli odniesiemy walne zwycięstwo, to nietylko Austrija, ale inne mocarstwa zażądają od Moakwy, ażeby weszła z nami w układy.

Łoś bardzo się tem zadziwił, ale się gorzko uśmiechnął i rzekł:

— To po jakiegoż djabła mnie wysłał do Lwowa ?

Wiłocki spojrział na niego i odpowiedział:

— Cóż ty tam o dyplomacji rozumiesz? W czasie

wojny wysła się trzech i czterech i pięcia karjeriw z tą samą misją, ho przeciet nieprzyjaciel ich chwytą po drodze. A tobie tak być karjerem, jak mnie kapucynem. Przyjechałeś wczoraj, a jeszcze dotąd ministrowi nie zdałeś raportu. Gdybyś był żołnierzem, to-byś poszedł za to co najmniej na cały miesiąc do kozy. Korjer, powra-1 cający z mi ją, zajeżdża prosto do ministra, a nie do swego mieszkania. Przeciet musiałeś przywieść jakieś papiery — i ty te papiery nosisz przez dwadzieścia czteryS godzin przy Bobie?

— Jakie papi ry?ł — zawołał Łoś, zrywając się z miejsc\*', — czy was djabeł opętał z temi papierami? Każdy mi ćwika w oczy papierami — a jui mi i stryczkiem za nie grożono 1

— Ne, ale przeciet Pietruski dał ci papiery, — rzekł niecierpliwie pułkownik, — w ministerstwie o tem jut wiedzą, bo przedwczorajszy kurjer przywiózł listy, w których Pietruski powołuje się na t papiery. A ty takie watne papiery nosisz w kieszeni...

To jut nadto było Łosiowi. Wstał znowu i zaczął chodzić niecierpliwymi krokami po komnacie, sapiąc mocno i rzucając od czasu do czasu niespokojnym wzrokiem na pułkownika. Nareszcie rzekł:

— Wiesz, przyznam ci się otwarcie... ie ta wasza dyplomacja... całkiem inne miałem o niej wyobrażeni^.: Wolałbym być rzeczywiście krupy wozić za wami.

Ale na to nie było rady: trzeba było wypić do dna ten kielich goryczy. Zaczem, ohcąc niechcąc, siadł i opowiedział wszystkie nieszczęścia, jakie go na tej misji spotkały. Pułkownik trochę się rozweselił temi awanturami i rzekł:

— Jui-to, żeś się w czepku urodził, o tem nie ma wątpienia.

Ale ŁoBia jui nie bawiły te rzeczy, więc pytał: co teraz ma począć ze sobą? — Pułkownik spojrział na niego, zastanowił się chwilę i odpowiedział w ten sens:

— Gdybyś nie był moim szwagrem, to bym ci co innego powiedział. Ale ponieważś mi krewny, więc ci daję radę następującą: Nie pokazuj się wcale u rządu, bo cię wyśmieją. Ja ciebie w ministerstwie wytłumaczę, chociał Małachowski jut nie jest ministrem. A ty pakuj twoje walizy i jedź do Wiednia. Tam rób, jak ci się podoba, ale ja ci radzę, nie tykaj jut dyplomacji, tylko wracaj do Urwisk i pilnuj gospodarstwa i tony...

Łoś chodził przez chwilę po komacie i myślał, a potem rzekł:

— Tak... zapewne... Ale powiedz no mi, oo tu plotą o szubienicach w Warszawie?

— Juici, te Bię skończy na szubienicach, — rzekł na to pułkownik, — to pewna.

— Jakto I — zawołał Łoś gniewnie, — to jeszcze nas będą wieszać za to...

— Dla czegoś nas? — przerwał mu ze śmiechem pułkownik, — czy sam podajesz się na kandydata?

— No, tak... nie; ja tylko tak mówię. Ale powiadam tobie, te temu nie wierzę.

— Daj-te mi pokój I — odpowiedział niecierpliwie Wisłocki, — Szembek jut po bitwie Grochowskiej powiedział na radzie wojennej, ie będą szubienice i dla tego chciał, abyśmy jeszcze tej samej nocy uderzyli na Moskali. A przeei et pod Grochowem biliśmy się tak, te cała Europa nam przyklaskiwała. Dziś jedna bitwa przegrana — a ręczę ci za to, ie drzewa braknie na szubienice. Dla czegoś o tem nie chce wiedzieć Skrzynecki 1

— To wiesz co, — rzekł na to Łoś, rzucając niespo kojnymi oczyma po wszystkich kątach komnaty, — to ja mote pojedę do Wiednia. Bo, prawdę mówiąc, co ja mam tutaj robić w Warszawie? ozy rewolucja jest mojem rze miosłem? Skąd ja do tego przychodzę, teby Bię bratać z takimi ludimi, co mote jui dawno strutą szubienice, a jak mi powiedział Giedroją, stryczki noszą za chole-

Wul OJotiwle.

®®

wami?... Bądź zdrow! obaczmy się jeszcze przed moim wyjazdem.

To rzekłszy, wybiegł z komnaty, poleciał czemprę- dziej do siebie — i jeszcze tego wieczora wyjechał do Wiednia.

IX.

Wisłocki nie bez ważnych powodów był w owym czasie w tak zgryźliwym bnmorze.

Nie był on rewolucjonistą i nie miał ani tych zasadniczych poglądów, ani owych wrodzonych instynktów, które przewodcom rewolucyjnym wskazują sposoby i środki, la pomocą których można najwyższe Biły możliwie wydobyć z narodu, jak je zorganizować i jak niemi kierować. Wiedział wprawdzie, jakich cudów rewolucja francuska za pomocą tororyzmu dokazywała nawet na polu bitew: wszelako tego rodzaju przykłady nie mogły mu służyć za punkt zapatrywani! się na wojnę listopadową, bo były mu raczej wstrętne, niż sympatyczne, chociaż nieraz musiał ■obie w duchu przyznawać, że sprawa odzyskania niepodległości narodu, tak samo, jak obrona własnego życia, ma prawo, jeśli nie obowiązek, posługiwać się wszelkimi środkami, prowadzącemi do celu.

Jak skoro naród postanowił gwałt gwałtem odeprzeć, natenczas gwałt staje się dla niego prawem powszechnem. Ale to nie był jego sposób myślenia. On stał na stanowisku żołnierza, który widział wiele wojen o niepodległość lub ujarzmienie narodów, widział wiele armij tworzonych z niczego, zwyciężających i zwyciężanych i zowu powstających na nogi, a przeto wiedział dokładnie, jakie znlety mieć trzeba, ażeby zwyciężyć i jakie wady i błędy sprowadzają zgubę niechybną. Z tego punktu widzenia śledził on pilnie wszystkie Skrzyneckiego obroty, rozważał BU- miennie jego zachowanie się zględem dowódców korpusów. dywizyj, brygad i pułków, cbwył.ł nawet łakomie

ustne odpowiedzi, które wódz naczelny dawał członkom rządu i jenerałom i wyciągał z nich wnioski o jego planach, o jego zdolnościach wojskowych i stanowisku moralnym, jakie sobie wyrabia w narodzie. Otóż jeżeli jeszcze do niedawna przypuszczał, że Skrzynecki może dźwignie ten ciężar olbrzymi, który sam włożył na swoje barki, teraz, w pierwszej połowie maja, zwątpił już o tem zupełnie.

Jakoż istotnie w tym czasie położenie nasze zarysowało się w sposób taki, że ludziom rozumującym odbierało niemal wszelką nadzieję zwycięstwa: pozostawała tylko rachuba na szczęście, która jednakże, wobec niezaprzeczonej nieudolności Dybicza, a świętej waleczności naszego żołnierza, miała niejakię prawdopodobieństwo za sobą.

Dziwna-to rzecz! Mieliśmy wówczas około sto tysięcy ludzi pod bronią, żołnierze nasi byli pełni tego porywającego zapału, który tworzy wiarę w zwycięstwo; kraj cały stał jak jeden mąż przy powstaniu i był gotów wszystkich środków dostarczyć do prowadzenia wojny do ostatniego oddechu; armja rosyjska, natenczas prócz artylerji mało co liczniejsza od naszej, była zdemoralizowaną, dziesiątko wały ją ciągle zaraźliwe choroby, dowódcy jej, choć bez wątpienia waleczni, byli jednak moralnie zachwiani, jej wódz naczelny niezdolny, niezgodny sam z sobą, w rozterce ze swoim Bztabem i działający bez celu, bez myśli, bez planu.. — a mimo to wszystko, oko doświadczonego żołnierza widziało jasno, że jedna bitwa przegrana może nas zachwiać w naszym istnieniu, co gorsza, że taką bitwę bardzo łatwo przegrać możemy. Lecz były ku temu bardzo widoczne powody.

Rsąd, labo z najcnetliwssych patryjotów złożony, nie umiał dyktatorjalnej władzy ująć w swe ręce i zostawił naczelnemu wodzowi zupełną wolność działania — a Skrzynecki se swemi wadami, które już znamy, nie był w stanie kierować stutysięcsną armją jak powolnem narzędziem. Przedewszystkiem innem nie górował on nad swoimi podwładnymi ani snajomością sztuki wojennej, ani rozumem, ani silną wolą i stanowczością. Stąd już w organizacji dowód-

stwa wyniknęły ohybienia fatalne: jenerałowie pełni zdolności i poświęcenia dla sprawy powstania, jak Henryk Kamiński, Kicki, Skarzyński, a nawet Dembiński, nie zostali stosownie użyci, natomiast zaś inni, jak Głiełgud, Jankowski, Bukowski, Umiński, bardzo słabych zdolności, a w części nawet wątpliwego patryjotysmu, pozostawieni na stanowiskach wysokiego znaczenia. Chrzanowskiego już nie było natenczas przy sztabie — a Prądsyński, człowiek genialny, ale którego genjusz ulegał lunacjom, popadł był właśnie natenczas w pewne zaćmienie umysłu i osłabienie energii.

Armja nasza została rozłożona najniedorzeczniej i rozciągała się w blisko sześćdziesiąć milowym łuku, którego prawe Bkrzydło się opierało o Zamość, lewe o północne granice Litwy, a środek był zagwożdżony w Warszawie. Korpus Umińskiego stał pod Dembem i tworzył bezczynne tego łuka ogniwo. Wyprawa na gwardje była jiomysłem genialnym, strategicznie rozumnym, a politycznie niezmiernie trafnym. Gwardje rozbite i do niewoli zabrane, byłyby niewątpliwie wywołały jęk rozpaczony w całej arystokracji rosyjskiej tak donośny i silny, że car musiałby był ugiąć się przed nim i do układów przystąpić. Gwardje pobite byłyby armie Dybicza wprawiły w omdlenie i skazały ją na bezczynność. Ale Skrzynecki do tej wyprawy nie miał ani woli, ani odwagi: gotów był zginać śmiercią bohaterską, ale targnąć się na brata carskiego i kwiat złotej młodzieży rosyjskiej, myśl taka nie mogła się zmieścić ani w jego sercu, ani w umyśle. Party przez niecierpliwssych jenerałów, obawiających się, ażeby zwłoka pochodu nie ułatwiła gwardjom uciezki, wymyślał tysiączne wymówki, — a kiedy Rybiński stanowczo go przyparł do muru, odpowiedział mu owe pamiętne słowa: „Que voulee-vous? je ne suti pas entreprenant!” Potrzeba Bię zaprzecć myśli wyswobodzenia ojczyzny, ażeby się nie oburzyć temi słowami!... W rewolucji francuskiej wódz naczelny byłby dał głowę za takie słowa; rząd energiczny, nie wojujący szafotem, byłby go złożył natychmiast z do-

!

wódzotwa : ale myśmy zostawili w jego ręka i nadal buławę hetmańską.

Gwardje wyslizgnęły się z matni i połączyły się pó- iniej z armją Dybicza. Skrzynecki miał wówczas przeszło pięćdziesiąt tysięcy doborowego żołnierza pod ręką, ale i w tym wypadku najfaUlniej nim rozporządził. Giełguda, na czele dwunastu tysięcy zostawił w Łomży, Łubieńskiemu na czele ośmnastu tysięcy rozkazał aa lewym brzegu Narwi trzymać na sobie całą armję Dybicza, składającą się bez gwardji ze czterdziestu kilku tysięcy, — a sam, we dwadzieścia tysięcy z o kia de u i silną artyleiją, przeszedł Narew pod Ostrołęką i rozłożył się na spoczynek, założywszy swoją główną kwaterę w Krukach.

oiły te, jakimi rozporządził w owej chwili Skrzynecki, były aż nadto dostateczne, ażeby pobić Dybicza, nim gwardje nadejdą; ale trzeba je było mieć skoncentrowane na dwu milowej pizestrzeni, — a nie rozprószone na linii, która zresztą nawet żadną linią strategiczną nie była, kilkunasto-milowej długości. Nie było w tem zapewne zlej woli, ale niedbalstwo i nieudolność, nie mające przykładu w historii. Jeżeli chcemy szczęściu wyznaczyć jaką rolę w dziejach wojny listopadowej, to była to chwila, w której szczęście przechyliło się na stronę Moskali.

Jak tylko przyszła wieść do Warszawy, że wyprawa na gwardje została postanowioną, Wisłocki zaczął zbierać swe siły, ażeby znowu w pole wyciągnąć. Rany jego się zagoiły, jeszcze czasem czuł ból w nodze, ale mógł już chodzić bez kuli, a nawet bez laski. Zdawało mu się, że wprawdzie w piechocie nie mógłby jeszcze służby odbywać, ale na koaiu potrafi znosić trudy wojenne. Wyjeżdżał zatem dwa razy codziennie na koniu w okolice miasta, aby i siebie i konie przyzwycząić do pracy. W gruncie jego umysłu męczyły go często smutne przewidywania, czasem na wiadomość tych i owych wydarzeń w armji, których nie mógł dowódcem przebaczyć, rozpacz go porywała, natenczas odzywała się w nim ta czysta i wzniosła miłość ojczyzny, która bez nadziei wiedzie nas do poświęceń, li tylko dla tego, że one są najszczytniejszym obowiązkiem obywatelskim; ale zresztą był spokojny w swoim sumienia i mówił sobie: Stanie się to, oo się Boga podoba l

O bliskich sobie także był uspokojony. Wprawdzie o Czubatym i księdzu Aniele dotąd wieści nie było, ale tych już opłakał: były-to ofiary, które naród złożył na ołtarzu ojczyzny, szczęśliwsze od tych, którzy zostali na ziemi. Jego łona znosiła spokojnie i mężnie obawę, wieszającą się nad nią we dnie i w nocy, że jej mąż może także wybrany jest na ofiarę. Pisywała mu smutne listy o ojou Czubatego i jego żonie, pogrążonych w ciężkiej żałobie po Tymku, lecz dodawała, że znajdują pociechę w modlitwach.

Borch został wybrany na instruktora i poszedł z Chłapowskim na Litwę, szczęśliwy nadzieją, że jeżeli się ta wyprawa powiedzie, to może ich sztandary dotrą do Białejraei.

Milek służył ciągle w drugim pułku ułanów, za kilkuniedniowym urlopem przyjechał do Warszawy, aby się wyekwipować na nowo, został kapitanem, otrzymał krzyż srebrny, był już całkiem żołnierzem. Pu'kownik bardzo się nim ucieszył i powiedział sobie: każdy z nas ma wyBokie wyobrazenie o swoim rzemiośle — a tymczasem święoi garnków nie lepią.

Obydwa Mroczkowie służyli z Dziaduskim w czwartym pułku linjowym; Jędrus został podoficerem, nad czem atary Mroczek się z serdecznej radości rozplakał i zawiadomił pułkownika o tym nadzwyczajnym wypadku listem, w którym w swojej poczoiwej prostocie napisał te słowa : Panie! teraz puść twego słągę w spokojni — Na te słowa pułkownik się musiał uśmiechnąć, ale miał oczy zwilżone, gdy list ten zamykał.

Kiedy nareszcie już całkiem dobrze Bię uczuł na siłach, dnia 22 maja ruszył małemi etapami ku Łomży, prowadząc z sobą trzy konie wierzchowe, a między niemi swoją piękną klacz złotogniadą, na której wytrzymałość i dzielność liczył, jak na siebie samego. Po drodze rajsprzeczniesze otrzymy



wał wiadomości o głównym sztabie, nawet karjery, których spotykał, dawali mu wymijające odpowiedzi: obroty armji chciano oczywiście otrzymać w sekrecie. W Pułtuska stracił prawie cały dzień czasu, bo spotkał szlachcica, który go zapewnił, że armja polska się koncentruje nad Liwem. Czwartego dnia nocował w Kołakach, a wyjechawszy stamtąd o świcie, spotkał naszą artylerję, ciągnącą ku Rotanowi i dopiero od niej się dowiedział, że Skrzynecki przeszedł jut Naraw i rozłożył swoją główną kwaterę naprzeciw Ostrołki. Zaczem o ómej rano zameldował się w sztabie, który stał w Krukach.

Sztab Skrzyneckiego zawsze był bardzo liozny i świetny. Skrzynecki nie był w niczem do Chłopickiego podobny. Chłopicki chodził w wytartym granatowym surducie bez żadnej honorowej oznaki; śniadanie jego stanowiły kieliszek wódki i kawałek wędliny: był bardzo szczęśliwy, kiedy znalazł na wieczór dwanaście jaj, ugotowanych na twardo i karafkę wody krynicznej; na adju- tantów brał ludzi, których był pewnym, a często się z podoficerem posługiwał; zawsze sam objeżdżał placówki, podsuwał się pod czaty nieprzyjacielskie i trawił nęcę z żołnierzami przy ich ogniskach. Skrzynecki był zawsze w świetny mundur ubrany i przy orderach; woził ze sobą wykwintną kuchnię i wina francuskie zaopatrzoną piwnicę; w jego sztabie bywało po czterdziestu adjutantów i więcej, samej złotej młodzieży w błyszczących mundurach, a język francuski tam tak samowładnie panował, że trudno było usłyszeć polskiego słowa i nawet rozkazy po francusku pisano. Inny duch, inne pojęcia o służbie, inne wyobrażenia o obowiązkach żołnierza i obywatela.

Wisłocki znalazł w tym sztabie mnóstwo znajomych i zaraz się o wszystko rozpytał. Kiedy się dowiedział, jak Skrzynecki rozłożył armję, gdy się cofał z pod Tykocina, opanowało go jakieś uczucie, którego nie mógł określić. Była to rozpacz nad armją, narażoną w takim rozprószeniu na zgubę? czy okrucieństwo na nieudolność i niedbalstwo hetmana? sam tego nie wiedział. Dopadł Prądyńskiego i pytał grzecznie: dla czego Giełgud pozostawiony o pięć mil odległości, kiedy wyprawa na gwardję została porzucona? dla czego Łubieński wyprawiony na strażną pecztę przeciwko całej armji Dybicza? dla czego trzydzieści armat wyprawiono ku Warszawie? Ale Prądyński tylko wzruszył ramionami i odpowiedział, że dał dymisję i odtąd za nic nie odpowiada. Wisłocki połknął tę niestrawną odpowiedź i poszedł do Skrzyneckiego.

Skrzynecki przejął go bardzo uprzejmie, nawet z pewnym odcieniem uszanowania jako dla starszego i rzekł:

— Dziękuję ci za zsuwanie. Ale wprowadzasz mnie w pewien ambaras, bo jak ja tu znajdę odpowiednią komendę dla ciebie?

— Słuchaj, panie hetmanie — odpowiedział pałkownik po kawaleracku — nie bierz tego w rachubę, co było, bo i położenie nie jest po temu. Nie uważaj ani na moją służbę, ani na rangę, a atyj mnie wedle potrzeby. Czasem dobrze i rozkaz p'słać przez kogoś takiego, który sam może dopomóc do jego spełnienia. A zresztą, jak przyjdzie do bitwy, ktoś się gdzieś zawieruszy, ktoś zginie, dobrze mieć takiego w odwodzie, który potrafi poprowadzić w ogień połk albo bryg idę.

— Zawsześ ty nie sam, — zawołał na to Skrzynecki, ściskając go za rękę — ale o bitwie nie ma mowy w tej chwili, mamy przed sobą kilka dni odpoczynku.

Wisłockiemu się nie zdawało, aby kilkudniowy spoczynek był zapewniony i chciał się zrzęcznie dowieść, jak wódz naczili sytuację ocenia.

Ale Skrzynecki odwiódł rozmowę od tego przedmiotu i zaczął mówić o sytuacji politycznej i usposobieniu za granicznych dworów dla Polski.

— Wojnę musimy prowadzić dalej — mówił on tonem takim, w którym mówiło się o wojnie, a był to ton jego wszystkim konwe'nsajom właściwy — wojnę

musimy prowadzić dalej, ale nie w taki sposób, aby zamknąć drogę układom. Nie jesteśmy przeciw poruczai-  
WmS ojoinio. »\*

kuni, którzy polityki uczyli Bie w konspiracjach i nie bę- dziemy sobie robić ilucji, te armją rewolucyjną pobijemy mocarstwo rosyjskie. Jut detronizacja wystawiła mur nie- przekroczony pomiędzy nami a cesarzem; mur ten nalety mądrym zachowaniem się naszym ile motności rozkruszyć. Ja mam bardzo pomyslnie wiadomości z zagranicy: wszystko dziś od naszege politycznego taktu zalety...

Wisłockiemu zaczęło się ekliwo robić na takie rozumowania rewolucyjnego hetmana. W wielu innych wypadkach byłby on był zapewne z nim w zgodzie, bo obydwu z jednej wyszli szkoły i naleteli do tej samej warstwy społecznej: ale tołnierz, mający całą armję nieprzyjacielską na karku, a myślący o ozem innym, jak o zwycięstwie, musiał wstręt w nim obudzić. Jakot bardzo był kontent, kiedy w tej chwili weszli inni oficerowie i Skrzynecki za- prosił ich do śniadania.

Po śniadaniu adjutanoi rozeszli się po dziedzińcu, dzieląc się na grupy i rozrywając się wesołą rozmową: kiedy w tem w okolicach Ostrołęki dały się słyszeć strzały armatnie.

— Łubieński Bie bije! — zawołano ze wszystkich atron, nie bez przeratenia, a w tem okamgnienia padł granat moskiewski przed samym dziedzińcem i rozrzucając swoje ezerepy pomiędzy aztabowców, przyn'osił niezbitą wiadomość, te bitwa jut się nad Narwią zaczęła.

— Jakto! wedle zapewnienia naczelnego wodza, mamy przed sobą kilkudniowy spoczynek, a tu granaty pękają pod naszymi nogami?! — zawołał do siebie Wisłocki, i pobiegl zaraz ku gospodzie, gdzie stał jego powóz i konie wierzchowe.

Bitwa pod Ostrołęką miała całkiem inny atrategiczny charakter, niteli bitwa grochowska.

Tam, dzięki mądrej przezorności Chłopickiego, staliśmy od dni kilku pod bronią, w katdej chwili do boju gotowi, walozyliśmy jeden przeciwko trzem, tylko skutkiem niepo- słuszeństwa dwóch jenerałów nie odnieśliśmy stanowczego zwycięstwa; lecz mimo to, mimo żeś my nie mogli placu

boju otrzymać, wiekopomną okryliśmy się sławą — a bitwa ta obudziła w całej Europie najtywazą dla naa sympatię i otywiła cały naród gorejącym do dalszej walki zapalem.

Tutaj mieliśmy armję przewyższającą Biły Dybicza, lecz dzięki nieudolności naczelnego wodza, rozprószyliśmy ją na stanowiskach odległych, zostaliśmy napadnięci z nie- nacka, biliśmy aię jak lwy i zostaliśmy pobici — a choeiat pole bitwy przy nas zoatało, przyznaliśmy sami, teśmy klęskę ponieśli, ochłodziliśmy aympatje narodów dla naszego powstania i podkopaliśmy ducha i wiarę w motność zwycięstwa w naszym własnym narodzie.

Pojedyńcze zwycięstwa i klęski w czasie tr.yającej wojny bardzo względne to rzeczy: ioh znaczenie i skutki na przyszłość nadają im zwykle rozum, odwaga i wiara przywódców.

Łubieński, pozostawiony ze swoim korpusem na lewym brzegu Narwi, cofając się zwolna przed armją Dybicza, przeszedł szczęśliwie na prawy brzeg tej rzeki i poruczył jenerałowi Bogusławskiemu, dowodzącemu brygadą pieohoty, obronę tego odwrotn. Bogusławski postawił zawzięty opór grenadjerom moskiewskim w samem mieście, trzymając ich na swoich bagnetach przez półtorej godziny. Drewniane miasto atało w płomieniach, zbudowane na prędce barykady ałabą stawiły zaporę uderzającym z wściekłością grenadjerom; jedynym punktem oparcia był murowany klasztor Bernardynów, otoczony murami. Ostrołęka stała się pra- wdziwem piekłem natenczas: rozszalałe płomienie potaru huczały z wściekłością orkanu po wazystkich ulicach, zapadały aię dachy, aypiac anopami iskier dokoła, z piekielnym trzaskiem waliły się domy — a bomby moskiewskie uderzały wciąt w ten war płomienny, seieląc trupem walczących Polaków i Moskali. Barbarzyńskim duchem natchniona komenda moskiewska nie zważała na to, te kule jej artylerji trafiały jej własnych tołnierz: chodziło jej o przerabianie sobie drogi do mostów i cena była jej obo\* jętną. Bój, który kipiał w tem piekle, przeobodził zajądłością wszelkie walki w otwartem polu. Rozdzierano sobie

bagnetami wnętrzości, rozbryzgiwano czaszki kolbami, walczono pięścią, nogami i zębami.

Tam na czele bataljonu czwartego pułku piechoty, bystrością wzroku ostrowidza, kocia zwinnością ruchów i siłą niedźwiedzia, odznaczył się nad wszystkich Dziaduski.

Tam stary Mroczek, otoczony przez siedmiu Moskali i przeszyty siedmiu pchnięciami bagnetu, zginął śmiercią walecznych.

Tam jego ayn Jędrus padł atratowany przez grenadje- rów, lecz dzięki opiece, jaką go otaczał Dziaduski, został uniesiony z pobojuwiska.

Czwarty pułk stracił w tej walce sto pięćdziesiąt zabitych — a ciała tych bohaterów, „atletycznej budowy i utoczone jakby posągi,” jak mówi ich własny historyk, po<sup>1</sup> dziwiali nazajutrz Bami Moskale

Bogusławski sam, ranny, przeciet nareszcie wyrąbał siebie i swoją brygadę z tej matni i torując sobie drogę bagnetem, po moście jut na pół rozebrany przebił się na prawy brzeg Narwi. Jego biały koń, którego chciano także przeprowadzić po belkach, spadł w rzekę, »1j wypłynął na prawym brzegu i sam swego pana odszukał.

Po wy pa rc'in brygady Bogusławskiego, Moskało, na prawy wszy na przedca most w polowie zburzony, zaczęli się walić ciężkimi kolumnami na prawy brzeg rzeki.

Po tej stronie, pomiędzy Narwią, Omulewem, Krukami i Łachą, na gruntach w wielkiej części bagnistych i po przerywanych groblami, w dali zaś okolonych wzgórzami i zaroślami, obozowały trzy nasze dywizje: Rybińskiego, Kamieńskiego i Małachowskiego. Dzień był prześliczny majowy, powietrze było napelnione wonią kwiatów polnych i rozwijających się krzewin, słońce świeciło jasno, lecz roz- ■ lewało blaski czerwone, które zdawały się jut teraz odbijać w sobie potoki krwi, mające dopiero się rozlać po ziemi. Żołnierze byli rozaypani, porozbierani, kapali się w Oma- lewie i u brzegów wyspy na Narw', prali bieliznę, wy po czywali, gotowali strawę; konie były rozsiadłone, parki ar- tylerji niedbale porozrzucane po wzgórzach.

Na odgłos bitwy w Ostrołęce odezwały się bębny i trąby, dywizje w oka mgnieniu stanęły pod bronią: ale nie było komendy.

W chwili, kiedy Moskale zaczęli się przewalać na most naprawiony, ośmdziesiąt dział, rozstawionych na wzgórzach lew go brzegu pod komendą Sackena, zaczęło sypać morderczy ogień na nasze dywizje. W pierwszym momencie nikt nie wiedział, co robić. Jenerał P»o rzucił się pierwszy na czele dzieci warszawskich ku Obronie przejścia przez most; baterje Turskiego i Bileckiego skutecznie wtórowały, parząc pułk astrachański, który pierwszy się przedarł na naszą stronę. Pac odparty, jeszcze raz z rozpaczliwą odwagą nań uderzył, chcąc go nazad przez most przerzucić; ale pozostawiony aam sobie, ranny kulą w bok ławy i w rękę, musiał się zwinąć i cofnąć ku naszym dywizjom. Moskale przewalili się ze swemi kolumnami na Iowy brzeg Narwi.

Była godzina jedenasta.

Natomiast Skrzynecki, na czele awojego sztabu, przyleciał pędem i stanął na wzgórzach piaszczystem około baterji Turskiego. Z tego punktu motna było objąć okiem całe pole bitwy, a nawet dokładnie rozeznąć, co się działo na drugiu brzegu Narwi. Widok ten przejął naczelnego wodza rozpacz; dostrzegł on na pierwszy rzut oka, na jakie niebezpieczeństwo swoją nieprzezornością naraził ojczyznę...

Ostrołęka w płomieniach, na lewy brzegu Narwi nie masz jut ani jednego polskiego tolnierza; połowa armji rosyjskiej jut się przewalila na prawy brzeg rzeki, a jej druga połowa stoi w mocnej pozycji w odwodzie po drugiej stronie. Ogromna jej artylerja, porozstawiana na wzgórz\* cb, panuje nad całym polem, na którym się bronić musimy — a nasza armja rozrzucona w największym nieładzie po gruntach bagnistych, artylerja nasza składa się tylko z kilku baterji, bo trzydzieści armat odeszło jeszcze dniem przedtem do Rotana, nawet amunicji nie mamy w dostatecznym zapasie; najlepsze pułki naszej piechoty jut ucierpiały,

walecznych dwóch generałów, Bogusławski

i Pac, zeszło już z pola — a Gielgud z dwunasto-tytanicznym korpusem o pięć mil odległości 1

Skrzynecki okiem doświadczonego żołnierza objął sytuację od razu — i rozpacz go zdjęła.

Myśl twórcza nie przyszła mu żadna, jak armję rozstawić, jakim porządkiem się bronić ; tego boskiego daru, który jest natchnieniem dowódców, a którym tak wysoce celował Chłopicki, jemu Opatrzność nie dała. Prądyński w owej chwili jeszcze niżej podupadł na duchu; nie miał tej przytomności umysłu i tej dorazowej odwagi, jaką się odznaczył pod Iganiami. Jednak w Skrzyneckim obudził się żołnierz waleczny, jakim był zawsze, a rozpacz jeszcze podwoiła jego rycerską odwagę. Wtenczas twarz jego rozgorzała tym pełnym grozy wyrazem, w którym się objawia duch bohaterski w chwilach stanowczych — a cała jego dachowa potęga skoncentrowała się w myśli: Uderzyć na Moskali od razu wszystkimi siłami i przewalić ich na po\* wrót za Narew — lub zginąć ! Myśl taką może tylko rozpacz wytworzyć: ale ta myśl, wykonana z właściwym Skrzyneckiemu uporom, uratowała nasz honor wojskowy.

Tą myślą porwany, Skrzynecki, górujący wzrostem nad całym awem otoczeniem, podniósł się jeszcze w strzemionach i jowiszowym głosem zawołał:

— „Piechota, jazda, artylerja, wszystko naprzód I wszyscy w ogień!”

Adjutanci rozbryzgnęli się z tym rozkazem do wszystkich dywizyj.

I wtenczas zaszumiała na całym polu owa bitwa zawzięta, zapamiętała, nieubłagana, ząb za ząb, oko za oko, pełna najświetniejszych czynów odwagi i najwyższych poświęceń . pełna zwycięstw częściowych tak niespodziewanych, że odurzały najprzytomniejszych dowódców, tytaniczne zapasy, zarówno chlubne dla Polaków jak dla Moskali, ale tylko zapasy, bez ładu i składu, z jednej strony i z drugiej. Tak samo u nas, jak u Moskali, nie było żadnej naczelnej komendy; ruchy dywizyj, pułków, a nawet i bata- ljonów były pozostawione przytomności umysłu i instynktowi pojedynczych dowódców. Myśmy mieli tylko tę korzyść, że nasz wódz naczelny osobiście w bitwie brał udział; ale Moskale natomiast mieli kilkadziesiąt dział, które całe pole bitwy ustawicznie obsypywały bombami i kartaczami, tak, że cała ta walka toczyła się w nieustającym ogniu działowym.

Pomimo Skrzyneckiego rozkazów, rzucających w ogień od razu wszystkie dywizje, -z naszej strony przez kilka godzin biła się tylko sama piechota. Pułki linjowe, strzelcy piesi i weterani czynni, azli na przemian do sztormu, walcząc o groblę i szosę, po kilkakroć odpierani z ogromnymi stratami, rozpraszali się, znova się formowali i znova szli w ogień. Tak generał Węgierski, kilkakrotnie odparty i na nowo idący do sztormu, został ciężko raniony i musiał zejść z pola.

Skrzynecki wtenczas sam rzucił się na czoło ósmego pułku piechoty, którego niegdyś był pułkownikiem, ażeby osobiście poprowadzić go w ogień. Wisłocki był przy nim, kiedy mu doniesiono, że Węgierski raniony.

— Wisłocki! — zawołał wódz naczelny do niego — bierz po Węgierskim komendę, a trzymaj się do ostatniego oddechu, bo tutaj wszystkim nam zginąć!

Wisłocki ruszył z kopyta na lewe skrzydło ku Łasze, lecz zastał tam już tylko rozbitki, choć jeszcze w wielkich trzymające się szmatach, jedaego bataljon ósmego Kojowego, trzech bataljonów piątego i trzech bataljonów piątego go strzelców pieszych Chciał je zebrać i sformować, ale było to niepodobnem w tej chwili. Żołnierze nasi pod Ostrołęką Uderzali gwałtownie i bili się z zawziętością jak zwykle, tle rozbitki. rozpraszali się pomiędzy zaroślami: dla braku naczelnej komendy nie mieli tej wytrwałości, jaką we wszystkich poprzednich bitwach się odznaczyli. Po- zostającymi częściami rozbitych bataljonów dowodził kto chciał, kto właśnie raiwł więcej fantazji od innych; nieraz, poręcznik stawał na

czelach batalionów, gdzie indziej podoficer rzucał się na czoło kompanii. W takim rozgwarze nawet Bie można było włączyć dowódców rozeznac. Wisłocki

zebrał nareszcie trzy bataljony i sformował je jakokolwiek; ale zniecierpliwiony zeskoczył z konia, wziął karabin do ręki i pieszo poprowadził je w ogień. Tak rozbił w puch jeden pułk moskiewskich ułanów, który z nierozumnym zapalem uderzył na niego, roztrzaskał naprzód kulmi i rozbił bagnetem, zmuszając go do ucieczki; ale około godziny trzeciej opuściły go siły, na lewej nodze, niedawno co zagojonej, jui się nie mógł otrzytać. Wsiadł zatem na koń i zdawszy komendę walecznemu Stokowskiemu, który właśnie z pozieranymi po zaroślach strzelbami przybiegł na pole bitwy, nazad do sztabu powrócił.

Skrzynecki stał wtedy znowu na wzgórzu mundur miał od kul podziurawiony, twarz rozplamioną i zaniepokojoną, drżał z niecierpliwości, że nie może Moskale odeprzeć; chciałby był wszystkie siły znów rzucić od razu na nieprzyjaciela, najwyższe zrobił wysilenie i zwyciężyć lub zginąć. Znowu się wzniósł na strzemionach i znowu ogromnym głosem zawołał:

— Małachowski naprzód 1 Rybiński naprzód 1 wszyscy naprzód 1 i w ogień 1

Adjutanci znowu się rozlecieli na wszystkie strony, przejeżdżając przez ogień krz/żowy, którym Moskale cały plac bitwy obsypywali. Brygady piesze na nowo się sformowały i bitwa zażarta się rozpoczęła na nowo. W godzinę potem szczęście zaczęło się przechylać ca naszą stronę. Brygada Krasickiego złamała Moskwę naprzeciw mostu, inne bataljony nasze zaczęły już zabierać jej tyły, już słycać było jej głosy: „Pożaluj 1 dowolno 1” już pułki ingermanlandzkie pierchnęły i zaczęły uciłkać na most; kiedy w tem Pahlen z tamtego brzegu Narwi i rzyszedł jej w pomoc z świetnymi siłami. Z naszej strony jui cała piechota była w ogniu, a połowa jej leżała trupem na polu.

— Kawalerja naprzód 1 wszyscy naprzód 1 — zawołał wtedy Skrzynecki i rozesłał swych adjutantów s tym rozkazem.

Waleczny Kicki ruszył (ierwszy na czele drugiego, trzeciego i piątego ułanów. Ale grunt nie był wcale dla kawalerji sposobny: Skrzynecki w swym gorączkowym zapale całkiem o tem zapomniał. Kawalerja co oh wiła zapadała w bagna i rowy, zatrzymywała się przy pczekopa-h i groblach, musiała stępą lub wolnym klusem te miejsca obchodzić. Kicki skorzystał z tej zwłoki i do naczelnego wodza przyskoczył, aby mu tę trudność przedstawić. Ale Skrzynecki odpowiedział mu wyniośle:

— Rozkaz należy wykonać, choćby i zginąć 1

Kickiemu nie potrzeba było dwa razy rozkazu powtarzać, runął jak błyskawica, ażeby stanąć na czele ułanów — a tymczasem Skrzynecki mrugnął okiem na Wisłockiego. Wisłocki znak ton zrozumiał, dał ostrogę swej klaczy i runął ra Kickim. W tem kula działowa uderzyła Kickiego w biodra i rozerwała go na dwoje; jego koń przestraszony uleciał na pola. Wisłocki przeleciał pędem koło niego i dobiegł do trzech pułków ułanów, nad którymi objął komendę Myeielski. Właśnie w tej chwili drogi pułk nł&nów, najoiecierpliwszy ze wszystkich, wysunął się naprzód, a jeden z jego szwadronów uniósł się przed innymi i z szalonym zapalem pierwszy na Moskwę uderzył. Na czele tego szwadronu Wisłocki dostrzegł Milka, jak z szablą wzniesioną w prawicy, najpierwszy wpadł na bataliony moskiewskie i między nimi utonął. Jego serce się rozradowało na widok takiego szalonego zapala Milka, ale zarazem wydobyło się z jego piersi westchnienie, bo bardzo wątpił, ażeby Milek z tej gęstwiny bagnatów powrócił.

Tymczasem pułk świetnie udsrzył i rozbił bataljony moskiewskie przed samym mostem. Drugie dwa pułki uderzyły za cim, moskiewskie kolumny straszliwie się zachwiały — ta szarża kawalerji mogła była przechylić na naszą stronę zwycięstwo, gdyby była poparta piechotą: ale myśmy jaż wtedy piechoty nie mieli.



Dybicz epostrzegłszy, że jego kolumny zostały przez na«zą kawalerję rczbite, przybiegł sam na brzeg Narwi i wysłał natychmiast Mandersterna z czterema pu<sup>1</sup>kaini piechoty rozbitym kolumnom w pomoc, — a wtedy znów szala się przeważyła na s'ronę Moskali.

Wul Ojcowło.

80

Natenczas Skrzynecki rzucił ostatnią swoją rezerwę w ogień, na której czele stał Henryk Kamiński. Kamiński, stojący przy Skrzyneckim w tej chwili, wiedziony zapewne takim samym złowrogiem przecznicem jak Kicki, bo walecznego oficera z pod Maciejowic nigdy nie opuszczała odwaga, zanważył, że jeszcze nie pora posyłać ostatnią rezerwę w ogień. Ale Skrzynecki odpowiedział mu niecierpliwie, wskazując na groblę:

— Tam miejsce dla generała!

Kamiński poszedł i zginął, rozerwany jak Kicki od kuli działowej, właśnie w tej chwili, kiedy wpadł na groblę.

Odtąd bitwa trwała z różnym szczęściem jeszcze dwie godziny.

Przed samym zachodem słońca Dybicz, rozumiejąc, że już zwyciężył, wjechał ze swoim sztabem na most, ażeby objąć pole bitwy w posiadanie i ogłosić zwycięstwo. Skrzynecki to spostrzegł i bez namysłu postanawia zrobić wysilenie ostatnie: daje Bemowi rozkaz z artylerją na most uderzyć, Dembińskiemu, ażeby z pierwszą dywizją jazdy stanął w asekuracji, a sam staje w drugiej linii z rezerwą.

Bem wpada jak piorun z dwunastoma działami, przybywa galopem na strzał ręczny od mostu i zasypuje Dybicza kartaczami. Walek Laskowski, najzaufańszy oficer Bema, dowodził tam pierwszą baterją. Bem powtarza tę szarżę raz, drugi i trzeci, Moskale tracą przytomność, Dybicz pierwszy ucieka napowrót przez most, a za nim rzucają się jego kolumny.

Słońce zaszło, zmrok zapadł tak nagle, jak gdyby z nieba czarna zapadła zasłona, bitwa w jednej chwili, jak gdyby na znak dany, ustała.

Księżyc, wschodzący w pełni, oświetlił białym światłem poboju.

Dziwna była-to bitwa. Z jednej strony i z drugiej legło po kilka tysięcy zabitych na polu, nikt nie wziął niewolnika, nikt nie zdobył żadnych trofeów, Moskale się cofnęli za Narew, myśmy utrzymali plac boju: Kto zwyciężył? Kto zwyciężony? Na to pytanie atanowczo odpowiedział Mikołaj, każąc Dybiczowi umrzeć - aa zwycięstwo pod Ostrołką. Ale myśmy się sami ogłosili za zwyciężonych...

Skrzynecki zaraz po bitwie, wśród nocy, pod gołym niebem, zwołał radę wojenną.

Ta rada, odbywająca się w tem samym miejscu, z którego Bem swoją wiekopomną szarżę wykonał, odbywająca się na poboju zaścielonem trupami, po którym rozlegały się przeraźliwe jęki rannych i konających, oświetlona czerwoną łuną dogorywającej Ostrołki i srebrnymi blaskami żeglującego po jasnym niebie księżycu, — rada ta, do której stanęli generałowie w podziurawionych kulami mundurach, zbryzgani krwią i okryci kurzem wojennym, a nad którą unosiły się duchy poległych bohaterów, miała postać dantejską, bo była widowiskiem, jakie tylko w czasie wielkich kataklizmów społecznych zdarzają się na tej ziemi, a w których przez usta ludzi zabierają głos duchy i rozumy narodów!

Będąc panami placu bitwy, nie oddawszy ani jednego niewolnika, nie atryciwazy ani jednego sztandaru, mogliśmy na tej radzie wielkim głosem wykrzyknąć: Niech żyje ojczyzna! — a okrzyk ten, powtórzony tysiącami piersiami niezwalczonych żołnierzy, byłby Bie odbił o mury Warszawy, byłby się rozległ jak wiatr przedstworzenny po całym kraju i byłby nową armję postawił pod bronią. Szczęśliwe słowo, wypowiedziane w szczęśliwej godzinie, niejedną klęskę fizyczną zamieniło w moralne zwycięstwo. Rewolucja francuska i Napoleon takich szczęśliwych słów wypowiedzieli tak wiele, że je trudno poliożyć. Skrzynecki miał wszelkie prawo do tego, on, który swoją nieprzpartą odwagą, swoim żelaznym uporem, wyrzucił Moskale za Narew i stał w tej chwili jako zwycięzca na poboju, Ale Skrzynecki, przygnieciony ciężarem błędów, jakie przed bitwą popełnił, nie uczuł sam tej wielkiej za

slugi, jaką swoim walecznym orężem około ojczyzny poło żył i zagał radę rozpaczliwemi słowami: — „L'affaire a e e honteuse”...

Ten duch zwątpienia udzielił się wszystkim — i postanowiono odwrót do Warszawy.

Wisłocki, jako nie należący do rady, stał na stronie z kilkunastoma oficerami, którzy także radzili nad tem pomiędzy sobą, co począc 1 Tam duch był inny: tam chciano zatoczyć czterdzieści dział naprzeciw mostu, postawić kawalerję w asekuracji, resztki piechoty rozłożyć w zaroślach i czekać, póki Giełgud nie przyjdzie ze swoim dwunasto-tysięcznym korpusem.

Wisłocki właśnie głos zabrał, aby ten projekt poprzeć, — kiedy w tem oficer drugiego pułku ułanów przyleciał pędem w to miejsce, zeskooczył z konia, a zbliżywszy się do Wisłockiego, zawołał głosem ochryłym:

— Wujaszcut obydwaj Lipscy zginęli, właśnie grób kopią dla nieb, pan Mostowniczy prosi wuja, abyś był świadkiem pogrzebu.

Był to Milek.

Pułkownik usiadł zaraz na koń i z nim razem odjechał

Niedaleka była to podróż. Na małym wzgórkcu nad Omulewcm, na którym stało kilkanaście drzew wysokopiennych pomiędzy gęstymi chaszczami, odbywał się ten smutny obrzęd pogrzebowy.

Na ziemi, jeden obok drugiego, podobni do siebie, jak dwa odlewy tego samego posągu, leżeli obydwaj Lipscy w znak obrócenia. Jednemu z nich kula armatnia urwała nogę, drugiemu wyrwała cały bok lewy. Ich białe rabaty były tak czyste, jak gdyby dopiero-co przyszli na musztrę. Ich blade twarze były nietknięte — a oświetlone białem światłem kiiężyca, zdawały się jakby wykute z marmuru. Obydwaj młodzieńcy, leżący w objęciach śmierci, wyglądali tak, jak odłamy posągów wykopanych ze ziemi ■ — a martwy spokój ich twarży sprawiał takie wrażenie, jak gdyby dusze ich, ulatując ku niebu, zostawiły istotnie ich marmu

rowe popiersia na ziemi. Widok ten nie porywał za serce, nie budził ziemskiego żalu, ale zachwycał umysł i podnosił ducha w świat wyższy, na wyżyny będące przybytkiem duchów, na wyniosłości pól elizejskich. Zwycięzcy bohaterowie greccy, którzy padli pod Maratonem, w takich postaciach żyli w wyobraźni swojego ludu.

O kilka kroków od nich, cztoech saperów kopało grób ezeroki w milczeniu.

Po drugiej stronie, na wywróconym pniu starego dębu, siedział Mostowniczy i patrzył suchem okiem na cista swych synów: głęboki ból lży w jego ściśnionej piersi .zamrozi’.

Obok niego stał Wałek Laskowski, patrząc załawawio- nemi oczyma na starca, lecz nie śmiał przerywać uroczystego milczenia.

Stary Lipski, obaczywszy Wisłockiego, WBtał, ścisnął mu rękę, lecz nie mógł ani słowa wymówić. Pułkownik rzekł:

: — Pan Bóg ta nich był łaskaw: nie będą podzielać tych losów, jakie się dla nas gotują...

Wtedy Mostowniczy jeszcze raz ścisnął go za rękę i odpowiedział:

— Tylko żal ciężki mnie chwyta za serce, że dla mnie nie było kuli, któraby mnie obok nich położyła w tym grobie.

Jednak powiedział te słowa głosem tak głęboko wzruszonym, że Miłkowi lży się potoczyły po twarzy, a Wałek także chustkę przycisnął do oczu.

W tej ohwili grób już był wykopany. Saperzy wzięli obudwóch Lipskich i złożyli ich w grobie obok siebie tak samo, jak leżeli na ziemi. Mostowniczy pierwszy się schylił, wziął grudkę ziemi do ręki i rzucił do grobu. Ale w tej cbwili ból tak gwałtowny ścisnął go za serce, że się głośno rozplakał Głośny płacz starca nad grobem swych synów mógłby poruszyć kamienie. Milek i Wałek rzucili się jednocześnie ku niemu i wzięli go z obu stron pod ramiona. Pułkownik dał znak saperom, aby przyspieszyli robotę.

W kilka chwil potem grób był zasypany. Malowniczy jeszcze raz rzucił okiem na podnoszącą się mogiłę, podał rękę pułkownikowi i rzekł:

— Niech ci pan Bóg zapłaci za przyjaźń. Bądź zdrow! Ja wracam do Lipek, i le mój rozum, moje serce, moje wszystkie uczucia i myśli zostaną tutaj, póki się z nimi nie połączę na wieki.

Poczem się zwrócił, chcąc iść do swoich furgonów, które stały opodal.

Jednak za ledwie zrobił kilka kroków, prowadzony przez Walka i Milka, kiedy Milek, zachodzący się jeszcze od płaczu, zachwiał się na nogach i zaczął chwytać rękami powietrze, jak gdyby szukał jakiegoś przedmiotu, o którym się mógł oprzeć.

— Cóż tobie jest? — zawołał pułkownik, czy cię żal tak rozebrał?

— Trochę żal — odpowiedział Milek, opierając się o pułkownika — ale uczułem zarazem tak mocny ból w lewym ramieniu, że mi się w oczach zaćmiło.

Pułkownik obejrzał prędko jego ramię i spostrzegł, że rękaw był kulą przedziurawiony.

— Ty jesteś ranny! — zawołał pułkownik — spróbuj, czy możesz ruszać ramieniem?

Milek jeszcze mógł ruszać ramieniem, ale ramię było nabrękle, a cały rękaw i lewa ręka zakrzepłą krwią zbroczone.

Mostowniczy to spostrzegł, ścisnął Milka obydwoma rękami za głowę i rzekł:

— Pocziwo cłopczykol Sam był ranny, a mimo to moich synów odszukał, mnie zawiadomił o ich śmierci i zwłoki ich tutaj sprowadził. Ja stary, na nic o siebie przydać nie mogę: ale ja pierwej od ciebie stanę przed Bogiem i wyświadczę o siebie przed Nim z pocziwości, jakąś nem nieszczęśliwym wyrządził...

Wtedy pułkownik dał znak Wałkowi, aby czasu nie tracił.

Wałek wziął zaraz starego Lipskiego pod ramię i zniknął z nim między drzewami.

Pułkownik Bam ledwie się trzymał na lewej nodze i nie mógł pomóc Miłkowi, ale saperzy wsadzili go na koń, a tak obydwaj wrócili w to miejsce, gdzie sztab odbywał radę wojenną i gdzie na ustroniu Btały odwodne konie Wisłockiego.

Tam zabrawszy konie, pojechali do Kruków, gdzie znaleźli felczera. Ten obejrzał Miłkowi ramię, wy dobył kulę, która w mięśniach ugrzęzła i jakkolwiek ranę opatrzył.

Ponieważ niepodobna było nocować w Krn': ach, a Milek miał tylko lekką gorączkę, więc wsiedli do powozu pułkownika i pojechali do Pułtuska, a stamtąd, jadąc bez noclegów, nazajutrz w nocy dobili się do Warszawy.

X.

Po powrocie Wisłockiego i Milka Jo stolicy, pałac Borchów znova zamienił się w szpital.

Pałkownik, rozdrażniony swe rany, otrzymane pod Grochowem, a niezupełnie zgojone, masiał się położyć do łóżka, a lekarze ostrzegli go, iż powinien unikać wszelkiego napięcia, aż póki całkiem nie wyzdrowieje, bo w razie przeciwnym, mogłoby się z ran jego wywiązać zupełne rozstrojenie organizmu i jego życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie.

Miłkowi lewe ramię szkaradnie obrzękło; musiano ożyć leszczotów i gipsowych okładów, oprócz tego wysilenia moralne i fizyczne spowodowały rozstrojenie nerwów, tak, że i on musiał się przykuć do mieszkania na kilka tygodni, a może nawet na parę miesięcy.

W kilka dni potem Dziaduski przysłał im Jędrusia Mrocza, któremu Moskale nogę przetrącili pod Bernardyńskim kościołem w Ostrołęce; dano mu izbę osobną pałacu, najlepszych lekarzy i wszelkie wygedy, ale biedny chłopak był straszliwie poturbowany, a do tego jeszcze ciężką przygnieciony żalobą po śmierci ojca.

Wszelako chorzy się nie nudzili. Niebawem niemal cała armja przyciągnęła do Warszawy. Pułkownik- miewał przez cały dzień gości; Milek pocieszał i pielęgnował Mrocza jak brata, znajomi także go odwiedzali, a wieczorami przychodził do sypialni pułkownika na długie rozmowy, w których rozbiegano dotychczasowe wypadki i tworzone horoskopy na przyszłość.

Umysł pułkownika był bardzo przygnieciony, a jego serce poddawało się często wcale rozpaczliwym uczuciom. Widział on jasno wszystkie błędy strategiczne, jakie popełniono dotychczas; błędy polityczne przeczuwał, nie umiał ich dokładnie określić, nie mógł oznaczyć środków zaradczych, ale był przekonany, że chcąc rewolucji zapewnić zwycięstwo, które ze stanowiska wojskowego za możebne uważał, trzeba ją było inaczej prowadzić.

Milek, przeciwnie, krytykował surowo, a nawet nie- litościwie błędy wodzów i rządu, ale się nie poddawał zwątpieniu, bo mu się zdawało, że zna środki zaradcze i był pewnym, że środki te, prędzej czy później, zostaną z dobrym skutkiem użyte. Jednak wobec swojego wuja nie wywnętrzał się ze swoich myśli sekretnych, bo przyszłość rewolucji zasadzał na gwałtownych przewrotach acałnych, z którymi od dawna nosili się Lelewel i Mochnacki, — wiedział z góry, że pułkownik takich środków zaradczych nigdy nie pochwali. Odzyskawszy swoją odwagę i waleczność, które się całkiem niespodzianie w nim objawiły, znów jego przyjaźń i zaufanie, które w swoim poczciwym i rodzinnym uczuciami głęboko przejętem sercu bardzo wysoko cenił, nie chciał rezstrajac tej z nim harmonijni politycznymi oporami. Toż ile razy rozmowa ich oparła się o tego rodzaju zagadnienia, rzucił tylko kilka uwag ogólnych, w których widać było potężną świadomość swoich przekonań, ale natychmiast przechodził do innego przedmiotu i najczęściej opowiadał szczegóły poohodów i bitew, których był uczestnikiem.

Były to rzeczy niezmiernie zajmujące, a często i wzruszające.

Milek odprawił pod komendą Kickiego pogoń za gwardjami i tam był świadkiem patriotyzmu i poświęcenia u wiejskiego ludu, które bardzo wysoko podnosiły umysł i serce, rozpraszały zupełnie wszelkie uczucia zwątpienia i otwierały szerokie pole najświetniejszym nadziejom. We wszystkich wsiach, przez które przeciągały pałki Kickiego, włościanie witali je okrzykami radości i przynosili im ostatki swoich zapasów, które im zostawili Moskale. Na

ytmi o;«wt»

widok chorągiewek ułańskich, uderzały gwałtownie poczciwe serca pod siermięgą i zgrzebną koszulą, ot > ierały się ich komory i stodoły, starce, kobiety i dzieci, zalewali się łzami, ściskali za ręce, całowali żołnierzom nogi, wołając : — Weźcie wszystko, wypędźcie Moskali ! — Mężczyźni pchali się gwałtem do szeregów, kobiety chwyciły za broń i ciągnęły za wojskiem, nie dając się odstraszyć ani kulami nieprzyjaciela, ani śmiercią poległych. Zona jednego artylerzysty, ' który został zabity, przywdziała jego mundur i stanęła do Błnżby przy dziale. Podczas bitwy pod Chruszczą, wśród grzmotu dział i najzawziętzej walki pomiędzy naazą kawalerją, uderzającą na arjergardę moskiewską, widziano białowłosego starca, klęczącego z podniosionymi rękami na wzgórzu i modlącego się Bogu o zwycięstwo dla naszego oręża...

Milek opowiadał te rzeczy zalewając się łzami i kończył z zapalem:

— Nie, mój wuju kochany ! Taki naród mnsi zwy- ciężyó, chyba, żeby Boga nie było na ziemi ! Taki ład zginać nie może !

Pułkownik sam w takich chwilach czuł się wzruszonym i wierzył, że przy nas będzie zwycięstwo.

Ale tymczasem wypadki rozwijały się z tą żelazną konsekwencją, jaką zawsze widzimy w dziejach, kiedy jedna ze stron walczących, próżna dokładnie określonej myśli przewodniej, nie zdoławszy wytworzyć nad sobą władzy potężnej i energicznej, ugina Bie pod ciężarem całego łańcucha niepowodzeń i błędów — a droga, mając władzę skoncentrowaną i świadomą Bwych celów, nawet z klęsk poniesionych wydobywa nową energję.

Bitwę ostrołęcką, którą myśmy ogłosili, jako sprawę niezaszczyną dla polskiego oręża, pojeto w Petersburgu, jako klęskę haniebną dla Moskwy. Mikołaj zapłonał gębokim wstydem i gniewem, — a wiedząc dobrze, że swojej armji nie może posłać nowych posiłków, postanowił wy do być z niej ostatnią kroplę energii i przyjął spoiób postępowania rewolucji francuskiej względem awych jenerałów. Dybicz, nie umiejący zwyciężyć pod Ostrołęką, musiał życiem zapłacić swą klęskę. Wielki ksiązę Konstany, będący tylko zawadą ku skoncentrowaniu władzy naczelnej, został otruty. Wodzem naczelnym został zamianowany Paszkiewicz, z tajemem, ale stanowczem hasłem wy- danem przez cara, tak dla siebie, jak i dla swych jenerałów, że kto nie zwycięży, ten zginie. Moskwa zatem zrobiła wysilenie najwyższe — i otdąd trzeba się było spodziewać, że armja jsj gotowa jest dać się wybić do ostatniego żołnierza.

-Jednakże z naszej strony nie odgadniono tego rozpaczliwego postanowienia. Ani wódz naczelny, ani rząd narodowy, nie przejęli się tem przekonaniem, że nadeszła chwila krytyczna i że myśmy powinni byli także zrobić wysilenie najwyższe.

Skrzynecki, nie mający już żadnej nadziei zwyciężenia w otwarłem polu, chociaż armja nasza jeszcze ciągle wzrastała, uwierzył wtenczas więcej niż kiedykolwiek w możność interwencji i skuteczność układów i oddał się cały sprawom dyplomatycznym. Nie umiejąc rozporządzać armją tak liczną i już rozrzuconą, posuwał jej korpusami po całym kraju bez żadnej myśli wytycznej, bez planu, bez celu. Ruchy tych korpusów odbywały się wtenczas, nie w strategicznych zamiarach, tylko ze względu na osoby dowódców, z których każdy miał własne idee, a wszyscy razem nie czuli władzy nad sobą. Mimo armji dwakroć liczniejszej, niż w chwili wybuohu powstania, kraj został bez obrony; Moskale zalali wkrótoe całe Królestwo, tak, że były od nich wolne tylko Warszawa z najbliższymi okolicami i kilka województw zachodnich.

Rząd narodowy, bez ładnego wątpienia, najlepszą miał wolę. Żaden kraj nie miał nigdy rządu, którego członkowie byliby przejęci gorętszym patriotyzmem i wznioślejszą ofiarnością i więcej stanowczem postanowieniem poświęcenia swoich majątków i życia. Ale mimo to nie dorósł on swojemu zadaniu, bo nie miał tej ślepej wiary, która rodzi

najwyższą energję, we wszystkich rewolucjach niezbędna; bo nie był przejęty tym dachem rewolucyjnym, który z zamkniętymi oczyma prze gwałtem do orężnego i politycznego zwycięstwa, bez względu na to, jaki ustrój społeczny wybierze dla siebie ojczyzna po odniesionem zwycięstwie. Rząd ten, rewolucyjny, lecz nie mający rewolucyjnej energii i bezwzględności, liczący się ciągle z opinią mocarstw europejskich, oglądający się ustawicznie na utrzymanie pewnej formy rządowej po odzyskaniu niepodległości, dla której miał wyłączne sympatje, otwierający przez to szerokie pole różnicom zdań w swem własnem wnętrzu, a zatem nie mogący mieć tej jedności i samorzutności w czynach, bez której niepodobna jest zniewolić naród do najwyższych wyaiień i ich działania nadać jednolitą potęgę — rząd ten był jeszcze oprócz tego paraliżowany czynnościami ludzi niepowołanych, a działających po za jego obrębem.

Już w samym początku powstania zawiązał się był w Warszawie, pod wpływem Lelewela, Mochnickich, Bronikowskiego i innych, klub demagogiczny, którego przywódcy nie mieli wprawdzie dokładnie określonego programu, ale byli przejęci ogólną zasadą, że tylko poruszenie mas może nadać rewolucji siłę zwycięską, że masy można poruszyć tylko za pomocą społecznego przewrotu i że przywódcy tych mas powinni wziąć ster rewolucji w swą rękę. Gdyby oi ludzie, nierozważni i do rządu zupełnie niezdolni, ale pełni energii i mający częstokroć trafne pomysły, byli się wyrzekli wszelkich stronnicych i osobistych ambicij i wzmocnili rząd istniejący jednym lub dwoma członkami ze swego grona, to pracnjąo wspólnie i w jednym celu z tymi, którzy mieli powagę w kraju i zaufanie całego narodu, mogli by byli swoją energją i przedsiębiorczością oddać sprawie publicznej znamienite usługi. Ale, jak nigdzie indziej, tak i tutaj tak się nie atalo. Lądzie ci, zaślepieni w swoich teorjach i nie liczący się wcale z tym faktem, że radykalny przewrót społeczny nie jest ani potrzebnym, ani nawet możebnym w kraju takim, gdzie cała siła moralna i materialna znajduje się w warstwach posiadających, usiłowali od początku obalić rząd istniejący i szukali oparcia po za jego obrębem, aby swoją władzę utworzyć. Po świetnem, choć drobnem zwycięstwie pod Stoczkim, próbowali oprzeć aię na Dwernickim, ale się nar nim zawiedli. Pomiędzy bitwą Grochowską a Ostrołęcką zwycięstwa armji dały rządowi i dowódczcom wojskowym taką przewagę, że byłby się naraził na wzgardę publiczną, ktokolwiekby był zamierzał obok nich jaką inną władzę wytworzyć. Klub wtedy przycichł. Ale jak akoro bitwa Ostrołęcka została ogłoszoną jako klęska, zaczął znowu głowę podnosić — a im dłużej aię przewlekała Skrzyneckiego beczynność, im mniej energii znamionowały działania rządu, im więcej już z tych powodów tworzyło się malkontentów, tem szersze klub ten zyskiwał pole dla swej propagandy rewolucyjnej i tem zuchwałej przypisywał sobie prawo kontroli nad czynnościami władz istniejących. Klęski, poniesione przez niektórych jenerałów, samym sobie pozostawionych, podały mu nadto niemało pozorów do obwiniania władz cywilnych i wojskowych o niedbalstwo, niezdolność, lekceważenie sprawy publicznej, a nawet o zdradę. Agitacja ta rozszerzała się tem łatwiej, ile że skutkiem niepowodzeń na polu walki i słabnących władz rządu, gromadziło się coraz więcej beczynnych żołnierzy i ochotników na braku warszawskim, a nie było nikogo, ktoby miał bacznosc na ruchy tych nieapo kojnyoh żywiolów.

Warszawa zmieniała wtenczas do niepoznania swoje oblicze. Był rząd, był wódz naczelny z swym sztabem, był gubernator miasta i naczelnik policji; ale był także i klub, który w kawiarniach i na ulicach, a nawet po koszarach bardzo głośno przemawiał i z którym już nawet posłowie, wyżsi urzędnicy i oficerowie liczyć się zaczęli. Klub ten wzrósł już pod koniec czerwca w taką potęgę : iż wywołał zbiegowisko uliczne; aresztował trzech jenerałów i kilkanaście innych osób cywilnych i wojskowych, zagroził im szubienicą i napadł na rząd, domagając się zmiany jego składu i sądu na oskarżonych. Rząd popełnił tę słabość, iż zamiast

żelazną ręką stłumić rozruch uliczny, przyrzekł osądzić oskarżonych w przeciągu dwudziestu czterech godzin, czego nie mógł dotrzymać — a wtedy potęga klubistów wyrosła ponad głowy władz istniejących, które straciwszy ostatek energii i wielką część swojej powagi, otworzyły na ścieżaj wrota osobistym ambicjom i gwałtom publicznym.

Przewodnicy klubu byli to ludzie, których głowy były opanowane teorjami, a serca niesione namiętnością uczucia. Nie mieli oni pomiędzy sobą ani iednego człowieka, któryby miał odwagę czynu i zdolność kierowania ruchem choćby ulicznym. Ani Lelewel, ani Mochnacki, ani nawet ksiądz Pułaski, nie prowadzili nigdy tłumów ulicznych osobiście na mordy — a ile razy zetknęli się z członkami władz istniejących, zawsze Bie dali przekonać i uspokoić. Ale obok nich znajdował aię człowiek, który był zdolny do czynu. Tym człowiekiem był Krukowiecki.

Krukowiecki, oficer austriacki ze szkoły Wurmsa, strawiwszy swą młodość pomiędzy wiedeńską arystokracją wojskową, nie byt nigdy zarażony, juk Zajączek i Ro- źniecki, demagogicznymi zasadami i rewolucji francuskiej. Towarzystwa patriotyczne, panowanie klubów, rozruchy uliczne, były jemu tak samo wstrętne, jak carowi Mikołajowi. Ale był to człowiek niczem niepokromionej ambicji, który nie znał innego bodźca do czynów, jak bezwzględny egoizm, a który przeto przed żadnym nie wzdrygał się środkiem, mogącym go prowadzić do celu. Nieoawidoczny przez Chłó pickiego, podejrzrywany przez Skrzyneckiego, pomijany przez Rząd narodowy, niezadowolony gubernatorstwem miasta Warszawy, a dążący ustawicznie i niezmordowanie do opanowania powstania, zbliżył się do klubistów, nienawiścią do władz istniejących obudził w nich zaufanie i za ich pomocą stał się tajnym kierownikiem rozruchów ulicznych. Przez całą drugą połowę lipca sympatje klubu wahały się pomiędzy nim a Dembińskim; ale kiedy Dembiński dał klubi- atom stanowczo do zrozumienia, że opinji ich nie podziela, a do tego jeazcze naraził sobie Kaliszanów, ster klubu i ruchów ulicznych dostał się w ręce KrukowienkiegJ.

Tymczasem w ciągu tegoż miesiąca zaszły wypadki, które wywarły wpływ bardzo nieszczęśliwy na ducha i kierunek powstania.

Jenerałowie Giełgud, Chłapowski i Dembiński, przypuściwszy atak do Wilna, zostali z wielkimi stratami odrzuceni przez armją rosyjską, a pierwsi dwaj wparci na tery- torjipi państwa pruskiego i tam rozbrojeni. Armja polska została uszczuploną o kilkanaście tysięcy żołnierza. Giełgud został przy przejściu granicy przez Skulski jego zabity, Chłapowskiego potęła jednogłośnie opinja publiczna. Obydwa nie byli winni w tym stopniu zarzutów, jakie im czyniono. Giełgud, jenerał niezdolny, ociężały i niechętny powstaniu, nie powinien był mieć żadnej komendy w otwrtym polu; Chłapowski, oficer pełen niezwycajnych zdolności, patrijota gorący i człowiek wzniosłego charakteru, byłby był oddał powstania znamienite nBługi, gdyby był właściwie użyty. Chłapowski, zamianowany wodzem naczelnym powstania na Litwie, prowadząc według swojej idei partyzantkę na wielką skalę, byłby starł Moskali na Litwie i Żmudzi i wydał Paazkiewioza Skrzyneckiemu na pastwę; poddany pod komendę niudolnego Giełguda, a niezdolny do zrobienia zamachu, chociaż się tego domagał ratunek rzeczy publicznej i choniaż f o doń ze wszech stron zachęcano, musiał się koniecznie zmarnować.

Większą od niego, bo prawie awanturniczą przedsię biorczością obdarzony Dembiński, wykonał odwrót, prawie niepodobny do uwierzenia, bo przypominający najzuchwalsze średniowiecznego rycerstwa wyprawy, które do fantastycznych i ozmiarów i kształtów urosły w wyobraźni poetów—i przerznawszy Bie na stumilowej przestrzeni przez dzieBiećkroć od niego silniejsze korpusy moskiewskie, przyprowadził swój mały korpusik prawie nienaruszony na Pragę.

Borch, który całą kampanię litewską odprawił pod Chłapowskim i szczerze się do niego przywiązał, jak wszyacy, którzy pod nim służyli, widząc, że jego wódz postanowił przejść



granicę pruską, opuścił jego szeregi

w Kurszanach, przemknął aie sam jeden do szwadronu Foznańcsyków i z Dembińskim przyciągnął do Warszawy.

Kiedy wiadomość nadbiegła do miasta, ie Dembiński jui jest w Markach, cała Warszawa wyruszyła na pola pragskie na jego spotkanie.

Był to dzień słoneczny sierpniowy, ani jednej chmurki nie było na niebie, uroczysta cisza rozlegała się w powietrzu, zdawało się, ie sama natura uleiyła wszystkie swoje iywioly do świątecznego nastroju: tylko na południowym krańcu widokregu niebo się obciągnęło całunem ielaznego koloru, po którym przelatywały od czasu do czasu złote nitki błyskawic.

Książę Czartoryski, członkowie rządu, prezes senatu, marszałek izby poselskiej, gubernator stolicy jenerał Iluttie, komendant Pragi jenerał Dziekoński i kilkuset senatorów i posłów, wszyscy na koniach, stanęli na błoniach za Pragę, oczekując przybycia zwycięskiego korpnusu. Za nimi wysypały się tysiące ludu, otwartemi powozami, konno i pieszo i rozlały Bię po obndwch stronach gościńca; Dachy domów warszawskich, położonych nad brzegiem Wisły, były nakryte tysiącami ludzi ciekawych, jak mrowiem. Wisłocki, jui dobrze krzepki fizycznie, chociaż jeszcze rozstrojony moralnie, usiadł na swoją klacz złoto- gniadą, wyjechał takie na Pragę i wsunął się między senatorów i posłów.

Nareszcie koło kolonji Elsnera ukazał się korpus zwycięski.

Na jego czele jechał na okazałym koniu litewskim, maści skarogniadej z gwiazdką na czole i długą grzywą, sięgającą do kolan, Dembiński w jeneralskim mundurze i w burce przewieszanej przez ramię. Nie miał on jeszcze wtenczas pełnych czterdziestu lat wieku — a jego postaó barczysta, twarz ogorzala, bujno wasy i faworyty ciemnego koloru, oko niebieskie pelae tego ognia, po którym widać\* ie nigdy nie wygasa, znamionowały go na pierwszy rzut oka, jako człowieka niezawodnej odwagi i determinacji.

Miał on około siebie tylko kilku adjutantów podrzędnych, bo ukt z oficerów wyższych nie chciał sobie przywłaszczać choćby tylko części tego uznania, jakie go tutaj oczekiwało.

Za nim postępowały, jako strai przednia, trzeci pułk strzelców konnych, jedna kompanja strzelców pieszych, takie wsadzona na konie i tak gorąco przez wszystkich kochany i uwielbiany szwadron poznański. Szwadron ten składał aie ze złotej młodzieiy W. Księstwa, którzy porzucili wielkie majątki, naraiając się na ioh utratę; niektórzy z nich zostawili żeny i dzieci może, na wieczne sieroctwo, i poszli się bić za ojczyznę — a chociaż byli wychowani w pieszczotach i przyzwyczajeni do tych wszystkich wygod wykwintnych, jakie daje fortmna, służyli jako prości żołnierze, nie kajali się najtwardszych trudów, zawBze pierwsi szli w ogień i ostatisi wracali. Stu trzydziestu pięciu z nich wybiegło na oohotnika z Dembińskim po bitwie Ostrołęckiej na Litwę — a byli pomiędzy nimi Brzeitńscy, Potuliccy, BojanowBcy, Potoccy, Rogalińscy, Mycielsey, trzech Mielżyńskich, dwóch Szczanieckich, Kaczorowscy, Mieczynski, Darowski i inni. Teraz wracali — a zwycięski jenerał dał im zaszczytne miejsce na czele korpusu, na które swem poświęceniem zasłuuyli.

Za nimi szła środkowa kolumna, ośmnasty pułk piechoty Radziszewskiego, szwadron strzelców konnych, strzelcy Matuszewicza. który tak świetnie sprawił się w Trokach, i cztery działa. Za tą kolumną postępowali jeńcy, a między nimi jenerał Paniutyn, który był przeznaczony na szefa sztabu Paszkiewicza, w miejsce Tolla, a którego Dembiński wziął nad Narewką w niewolę.

Za jeńcami szła jazda płocka, która swą walecznością w tym odwrocie wyrównała jeździe poznańskiej, trzynasty pułk ułanów, strzelcy słonimscy i nowogrodzcy i rozmaite drobne oddziały powstańców litewskich, które odłączyły się od Gielguda i jui wśród odwrotu do Dembińskiego dobiegły.

Korpusik ten przedstawiał widok równie malowniczy,

W tal Ojnnwlo.

jak fantastyczny. Było tam widać najrozmaitsze mnndnry i stroje: uniformy polskie i moskiewskie, zabrane Moskalom na składach burki krymskie, obok kurtek ułańskich, ezamary, siermięgi i kurty szlacheckie. Eonie takie najrozmaitsze: niemieckie fryzy, imudzkie mierzyny, potężne rumaki litewskie, jakimi jui sławne były stadniny Olgicrowiczów, a wreszcie zdobyczne ogiery czerkieskie. W końcu i broń wszelkich moiliwych kształtów: karabiny kalibrowe, janczarki i sztucce, starożytne garłacze i samopały, karabele, kindiały i jatagany. Twarze wszystkie ogorzale, zmęczone i wygłodzone, ale wesołe i śmiałe, na których malowały się odwaga, męBtwo i przedsiębiorczość, a zarazem zadowolenie rozbitków, przybijających nareszcie do portu. Eorpusik ten zamykały długie szeregi powozów, bryczek, kałamaszek i wozów, na których wieziono resztki rozmaityoh zepasów wojennych, a między liemi kilkunastu rannych i chorycb.

Kiedy ten korpus pokazał się na błoniach, tłumy ludu się poruszyły jak fale na morzu i zawołały jednogłośnym okrzykiem: — Niech żyje generał Dembiński! — Poczem cały ten tłum pełną piersią zaśpiewał: — Jeszcze Polska nie zginęła! — Książę Czartoryski przemówił do generała w imieniu narodu, a Dembiński odpowiedział mu krótko, oddając cześć męstwu i poświęceniu żołnierzy, A wśród tego czasu lud cisnął się do niego, całując jego strzemiona i nogi, padając przed nim na kolana i rzucając mu kwiaty na drogę...

Wisłocki spał konia i pomknął ku jeidzie poznańskiej, ażeby się tam rozpytać o Borcha. Ale Borch pierwaj go spostrzegł i zaraz przyskoczył ku niemu na swoim skaroguiadym ogierze. Gdyby nie to, Wisłocki byłby go pewnie nie poznał. Borch był bowiem tak wychudły i opa - dły, że wcale nie był podobnym do siebie, a przytem w tych, trudach wojennych tak zmętniał, jak gdyby mu przez pa- < ę miesięcy kilka lat wieku przybyło. Wisłocki się szce-s rze ucieszył, obaczywszy go w dobrem zdrowiu, albowiem, pomimo tak licznych przyjaciół, do których miał przywią zanie, młodzieniec ten był jedynym, którego kochał jak syna i do którego zupełne miał zaufanie. Jakoi zaraz go pociągnął za aoba, aby tłumy wyprzedzić i jaknajprędzej przyjechać do miasta. Kiedy aię przeciskali koło sztabu, Dembiński rzucił okiem na Borcha i zawołał:

— Pamiętaj, coś mi przyrzekł; kilka dni wypoczynku, nie więcej.

A kiedy nareszcie aię precisnęli przez tłumy, Wiało- cki zapytał Borcha: co to ma znaczyć?

— Dembiński - mnie zamianował swoim adjutantem — odpowiedział mu Borch — ale daje mi tylko kilka dni wypoczynku, bo się spodziewa, że będzie miał duio do czynienia w Warszawie.

— Bardzo to prawdopodobne — rzecze Wisłocki — jui go bowiem wymieniają jako kandydata na naczelne dowództwo. Słyszałem nawet, ie klubiści liczą na niego. Ja go nie znam, więc nie wam zdania, czy ma po temu zdolności. Wszystko, co dotąd zrobił, bardzo go dobrze rekomenduje. Ale, somme toute, dał się aotyczas poznać tylko jako doskonały partyzant, moie nareszcie jako dobry do- wódzca korpusu, ale nie więcej, bo niektóre jego idee, o któ - rych pod Ostrołęką słyszałem, trochę fantastycznie mi wyglądały... Ciekawy jestem słyszeć, co ty o nim powiesz.

— Gdybym ja był miał głos w radzie — odpowiedział mu Borch — to byłbym naczelne dowództwo na Litwie oddał Chłapowskiemu. Jego zdolności wojskowe są bez wątpienia dojrzalsze, nii Dembińskiego, a przeto i zdania więcej stanowcze. Ale trudno temu zaprzeczyć, ie Chłapowski ulegał swoim osobistym ambicjom, co w wojnie rewolucyjnej jest rzeczą bardzo niebezpieczną. Owóz takich ambioyj w Dembińskim wcale nie dostrzegłem. Jest on może w sobie samym chwiejny cokolwiek: widząc tarcie się dwóch partyj pomiędzy sobą, nie chciałby się żadnej narazić; ale celu innego nie zna, oprócz wyswobodzenia Polski i dla niej gotów zawsze siebie samego poświęcić.

— Mój drogi — rzekł na to cokolwiek zgryźliwie Wisłocki — kto w czasach rewolucyjnych, sprawując fun-

koję publiczną, nie chce się nikomu narazić, ten zwykle, kończy na tem, że się wszystkim narazi.

— To tei ja się tego po nim obawiam — powiedział Borch — zwłaszcza, jeżeli kolej przyjdzie na niego. A zdaje mi się, że przyjść musi koniecznie, bo Skrzynecki się zużył swoją beczynnością. Prądzyński ma pomysły jęnalne, ale nie masz w nim konsekwencji, zaś Chrzanowski marzy tylko o układach: somme toute, jak mówi pułkownik, pozostaje tylko Dembiński.

— Ja nie mam nic przeciw Dembińskiemu — rzecze Wisłocki — ale na nieszczęście nie wiele mam za nim. Zresztą moje zdanie w tym względzie od dawna jest wyrobione. Jeżeli mamy się bić dalej w otwartym polu, to oczywiście, że Skrzyneckiego należy kim innym zastąpić, bo on złożył niezbite dowody, że nie jest w stanie kilkunastotysięczną armją kierować. Ale jeżelibyśmy się mieli bronić w Warszawie, co jest bardzo prawdopodobnem i za czem nawet ważne przemawiają powody, to nietylko w naszej armji, ale na całej kuli ziemskiej nie masz do tego zdolniejszego wodza, jak Skrzynecki. Bo wtedy trzeba żelaznego uporu — a Grochów i Ostrołęka mu świadkiem, że go ma i to w takim stopniu, w jakim go może nie mieli najlepsi generałowie napoleońscy!

— Tak — odpowiedział mu Borch — ale nim ta kwestja się zdecyduje, minie jeszcze kilka tygodni, a tymczasem pod Skrzyneckim armja się fatalnie dezorganizuje..

— Oh! że się dezorganizuje, to prawda — zawołał Wisłocki — ale też wątpię, ażeby ktokolwiek teraz potrafił ją doprowadzić do tego stanu spójności i subordynacji, w jakim była podczas bitwy Grochowskiej.

— Więc cóż pułkownik rozumiesz? — zapytał Borch, — czego byś sobie życzył w tem położeniu?

— W tem położeniu, — rzecze Wisłocki z gorzkim uśmiechem, — ja sobie tylko jednej rzeczy życzę — a to rdzennej kuli armatniej w same piersi na polu bitwy..

Z temi słowami zajechali na Bednarską ulicę.

To, co tu powiedział Wisłocki powiedziało jui wtedy bardzo wielu starych żołnierzy, chociaż nie wszyscy się z tem wydawali. Albowiem doświadczonemu ich oku nie mogły ujść dwa fatalne objawy: brak wodza i bardzo szybkimi krokami postępująca dezorganizacja armji. Te obadwa nieszczęścia szły z sobą w parze.

Dezorganizacji głównie był winien Skrzynecki, który nietylko nie miał żadnej myśli przewodniej, żadnego nawet przeczucia co do dalszych działań wojennych, nietylko nie był w stanie kierować ruchami pojedynczych korpusów, ale nawet nie umiał utrzymać subordynacji: jednakże winni jej takie byli w bardzo wysokim stopniu klubiści. Ludzie ci mieli zaledwie instynktowe przeczucie, że rewolucja, jeżeli ma zwyciężyć, potrzebuje innego kierunku — i z tym nad podziw ubogim moralnym zasobem zamierzeli podkopać, rozsadzić i zburzyć to, co istniało, nie mając wcale żadnego wyobrażenia, czemby je mogli zastąpić. Mieli oni wprawdzie niektóre idee, przekopowane z rewolucji francuskiej, ale idee te były tak ciemne i bałamutne, że oni sami, jak to było widać po ich dziennikarskich rozprawach, nie umieli dla nich znaleźć praktycznego zastosowania. Do jakiego stopnia idee ich były dla nich samych niezrozumiałe i nieokreślone, a zarazem nie — polskie i nie — patriotyczne, najlepiej to widać z deklaracji pisemnej, wystosowanej dnia dziesiątego sierpnia przez Lelewela do prezesa rządu w której ten główny inspektor wszech klubów rozróżnia udziałność narodu od jego niepodległości i większą przywiązuje wagę do pewnych swobód społecznych, a przedewszystkiem do wolności druku, niżeli do udziałności.

Zasadami rewolucyj społecznych spacone pojmowanie oelu narodowego powstania, — które później tak gorąco, a tak bezowocnie zaprzętało emigrację, nedorzeczne teorje, iż trzeba pierwej dom obalony wewnątrz urządzić, nim jeszcze został odbudowany, — zapanowały już wtedy szeroko nad temi klubami i, na nieszczęście, udzieliły się armji.

Zaraza ta jui w bardzo krótkim czasie po powrocie

Dembińskiego i Litwy rozpostarła się tak dalece pomiędzy żołnierzami, że już w miesiąca lipca nie było ani jednego pałka, w którymby się nie znajdowało przynajmniej kilka oficerów, należących do klubu; wszyscy akształceńsi żołnierze zajmowali się więcej polityką i sejmikowaniem po obozach, niżeli obowiązkami służby, a Warszawa przepelniła się oficerami wątpliwej nominacji, nie pełniącymi żadnej służby, którzy niesłuchanie hałasowali po bruku i po kawiarniach, a nad którymi nie było żadnej kontroli. Oficerowie ci, poubierani w najrozmaitsze, a często nawet wcale fantastyczne mundury, nosili wszyscy białe spodnie: był to znak, po którym się poznawali jako klubiści i ulegający wpływowi Krukowieckiego.

Wisłocki miał wtedy niezmiernie wiele zgrzyoty z Miłkiem. Milek służył w drogim pułku ułanów, gdzie miał rangę kapitana i właściwie powinien był być w obozie; ale umiał on sobie zapewne wyrabiać częste urlopy, bo prawie ciągle bawił w Warszawie. Mieszkał on niby w pałacu Borchy, bo tam miał swoje pakunki, ale tam trudno było go znaleźć, bo często dopiero nadedniem przychodził na nocleg, a czasami i parę dni go wcale widać nie było. Pułkownik, chociaż się łatwo domyślał, czem się Milek zajmuje, usiłował go brać na konfesatę i zawsze go za zaniedbywanie służby strofował, ale niepodobna mu było nic z niego wyciągnąć. Milek unikał widocznie wszelkich politycznych konwersacyj ze swoim wajem, jeżeli zaś czasem mu się jakich słów kilka wyrwało, to z nich można było tylko to wnosić, że Milek jest jak najlepszych nadziei, a nawet jest tego pewnym, że rewolucja niebawem weźmie obrót jak najlepszy i niezawodnie zwycięży.

— Na kogoż liczysz z taką ufnością? — zapytywał go wtedy pułkownik.

— To nasza rzecz, — odpowiadał Milek ze stanowczością mędrca, który jest pewnym swoich przekonań, — ludzi u nas nie braknie, tylko oie ich nie umieli wynaleźć. Zresztą, nie ma się temu co dziwić, bo tylko zasady tworzą ludzi, a wyście zasad nie mieli...

Z fanatyzmem nie masz dyskusji. To też pułkownik nic dyskutował z nim; nie znał ani tych zasad, ani wartości tych ludzi, na których on liczył, lecz się mógł tego wszystkiego z łatwością domyślać; natomiast wszakże wyjechał jednego dnia z Warszawy, aby drugi pułk ułanów odszukać.

Pułkownikiem tego pułku był wówczas Wojciech Bogusławski, niedawno jeszcze major w piętnastym pułku piechoty, dawny Wisłockiego znajomy. Z nim się Wisłocki łatwo rozmówił.

Zaraz w kilka dni potem Milek został odwołany do pułku — i odtąd nie dostał już urlopu ani na jedną godzinę. Tym sposobem ochronił Wisłocki Miłka od obciążenia swego sumienia politycznymi zbrodniami, w których nie z nienawiści, żadnej krwi swoich braci, ani też z żądzy osobistego znaczenia, ale z fanatycznej wiary w pewne zasady, byłby bez wątpienia wziął udział.

Niebawem potem nastąpiły owe krwawe wypadki, które dziejopisowie nazwali „Nocą piętnastego sierpnia.” Wzburzone tłumy ulicznego motłochu, pod przewodnictwem owych oficerów, w białe spodnie ubranych, wymordowały więźniów na zamku, porozbijały potem inne więzienia, a powywleka- wszy z nich winnych i niewinnych, ukarały ich śmiercią doraźną bez sądu. W tych mordach żaden z przewod- ców klubowych nie wziął udziału, wazyscy już z wieczora się gdzieś pochowali; właściwego ludu Warszawy także tam nie było; sprawcą tych zbrodni był motłoch uliczny, wzburzony przez tajnych agentów cywilnych i wojskowych, pomiędzy którycu znajdowało się wielu płatnych przez Moskwę, a którzy wazyscy działali według sekretnych instru- kcyj Krukowieckiego.

Krukowiecki, wiedziony nietyle świadomym zamiarem zdrady, ile nienawiścią do pewnych osób, stojących dotąd u steru, i zaślepiony osobistą ambicją, dopiął swojego celu: albowiem zaraz po tych wypadkach rząd narodowy ustąpił,

a najwyższa władza cywilna i wojskowa znalazły się porzucone na broń. Jeżeli kiedy od początku powstania, to nigdy mocniej, jak wtenczas, nie dał się narodowi uczeni brak człowieka. Najwyższą władzę mógł wtedy wziąć każdy, ktoby miał odwagę po temu, ale nikt po nią nie wyciągnął ręki, nikt sobie nie ufał, że ją udźwignie i poprowadzi do zwycięstw, nawet najzuchwalszy ze wszystkich Bem jej odmówił. Nad tym stanem rzeczy zlitował się Krukowiecki i objął władzę najwyższą, zamianowawszy, dla zmniejszenia swojej odpowiedzialności, wodzem naczelnym zacnego Kazimierza Małachowskiego, który ją przyjął jak krzyż Chrystusowy z wiekopomnymi słowami na ustach: że ją przyjmuje, „aby się stał wielką ofiarą.”

Ze wszystkich narad wojennych, które się odbywały u Krukowieckiego, na których Dembński, Prądzyński, Chrzanowski i inni podawali najfantastyczniejsze projekty, a nikt nie bronił tej jedynie logicznej myśli, że trzeba wszystkie siły skoncentrować w Warszawie i bronić aż do upadłego, bo Warszawa przy ładajakiem szczęściu może się stać g obem Moskali, wypłynęło tylko to jedno postanowienie, że trzeba wyprawić dwa korpusy na prawy brzeg Wisły, ażeby z tej strony zapewnić miasta dowóz żywności. Jakoż dnia dwudziestego trzeciego sierpnia przeszły korpusy Łubieńskiego i Ramorina przez most na Pragę. Z tym ostatnim wyszli z Warszawy książę Czartoryski, Gustaw Małachowski i wielu innych członków władzy cywilnej, a należał do jego składu także drugi pułk ołanów, w którym znajdował się Milek.

Wyprawienie korpusu Ramorina, który się składał z dwudziestu tysięcy doskonałego żołnierza i zabrał z sobą tak wiele osób cywilnych, dało powód do rozpuszczenia pogłoski, jakoby ta wyprawa postanowioną została tylko w celu bezpiecznego przeprowadzenia dawnego rządu po za granice kraju. Pogłoska ta, która wtenczas nie miała bez wątpienia żadnej podstawy, chociaż ją następne wypadki pozornie usprawiedliwiły, wywarła zwłaszcza na ogólniejsze i trwożliwsze umysły jaknajfatalniejsze wrażenie.

Jest to prawdą, stwierdzoną doświadczeniami wszech wieków, że nawet najodważniejsi ludzie w szczęściu i powodzeniu ulegają zarazie trwogi, jak skoro spostrzegą, że oni, których nawykli byli widzieć zawsze na przedzie, asuwają się z miejsca niebezpieczeństwa. Stało się to także i wtenczas. I jeżeli niektórzy przywódcy, jak Chrzanowski, Prądzyński, Skrzynecki i wielu innych, od samego początku nie przypuszczali nigdy innego zakończenia powstania, jak za pomocą układów, to teraz układy stały się niemal hasłem powazecznem.

Prawie wszyscy generałowie uważali obronę miasta, we trzydzieści tysięcy żołnierza przeciwko ośmdziesięciu tysiącom Moskali, jako niemożliwą, a przypuszczali tylko, że zwycięskie odparcie pierwszego szturmego może dopomóc do otrzymania korzystniejszych warunków. Tylko żołnierz, ten Małachowski i Jasiak, co polityki nie rozumie, a wie, że tego strasznego Moskala miał już tylekroć pod swymi obcasami, nie wiedział nic o układach i wydał pomiędzy sobą hasło: zwyciężyć lub zginąć. Tym żołnierzem można było, tak samo, jak pod Grochowem i pod Ostrołęką, uderzać jeden na trzech i nie dać Warszawy Moskalom: ale... niepodało się Bogu.

Wisłocki przez cały ten czas ustawicznych zmian hetmanów i rządów nie wdawał się w żadne dyskusje. Wszystko, co się działo w Warszawie, było ran wstrętne, a te nikogo nie ganił. Był smutny, ponury, milczący i całkiem w sobie zamknięty; rzadko kogo odwiedzał, nawet, prócz Borcha, nikogo nie przyjmował u siebie.

Na kilka dni przed szturmem wsiadł na koń i pojechał do Bogusławskiego. Bogusławski stał wtedy prawie pod samą Wolą, miał swój pułk czwarty znowu kompletny, było w nim jeszcze paręset ludzi niegdyś Wisłockiego, ale wszystkie wyższe szarże były w nim obsadzone. Dziaduski dowodził drugim bataljonem. Pułkownikiem był Borzęcki, podpułkownikiem Słabicki. Bogusławski natychmiast się domyślił, po co Wisłocki do niego przyjechał i rzekł do niego te słowa:





— Chciałbym cię jak najlepiej umieścić, ale nie wiem, jakby to zrobić, bom wszystkie dziury połatał. Ale wiesz eo, stań przy mnie, a rękę ci za to, że jak tylko się ogień rozpocznie, niedługo będziesz czekał na dobrą komendę. Tu z mego pułku trzaski polecą...

— Dlatego też przyszedłem do ciebie — przerwał mu Wisłocki, — bo wiem, że dyplomatyzować nie będziesz. Ale ja koło ciebie nie stanę, tylko, jeżeli pozwolisz, wezmę karabin do ręki i stanę na skrzydle. Tak sędzę, że ci na ooś się przydam, chociaż wiem dobrze, że twoi żołnierze nie potrzebują zachęty.

Bogusławski czuł się tem oświadczeniem prawie upokorzony, ścisnął go za rękę i rzekł:

— Tu między okopami wszyscy się położymy... przy takiej głupiej komendzie. Lecz mniejsza o to I byle nasi synowie wiedzieli, że Moskale tylko po naszych trupaoh dostali się do Warszawy.

Jednak w tej samej chwili uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Mam dla ciebie komendę! Stoi za mną bataljon dziesiątego pieszego w rezerwie, dali mi tam jakiegoś młodzika na majora, ja go wezmę na adjutanta, a ty weźmiesz 'jego bataljon.

Wisłocki tedy bardzo tem się ucieszył i zaraz wziął ten bataljon pod swoją komendę.

Jak tylko Wisłocki znalazł umieszczenie dla siebie, zaczęły się owe nieuniknione negocjacje, które Prądzyński tak nieszczęśliwie poprowadził.

Paszkwicz zgromadził w pobliżu Warszawy siły stosunkowo ogromne: miał ośmdaiesiąt tysięcy żołnierza i sto dział polowych i oblężniczych; lecz mimo to nie miał wielkiej ochoty atakowania Warszawy. Albowiem najprzód wiedział o tem z góry, że przy znanej waleczności polskiego żołnierza, szturm może go bardzo drogo kosztować, a nie zapewnia wcale zwycięstwa; lecz oprócz tego wiedział o tem, że Ramorino, znajdujący się we dwadzieścia tysięcy ludzi poniżej jego armji po stronie wschodniej, mógłby nań a tyłu uderzyć, a wtedy jego armja mogłaby pod samymi szanćami być startą na miazgę. Tymczasem Prądzyński, w gruncie rzeczy jeszcze daleko lichszy dyplomata od Łosia, zaraz przy pierwszej swojej konwersacji z wysłannikiem rosyjskim, jenerałem Danenbergiem, wygadał się przed nim, że Ramorino stoi pod Brześciem, a przeto nie może tak prędko przyjść na odsiecz Warszawie. To nieszczęśliwe wygadanie się Prądzyńskiego równało się samobójstwu : albowiem Paszkiewicz, będąc pewnym, że mu Ramorino tyłu nie weźmie, postanowił bez zwłoki przypuścić szturm do Warszawy.

Obrona z naszej strony była nawet przy doskonałem dowództwie niezmiernie trudna. Linja szanćów, których reduty zresztą nie były nawet w zupełności wykończone, otaczająca Warszawa od południa i zachodu, wynosiła dwie mile długości; trzydziesto-tysięczna armja, chociaż mająca sto pięćdziesiąt armat przy Bobie, nie była dostateczną do jej obsadzenia. Lecz oprócz tego jeszcze Krukowiecki zrobił wszystko, co mógł, aby naszą siłę obronną osłabić. Zatrzymał bowiem około ośmiu tysięcy ludzi w bezczynności w Warszawie; Dembińskiego, który nasze prawe skrzydło stanowił, zostawił na czele tylko kilku tysięcy ludzi, a Umińskiego z nierównie znaczniejszemi siłami tak daleko na lewe skrzydło wysuoął, że w punkcie środkowym szanćów, na którym Moskale muBieli koniecznie atak rozpocząć, nie można Bie było od niego spodziewać żadnej pomocy. Obrona Warszawy mogła zatem tylko jeszcze raz uświetnić naszą ■ławę wojskową, ale nie mogła nam przynieść zwycięstwa..

Dnia szóstego września, ledwie szarzyć zaczęło, kolumny armji moskiewskiej ruszyły z miejsca, dająo ku miastu. Ruchy ich były wymierzone ku szanćom pięćdziesiątemu czwartemu, piątemu i siódmemu, które Woli broniły. Przed niemi postępowały liczne bateije armat. O samym wschodzie słońca rozpoczęto ogień działowy, z jednej strony i z drugiej. Dwieście armat zagrzmiało, strzały padały tak gęsto jeden po drugim, że ieh nie można było policzyć, ziemia driała jakby pod ustawicznymi piorunami,

powietrze gęstym napelniło się dymem, w samej Warszawie okna zadrżały... Po dwugodzinnej kanonadzie wiele domków okolicznych się zamieniło w ruiny, gościńce były zryte kulami, jak pola zorane, niektóre szańce były już miejscami porozrywane i krwią zlane, Moskale przypuścili szturm z bagnetem w rękę.

Szańec pięćdziesiąty piąty, kulami zupełnie rozbity, został przez nas opuszczony.

Moskale we dwadzieścia bataljonów uderzają na siódmy i czwarty. Tego Bsańca bronią tylko dwie kompanie naszej piechoty, walczą jeden przeciwko dziesięciu; Moskale rzucają faszyny, stają jeden na drugim, wdzierają się na palisady, klucy i bity, spadają i znowu się na wały wdzierają, naszym już nie staje oddechu, już ledwie dziesiąta część z nich się trzyma na nogach, już Moskale opanowali szanec — a w tym czarny Błup dymu wystrzela w tym miejscu w górę, grzmot wszystko przygłuszący rozlega się w koło, reduta ze wszystkim wyleciała w powietrze. Była to reduta Ordon.

Jak tylko z dymów i prochów się oczyściło powietrze, Moskale zaraz obsadzili ten szanec, a zarazem zdobyli szanec pięćdziesiąty siódmy. Natenczas otworzyła się im droga do Woli. Na Woli dowodził białowłosy generał Sowiński

0 szczudle, najwaleczniejszy z walecznych, ale miał tylko tysiąc trzysta piechoty i kilka armatek. Moskale uderzyli nań w kilkanaście tysięcy żołnierza, spojonego gorzalką i zagranego obietnicą rabunku Warszawy. Sowiński miał Piotra Wysockiego przy sobie, podzielili pomiędzy siebie komendę i postanowili bronić się do ostatniego oddechu. Walka była zawzięta i zapamiętała, ząb za ząb i oko za oko, każda stopa ziemi została zlane krwią obustronną; ale Polacy nie mogli dotrzymać kroku tak wielkiej przewadze, już tylko połowa, już tylko czwarta część. Wysocki ranny wzięty w niewolę. Sowiński na czele reszty cofa się do kościółka. Moskale wpadają nań, mordują wszystkich; Sowiński ginie ostatni na stopniach ołtarza. Wola dostaje się w ręce Moskale.

Na tę wiadomość po wszystkich Dembińskich dywizjach przeszedł dreszcz zgrozy, ale nie trwogi.

- Bohaterski duch Sowińskiego przejmuję wszystkich. Kto w Boga wierzy, poleca mu duszę i postanawia tu zginąć. Go więcej, w tym świetnym dreszczu bohaterskiego natchnienia powstaje myśl uderzenia wstępnym bojem na zwycięskich Moskale i odebrania im Woli. Myśl ta się rodzi w czwartym pułku liniowym, przebiega jak błyskawica szeregi, porusza wszystkich, donosi się do Dembińskiego, Dembiński ją pochwała, wydaje odpowiednie rozkazy, sam staje w asekuracji armat, dywizję grenadjerską stawia w rezerwie, Bogusławskiemu oddaje pierwszą linię bojową.

Była wtedy jedenasta godzina.

Dzień był pogodny, powietrze się czyściło. Moskale spostrzegli zamiary Polaków. Ich pułki karabinierskie ruszyły w ściśniętej kolumnie przeciwko naszej piechocie. Bogusławski na czele czwartego pułku, Wisłocki na czele swego bataljonu na skrzydle prawem, uderzyli na nie z gwałtownością piorunu. Wszczął się bój krwawy, zawzięty, nieubłagany. Już tam nikomu nie chodziło o życie, tylko o śmierć chwalebna na polu sławy.

Pod piorunowym uderzeniem Bogusławskiego, Moskale się ugięli, cofnęli się i rozprószyli i znowu się sformowali. Zagrzmiały działa z obydwóch stron, powietrze napelniło się znowu chmurami dymów, ziemia znowu zadrżała, domy się waliły z trzaskiem pod działaniem kulami, niektóre wioski stały w płomieniach.

Bogusławski odparty formuje się na nowo i po raz drugi uderza. Rezerwa grenadjerska przychodzi mu w pomoc, czwarty pułk znowu Moskale rozdziera i znowu rozpoczyna się bój, jeszcze więcej zatarty, jak przedtem. Przez chwilę walka trwa na miejscu, ziemia się okrywa trupami, pułk czwarty już się przez połowę przeredził, Wisłockiego bataljon już zmalał do stu kilkudziesięciu ludzi, już Wysocki brakuje oddechu: Bogusławski się cofa.

Ale nie moje przenieść tego na siebie, aby przed Moskalami zejść z pola, zwłaszcza, że i oni, jeszcze więcej przeredzeni, takie zaczerpują oddechu. Bogusławski jeszcze raz się formuje, oddaje Wisłockiemu całe prawo skrzydło, sam staje na lewym i właśnie się szykuje do uderzenia, kiedy wtem brygada generała Muchowskiego przychodzi mu w pomoc, którą Umiński nadesłał. Natenczas nowy duch wstąpił w całą Bogusławskiego brygadę, okrzyk: Niech żyje ojczyzna! rozległ się jak grom przeciągły po wszystkich szeregach, Bogusławski z taką siłą uderzył, jak gdyby dopiero wychodził z obozu.

Moskale się zachwiali.

Ale Wisłocki, uniesiony zapałem, cokolwiek za daleko Bie zapędził, przyczem jego bataljon się rozdarł na szmaty. On sam, na czele takiego szmatu, znalazł się w obec silnie ściśniętej kompanii piechoty morskiej. Nie stracił przytomności, ze zwykłym sobie ogniem na nią uderzył i rozdarł ją; ale w tej chwili, oięty pałaszem w głowę, zachwiał się.

W tej chwili takie, zdawało mu się, że o kilkadziesiąt kroków na prawo dojrzał Borchę, pędzącego na koniu w tę stronę, zapewne z jakimś rozkazem od Dembińskiego i widział, że kula armatnia weń uderzyła i Borch razem z koniem runął na ziemię...

Widzenie to wszakie tylko jak błyskawica przeleciało przez jego głowę, albowiem w tej chwili bagnet mu pękł i musiał chwycić karabin za lufę i bronić się kolbą. Bronił się bardzo skutecznie, chociaż krew z rany na głowie zalewała mu lewe oko; jednak niebawem uczuł ból w nodze, w którą przed Grochowem był ranny, pośliznął się w kałuży krwi i upadł na ziemię...

W chwili, gdy padał, widział wyraźnie konną baterję, przelatującą galopem z prawej strony przez pola, a na jej czele Walka Laskowskiego, na karym koniu, bez kapelusza, w mundurze rozpiętym albo rozdartym na piersiach, który pędził jak orkan właśnie w tę stronę, gdzie jeBzycie powinni byli stać Moskale.

Kiedy Wisłocki padał na ziemię, bądź to od rany na głowie, bądź tej od nowego uderzenia, którego nie oszuł, zaćmiło mu się cokolwiek w głowie i de tego stopnia, że kiedy upadł, nie zerwał się z tą szybkością z ziemi, z jaką zrywa się żołnierz, mający jeBzycie całą przytomność. A kiedy się zerwał i stanął na nogach, Dziaduski na czele drugiego bataljonu, z karabinem podniesionym w prawicy i z głośnym krzykiem na ustaeh: Naprzód! naprzód! niech żyje ojczyzna! spadł jak chmura gradowa w to miejsce, przeleciał jak burza, zimowym wichrem smagana — a jego bataljon porwał go z sobą...

Jednak Wisłocki nie mógł zdążyć za nimi, bo miał lewe oko krwią zalane, nie był zupełnie przytomny i lewa noga mu całkiem zdrętwiała. Potracany i pchany przez pędzących kłusem żołnierzy, ciągle się przyzostawał, aż wreszcie sam się pozostał. W tej chwili ciemno mu Bie zrobiło w oczach, stracił prawie całkiem przytomność, czuł tylko tyle, że stoi na nogach i że się na kimś opiera. Wszakie w oka mgnieniu potem odzyskał znowu przytomność, rozejrzał się koło siebie i spostrzegł młodego Mrocza przy sobie, który go objął obydwoma rękami i sobą podpierał. Mroczek, który był w ostatnim szeregu bataljonu Dziaduskiego i sam nie mógł zdążyć za czwartakami, takie się przy został, a spostrzegłszy zakrwawionego i chwiejącego się Wisłockiego, podparł go sobą i przy nim pozostał. Pułkownik ścisnął go za rękę i jeszcze lepiej się koło siebie rozejrzał...

Jui wtedy było po bitwie. Moskale pierzchnęli. "Jeszcze tylko kilka naBzych bataljonów uganiało się za podartymi szmatami ich ostatnich kompanij. Gdzieniedzie pluton strzelców konnych, stojących w asekuracji armat, zastępował drogę uciekającym. O parę set kroków na prawo, na małym podwyższeniu, stał Walek z bateiją armat i walił kartaczami za uchodzącą Moskwą. Wisłocki odetchnął i rzekł:

— Chwała Bogu! nie żal mi krwi mojej, bośmy się im przecie nie dali

<sup>4</sup> A Mrozek na to:

— Chodźmy, niech pan pułkownik oprze się na mnie, może gdzie jaki wózek znajdziemy.

Pułkownik zrobił kilka kroków, ale niebawem stanął, mówiąc:

— Słuchaj Mroczek! jeżeli to nie było pizywidzenie, to tutaj kędyś Borch leży, bom go sam widział, jak go kula armatnia razem z koniem rozdarła.

— Chodźmy tymczasem, — rzekł Mroczek, ciągnąc go za sobą ka baterji Walka, gdzie było widać jakieś wózki, zapewne zastępujące miejsce jaszczyków. Wisłock' szedł za nim, a idąc, ciągle się za Borchem rozglądał.

Ale nie łatwo tam było kogo odszukać Albowiem całe pole było trapami nakryte, a między nimi wieln rannych, wydających straszliwe jęki. Jednak Wisłocki ciągnął Mrocza w tę stronę, gdzie mu Bie instynktowo zdawało, że widział Borcha. Ocierał sobie chustka zakrwawione oko i pilnie się rozpatrywał na wszystkie strony. Jakoż zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, kiedy go rzeczywiście znaleźli. Leżał na ziemi bez duszy, przywalony rozszarpanemi zwłokami swojego pięknego ogiera. Kula armatnia oderwała koniowi cały przód z głową, Borch wtedy upadł na przód, a kadłub konia go nakrył.

Pułkownik na ten widok aię całkiem otrzeźwił i o swoich własnych ranach zapomniał. Pochylił się zaraz, aby Borcha z pod konia wyciągnąć, ale razem z Mrocziem nie mógł temu dać rady. Jednak prędko nawołali innych żołnierzy, a wtedy łatwo go wydobyli. Wisłocki Borcha pilnie oglądnał, lecz chociaż cały jego mundur był krwią końską zalany, nie mógł się na nim rany dopatrzeć. Borch jednak leżał jak martwy, a ohociaż żołnierze kilkakrotnie, nim strzęśli, nie mogli się go dobudzić! Wszelako wszyscy mówili, że żyje, bo miał oczy zamknięte. Natenczas jeden ze starych czwartaków dobył manierki i staropolskim zwyczajem nalał mu w nos okowity -• a to go zbudziło. Pułkownik kazał go pOBtawić na nogi. Borch oczy otworzył, ale zdawało się, że nic nie widział, ani też słyszał. Kontuzja była tak silna, że go prawie zupełnie sparaliżowała.

Tymczasem Mroczek przyjechał z wózkiem, a zeskoczywszy zeń przed Wisłockim, rzekł:

— Pan Laskowski aię kłania pułkownikowi, przy- Była wózek i przeprasza, że sam służyć nie może, bo je- szczn parzy Moskali.

Pułkownik wsadził Borcha na wózek, sam siadł koło niego, wziął Mrocza ze sobą i na Bednarską ulicę odjechał.

Już wtedy była czwarta godzina z południa. Przywołani lekarze zakleili pułkownikowi ranę na głowie, natarli nogę spirytusami i chcieli go położyć do łóżka, ale on rady ich nie posłuchał, tylko pozostał orzy Borchu. Borch prsyzedł z wolna do przytomności, ale był jak pijany, widział tylko jak gdyby przez mgłę i nic zgoła nie słyszał. Wisłocki jednak nie pozwolił mu się rozebrać, wiedział dobrze, dla czego. Przespali noc całą w fotelach — a Wisłocki zaraz o świcie wyprawił Mrocza do miasta s karteczką ; kiedy zaś Mroczek s odpowiedzią powrócił, kasał zaraz rzeczy pakować.

Przed wieczorem Borch trocha lepiej otrzeźwiał i spytał pułkownika: co aię dzieje w Warszawie. Ale Wisłocki tylko ręką machnął i rzekł:

— Kie słyszysz, więc nie wiesz. Od godziny drugiej snów grają wasyatkie armaty. Tu i ówdzie jeazcze się biją. Na8ze niedobitki dokatną cudów. Jeszcze na waletę wycięli Moskałom kilka pułków do nogi. Paszkiewicz ranny. Ale to wszystko nam nie pomoże. Krukowiecki nas wyda...

Zaś o godzinie ósmej, otrzymawszy nową karteczkę, rzekł:

— Stało się. Krukowiecki nas sdał na łaskę cesarza...

Około godsiny dziesiątej wyprawił jeszcze ras Mrocska do miasta, a kiedy otrzymał odpowiedź, powiedział do Borcha:

— Możemy aię jessce i tę noc przespać w fotelach, ale o świcie russyimy.

Waal ojcowie,  
MMi

42

Jakoż nazajutrz rano wyciągnęli z całym taborem i pojechali na Pragę.

A kiedy minęli straże polskie, stojące po tamtej stronie mostu i odetchnęli powietrzem ziemi, jeszcze nie zajętej przez Moskwę, spostrzegli Krukowieckiego, zmierzającego- także w tę stronę. Straszony ten człowiek, wysoki, chudy, w jeneralski mundur ubrany, z białymi włosami, z wybladłą twarzą, z oczyma krwią nabiegłymi, oddawszy może więcej; lekkomyślnie, hiżeli zdradliwie, Warszawę Moskalom, opuścił ją 88m, przeszedł ( most i chciał także się udać na Pragę, gdzie się armja polska zbierała.

Ale żołnierze polscy skrzyżowali przed nim karabiny i wzbronili mu przejścia. Krukowiecki zaczął klócić \* z nimi; ale podoficer zaparł mu drogę i rzekł: że jeżelilib) chciał gwałtem się przebić, z'rozkazu jenerała Umińskiego;; w łeb mu wypali.

Krukowiecki nabiegł krwią cały, ale się cofnął i wróć wolnym krokiem do Warszawy, gdzie właśnie przy odgłoi trąb i piszczałek wchodzili tryumfująco Moskale..

Wisłocki z głębi piersi odetchnął i rzekł do Borchta  
— Za niegodne uczynki jest jeszcze kara na ziemi Taryk 1884.  
koniec.